

~~78011~~

B. P. im. L.

1000072210



YAROLHOX.



SEAL

114518

Wielmożnemu Głównemu z prawdy
o wzmiankę.

Karol Bleibtreu.

Ad my...

NAPOLEON.

60
24
36

Spolszczył

to

Adam Nowicki.

1813



ka Emuljon



18011

B.P im. Ł.

—

3

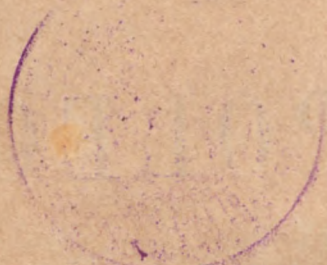


WARSZAWA.

NARZĄDEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

1892.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Юля 1892 года.



944 „17/18” : 92

WSTĘP.

Ziemia jest piłką, toczącą się wśród przestworzy nieskończonych, których objąć zmysły nasze nie zdołają. Nic nie wiemy. Cóż zyskaliśmy, przekonawszy się, że ziemia — to ziarnko brunatnego piasku, rzucone w wiry niezliczone gwiazd? Nie możemy nawet zdobyć się na świadectwo, iż stanowimy część świata najprzedniejszą, przedtem bowiem trzebaby dowieść, że inne planety nie dźwigają na swych grzbietach organizmów doskonalszych od nas, ludzi. Jak na teraz, pewien astronom medyolański stwierdził, iż Mars swym kształtem oraz składem bynajmniej się od kuli ziemskiej nie różni. Wiele mówiący symbol! Stoimy i będziemy stali pod znakiem Marsa.

Z pól bitew rolnik zbiera plon podwójny. Im więcej trupów, tem więcej nawozu. Cały porządek rzeczy na świecie polega. na ustawicznych ofiarach.

Ktokolwiek opiera się przedstawicielom woli dziejowej, którzy zawsze pojawiają się z mieczem w rękę, równa się owemu mężowi, obwiniającemu

za ucieczkę żony do Ameryki nie kogo innego, je-
no Krzysztofa Kolumba! Każdy „nowy porządek“ po-
ciąga za sobą niedogodności dla tej i owej jedno-
stki. Lecz on sam o to bynajmniej się nie tro-
szczy!

Nam, którzy żyjemy w atmosferze dusznej
i zatęchłej, potrzeba od czasu do czasu płomieni,
przynoszących ze sobą światło i ciepło.

Orzeł lata najwyżej i — najspokojniej. Wy-
łącznie wielkość spokojna jest wielkością, podob-
nie jak miłość stanowi zamię właściwe genial-
ności, ducha, oczyszczonego z wszelkich porywów
samolubnych, pierwotnych, niskich.

Geniusze — postaci świetlane — przesuwiają się
kolejno, lecz oko nasze chwytą jedynie ostatnich
z tego szeregu, ostatnich i najwspanialszych za-
razem.

Każdy „nowy porządek“ rodzi równocześnie
prócz owoców także i trucizny. Zanikająca Ame-
ryka czerwonoskórych przekazała rasie kaukazkiej,
niby koszulę Nessusa, ową chorobę osławioną i nie-
nasyconą żądzą złota. Nowoodkryte krainy ge-
niusza często kryją w zanadrzu zarodki złego. Mi-
mo to wogóle wzbogacają one ludzkość. Również
i Napoleon otrzymał taką koszulę Nessusa i umarł
przez nią na Oecie. Bardzo pięknie wyraziła owo
porównanie Ida Hahn-Hahn w „Listach z podróży:“
„Napoleon i Herkules posiadają wiele wspólnych ry-

sów, ponieważ oczyszili świat z przeróżnych brudów.“

W gruncie rzeczy każdy geniusz jest zawsze jednakowym i niepodzielnym: Michał-Anioł bronił w roku 1529 florenckiego klasztoru—warowni San Miniato—przez dziewięć miesięcy. Albrechtowi Dürerowi zawdzięczamy nasienie całej dzisiejszej sztuki fortyfikacyjnej. Nie myli się Carlyle, twierdząc, iż Shakespeare byłby jednym z najdoskonalszych władców, Burns jednym z najśmielszych reformatorów. Świat natomiast pierwszemu kazał zostać aktorem, drugiemu celnikiem, który miał dozorować pędzenie gorzalki. Świat zawsze tak mądrze umie spożytkować swoich geniuszów, tudzież szanować ciche zasługi lub nieutytułowane wielkości umysłowe.

W swej nieograniczonej dobroci i miłosierdziu świat uznaje z ochotą pierwszeństwo geniusza, lecz dopiero i wyłącznie wtedy, gdy ten ostatni pięścią upomni się o przynależne mu prawa.

Podczas gdy talent, skupiając się w jednym punkcie, dochodzi dzięki temu pod względem technicznym do względnej doskonałości w tej lub owej dziedzinie ducha, co najłatwiej chwytą za serce tłum bezkrytyczny, -- znamieniem geniusza bezwarunkowo jest pociąg do uniwersalności, która każdy czyn zabarwia jakimś pierwiastkiem wiecznym i nieograniczonym. Jeszcze dzisiaj rolnictwo

hołduje trójpółowemu gospodarstwu Karola Wielkiego; jeszcze dzisiaj znajdziesz we Francyi zaprowadzone przez niego instytucye urzędnicze; Napoleon był bezwiednym jego naśladowcą.

Vauvenargues ma słuszną, pisząc w swych *Reflexions Critiques*: „Ponieważ dramat napisano celem wystawienia go na scenie, przeto byłoby rzeczą niesprawiedliwą sądzić go po przeczytaniu.“ Szkoda tylko, że nie dodał on: „celem *dobrego* wystawienia go na scenie wobec widzów prawdziwie wykształconych.“ Już bowiem starszy Dumas onego czasu dowiódł ironicznie, że zaledwie dziiesiąta część słuchaczy podczas pierwszego przedstawienia potrafi ocenić sprawiedliwie i dzieło i autora.

Podobnie przecież rzeczy się mają ze *wszystkimi* postępками geniusza. O wielkich czynach wypada sądzić jedynie znawcom bezstronnym, i to na podstawie dostatecznych, oczywistych dowodów. W razie przeciwnym zawsze okaże się albo fałsz, albo błąd. Że świat, bowiem mało posiada zdolności w wynajdywaniu i ocenianiu pierwszych kroków prawdziwego geniusza, dowodzi tego wiecznie powtarzające się zdziwienie wobec dokonanych przez niego dzieł w miarę sprzyjających okoliczności. Czy ktokolwiek zaprzeczy, że Cezar, Cromwell, Napoleon, również Bismarck i Moltke, jeszcze na wiele lat przed swoją sławą nie zdołali-

by wybornie dowieść wobec bystrego psychologa własnych talentów niesłychanych i przyszłego znaczenia? Kiedy Cezar odjeżdżał do Galii, śmiano się w Rzymie złośliwie, że się pozbyto intryganta, który, będąc zniewieściałym zarozumialcem, jako wódz niewątpliwie dozna niepowodzenia. Bonapartego w Nicei powitano szemraniem jako generała, popieranego przez spódniczki; Cromwella posadzono w parlamencie o tchórzowstwo i nieudolność; Fryderyk Wielki uchodził za nieponia. *Prywatny uczoney* Schoppenhauer na wieki ośmieszył swoich prześladowców, *patentowanych profesorów*, handlujących filozofią, jak inni pieprzem.

To samo zjawisko przejawia się we wszystkich dziedzinach.

Każdego wynalazcę piętnowano z początku jako waryata, każdego reformatora jako kacerza; w sztukach plastycznych, które przecięciowo ludzie najmniej rozumieją, wszystko krzyczące i błyszczące uchodzi za niezwykle; najszczytniejsza odmiana geniusza, poeta-mysliciel, musi ustawicznie nadstawiać czoła orkanowi obelg, gdyż szczególniejsze względy utrudniają tutaj zrozumienie jego działalności. Przyłączają się nadto do tej ostatniej przeróżne wybryki genialnej woli, nieodłączne od genialnego ducha.

Wola genialna z trudnością nagina się do wyłącznie przedmiotowego postępowania, gdyż wła-

śnie główną jej wartość stanowi oryginalność i odrębność czysto podmiotowa. Tem świetniej wypada ostateczne zwycięstwo, dzięki zupełnemu połączeniu się genialnego ducha z genialną wolą. Dopiero na św. Helenie Napoleon zdobył się na takie zwycięstwo nad sobą samym, uchylając głowę przed Jezusem Chrystusem, jako przed potężniejszym zdobywcą.

Najlepszym monarchistą jest tylko ten, kto po chłodnem, bezstronnem zbadaniu przeszłości i terażniejszości doszedł do wniosku, że wyłącznie monarchia dziedziczna może rozwiązywać skutecznie wszystkie najważniejsze zagadnienia państwowe, pod warunkiem porzucenia tych i owych tradycyj, które uważa ona dzisiaj za niezbędne swojej podpory.

Nasze poglądy zresztą w tej mierze najlepiej wyjaśni niniejsza książka.

Nie napróżno bowiem wybraliśmy Napoleona jako przykład, gdyż nigdy i nigdzie lud nie okazał tak gorącego przywiązania do swego władcy, jak właśnie francuzki wśród najtrudniejszych okoliczności, zwłaszcza w roku 1814. O tem przywiązaniu historia bądź milczy, bądź podaje wizerunek podrobiony, do czego ostatniemi czasy nie mało przyczyniły się kłamliwe oraz jednostronne pamiętniki Talleyranda.

Mówi się o „prawie namiętności,“ która według nieodwołalnych wskazówek przyrody kieruje dobrem płciowym. Mówi się o „prawie do pracy.“ Tembardziej więc możnaby uważać za konieczne „prawo geniusza,“ tudzież żądać ustanowienia „prawa swobody dla twórczości genialnej.“ Jeżeli przeszkody, stawiane doborowi płciowemu, uważają za zbrodnię przeciw naturze, szkodliwą dla całej rasy, to tem więcej ograniczenie twórczości genialnej należałoby równać z najcięższym grzechem śmiertelnym, o którym powiedziano: „wszystkie inne grzechy można przebaczyć, z wyjątkiem tego jednego:“ jest to grzech przeciw Duchowi świętemu.

Istnieją cztery wielkie siły społeczne: dwie zachowawcze—miecz oraz pieniądz; dwie burzy- cielskie—duch oraz kij. Ponieważ duch jest potęgą najsilniejszą, jakkolwiek pozornie uchodzi za najsłabszą, przeto powodzenie każdej sprawy zależy od tego, po której stronie stanie duch. Duch oraz miecz, dwa czynniki najmocniejsze, tworzą przewagę stanowczą; geniusz zazwyczaj korzysta z nich obu.

Dzieło poniższe mogłoby również nosić miano: „Geniusz jako wychowawca.“ Zawiera ono bowiem spoisty, świadomy celu system prawd, zastosowanych do życia społecznego. A ponieważ najważniejszą część owych prawd odziliśmy w szatę pla-

stycznego opowiadania dziejowego, przeto ich zrozumienie nikomu nie nastęrczy trudności. Gdy przed stu laty pisarze reformatorzy puszczali w świat swe filozoficzne groty, zamiarem ich było przygotować rewolucyę i podkopać trony. My niniejszem dążymy do celu wprost przeciwnego, chcemy bowiem dowieść, iż monarchia stanowi koronę form państwowych i nie jest, jak wielu naiwnie przypuszcza, łatwą tudzież uroczą sielanką, lecz trudnem, poważnem zadaniem.

Oto więc leży przed wami książka, poświęcona sztuce rządzenia, poświęcona wszechwładnemu tronowaniu, które, gdy je sprawuje geniusz, tworzy koronę ludzkiej umysłowości, koronę, której nic innego nie zdoła przewyższyć.

Baldur świetlany, konając, przepowiedział bogom, iż zginą w olbrzymiej walce ze światłem i demonami. Mimo to Odin tudzież Donar nie ulegli się wyzwania i odważnie pochwycili za włócznie oraz młoty. I Loki zionął ogniem, wąż Midgard chłostał gwiazdy, wilk Fenris wreszcie pochłonał księżyc. Bogowie przecież zabili ich, oni zaś zabili bogów. Wówczas Allvadur stworzył nowy świat, a słońce promieniste wstąpiło ponad pobojowisko bogów. Oto leży przed wami książka o sztuce rządzenia.

CESARZ-GENIUSZ.

I.

Geniusz przeciwko światu całemu!

Tylko raz jeden świat samorzutnie ugiął kolano. Umysłowość wodza, geniusz wojskowy. Z niego to najwyraziściej przebijają się prawa wewnętrzne geniusza. Zazdrością zowie się cień, rzucający przez każdą wielkość. Świat nie cierpi wyłącznie prawdy, lubi zaś kłamstwo. Jeszcze dzisiaj miernoty podkopują kolumnę Vendome. Lecz i Napoleon jeszcze dzisiaj na siwku krąży po swych pobojowiskach.

Bez względu na to, czy stulecia rzekomej demokracji będą obrzucały go błotem; bez względu na to, czy przedstawiciele moralności kramarskiej po swojemu będą mierzyli owego olbrzyma woli, bez względu na wszystko pamięć o tej postaci, owianej poetycznym urokiem, przez wieki wieków ostanie się niezniszczona.

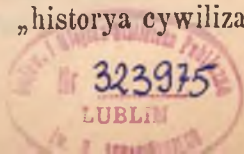
Imperator!

Dla badacza spostrzegawczego, który pragnie wysledzić początki słabe żywiolowego ruchu, nie tajną jest jedna ważna chwila rewolucyi francuzkiej. Był to dzień, kiedy hołota paryzka, dumna z dokonanych rzezi wrześniowych, jako bataliony nieregularne, uzbrojone zaledwie w piki, wkraczała do obozu pod Valmy celem przedzierzgnięcia się w porządne, ucziwe zastępy wojskowe. Wówczas zaszła rzecz niesłychana. Generał Dumouriez w obliczu bateryj, naładowanych kartaczami, oraz zmasowanej gęsto piechoty, przemówił do niej w sposób niezwykle ostry: Armia czuje wstręt do rzezi paryzkich, a zarazem uważa dla siebie za hańbę przyjęcie pod swe znaki takich, jak owi mordercy, żywiolów. Wzywa on tedy panów septembrystów do poprawy; ich obowiązkiem zatrzeć swoje zbrodnie posłuszeństwem oraz odwagą; w razie przeciwnym generał w sposób straszliwy wymusi dla siebie subordynacyę. Żołnierze powitali te słowa oklaskami radości szalonej! W taki to sposób załatwiano się z bohaterami wolności, z okrwawionymi członkami komuny! Arystokratyczne nadużycie, które słusznie można było podejrzewać o przyzwoitość!—Tak, armia była „podejrzana;“ szeptali o tem już sobie oddawna najzapaleńsi członkowie klubu jakóbinów. Począwszy od tego obozu wojennego w Ardennach, aż do zwyciężkiego szelestu trójbarwnych sztandarów przed

Mantua, skromnie i cichaczem całe bohaterstwo skupiało się w wojsku; kto brał udział w rzeziach paryzkich, tego poprostu wyrzucano z batalionów. W owej godzinie, kiedy to Dumouriez tak szorstkie zgotował przyjęcie zdziaczałym terorystom, już w owej godzinie zrodziło się cesarstwo. Czekają ono jeszcze tylko na swojego pana.

W czasach dzisiejszych wielu pragnie wojnę usunąć, o ile możności, całkowicie z dziejów ludzkich, jako barbarzyństwo atawistyczne. A przecież, jeżeli ktoś opracowywałby historię cywilizowanych społeczeństw europejskich w ostatnich stu pięćdziesięciu latach, mniej więcej od Fryderyka II do Wilhelma II, od 1740 do 1890 r., ten z pewnością spostrzegłby, że właśnie wojny tworzą wszędzie słupy graniczne kolejnych okresów coraz to doskonalszego rozwoju.

Dzieje składają się zarówno z historii wielkich mężów, jak i z historii owego „milieu,“ otoczenia, wśród którego się ci ostatni pojawili. Intrygi dyplomatyczne razem z wojnami w skład historii prawdziwej nie wchodzi. Dlatego też dziejopisarstwo, zwracające uwagę wyłącznie na zdarzenia kategorii powyższej, posiada wartość bardzo małą. Lecz także myślą się i ci, którzy za czynniki cywilizacyjne uważają wyłącznie sztuki oraz naukę, albo nawet tylko wynalazki techniczne, czego dowodem śmieszna „historia cywilizacji“



pewnego amerykańszyna. Wojna tworzy zawsze pierwszorzędny czynnik cywilizacyjny, ilekroć razy prowadzi ją dla swych zamiarów dalszych jakaś genialna osobistość.

Wszyscy wykształceni na świecie całym wiele słyszeli o Napoleonie i urobili sobie w głowie jego wizerunek, pełen odmian, stosownie do dzieł rozmaitych, które o nim czytali.

Lecz prawdziwych jego dziejów jeszcze do tej pory nie napisano.

Ten człowiek bowiem otoczył się tak przerażającym hukiem dzieł, iż głos jego z trudnością można pochwycić, i to tylko po wsłuchaniu się długiem a dokładnem. Huk atoli jak również i błyskawica są jedynie skutkiem, nigdy przyczyną, nigdy czynnikiem atmosferycznym. Nadto otaczała i otacza owego bohatera taka błyszcząca oraz jasna aureola, że jego osoba niemal zniknęła i nieknie poza tą zasłoną świetlistą, a zmęczone oczy widzów nie mogą zbyt długo się w nią wpatrywać. Tu tkwi źródło niezgodności sądów nawet ze strony bystrookich. Lecz trzeba przynajmniej raz dokładnie przyjrzeć się tej postaci. Ani doniosłość jego sławy, ani rozmiary jego szczęścia nie powinny nas odtąd nadal obchodzić. Wziąwszy to wszystko poza nawias, będzie naszym zadaniem odszukać oraz odtworzyć własną wielkość Napoleona.

Ostatniemi czasy Lanfrey i Taine chwycili się nader zręcznie dosyć starego a ulubionego sposobu malowania korsykanina jako wcielonego „Molocha.“ Odrzućmy na bok podobne dzieciństwa. Hetman demokracji miewał—na swój sposób—tak dobre kazania, jak i Mahomet, kazania zapomocą wystrzałów armatnich. Jego osobiste proklamacye, wygłaszane za pośrednictwem dział, zagłuszyły co prawda poruczone mu posłannictwo boskie; mimo to przecież owo posłannictwo w samej rzeczy istnieje. I gdziekolwiek rozorał on rolę swym pługiem żelaznym, tam wszędzie kiełkowały ziarna przyszłości; ztąd też niech będą błogosławione jego ślady!

Świat istnieje dzięki równowadze sprzeczności. Dlatego też pozostanie zagadnieniem nierozstrzygniętem, co większą posiada zasługę: postęp, czy zachowawczość. Napoleon jednoczył w sobie oba prądy. Los rzucił go w stulecie, rozłamane na dwoje i pozbawione wszelkiej jedności. Zdawało się, że społeczeństwo europejskie rozpadło się zupełnie; członek nie przystawał do członka. Wszędzie gęsto krzewiły się przesady, już-to pod postacią zasad legitymistycznych, już-to jakobińskich. Świętoszkowata obłuda i materyalizm ateistyczny kłębiły się i gryzły wzajemnie. Po jednej stronie owa zachowawczość, składająca w dani bożkom, już za fałszywe uznany, wszelką uczi-

wość i rozsądek; po drugiej ów radykalizm, który zbyt bezczelnie i zbyt głośno zaprzeczał wszystkiemu gwoili samego zaprzeczania. Epoka tedy potrzebowała jakiejś jedności, wspólnej obu żywiołom. I patrzcie, znaleziono ją w Cezarze demokratycznym, który jednocześnie był przedstawicielem woli ludu.

Ludzie na obraz i podobieństwo owiec idą gromadami, bojaźliwie i nie patrząc przed siebie; prowadzi ich naprzód jeden baran, którego wszystkie zwroty naśladują oni niewolniczo. Poczucie wspólności stapia ludzi w społeczeństwo, i to tak zupełnie, że tworzą jedną istotę. Dzięki właśnie tajemniczemu czarowi owej wspólności, muszą nawet najgłupsi, słuchający jedynie zwierzęcego instynktu samozachowawczego, odkryć i uznać owego barana-kierownika, czyli bohatera, który nietylko myśli o strawie, lecz również i zastanawia się bystro nad całym stanem rzeczy. Gdziekolwiek on pójdzie naprzód i śmiało, tam pobiegnie za nim i trzoda cała; tak chce przeznaczenie. Taki wybraniec właśnie, obdarzony darem nieporównanym pojmovania rzeczywistości, charakter wielkoświatowej doniosłości, fakt w świecie pozorów i złudzeń ucieleśnił się w „karle korsykańskim z rozczochraną czupryną,“ o twarzy tak cesarskiej, jakiej nie miał nigdy przedtem żaden imperator Romy starożytnej.

II.

Opowiadanie samych nagich zdarzeń jeszcze niewiele mówi duchowi, łaknącemu prawdy. Wyliczają nam drobiazgowo wszystkie bańki i pianę, płynącą grzbietem rzeki; lecz o niej samej, o sile oraz kierunku prądu, o składzie źródła, dowiadujemy się bardzo mało. Historia jest filozofią doświadczenia. Mało przecież ludzi umie czytać i czyta w tej potężnej, czarującej książce, prawdziwej jak samo przyrodzenie,—lecz zamiast niej chwytają do ręki jakikolwiek marny, spłowiały podręcznik dla niedorostków. Dziejopis do niedawnych jeszcze czasów uważał za jedyne swoje zadanie wybadywać tajemnice przedpokojów dworskich, lub kręcić się po pobojuwiskach, których atoli ze stanowiska wojskowego nawet nie umiał zrozumieć. Teraz wymaga się od niego rzeczy zupełnie innych. Wszyscy pragną poznać stosunki społeczne t. zw. „milieu,“ przyczem jednak popełniają ten błąd, iż kładą zbyt wielki nacisk na prądy ekonomiczne, albo też na szczegóły powierzchownej cywilizacji. O wiele bowiem ważniejszym jest uprzytomnienie sobie duchowego „milieu“ każdej epoki, zbadanie jej stopniowego uszlachetniania się i dobadywanie w niej pulsu porywów bohaterskich. To przesadne podnoszenie życia ekonomicznego graniczy wprost z krótkowzrocznością. I tak: myśliciel

angielski pyta: Kto był ważniejszym nowatorem: czy wódz, który, pierwszy Alpy przekroczywszy, zwyciężył pod Kannami, — czy też chłop, który pierwszy skuł sobie pług żelazny? Nasze, tak zwane oświecone pojmowanie rzeczy, oczywista, rozstrzygnie owo zagadnienie na korzyść tego drugiego, rozstrzygnie, jeżeli uporeczywie będzie się zapatrywało na zwycięztwo pod Kannami jako na brutalne starcie zewnętrznych wypadków państwowych. Tymczasem wojna Hannibala z rzesząpospolitą rzymską stanowi część wiekopomnego procesu dziejowego, a mianowicie zamach semityzmu azyatyckiego przeciwko idealniejszej, bądź-co-bądź, oraz bardziej bohaterskiej cywilizacji aryjskiej; ta wojna przeto tworzyła odłam gwałtownej walki o byt pomiędzy rasami, z której skutków, nieobliczonych w najdalszej nawet przyszłości, skorzystała cała udzkość w postaci miliona reform społecznych i cywilizacyjnych. Geniusz Hannibala, według naszej „współczesnej“ mądrości, powinien był raczej pracować nad jakimiś praktycznymi wynalazkami. Nieprawdaz? I zapewne należy niezmiernie żałować, iż tak wielki człowiek poświęcił się tak marnemu i bezużytecznemu zawodowi, jak hetmaństwo? Na nieszczęście jednak, dla naszych współczesnych mędrców Hannibal nie był porządnym, cywilizowanym obywatelem dziewiętnastego stulecia, lecz ciemnym oraz barbarzyńskim poganinem.

Zadania swego starożytnego bohaterstwa pojmował on inaczej. Alpy niedostępne przebył bez żadnych technicznych robót przygotowawczych, prowadząc juki na słońiach, przebył tak wybornie, jak nawet już u progu naszego stulecia nie potrafił lepiej wielki korsykanin, który przecież, nie ofiarując ani Baalowi, ani Melkartowi, był człowiekiem wysoce oświeconym. Lecz w oczach owych, którzy zechcą z tego wszystkiego wyciągnąć ważną naukę, że dla woli ludzkiej wszystko jest możliwem, a człowiek zdoła uwydatnić swoje bohaterstwo nawet wbrew przyrodzie i bogom, w oczach takich rzekomo niepożyteczne czyny Hannibala okażą się w zupełnie innem świetle. Ten wzgląd zaś dla nas posiada wagę daleko większą, aniżeli wynalezienie łopaty żelaznej, a nawet wszystkich narzędzi oraz maszyn świata całego! Nadto, jak wojna prowadzona przez Hannibala ma niezmierne znaczenie wszechdziejowe, gdyż bez niej nie słyszeliśmy ani o imperium rzymskiem, ani o Cezarze, ani o prawie rzymskiem, a więc również ani o Napoleonie, ani o jego kodeksie,—tak podobnie rzeczy się mają z każdą bitwą, w której ludzie potykają się na ostre, popychani przeciw sobie ręką głębokich a ukrytych interesów. Co prawda, gdyby Berthold Schwarz nie wynalazł prochu strzelniczego, sztuka wojenna, rozsiewająca dokoła tyle zniszczenia, pozostała-

by zawsze na stopie barbarzyńskiej bijatyki, lecz również nie zbudowanoby, dzięki minom prochowym, tunelu św. Gotarda; bez wielu poprzednich strzelanin prochem w celach bynajmniej nie pokojowych, owo użyteczne dzieło cywilizacyjne trzech narodów, wykonane za pośrednictwem prochu *spokojnego*, wcale a wcale nie przysłoby do skutku.

Gdy ten i ów poczciwiec „współczesny“ piorunuje przeciw wspomnieniu Napoleona jako zdobywcy krwawego bez żadnych dodatnich zasług cywilizacyjnych, ruszamy litościwie ramionami z powodu takiej małostkowości, która nawet nie rozumie tego, co papele. Skoro przecież daje się słyszeć taka gadanina, że korsykanin bił się wyłącznie dla siebie samego, jego zaś współzawodnicy za *sprawę*—tak zapewne Cezar za *swój* „Rzym,“ Cromwell za *swoję* „Anglię,“ Fryderyk za *swoje* „państwo,“ — to obłuda podobna musi z pewnością wywołać oburzenie. Organizm ludzki jest zawsze jeden i ten sam; jego sprężynę tworzy wiecznie samolubstwo, pospolite lub bohatersko-genialne, samolubstwo, tu i owdzie przerywane popędami altruistycznymi bądź miłosierdzia, bądź podziwu, bądź zapału. Psycholog nie znalazłby ani jednego, choćby najdrobniejszego rysu, który świadczyłby, że „ja“ Napoleona różniło się w czemkolwiek od *innich* demonów władzy. A przecież i on głosił później na Św. Helenie w słowach szumnych

oraz majestatycznych, iż posiadał częścią świadomy dar przedmiotowego poświęcania się dla całości, poświęcania, które również owi inni demoni władzy, według własnego zapewnienia, posiadali, lub udawali wobec świata, że posiadają.

Jeżeli istotnie chcemy zrozumieć dzieje, musimy przedewszystkiem je tak ścisnąć, aby wszystkie drobnostki odeszły na bok, a każdy wypadek odzyskał swoją właściwą miarę. Ustawicznym powtarzaniem oddawna znanych wypadków z życia Napoleona nie doszlibyśmy do celu. Na niewiele również przydałyby się świeże badania epizodów z jego zewnętrznej działalności. To wszystko jedynie maści prawdziwe poznanie, nie doprowadza zaś zgoła do niczego. Musimy zstąpić do wnętrza wulkanu, aby tam w tajemnym warsztacie podpatrzeć jego narzędzia oraz jego siły. Tej jaskini ognistej nie zdołasz zmierzyć ani barometrem, ani łokciem; z pewną czołobitnością należy zapamiętać jej rysy znamienne, aby potem również z czołobitnością je odtworzyć i odmalować, jak przystało wobec strasznie pięknego i rzadkiego kataklizmu przyrody, który swą wspaniałością widza orzeźwia, wyrывая się równocześnie z ciasnych i małostkowych szranek Poznawalnego.

GENIUSZ-WOJNY.

Wielki wódz, jakkolwiek pozornie nie działa dodatnio i twórczo, zawsze przecież należy do najskuteczniejszych cywilizatorów. Już sama jego osobistość, sam jego duch, rozsiewają dokoła cywilizację. Nietylko dzięki następstwom historyczno-politycznym, które sprowadza jego miecz,—następstwom, pośrednio oddziaływującym na rozwój całej ludzkości. Nietylko, jeżeli on walczy z bronią w rękę, na podobieństwo Napoleona, przeciw zbudziałemu porządkowi rzeczy, chociaż przy tej sposobności, jako łup sobie przynależny, żąda panowania nad światem. Lecz głównie, według słuszných słów Napoleona, „wódz musi posiadać ducha tudzież wzniosły charakter;“ i właśnie dumny wizerunek owej wzniosłości charakteru, oraz walk tego ostatniego przeciw przemocy miernot, kształci i oczyszcza światopogląd wszystkich następnych pokoleń w razie, gdy pod kątem właściwym widzenia poznają, co prawdziwe, a zarazem umieją z tego poznania

wyciągnąć korzyść odpowiednią. Taka tragedia upadku bohaterskiego prawdziwej wielkości wzrusza silniej, aniżeli losy sceniczne Macbetha i Leara, ponieważ przedstawia ona rzeczywistość istotną i szczerą ewangelię dążeń ludzkich. Działo się tak istotnie, prawdziwie, niezawodnie—ta pewność właśnie otrząsa i uwalnia umysł z powszedniości małostkowej.

Przedsięwzięliśmy odmalować człowieka, który z nizin nieznanych wspiał się na szczyty, w świetle słonecznem skąpane. Lecz nie w okresie zaślepienia ajaksowego, które zmąciło jego ducha, zwróci on naszą uwagę, lecz podczas biedy, powracającej jemu, posłannikowi losu, dawną bystrość. Rok 1814, kiedy to Napoleon, wrzucony z powrotem w granice dawnej Francyi, musiał niemal na noże walczyć o utrzymanie swego genialnego cesarstwa, nieśmiertelna *Campagne en France* odsłoni nam prawdziwą jego istotę.

Rok 1815—to już tylko zmartwychpowstanie epizodyczne. Z chwilą, gdy pierwsza czapka niedźwiedzia, pierwszy żołnierz pruski pojawił się na wyżynach Mont St. Jean, wówczas żadna więcej potęga ludzka nie mogła przeszkodzić, aby poprzez gryzący obłok dymu nie przebijała się już tylko jedna, ostatnia, poszarpana chorągiew z orłem zasmuconym u wierzchołka, chorągiew ostatnia, otoczona ostatnim czworobokiem starej gwardyi.

Wówczas tam sprawę stanowczo przegrano. W roku 1814 przecież gra między Napoleonem a losem była jeszcze prawie równą, mimo przygniatającą przewagę nieprzyjaciela.

Dopiero podczas tej wojny narodowej pokochali go francuzi naprawdę. Znaczną jednak część dowodów owego zapału wzruszającego zatarto starannie, aby raz na zawsze wszyscy mniemali, że Francya trwożliwie i obojętnie odbiegła swego największego męża. Zobaczymy, że takie mniemanie jest podrobionem, ponieważ i lud i wojsko aż do ostatnich chwil nie porzuciły swego wybrańca. Tylko najbliżsi mistrza wychowawcy bądź go zdradzili, bądź porzucili, co jest zawsze wiecznem przeznaczeniem każdego geniusza. Z roku 1814 można wyciągnąć naukę, jak nietylko jeden człowiek, geniusz, zdoła bronić się przeciw światu całemu niez mordowanie, niezachwianie, uporczywie, lecz również, co potrafi działać *lud*, *trzymający się wiernie swego władcy*.

„Tam on siedział, babko, tam on siedział!“ — brzmi refren wziętej piosnki Berangera. Owo wspomnienie bolesne lecz i drogie zarazem roku przełomowego dla każdego francuza natchnęło De-laroché'a i Meissoniera do stworzenia najświetniejszych obrazów.

Wybierając „1814“ za przedmiot naszych badań nad geniuszem, musimy, oczywiście, poszukać

geniusza przy pracy, musimy przypatrzeć się mu podczas wykonywania zawodowego zajęcia. A więc trzeba oceniać go ze stanowiska zasadniczego taktyki, trzeba porównywać dokumenta wojskowe. Spodziewamy się atoli, że i ogół szerszy, niewtajemniczony co prawda w umiejętności czysto wojskowe, z zajęciem przeczyta owe badania, podane nader przystępnie. Według zdania naszego, nie umiano dotychczas porządnie pisać dziejów wojennych; dziedzina to czekająca na karczunek. Zerwaliśmy przytem śmiało z oschłością opowiadania. Metoda, według której wyjaśniamy przebieg wojny, wpłynęła bardzo wiele na ożywienie pracy. Miasto bowiem w sposób ciężki a powolny kolejno zastanawiać się nad rozwojem i epizodami kampanii na każdym punkcie teatru wojny i wskutek tego wciąż skakać z miejsca na miejsce, od Napoleona do chwilowo samodzielnie dowodzących marszałków, potem do Blüchera, potem do Schwarzenberga, wreszcie do ich podkomendnych, przez co czytelnik niecierpliwi się, a zarazem gubi w drobnostkach, postąpiliśmy inaczej, całą bowiem walkę uosobiliśmy w głównym jej bohaterze. To znaczy: Od końca stycznia aż do początku kwietnia, od Brienne aż do Fontainebleau idziemy wyłącznie krok w krok za samym Napoleonem; wypadki, które działy się zdala od niego, odtwarzamy w takiej formie i w takim terminie, jak oraz kiedy musiały

one dojść do jego wiadomości. Dzięki temu stworzyliśmy niejako *dziennik* strategii napoleońskiej, a zarazem zmieniliśmy naszą historję w prawdziwy *romans wojenny* lub monolog dramatyczny bohatera.

W końcu zaś każdego rozdziału opowiadania bieżącego widnieje ocena działań ze stanowiska taktycznego, gdzie wyczerpująco rozpatrujemy wartość strategiczną rozporządzeń napoleońskich, dzięki czemu czytelnik z łatwością zapozna się z tajemnicami geniuszu imperatora. Na owem tle również odmalowaliśmy liczne poboczne lecz znamienne rysy, dotyczące osobistości wybitnych, rzuty oka wstecz na ich minioną działalność oraz czyny już dokonane, co wszystko tworzy pełny obraz wojskowy.

Dokładnie również sprawdzamy liczbę żołnierza obu stron, wykazy zabitych oraz rannych, listy zbiegów, gdyż dotychczasowe tego rodzaju obliczenia podrabiano umyślnie w zamiarze obniżenia wielkości Napoleona. My, sprawdzając źródła i francuzkie, i angielskie i niemieckie, dochodzimy po nitce do kłębka prawdy.

Przypatrując się każdemu ruchowi wojsk z osobna, przekonamy się, że, jak wszystko w życiu wzajemnie się dopełnia, korzyść razem ze szkodą, tak samo dzieje się w symbolu życia, na wojnie w razie, jeżeli prowadzi ją geniusz. Błyskawica,

która innych oślepia, geniuszowi służy za pochodnię, oświetlającą mu drogi, w ciemność spowite.

Przekonamy się również, jak to łatwo pomylić się w sądzie i nie docenić wielkich artystów w razie, gdy ich nie rozumiemy. W położeniu podobnem właśnie znajduje się największy na świecie mistrz wojny, Shakespeare miecza. Jak doświadczony generał jazdy zastosowuje swoje plany do danego terenu, który, przypuścmy, nie pozwala bądź-to na skupianie w jednym miejscu wielkiej ilości koni, bądź-to na natychmiastowe atakowanie nieprzyjaciela, — tak samo również i wódz naczelny musi zastosowywać swoje marsze i swoje ataki do przeróżnych okoliczności wewnętrznych.

Byłoby błędem stawianie na jednym i tym samym poziomie pierwszego przebłysku meteora „Bonaparte“ oraz ostatniego wspaniałego wybuchu wygasającego krateru w 1814 roku. Przeciwnie, ów pierwszy przeblysk należy do zjawisk chwilkowych, podczas gdy ten ostatni przyświeca trwale tudzież majestatycznie. „1814“ jest *wielką wojną*, o jakiej nie słyszano ani przedtem, ani potem, aż do dnia dzisiejszego. Zdaje się, że nie potrzebujemy zapewniać o naszej bezstronności. Jest to dla nas obojętnem, czy Napoleon dowodziłby wojskiem francuskim albo niemieckim! Warto jednak zapamiętać, iż nie obchodzą nas tutaj narodowości,

jeno geniusz, którego rozwój logiczny oraz działalność postanowiliśmy prawidłowo zbadać.

Chętnie, jako niemiec, pochwalilibyśmy szorstki tudzież energiczny sposób wojowania Blüchera i Gneisenau'a. Sumiennosc atoli zakazuje nam podziwiać takie waryactwa, jak marsz do Mery, marsz do Meaux, lub mrzonki, jak niewykonane, ku żalowi wielu, oskrzydlenie wroga pod Craonne i Laon. Zresztą ówczesnych wodzów armii sprzymierzonej tak dobrze ubezwładniała obecność Napoleona, jak i wszystkich jego poprzednich przeciwników. Jak niesłychanie ostro powstawano na generałów pruskich w 1806 roku! Słynny arcyksiążę Karol w 1809 r. sprawiał się nad Innem nie o wiele lepiej; również i głośny Wellington, który jeszcze w 1814 r. na półwyspie Pirenejskim tyle ujawniał bystrości, w 1815 r. popełniał błąd za błędem, skoro odczuł bezpośrednio przygniatający ciężar sławy napoleońskiej. Wielki wódz pobija przeciwnika samemi tylko oczyma, jeszcze przed bitwą, ponieważ całkiem dokładnie zna swoje zamiary tudzież swój cel, podczas gdy przeciwnik ze strachem czuje się od niego zależnym. Na wojnie więcej, aniżeli gdzieindziej, przejawia się wpływ hypnotyczny geniusza.



Z BRIENNE DO FONTAINEBLEAU.

BRIENNE.

Pierwszy brzask dnia rumieni wschodni skrawek widnokręgu.

Nawpół zmarznięta ziemia, rozdeptana tysiącami stóp, dudni odgłosem marszu nieskończenie długich kolumn wojska; zwolna wychylająca się nad ziemię kula ognista rzuca wokoło czerwonego światła płomień i zabarwia krwisto śnieg biały, jakgdyby zapowiadając na przyszłość smutne wypadki.

W dal rozchodzi się szum, gwar, wrzawa oraz krzyk wciąż przed siebie kroczącej piechoty, pociągów artyleryjskich, które utkwily w miejscu, truchtem śpieszącej konnicy.

Nad krajobrazem zimowym zwiesza się słońce zimowe, spowite w chmury, podobne do kuli krwawej. Od czasu do czasu zamieć śnieżna, rzucająca cień na ziemię lub rześisty deszcz mroźny. Gdyby przyszło do bitwy, zapalone lonty gasłyby ustawi-

cznie; sam śnieg już, którego grube płatki coraz gęściej spadają, zagasiłyby je swą wilgocia.

Ciemno-brunatne lasy Deruprecina z południowo-zachodniej strony wąż, łuskami zbrojnymi lśniący, wąż, którego ogon dosięga jeszcze Marne'y, błyszczący natomiast łeb już zniknął na wschodzie. Ten wąż szeleszczący i stalowy czyha na łup, który zgniótłby bez litości; wije się w celach morderczych, w chęci podejścia nieprzyjaciela. Słabemu biciu w bębny sygnałowe pałeczkami, spoczywającymi w zsiniałych od mrozu rękach, jeszcze nie wtórują okrzyki oddziałów kozackich. Konie co krok zanurzają swe kopyta w rozmięklej, gliniastej ziemi.

Samotny jeździec, któremu towarzyszy zaledwie kilku generałów, znajduje się przy przedniej straży. Co chwila doprawdy grozi mu niebezpieczeństwo skręcenia karku, gdyż przechodząc z truchtu w galop, to z galopu w jazdę bardzo powolną, siedzi on niedbale na grzbiecie białego arabszyka z głową opuszczoną na piersi. Lecz szlachetny rumak, jakby wiedział, kogo dźwiga, stąpa ostrożnie i stanowczo zarazem. Szary surdut oraz skrzydło kapełusza jeźdźca nasiąkły wilgocia deszczową, — deszcz bowiem ulewny spada gwałtownie na ową okolicę lesistą, mgłami okrytą i smaganą wiatrem wschodnim, pod naciskiem którego drzewa wierzchołkami niemal ziemię zamiatają.

Jeździec, zatopiony nieprzerwanie w myślach, nie zważając na otoczenie rzeczywiste, snuje sen przedziwny. Przebiega całe swoje życie ubiegłe aż po dzień dzisiejszy.

Most pod *Lodi*, most pod *Arcole*. Oba posłużyły za most kserksesowy, wiodący na podwoje Wschodu. *Pyramidy*, pustynia, Mahomet nowy na starym wielbłądzie. *Św. Bernard*, przyroda z marmurowem obliczem Meduzy. Potem *Marengo*, wschód wielkiej sławy.—Mgła poranna pod *Austerlitz*. Słońce, słońce! Rozbite wojska jak obóz z wozów Sennacheriba na jedno skinienie Pana! Przypatrzcie się słońcu pod *Austerlitz*! Mgła pod *Jeną*; chmury otaczają i duszą państwo Hohenzollernów. Dywan pod *Wagram*, rozesłany przez mameluków gwardyi dla bożka wojen, a zasłonięty przed słońcem południowem zestawionymi piramidami z bagnetów; obojętnie śpi on wśród huk armat, ze zwycięstwem w kieszeni. Wspaniała maszyna biurokratyczna, Berthier, w żółtym uniformie swej przybocznej gwardyi newszatel-skiej, zapisuje kolejno wydawane rozkazy, a markgraf badeński, adjutant marszałka Masseny, który go posłał z wiadomością o rozbiciu swojego korpusu oraz z prośbą błagalną o pomoc, odjeżdża właśnie, otrzymawszy odpowiedź: „Powiedz pan marszałkowi, że bitwa wygrana.“

Lecz znajduje się tam już i obraz odmienny: *Eylau*. Śnieg, śnieg, poorany czerwonymi bruzdami, podziurawiony kałużami krwi. Cały korpus Augereau'a, obsypywany krzyżowym ogniem karta-czy ruskiego środka i otumaniony zamiecią śnieżną, którą niekiedy rozrywa nagły błysk słońca: teraz znowu musi wytrzymać gwałtowny napór atakujących z karabinem, z bagnetem, z szablą w rękę. Augereau, dręczony febrą, kazał się przywiązać do konia: ranny; jego generałowie dywizyjni: zabici; jego korpus: zniszczony.

Śnieg, śnieg. Kobierzec z trupów, śniegiem pobielonych, okrywa ziemię. W środku cmentarz, cmentarz pod *Eylau*. Krew, krew. Soult i Lannes znikają wraz ze swemi orłami w kłębach śnieżnych, które, oslepiwszy ich, wprowadzają w sam środek nieprzyjaciół. Od czasu do czasu na skrzydłach wiatru zimowego dolatuje słaby odgłos komendy *En avant*, z pomocą której marszałkowie do nowych ataków prowadzą swoje pułki, brygady i dywizye. W *Eylau* samem straszliwa wrzawa wojenna; żołnierze zaciekle zdobywają domy, nikomu nie dając pardonu. Hola, oblubienica wiatru! Jazda pędzi z szybkością błyskawiczną nawprost w kierunku cmentarza, gdzie właśnie niski człowieczek opiera się o mur, trzymając prawicą, odzianą w rękawiczkę, lunetę. Wtem konie,

wyczerpane już i bezsilne, odmawiają posłuszeństwa; jazda się rozprasza, niby chmura, burzą brzemienią, którą samotny czarownik jednym spojrzaniem zażegnał i rozpędził. Dawałst z wyżyn rozpoczyna ogień piekielny; jaszczyki prochowe, wylatujące w powietrze, rozpraszają nacierające tłumy nieprzyjaciół. Bitwa nierozstrzygnięta.

Z poza obłoków poszarpanych spogląda księżyc smutny na zaśnieżone bagniska krwi, na zmarznięte rowy, gdzie zabici i ranni leżą na sobie i obok siebie, wzajemnie pomieszani, wszyscy tworząc jedną wielką gromadę charczącego nawozu dla sławy bohatera. Wszędzie śnieg, wszędzie krew, wszędzie poobalane krzyże cmentarne.

.

Szczyście przecież ustawicznie sprzyjało aż do Tylży, Erfurtu i Drezna w 1812 roku. A w jaki sposób przyszło? Noc samotna w karecie pocztowej; namiętność zazdrosna w sercu dla kokietki, niegrzeszącej rozsądkiem, z przeszłością dwuznaczną; generał spódniczkowy dzięki wpływowemu poparciu Józefiny—przyjęty w Nicei przez wojska nawpół zbuntowane, bose, niezadowolone, przez generałów zazdrosnych—co, tego karła nieuczesałego ośmielono się zrobić wodzem naczelnym Masseny i Augereau'a! To był początek *jego* czynów bohaterskich.

Tak, Fryderykowi Wielkiemu, urodzonemu w purpurze, przyszło daleko łatwiej walczyć z całą Europą, gdy rozpoczął swoją siedmioletnią symfonię sławy, w walturę pod Łowozycami, kiedy to sam już okrzyk: „Vivat Fridericus!“ wypłoszył kroatów z pozajmowanych przez nich winnic.

Wśród odgłosu piszczałek ruszyli naprzód grenadyerowie w śpiczastych, blachą obitych czapkach, każdy wyprostowany, jak gdyby istotnie kij połknał; oficerowie z metalowymi ryngrafami, wyciągając halabardy błyszczące wzdłuż frontu, aby ustawicznie równać szeregi. Kirasyerzy z czarnymi pancerzami na żółto-białym kaftanie skórzanym o czerwonym kołnierzu i dragoni w błękitnych kurtach o karmazynowych wyłogach umieli wybornie wykonywać ataki *en muraille*. Lecz i tu kres owej wspaniałości. Nawet konnej artylerji nie znano wówczas; po raz pierwszy wystąpiła ona dopiero pod Zorndorf.

Ha! cesarska, francuzka artylerja konna gwardyi w dołmanach błękitnych z czerwonymi sznurami na piersiach i w czapkach futrzanych z kołpakiem czerwonym! A grenadyerzy starej gwardyi z świecącymi białymi pasami i z piórami czerwonymi na czapkach niedźwiedzich, piórami, które w chmurach dymu niby wstęgami krwi jaskrawo znaczą ciemne ściany ich czworoboków. A czerwoni cesarscy strzelcy konni o attyli,

w sznury liczne zdobnej, tak wspaniali na paradach tuileryjskich, kędy oddawali cześć złotemu lampasowi skórzanych spodni swego dowódcy: wicekrólowi Eugeniuszowi, jako generałkownikowi wszystkich strzelców. A czerwoni holenderscy ułani gwardyi! A lansyerzy lekkokonni z karmazynowemi kitami przy kaszkietach, w spodniach czerwonych, z lancami o wesołych, biało-krwistych chorągiewkach!

To wszystko przecież przedstawiało inny, wspanialszy widok! A nadto to wszystko stworzono z niczego zupełnie z niczego!

Z sześćdziesięcioma szwadronami rzucił się Seydlitz na nieprzyjaciół, przeszedłszy Zaberngrund. O wieleż to świetniejszy obraz stworzył Murat pod Eylau i Friedlandem, gdy ośmdziesiąt szwadronów rozwinął jako straż przednią!

Armia, przepychu pełna, pełna majestatu! Dzięki temu właśnie zaślepiąca ona oczy ludów na niezliczonych przeglądach w Paryżu, Medyolanie, Schönbrunnie, Poczdamie i Madrycie, w chwili, gdy wśród tłumu marszałków o kołnierzach wyhaftowanych liśćmi złotemi, przepasanych szeroką wstęgą purpurową legii honorowej, i adjutantów w błękitnych mundurach z srebrnemi akselbantami, siedzących na czaprakach, wykrojonych ze skóry tygryziej, ukazywał się jeden, ku któremu wyłącznie obracały się oczy wszystkich: niski człowie-

czek w wytartym, szarym surducie, oraz w nie-
dbale nasuniętym na czoło kapeluszu staroświe-
ckim.

Lecz ta wielka armia, ta sławna na świat
cały moc kserksesowa współczesnego Cezara—
żyje już tylko w wspomnieniu, żyje już tylko
z nazwiska. Jej oficerowie oraz jej kadry osta-
ły się; zastępy weteranów rozpadły się w proch
nad Dnieprem i nad Tagiem; rekruci nieuczeni
maszerują w ich miejsce. Takich rekrutów aż
z trzech lat pochłonęła wojna niemiecka — a co
pozostaje teraz?

Cesarz rzucił poza siebie spojrzenie nawpół
pogardliwe. Czy jest armią owa garstka, ledwie
tak liczna, jak jeden korpus marszałkowski za sło-
necznych czasów cesarstwa? I z jej to pomocą
miałoby się pobić sprzymierzoną Europę pod bro-
nią, Europę, która, być może, zaprzysięgła sobie
w Paryżu założyć swoje kwaterę?

Zbliżono się już do krańców lasu Deru, aby
wedle powziętego planu, wypaść z tajnych dróg boru
i nagle zaskoczyć Blüchera. Ani jeden patrol nie-
przyjacielski nie krzyczy: Werda! Tylko szum
wiatru, skaczącego po wierzchołkach drzew, opo-
wiada o tych godzinach, wzbudzających podziw,
kiedy to duch ludzki patrzy prosto w niebo. Lecz
teraz nikt na niego nie zważa.

Ściemnia się.

Zapalono pochodnie celem oświecenia pochodu; z głębi lasu wysuwa się pasmo, znaczone ognikami jasnemi. Zaprzęgi artyleryjskie skaczą ciężko po korzeniach drzew; długi ogon jeźdźców, których konie ślizgają się po błocie gęstem, skupia się i ścieśnia. Piechota, zmęczona śmiertelnie, ze zniechęceniem powłóczy nogami. Płatki śniegu padają na kaszkiety, padają na pochodnie, które pobłyskują wówczas czerwono, krwisto. Wyżsi oficerowie sztabowi, zatuliwszy się w płaszcze, kiwają się na swych wierzchowcach; z poza kołnierzy wyglądają niezadowolone, zgryzione oblicza.

I jakieś cienie posępne, pochmurne, nadciągają z przeszłości, cichej jak cmentarz.

Aspern!

Piękny to widok, gdy promienie słoneczne ślizgają się po białych listkach brzoskwiniowego kwiecia i po fruujących motylach białych. Lecz jeszcze piękniejszym dla oka wodza jest deszcz granatów, spadających na biało umundurowane zastępy austriackie.

Szturm marszałka Lannes wstrząsa środkiem armii arcyksięcia Karola i wygina w tył jego linię bojową. Korzystając z takiej sposobności, nakazuje cesarz ogólny wielki atak konnicy. Mimo ogromnych wysiłków kawaleryi austriackiej, aby odeprzeć ów ruch, marszałek Bessières uzyskuje jednak przewagę: francuzcy jeźdźcy wypadli obecnie



na piechotę. Słońce odbija się w klingach stalowych i złotym mosiądzu hełmów kirasyerskich, nakrytych czarnymi ogonami końskimi. Chorągwie z orłami powiewają w powietrzu; każdy puls wybija takt *en avant*. Słońce Hiszpanii opaliło owe szwadrony, które pragną teraz swą spalenizną krwią obmyć. Wyciągnawszy przed siebie długie miecze i puściwszy cugle, pędzą one naprzód bez tchu, sapiąc głośno, poprzez zagony, poprzez rzysko.

Lecz tłumy, z kilku stron nadbiegające, bynajmniej nie zatrwożyły arcyksięcia. Sam własnoręcznie chwytając sztandar batalionu grenadyerów węgierskich, których wązkie, niebieskie spodnie trykotowe poruszają się naprzód i prosto z dokładnością maszyny. W spójni ściślej trzyma on swoje szeregi. Oficerowie skoczyli przed front, aby zagrzać ludzi dowodem męstwa. Cisza śmiertelna zapanowała na owym całym zagięciu linii bojowej, podczas gdy kirysnicy, wpadając w coraz to widoczniejsze osłupienie, nerwowo zatapiali ostrogi w boki wierzchowców. Galop staje się z każdą chwilą wolniejszym i niejako bojaźliwszym; kilka szwadronów jedzie już tylko truchtem, chciałoby się nawet zatrzymać. Każdy jeździec bowiem przeczuwa, jak śmiertelnie straszne powitanie nastąpi za chwilę; to też napróżno wstrząsa powietrzem szorstkie *En avant* ich kapitanów, powietrze,

i tak już drżące od chrzęstu tylu zbroi i od rzenia parskającego tylu rumaków, podczas gdy matka-ziemia jęczy i huczy od uderzenia podków, a słońce przebłyskuje w tych wszystkich napierśnikach lśniących. Niby prądem elektrycznym dotknięte, milkną wszystkie pulsy z obawy przed starciem w sekundzie najbliższej. Wędzidła chłopoczące i podskakujące siodła sprawiają łoskot, podobny do odgłosu nadciągającej chmury gradowej. Teraz przecież spadają inne ziarna — potop zmieszanych razem kartaczy, salwy jeneralne, ponure i potężne salwy działowe i karabinowe, wypalone z krwią zimną na odległość bardzo bliską. Zamierzony skutek osiągnięto. Atak odparto na wszystkich punktach. Błonie rozległe zasłali jeźdźcy bądź zabici, bądź ranni, zasłaly konie, nieżywe i poszarpane. Naprózno trąby nie przestają huczeć, wzywając do ataku; naprózno bohaterscy oficerowie podprowadzają odosobnione hufce, wysunięte naprzód, aż pod wyloty nabitych armat. Ogluszające okrzyki radości uporczywie ścigają cofającego się nieprzyjaciela, który kłębi się bezradnie. Pierwszy szereg, niezdolny ani do ataku, ani do ucieczki, złamał drugi i utworzył razem z nim jakąś gromadę niepomiernie zwikłaną. Z łatwością może obecnie armia austriacka prowadzić dalej zaczęte natarcie. Rozpoczyna je poprzednio odparta kawaleria Lichtensteina; piechota po-

stępuje w jej ślady; straszliwy ogień działowy brzmi ponownie, a nawet się powiększa. Przed pogonią za uciekającymi kirasyerami musi nawet sam Napoleon schronić się do wnętrza czworoboku gwardyi; inaczej cały ten potok porwałby go razem ze sobą. Jakiegoś generała z przybocznego orszaku i koniuszego cesarzowej Józefiny wzięto do niewoli niemal tuż u jego boku.

Po ucieczce starych kirysników francuzkich, których sztandary otaczał stale nimbus zwycięstwa, poczyną się również mieszać i cofać piechota Lannes'a. Okrzyk boleści przebiega jej szeregi: marszałek padł przed chwilą, raniony śmiertelnie. *Ta* kula trafiła również i Napoleona! Lannes, jego Roland, jego stary towarzysz broni, kamrat z pod jednego namiotu, który jeszcze teraz śmiał go tykać, podpora najsilniejsza jego potęgi! Lecz obecnie brak czasu na żałobę! Oko wodza ściga jeszcze stopniowe przemiany zbrojnego tańca. Artylerya rezerwowa naprzód! Tytański obłok dymu zasłania czoło wojska francuzkiego, obłok, z którego ustawicznie piorun za piorunem wypada na nieprzyjaciela, zbliżającego się groźnie w masach, skupionych koło sztandarów czarno-zółtych. Z Aspernu i Esslingu coraz to szybciej witają go strumienie kartaczów, lecz mimo to atak powtarza się za atakiem. Wojsko francuzkie, spowite w pas

ognisty, skąpane w płomieniach, porusza się to na przód, to w tył.

Wreszcie wszystko miesza się razem; wzrok już nie zdoła sięgnąć dalej. Jeszcze raz ukazują się jaskrawo ozłoczone słońcem wieczornem mury Aspernu i Esslingu; wnet atoli skrywają je gęste obłoki dymu.

Nagle dreszcz wstrząsa całą linią francuzką: most nad Dunajem, prowadzący do Lobau, z kąd miały właśnie wyruszyć na plac boju rezerwy Napoleona, przerwany; brak posiłków, brak nabojów.

Wtedy wybucha przerażenie okrutne; trąbki sygnałowe francuzkie nie milkną ani na chwilę. Jakkolwiek gallowie popisują się odwagą na polu bitwy—wszyscy wiedzą o tem w owej Europie, którą przebiegły ich orły!—to przecież nader łatwo tracą oni ducha w chwili, gdy przypadek nieszczęsny rozsieje strach gwałtowny. To już leży w ich usposobieniu, tego nie można już zmienić!

Nadto taki zły obrót rzeczy jeszcze pogorsza, jak zwykle, lwia odwaga Massény. Otchłań zguby przed oczyma; Dunaj z tyłu; a przecież woli on z bronią w ręku poledz, aniżeli ustąpić choćby na krok jeden. Całe wybrzeże oraz lesista wyspa Lobau trzęsie się teraz od ponownych salw karabinowych. Bohatersko zakrywa on odwrót, pierwszy odwrót wielkiej armii, aby wreszcie na podobieństwo Davousta osiągnąć tytuł książęcy.

Po ogniu działowym, który targał fale powietrzne i wstrząsał ziemią tak gwałtownie, iż czuli to wybornie sami walczący, następuje zwolna spokój stopniowy. Już tylko trupy bezliczne świadczą o szale burzy bojowej i o zniszczeniu, przez nią sprawionem. Od czasu do czasu tylko zagrzmi jeszcze jakaś salwa, padnie jakiś strzał; nakoniec cichnie wszystko—wszędzie. Tak, ostatecznie cisza, cisza zupełna, zwiesza się nad korpusem Massény. Ostatnie działa zaprzężono; pędzą one szybko po moście, od biedy znowu złatanym; wzdłuż frontu armii nieprzyjacielskiej również już się nie biela obłoczki dymu. Na brzegach wyspy Lobau migocze się tłum uciekający, tłum różnobarwny, z rozmaitych gatunków broni, z rozmaitych pułków zmieszany. Zwycięzko powiewają sztandary czarno-żółte; orły francuzkie, zgniecione, podruzgotane, krwawym pyłem kłęski okryte. Wojsko cesarskie zmęczone śmiertelnie, w nieporządku spoczywa u stóp karabinów, złożonych w kozły.

Napoleon, który w czólnie odbił od brzegu koło chat przewoźników w Aspern, sam jeden z śmiertelnie rannym, wziętym do niewoli marszałkiem polnym („*Comment va, général?*“ „*Très bien, car je vous vois trembler!*“), przykucał na pniaku, oświeconym promieniami księżyca, i z pewną zaciekłością uderzał szpicrutą o ziemię. Jego kohorty mijały go, mrużąc: „Czy to już twój koniec,

mały kapralu?“ Co za spojrzenia! Jak się zdaje, są oni zniechęceni! Lannes zabity, a ostatniemi jego słowy była przestroga mrukliwa dla mistrza;— pierwsza bitwa przegrana... Napoleon płacze.

.

W obozie wielkiej armii nad brzegami Moskwy wre życie. Złota kopuła Kremla zapala w oczach każdego płomienie pożądliwości dzikiej.

Do szeregu! Wszyscy chwytają za broń.

Huk bębnow i oddźwięk trąb. Po stronie przeciwnej, u nieprzyjaciół, gdzie rankiem śpiewały chóry, panuje teraz milczenie głębokie, nieruchome oczekiwanie, zamiar uroczysty i niezłomny zasłonięcia własną pierśią oraz życiem własnem Moskwy, miasta świętego, przed obcymi najezdnikami. Rozkazy krzyżują się w powietrzu i rozpoczyna się zwawa utarczka.

Zapalone nadzieją zwycięstwa, strzelające szeregi Napoleona rozszerzają się celem otoczenia silnych, spoistych oddziałów nieprzyjacielskich. Lecz do prawdziwych ataków jeszcze daleko. Od czoła szturmują Davoust ustawicznie okopy, które usypano poprzedniego wieczoru; Compans zdobywa ich środek. Nieprzyjaciel przecież posiada hart iście stalowy; świeży tedy atak gwałtowny rozbija w proch pierwsze zwycięzkie hufce Davousta; nie-

dobitki chronią się pod opiekę rezerw. Lecz wnet rozwijają się nowe zastępy, celem przełamania stanowczego centrum Kutuzowa. Wszyscy dobro-
sze wybijają *pas de charge*; oficerowie stają przed frontem z wyciągniętymi szpadami; kolumny, ile ich tylko jest, rzucają się naprzód. Początek też bardzo dobry. Lecz wnet szeregi atakujące, prze-
trzebione garścią salw, wymierzanych z zimną krwią, osłupiały i, zmyliwszy porządek, odskoczyły w tył. Na lewem skrzydle wicekról Eugeniusz wyteża wszystkie siły, aby przebyć Kołodzę i wy-
rwać nieprzyjacielowi wściekle bronione Borodino. Prawe skrzydło zagraża znowu bokowi Kutuzowa, korzystając umiejętnie z znajdującego się tam lasu. Naprzeciwko Semenowskoje występuje Ney do ataku z rozwiniętymi sztandarami, wśród odgłosu muzyki. Poprzedzają go liczne baterye artyleryi; hufce jazdy Murata czekają jeno skinienia. Nagle i niespodziewanie skoczyły do ataku szeregi nie-
przyjacielskie z grzmiącym „hura!“ na ustach— i w jednej chwili spędzają francuzów z pozycyi, którą oni wśród ofiar niezliczonych zdobywali krok za krokiem. Lecz Davoust i Ney nie pozwolą sobie wyrzucić czegoś podobnego bezkarnie. Z wściekłością rozpoczynają szturm ponowny; strzały kartaczowe, wymierzone na bliską odległość, pękotem kładą nieprzyjaciół. Mimo to działa tych ostatnich ryczą nieprzerwanie; mimo to podejmują oni now

walkę równie śmiało, jak i francuzi, uprzywilejowani dzierzawcy sławy. Piechota nieprzyjacielska podtrzymuje ogień karabinowy wszędzie, gdzie już artylerya musiała ustąpić z powodu zbyt małych, zbyt krótkich odległości. Jeszcze nie odbiegł jej spokój; jeszcze odpiera ona francuzów, chciwych łupu, choć odpór grozi zniszczeniem zupełnem.

Nieprzyjacielskie stanowiska przecież już zagrożone. Wprawdzie proch i kule nie mogą zniszczyć tych zastępów, twardych jak żelazo. Oślepienie, zagłuszone wrzawą i krwią, myślą one tylko, jakby zabijać i jakby umrzeć. Napoleon oburzony, że do tej pory prawie żadnych nie odniósł korzyści, Napoleon, który, bądź opierał się o stok szanca Szewardino, bądź też siadał na bębnie grenadyerskim, nakazuje atak ponowny na całej linii.

Lecz wciąż jeszcze każdy szturm odskakuje z niczem od tego nieprzełamanego wału. A baterye nieprzyjacielskie, ile razy tylko widzą przed sobą przestrzeń odpowiednią, natychmiast rozpoczynają świeży, gwałtowny ogień, któremu przecież odpowiada artylerya Davousta, bardziej wprawna, bardziej pewna i celniejsza. Z świeżą wściekłością rozpalila się rzeź. Davoust oraz Ney jeszcze raz nacierają zapalczywie, na nic się nie oglądając. Lecz nieprzyjaciele, zwarci w gęste, nieruchome kolumny, stoją niby mur; trzeba te mury żyjące wystrzelać, bo inaczej nie ruszą się z miejsca.

Wtem wypada wreszcie całą masą Murat, odziany w zielony surdut aksamitny, podnosząc się na wyłożonem siodle mameluckiem, wskazując kierunek szeroką, krzywą szablą turecką; kita z piór czaplich u jego beretu aksamitnego zgnieciona i obryzgana krwią. Sto szwadronów, puściwszy cugle, leci naprzód, niby wyrzucona celnie kula armatnia. Kirasyerzy oraz huzarzy nieprzyjacielscy mężnie, spokojnie wyjeżdżają na ich spotkanie, lecz potok wzburzony porywa ich ze sobą, przełamuje i rozprasza. To, co uniknęło piki, tudzież miecza, które obalają wszystko napotkane na drodze, unoszą teraz konie z pokrwawionemi od ostróg bokami. Obecnie kolej na ustawiające się czworoboki. Jeden, drugi rozbito i wycięto; ten się chwieje, tamten łamie, inny wytrzymuje atak. Ta i owa kolumna nieprzyjacielska zmiażdżona gradem kul armatnich; ataki z białą bronią nieskuteczne. Wciąż jeszcze ich linia bojowa opiera się kulom i bagnetom francuzkich zastępów, jak również przeciw pałaszom, oraz kopytom szwadronów Murata. Wtem nagle, wśród oddziałów francuzkich podniosły się w górę okrzyki zwycięstwa. Co się stało? Kirasyerzy sascy, dostawszy się przypadkiem za wielki szaniec nieprzyjacielski, wdarli się do jego wnętrza przez tylną bramę i już są koło palisad oraz w rowach. W sekundę później, nim nieprzyjaciel zaskoczony otrząsnął się z osłupienia, już działa

jego zamilkły. Powstaje kąpiel krwawa. Całe bataliony piechoty wycięte; tylko ten i ów uzyskuje pardon. Zwycięstwo! wytrąbiają obecnie wszystkie fanfary. Szwadrony Murata francuzkie, nadreńskie oraz inne zaciekle wdzierają się w każdą lukę. Zwycięstwo przechyla się na stronę orłów francuzkich; nieustannie jazda zalewa szanice. Okopy i wsie, przed któremi leżą całe pułki, zasypane kulami żelaznymi, otoczone i zdobyte przez piechotę Ney'a, Davousta oraz wicekróla. A teraz ostatecznie dobyto wnętrza. Słońce wieczorne zachodzi, purpurowe rzucając promienie na krwawe polowisko; wciąż dalej i dalej posuwa się potok wzburzony, wszystko zalewając i wszystko unosząc. Gwardya nieprzyjacielska posuwa się naprzód celem przyjscia z pomocą, i już, już prawie dosięgła swych towarzyszków broni z pod zwykłych znaków. Lecz i ją zaatakowano ze wszystkich stron i zmiażdżono niesłychanie. Równocześnie artylerya francuzka, podjechawszy nader blisko, sieje z armat śmierć, sieje zniszczenie. Każda siła ludzka ma swoje granice: tego ostatniego człowiek już znieść nie zdoła. Wreszcie więc zastępy nieprzyjacielskie, poszarpane straszliwie, ustępują. Mimo jednak poniesionej klęski olbrzymiej, zachowują one prześliczny porządek. Murat musiał zadowolnić się braniem w jasyr maruderów i porzuconych armat. Ręce już opadają od ciągłego wymachiwania

szablą, tudzież kłócia lancą. Chwilami zacięte potyczki tu i owdzie powtarzają się podczas pogoni. Nieprzyjacielem, pędzeni z jednego stanowiska na drugie, bez przestanku zatrzymują się i chcą powracać. Francuzi, sami poniósłszy niezwykle straty, sami osłabieni, nie umieją zadać im klęski stanowczej. Pod kopyta pędzących rumaków wszędzie dostają się skąpane we krwi dziesiątki tysięcy rannych, którzy gdzieś tam pozaczolgowali się do rowów i jam, aby tylko uniknąć ciężkich kół armatnich, z trzaskiem przesuwających się i gniotących owe stopy ciał. Przed okopami leżą okopy z trupów; w rzeczkach i strumieniach pełno rannych, którzy się tam zawlekli; między nimi widnieją ścierwa końskie. Bagniska krwi powydrażały zwilgotniałą ziemię.

Wojsko Napoleona wchodzi do miasta, lecz Moskwa ginie w płomieniach...

A teraz, co następuje? Kry Berezyny, z hukiem rozbijające się o pale mostowe, — trupy, tworzące brzeg istny rwącej rzeki, — nagie lasy sosnowe, z kądem wychylają się śpiczaste czapki nieprzyjacielskiej jazdy nieregularnej i piki kozackie, ostro odrzynające się od szarego widnokregu, — łachmanami okryte, głodem i zimnem ubezwładnione resztki ongi pułków dumnych, często zaledwie garstka stu ludzi, zgromadzonych około sztandaru, — kirasyerzy i oficerowie sztabowi, spieszeni i uzbrojeni karabinem,

który ledwo trzymają dłonie przeziębnięte,—chaos wozów—i to wszystko związane w kłęb około jedynego mostu, uginającego się pod ciężarem przewróconych powózek i dział, zasypywanych granatami nieprzyjacielskimi. Artylerya wpada w ów wir i rozgniata pod swojemi kołami szprychowemi tysiące, których ciała, dreszczem śmiertelnym owładnięte, wnet pokrywa z wrzaskiem niesłychanym tłum świeżo nadbiegły. Nogi ślizgają się po zimnym lodzie zmarzniętej krwi. Tłumy ludzi, posuwające się naprzód wśród wrzawy złowróżbnej, toną w falach Berezyny. Noc zapada, noc, rozjaśniona śniegiem lśniącym tudzież błyskawicami wystrzałów. Most ogarniają płomienie; kruki kraczące i wilki śpiewają pieśni żałobne nad wielką armią.

.

Słońce wznosi się wyżej, odbijając w wyciszczonym rynsztunku bojowym. Wzgórze i płaszczyna, pokryte stałą wojowników, błyszczą w sposób czarodziejsko piękny. Na pola *Lipska* napływa masami trzysta tysięcy żołnierzy; gdzie okiem sięgniesz, tłumy czernieją. Huk bębnow miesza się z trąb oddźwiękiem. Rankiem wzywały one do broni; teraz, koło południa, drżą wyczekiwaniem gorączkowem mordy oraz śmierci. I wnet ich odgłosy, ich dźwięki giną, zduszone hukami ka-

rabinów. Tylko niekiedy ponad ów huk wyleci przytłumiony jęk trąbki, niby kula zbłąkana.

Kanonada bezprzykładna szaleje na całej linii; już nie zdołasz nadal rozróżnić pojedynczych wystrzałów armatnich. Wszędzie przygotowania do ataku. Niebezpieczeństwo widoczne, jak na dłoni! Każdy już przyszedł do przekonania, że ta bitwa ludów jest walką o życie i śmierć. Niebawem salwy karabinowe zagłuszyły huk artylerii obu stron. Prusacy pod Probstheidą już nie strzelają więcej, jeno z bagnetem w rękę rzucają się na bataliony Victora, które utworzyły według francuzkiego systemu bojowego istną cytadelę, nastroszoną orężem i przeładowaną armatami, skierowanemi wśród szeregów na wszystkie strony.

Atak, wymierzony przeciw Victorowi, odrzuca go na potężną przestrzeń w tył. Lecz natychmiast wyteża on wszystkie siły celem odzyskania straconej pozycyi. Błyskawicznie prędko utworzono kolumny szturmowe i rzucono się na bok przeciwnika, witanego od czoła ogniem piekielnym. Dziesięć razy odparci, rzucają się prusacy, a poczęści i sprzymierzeńcy, po raz jedenasty na zwarte zastępy Victora, teraz atoli również nie zdołali ich przełamać. Bez przerwy słyhać marsz jeneralny. Nieustannie świszcza kule; rozpryskuje się wokoło mózg; podrywane członki tudzież odłamki granatów rozlatują się na wszystkie strony. Godzina za godziną

spływa nazaciętej walce. Tak samo pod Dölitz, pod Stötteritz, pod Schönefeld. Czestokroć nieprzyjaciela odparto tak potężnie, że po szybkim odwrócie zatrzymuje się dopiero w dość wielkiej odległości. Lecz ilekroć razy francuzi, chcąc wyzyskać korzyści odniesione, wypadają z wiosek, stale niemal natychmiast muszą zawracać, miażdżeni potopem wściekłym kartaczów i hufcami liczebnie silniejszej konnicy. To też po chwilowych przestankach, po wzajemnem przypatrywaniu się sobie, zapasy rozpoczynają się na nowo. Obie strony biorą się do bagnatów; prusacy ustawicznie wdzierają się do Probstheidy poprzez prawdziwe góry trupów. Obie strony, rozpalone chęcią zemsty, wzajemnie przecinają sobie odwrót. Już nie wrogowie polityczni, lecz nieprzyjaciele osobiści biją się ze sobą; niby węże jadowite chwytają się wzajemnie, rozdzierając zębami, nawykłemi do mordu. Wciąż nowe masy nieprzyjacielskie wstępują na plac boju, jak gdyby wyrastały z trupów, i zastępują bataliony bardziej uszczuplone, bardziej nawiedzone śmiercią.

Po każdym ataku odpartym natychmiast następuje świeży; żołnierz cofa się, zwrócony do nieprzyjaciela pierśią i czołem. Mimo że tysiące leży w Probstheidzie pod kolbą i bagnetem, w niczyich piersiach iskra męztwa nie gaśnie. Stoi się, walczy i pada z brwią ściągniętą, zębami zaciśnię-

czności,—ogień wzmagą się, mimo to przecież nie posuwa naprzód. Kolumny austriackie, oślepięne chmurami gęstymi dymu, kroczące wśród pól, krzakami zarosłych, kędy wszędzie poukrywali się strzelcy celni, często wybierają mylne punkty do ataku i lecą wprost przed siebie na ślepo. Woltyżerowie gwardyi przechodzą wbród gęste bagniska, otaczają boki oraz tyły austriaków, czolgają się od krzaku do krzaku i z pewnych kryjówek wysyłają gońców ołowianych, którzy z świstem szyderczym wszystko kładą pokotem, co tylko na drodze napotykają. Te szerszenie dokuczliwe, a zarazem długi front artyleryi, która pośpiesznie zajęwszy łąki connewitzkie, rozpoczęła siać na wszystkie strony piorunami,— w mgnieniu oka osłabiły dzielnie przez długi czas prowadzony ogień austriaków. osłabiły, a potem nim zachwiały. Prawe skrzydło i środek zarazem zwycięzko się utrzymały na swych stanowiskach.

Naprzeciwko Stötteritz nieprzyjaciel wysunął swoje baterye, a równocześnie ku ich obronie i rozciągnięte szyki jazdy, z których przecież artylerya rezerwowa Davousta i Sorbiera wyrывa co strzał gromady koni i ludzi. Jeźdźcy Pahlena muszą tam ustawicznie *szlusować* swe szeregi na trupach towarzyszków. I tutaj również walka się zrównoważyła.

Lecz pod Schönefeld z chwilą każdą topnieją zastępy francuzkie. Straszliwa liczba dział, rozwinęta tam w półkole przez sprzymierzonych, niemal zdmuchuje z pola bitwy zwarte kolumny nieprzyjacielskie. Za pośrednictwem grotów isticie piekielnych sprzymierzeni wypłaszają francuzów z ich kryjówek, niby szpaków z pól zbożem okrytych; takiemu szalonemu potokowi kul nie oparliby się nawet żołnierze ze stali wykuci. Wśród grzmiących okrzyków „Hurra!“ i „Naprzód!“ Blücher i Bülow, poprzez przełęcz wyżyn niewielkich nad brzegami Parthy, przyciskają zgniecione i słabe korpusy Marmonta tudzież Ney'a do bram Lipska, gdzie jednak te ostatnie natychmiast zaczynają się dzielnie bronić w domach i ogrodach. Lecz tylko noc zdołała zatrzymać takim zapałem przejęte szyki, jak pruskie. Ich skrzydła ciemne opadają na pobojuwisko, na ruiny wiosek. Przez cały dzień miłe, wesołe słońce jesienne złociło łany urodzajne; tysiąc dział głosem żelaznym druzgotało każdą chmurę, zwieszającą się nad dachami Lipska; przejrzyste, błękitnawe powietrze oblewało ów huczący orkan bitwy. A teraz tylko noc zmusiła nieprzyjaciela po stronie północnej broń postawić u nogi.

Jak 16-go pod Wachau atak jazdy Murata wyszumiał bezskutecznie, tak dzisiaj znowu przeciwnie spełził na niczem gwałtowny szturm Schwar-

zenberga. Przybywa goniec do głównej kwatery na Thonbergu z wiadomością, że brakuje amunicyi armatniej i karabinowej. Działa, zanieczyszczone lub też rozgrzane niemal aż do pęknięcia, podtrzymują już tylko ogień słaby i powolny. Huczą ostatnie strzały tyralierskie; w tylnych kolumnach składają karabiny w kozły, aby po zmęczeniu śmiertelnem nabrać sił nowych. Jeźdźcy zsiadają z koni; zmordowane wierzchowce słaniają się na nogach. Wreszcie ciemność nocna nakazuje milczenie ostateczne działom; cisza trwożąca rozciąga się nad polem, krwią zroszonym. Niezliczone ognie strażnicze migoczą błyszcząco na tle ciemnego widnokregu. Koło płomieniste otacza miasto; słupy ogniowe, niby drogowskazy, podobne do ogni, palących się niegdyś nad Morzem Czerwonem, gorzeją, podnosząc się ku stropowi niebieskiemu. Księżyc wshodzi i wśród jego światła płowego dyktuje on, niegdyś niezwyciężony, spokojnie i poważnie rozkazy do odwrotu. Usiadłszy na drewnianym stołeczku przy ognisku, mając za plecami wiatrak kulami potrzaskany, zasypia na krótko; rękawy jego szarego palta spadły niedbale na dół; głowa pochyliła się na piersi; noga, odziana butem z ostrogą, grzebie w popiele tłącego się i dymiącego ognia obozowego. Budzi się i rzuca naokoło siebie bystre, zdziwione spojrzenie. Kula armatnia wpada w ognisko i gasi je zupełnie. Czyż i szczęście mę-

za opatrnościowego miałoby w podobny sposób zagasnąć? W oddali widnieje jego sztab, milczący ponuro. Wstaje, wsiada na konia i jedzie powoli, niedbale, do Lipska... poprzez Elsterę... ku Renowi.

.

I teraz również otrząsa się cesarz ze swoich marzeń i spogląda naokoło siebie. Zatrzymuje się przy jakimś drogowskazie: *Droga do Brienne!*— Oto wyciągnięty palec losu. *Do Brienne; zkąd wyszedł, tam też i powrócił!* A wojska węzłem długim mijają go z szumem, wychodząc z lasu na drogę do Brienne.

Tam ongi kadet ubogi ślęczał nad książkami, samotny, opuszczony. Ztamtąd pisał on do domu, że woli raczej zostać rzemieślnikiem i z jaskiń wyspy przysłuchiwać się szumowi wiatru morskiego, aniżeli pozwolić głupim szlachetkom, aby nim pomiatali. Także i jego wspaniały kolega szkolny, pan de Marmont, poznaje je znowu, to miejsce niezwykle, gdzie największy ze wszystkich mistrzów wojny w rządowej szkole wojskowej uczył się wcale nietęgo i uchodził za mierną głowę. Tak, tak, obecni marszałkowie, Marmont książę Raguzy, Victor książę de Belluno, Ney książę Moskwy, Oudinot książę Reggio, Berthier książę newszatel-ski (szef wielkiego sztabu jeneralnego), stary Le-

febvre księżę Gdańska (bez komendy w orszaku, oddany do dyspozycji) — wszyscy przypomnieli sobie dni, kiedy to *oni* niczem nie byli, dlatego, że *on* jeszcze nie był niczem!

I wóz losu toczy się dalej głośno na drodze ku Brienne.

III.

Sprzymierzeni, przeszedłszy Ren w dniu 1 stycznia, doszli do dnia 22-go t. m. właściwie aż do Nancy (Blücher) i do Langres (generalissimus Schwarzenberg oraz wielka kwatera główna trzech sprzymierzonych monarchów). Fortec nie oblegano zbyt natarczywie; Wrede pozostawił w Alzacyi 20,000 bawarów tudzież austryaków; pierwszy zaś korpus Langerona stał przed Moguncyą aż do połowy lutego, prócz piechoty Olsuwieffa (5,700 ludzi) i jazdy Korffa (2,000 koni) ¹⁾, które już połączyły się z Blücherem. Korpus Kleista (20,000?) dopiero pod koniec stycznia przeszedł granicę. Oba

¹⁾ Według innych źródeł Korff, którego Beitzke ocenia na 4,000 koni, połączył się z Blücherem dopiero w połowie lutego.

korpusy Bülowa i Winzingerodego (początkowo 66,000), zajęte w Holandyi, miały w lutym połączyć się z Blücherem, co przecież stało się dopiero z początkiem marca, w sile 43,000 ludzi. Szósty tudzież ósmy niemieckie korpusy związkowe, każdy w sile 13,000 ludzi, tutaj nie wystąpiły na linię bojową, lecz wraz z innemi korpusami odeszły później do armii *południowej* przeciwko Augereau (kwatery główna w Lyonie), gdzie na początek rozpoczęła akcyę wojenną wyłącznie tylko dywizya Bubny, 10,000 ludzi, pod Genewą. Dopiero na luty oczekiwano posiłków w liczbie 20,000 żołnierza (Prohaska i Doring).

Wszystko, co *w pierwszej linii* stało naprzeciwko cesarza, rozciągnęło się w dniu 25 stycznia na przestrzeni czterdziestu mil niemieckich i po największej części z powodu ostrej pory roku znajdowało się na kwaterach. A mianowicie, zaczynając od lewego skrzydła:

✶ Dywizya Maurycego Lichtensteina: 10,000 pod Auxerre nad Yonne.

✶ Korpus Colloreda: 16,000 pod Chatillon-sur-Seine.

✶ Austryacki korpus rezerwowy: 18,000 pod Dijon.

✶ Korpus Giulay'a i korpus wirtemberski: 30,000 pod Bar nad Aube.

3) Korpus Alojzego Lichtensteina: 13,000 przed Besançon.

2) Gwardya pruska i sprzymierzonych: 38,000 pod Langres.

4) Korpus Wredego: 25 — 30,000 pod Neufchateau nad Maas.

5) Korpus Wittgensteina: 21,000 pod Nancy.

6) Korpus Sackena i Olsuwieffa: 30,000 pod Joinville.

8) Korpus Yorka: 20,000 pod St. Mihiel nad Maas.
Ogółem: przeszło 220,000 z 900 ¹⁾ działami.

Marszałkowie francuzcy, którzy mieli się opierać w Alzacyi-Lotaryngii, tudzież w Szampanii, okazali zamało energii, zwłaszcza Victor. Tylko Mortier pod Troyes dowiódł nieco więcej wytrwałości. Teraz cofnęli się całkiem na północ ku Châlons według rozkazu cesarskiego, gdzie również miano przenieść i główne magazyny wojskowe pod kierunkiem starego marszałka Kellermanna. 6) Macdonald, stojący jeszcze koło Namur (podeczas gdy ruchliwy Maison bronił Holandyi), otrzymał rozkaz

¹⁾ Ilość dział miała wynosić 1,120, z czego Blücher podobno posiadał 436; w d. 23 lutego zobowiązał się atoli ten ostatni nadciągnąć jedynie „z 300 armatami.“ Według Plothego samo wojsko czeskie wynosiło 230,000 żołnierza, nie licząc późniejszych dodatków w liczbie 30,000 ludzi. Również zdaje się, że i wiele innych korpusów posiadało więcej ludzi.

udania się w tamte strony ze swojemi dziesięcioma tysiącami ludzi. Mortier z 5—10,000 żołnierza stał pod Troyes. Wszystko, co istotnie zeszło się pod Chalons, składało się z drugiego korpusu Victora: 8,000 żołnierza, następnie szóstego korpusu Marmonta: 5,000 ludzi, 2 korpusu Ney'a (młoda gwardya): 17,000 ludzi i 9,800 koni, 1 korpus Bordesoullé'a, 1 korpus St. Germain'a, 1 korpus Milhauda) pod dowództwem Grouchy'ego. Razem 27,600 ludzi. Z nimi połączył cesarz nowo utworzony korpus generała Gérarda (gwardya narodowa, odziana jeszcze w bluzy i siermięgi), 8,000 ludzi i jedną dywizyę młodej gwardyi (Rothenburg) jako „korpus Oudinota“ 5,000, a zarazem 23 szwadrony jazdy gwardyjskiej pod wodzą Lefebvre-Desnouettes'a. Całość mogła wynosić najwyżej 33,000 piechoty i nieco więcej nad 12,000 jazdy. Do tego 150 armat ¹⁾.

.

¹⁾ Wszystkie te liczby zestawiliśmy w przybliżeniu, porównyując siłę korpusów z pierwszej połowy stycznia z liczbą żołnierza, wykazanego dnia 1 lutego. Według Kocha, miał Napoleon pod La Rothière zaledwie 27,000 piechoty i 9,000 konnicy; według zapewnień sprzymierzonych, już sami trzej marszałkowie posiadali przeszło 40,000 wojska, a Napoleon przyprowadził 20,000 posiłków! Do marszałków, oczywista przez omyłkę, wliczono i Mortiera. Cesarz najwyżej przyprowadził

W nocy na 26 stycznia rozkazał Napoleon rozpocząć ogólny pochód w kierunku południowym na Vitry. Spodziewał się na pewne zaskoczyć Blüchera pod Joinville. Dnia 26 jego kwatera główna była w Vitry, gdzie generała brygady Montmarie obsadzono jako komendanta placu. Dnia 27 konnica Milhauda dotarła aż do St. Dizier, natrafiła tam

15,000 ludzi, lecz znowu i nie 10,000, jak utrzymują francuzi. Napoleon w Paryżu przy boku Maryi Ludwiki i syna, o których wygody, jak świadczą listy z obozu, troszczył się nawet w najgorszym położeniu, pozostawił brata Józefa, b. króla hiszpańskiego. Jego armia po większej części dopiero się zawiązywała. Z „wojska hiszpańskiego“ Soulta, a potem od Sucheta z Katalonii musiał zabrać 20,000 żołnierzy, a potem jeszcze drugie 20,000. (Nie zajmują nas tutaj ani Soult, ani Augereau w Lyonie. *Tego ostatniego* Napoleon kilkakrotnie chciał zużytkować w planie, skombinowanym przeciwko Schwarzenbergowi). Dawniejsza *armia szlązka* (Blücher) składała się z korpusów Sackena, Yorka, Kleista, Langerona; dawniejsza armia czeska (Schwarzenberg) z innych, powyżej wymienionych korpusów. Blücher miał w dniu 1 lutego jedynie Sackena i Olsuwieffa; Schwarzenberg tylko Wredego, Württemberga, Giulay'a i Gardego.

24

niespodziewanie na dywizję kawaleryi sprzymierzonych i, zadawszy jej ciągi potężne, wpadła do miasta. Dywizya Dubesme'a z korpusu Victora, idąc za Milhaudem trop w trop, zdobyła miasto i zmusiła sprzymierzonych do cofnięcia się w kierunku wschodnim ku Joinville, jakkolwiek początkowo chcieli oni przebić się na zachód ku Brienne. Przyczyna tego zamiaru wyjaśniła się niebawem. Cesarz bowiem w St. Dizier, gdzie ludność przyjęła go z zapalem niesłychanym, dowiedział się, że Blücher już 25-go tędy przemaszerował i obecnie usiłuje z Brienne wysunąć się ku Schwarzenbergowi, który znowu nadciąga z Bar-sur-Aube. Również i York miał obecnie z nad Maas pociągnąć za Blücherem.

Napoleon nie zawahał się ani chwili. Nie troszcząc się o Yorka poza swemi plecami, który i tak przecież przybył zapóźno, postanowił—bez względu na złe podczas odwilży drogi—przemknąć się przez las Deru i niespodziewanie rzucić się na Brienne. Marmont wraz z swoją jedną dywizją Lagrange'a, stanowiącą jego korpus, tudzież z pierwszym korpusem jazdy musiał pozostać w St. Dizier, raz celem ukrycia odmarszu, powtóre celem zastąpienia tyłów na wszelki wypadek; dnia 29-go przecież większą część owych sił Napoleon wezwał do siebie.

Pochód przez las zajął cały dzień 28 stycznia i trwał jeszcze przez część 29-go. Dopiero o godzi-

nie 1-ej po południu natrafiono przed Brienne na silne szwadrony konnicy nieprzyjacielskiej w liczbie około 3,000 jeźdźców. Około godziny 2-ej przecież Milhaud i Lefebvre-Desnouettes, obszedłszy nieprzyjaciela ze strony zachodniej, zbliżyli się do Brienne na strzał armatni, by natychmiast ze swych licznych baterij artyleryi konnej rozpocząć gwałtowny ogień, który miasto zapalił i szczyby niezmierne porobił w przechodzących tamtędy, a ściśniętych gęsto kolumnach Blüchera. Na tych atakach schodził czas tak długo, aż przybył Victor i gwałtownym zamachem owładnął Brienne. Nieprzyjaciel atoli, wytężywszy wszystkie siły, wyparł francuzów ponownie w otwarte pole. Zmierzch zapadł. Brienne, zapalone w kilku równocześnie miejscach, gorzało płomieniami jasnymi. I właśnie w chwili, gdy owe języki podnosiły się w górę, przybył cesarz, który rozkazał z trzech stron opasać miasto. Jedna kolumna atakująca miała obejść tyły nieprzyjacielskie w kierunku Lesmont i owładnąć górą zamkową, dywizya Chateau Victora; dywizya Duhesme ponowiła swoje zapędy od południowego wschodu; od wschodu zaś szturmowała młoda gwardya Ney'a. Potężny deszcz granatów wspierał te kolumny atakujące, które ruszyły naprzód natychmiast po odebraniu rozkazów. Lecz cała jazda nieprzyjacielska, zapewne jakieś 6,000 żołnierza, rzuciła się na dywi-

zyę Duhesme'a, odepchnęła ją, rozproszyła, a nawet zachwiała i zastępami Ney'a. Artylerya francuzka cofnęła się nieco w tył, skutkiem czego grad pocisków osłabł chwilowo. Nieprzyjaciel, zbyt zarozumiały tem powodzeniem, uważał bitwę za skończoną, lecz wnet miał przekonać się, w jakim pozostawał co do tego błędzie. Nagle bowiem wszczęła się wrzawa dzika naokoło góry zamkowej, Château istotnie podstępnie zdobył zamek, przy której to sposobności—dowiedziano się o tem później—stary marszałek „Naprzód“ z trudem uniknął niewoli. Równocześnie od północy wdarła się do Brienne konnica gwardyi (Lesmont). To zamieszanie Ney wyzyskał natychmiast do nowego ataku, który przedsięwziął z przybocznymi dywizjami Decouza i Meuniera. Wywiązała się utarczka zaciekła, trwająca aż do północy; francuzi walczyli zapalczywie, sprzymierzeni wytrwale, obie strony bezgranicznie rozgoryczone.

Napróżno nieprzyjaciel wyteżał wszystkie siły celem odebrania góry zamkowej—klucza stanowiska, z którego ostrzeliwano mu tyły. Cesarz usadowił tam siły, wystarczające do podtrzymywania walki na równi; ponieważ nadto zamek pogrążony był w ciemnościach, podczas gdy miasto płonące uwidoczniało każdy ruch u stóp góry, przeto kule francuzkie trafiały w cel, podczas gdy sprzymierzeni strzelali na ślepo. Mimo wszelkie usilowa-

nia tych ostatnich, mimo wdarcie się ich do parku, na podwórce, aż na schody zamku, zapędy takie pozostały bezowocnymi. Wreszcie zmęczywszy się, przerwali ataki, by prawdopodobnie rozpocząć odwrót. Sprawdzono to o świcie; o godzinie 9-ej rano cała konnica, znajdująca się pod ręką, ruszyła drogą ku Bar. Dowództwo naczelne nad nią objął generał Grouchy; pod jego komendą szwadronom gwardyi hetmanił Nansouty, ponieważ i Lefebvre-Desnouettes i dywizjoner młodej gwardyi Decouz ponieśli rany ciężkie. Sam Napoleon zapędzał się tak daleko, że dwa razy omal nie wpadł w ręce nieprzyjaciół i musiał wyciągnąć szpadę z pochwy. Berthiera wśród zmierzchu jakiś kozak ranił lancą w głowę. Naliczono dwa do trzech tysięcy zabitych oraz rannych; trofeów zwycięstwa nie zdobyto. Nieprzyjaciel mógł stracić o tysiąc ludzi więcej.

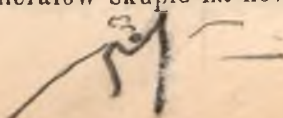
Konnica dopiero około godziny 11-ej rano przybyła do wsi La Rothière, ponieważ ziemia rozmiękła i gęsta mgła utrudniały pochód. Po opadnięciu mgły spostrzeżono nieprzyjaciela. Blücher stał na wzgórzach pod Trannes. Napoleon, który zdołał dopiero na noc nadchodzącą rozbić swoje kwaterę główną na zamku w Brienne, rozważał, czy ma natychmiast rozpocząć świeży atak, zanim rozproszone korpusy Schwarzenberga potrafią przybyć na odsiecz Blücherowi. I on sam

atoli chciał według swej własnej, wybornej zasady zaatakować wyłącznie połączonemi siłami i przywołać do siebie cały korpus Marmonta, jako też i korpus Gérarda, a w razie możliwym także i Mortiera. Brygada Garde d'Honneur (pod wodzą generała dywizyi Defrance'a) musiała natychmiast odejść do Lesmont i naprawić most tamtejszy, aby, stosownie do potrzeby, można się było cofnąć na Lesmont ku Troyes do Mortiera. Krótki dzień zimowy (30-go stycznia) upłynął, pomijając żywą kanonadę, bez żadnych ważniejszych wypadków. Przez ten czas piechota stanęła w szyku bojowym, który dnia 31-go od biedy uzupełnili Marmont i Gérard; oba skrzydła skorzystały z właściwości terenu; środek stał odsłonięty na płaszczyźnie zupełnie gładkiej. Podczas dnia nadbiegały wieści tak awanturnicze, że zgoła nie można było odgadnąć prawdy. W takich wypadkach stanie w miejscu uchodziło za postępek najrozsądniejszy. Każdy dzień pozwalał zyskiwać na czasie i przyprowadzał posiłki. Zresztą odwrót, ponieważ zwyciężyło się pod Brienne, zniechęciłby i wojsko i lud. A czyżby się odważono go zacząć?

Rozpoczął się pierwszy luty. Blücher wciąż jeszcze obozował na wzgórzach Trannes; co się tam działo z tyłu, nie wiadano. Z lewego skrzydła przecież, utworzonego nader łukowato przez korpus Marmonta, przysłano wiadomość, iż dostrze-

zono silny korpus nieprzyjacielski, zamierzający obejść stanowiska francuzkie. Nie był to wypadek pomyślny. Wobec niego tedy Napoleon zmienił postanowienie poprzednie i wydał rozkazy do odwrotu na Lesmont. Wtem nagle forpoczty zaraportowały: w obozie nieprzyjacielskim powstała wrzawa głośna, jak zwykle przed rozpoczęciem ogólnego ataku. Lecz gdy cesarz natychmiast pojechał ku forpocztom, niepogoda zasłoniła okolice; równocześnie zaczął padać śnieg gęsty, przez płatki którego nie można było dalej sięgnąć wzrokiem. I tak przecież doświadczony wojownik domyślił się szturm na całym froncie; zwierzył go niemal w powietrzu. W mgnieniu oka musiała młoda gwardya Ney'a, poruszająca się już w kierunku na Lesmont, zawracać; porządek bojowy przywrócono w całości i wzmocniono. Dużo jednak upłynęło czasu, zanim nieprzyjaciel rozpoczął walkę. Niebo zachmurzone, gęsta śnieżycą—tylko podczas odwrotu w Rosyi walczone wśród niepogody podobnej. Pochód i atak odbywały się przez to uciążliwie; spore trudności musiała zwalczać artylerya, podczas gdy francuzi spokojnie czekali na swych stanowiskach. Początek też wcale nie wypadł pomyślnie dla napastników; Nansouty o mało nie zdobył całej artyleryi sprzymierzonych, dzięki kilkakrotnym atakom swych dwudziestu trzech szwadronów; również i jazda sprzymierzonych zmiesza-

ła się niepomernie i cofnęła, a piechota nie potrafiła zrazu rozwinąć się we front należyty,—Nansouty bowiem porobił w nim wyłomy i chciał piechurów rozpedzić. Śnieżycą podczas tego wzrosła tak dalece, że ogień działowy, który do owej pory przebłyskiwał przez tę zasłonę białą, umilkł. Nagle przecież wypadła konnica sprzymierzonych, przełamująca liczbą, przełamala Nansouty'ego i zegnała go całkowicie z linii czołowej. Grouchy, tworzący w drugiej linii rezerwę, złożoną z trzydziestu sześciu szwadronów, pośpieszył wprawdzie z posiłkami, lecz napróżno. Wszelkie usiłowania nie zdołały zatamować wybuchłego popłochu; zapłacono sprzymierzonym potężny podatek za poprzednio zadaną im porażkę. Ich fanfary wesole rozlegały się donośnie wokół. Wreszcie piechota nieprzyjacielska zdołała wejść na linię bojową; ich artylerya zaś rozpoczęła ziać ogniem straszliwym na La Rothière. Przeważające liczbą kolumny odebrały wieś korpusowi Victora, przyczem sprzymierzeni posługiwali się wyłącznie bagnetem, gdyż wskutek wilgoci naboje zawodziły. Również i proch w kieszeniach nasiąknął zbytnią wilgocią. Tem straszniej przecież popisywała się broń biała! Lecz część wypieranych zwolna ze wsi obrońców, usadowiwszy się w chałupach, stawiała opór jaknajcięższy. Napoleon tymczasem rozwijał wszystką energię, aby z pomocą generałów skupić na nowo i popro-



wadzić do ataku rozbitą konnicę. I gdy wnet potem nieprzyjaciel natarczywie wypadł z La Rothière, ogólny, wściekły atak wparował go z powrotem pomiędzy zagrody; artylerya również dokładała wszelkich wysiłków celem zamknięcia mu drogi. To też, skoro teraz, o godzinie w pół do piątej, dywizya młodej gwardyi Rothenburga, pod przewodnictwem osobistem marszałka Oudinota, który nasamprzód rozpoczął marsz odwrotny drogą na Lesmont, w porządku prześlicznym stawiła się na placu boju,—wszystko znowu rzuciło się na La Rothière.

Nic nie zdołało powstrzymać zapalczywości francuzkiej, nic nie potrafiło tych mężnych przestraszyć. Obsypywani piekielnym gradem kul, szli naprzód do ataku z karabinem u prawego boku i zdobyli wieś. Działa francuzkie, zajechawszy na środek rynku wiejskiego, waliły kartaczami; konnica wpadła również; nieprzyjaciela niebawem wyparto niemal zupełnie. Lecz i zachowanie się sprzymierzeńców zasługuje na pochwałę; ich rezerwy bowiem nie ustępowały, tak, iż najwścieklejsza walka uliczna wrzała wśród zapadającego zmierzchu, którego ciemności demoniczne krwawił ogień, pożerający wieś. Obie strony rzucały do tego piekła wszelkie siły, znajdujące się pod ręką. Napoleon zdołał tam wysłać zaledwie jeszcze jedną dywizyę młodej gwardyi, ponieważ dywizyę Meu-

niera, która przyszła natychmiast po Rothenburgu, musiał bezzwłocznie skierować na lewe skrzydło, gdzie Marmont już prawie nie mógł utrzymać dłużej rozciągniętego, acz nader korzystnego stanowiska wobec sześciokrotnej przewagi wroga. Wszystko przecież spóźniło się: francuzi, mimo sławny opór i walkę bohaterską, krok za krokiem, ustawicznie musieli ustępować. Około godziny 7-ej przeciwnicy, równie odważni, a liczniejsi bez porównania, wydarli także i La Rothière marszałkom Ney'owi, Oudinotowi i Victorowi. Korpus Marmonta, rozbity, uciekł; napróżno rzucił się naprzód Grouchy z pozostałą konnicą rezerwową; napróżno Napoleon osobiście ustawił na rogu lasu mnóstwo dział, które słały rozpaczliwy i wściekły potok kartaczy. Również i tę baterię opuszczono, skoro jej obsługę częściowo wykłuto, a odcinanie zabitych koni, przeprężanie i zaprzężanie jeszcze żywych zabrałoby zbyt wiele czasu. Nawet silna bateria haubicowa, która, stojąc za La Rothière, obrzucała i wieś i opłotki granatami, wnet musiała zabrać się do odwrotu. Napróżno usiłował Nansouty stawić tutaj czoło, niby łódź na morzu wzburzonym, tu i tam rzucana; po ósmej wieczorem całe wojsko francuzkie, pobite, uciekało ku Brienne. Tylko na skrzydle prawem w ciemnościach nie przerwano uporczywej walki, ponieważ korpus Gérarda, składający się z samych rekrutów, odzia-

nych w bluzy i siermięgi, z wściecznością podziwu godną odparł tam dwukrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Przewyborny Gérard dowiódł tutaj wielkich zdolności. Przezornością swoją trzymał nieprzyjaciela w oddaleniu, aż wreszcie, już znacznie później, skutkiem wyższego rozkazu, cofnął się w porządku.

Ponieważ szyk bojowy Napoleona opierał się właśnie tam o Aube, znalazłby się on w położeniu jaknajgorszem, gdyby nieprzyjaciel zdołał i tamtędy obejść jego stanowisko. To też odwagę owych dzielnych gwardzistów narodowych cesarz sprawiedliwie ocenił, a w jednym z późniejszych listów życzył sobie „50,000“ obrony krajowej takiego rodzaju.

Napoleon popędził o godzinie ósmej do Brienne.

Tu wszedł natychmiast na najwyższe piętro zamku celem pochwycenia przez okno jakiegokolwiek oznaki pogoni; spokojna, cicha noc ułatwiała te spostrzeżenia. Wnet przecież zamigotały w oddali niezliczone ognie obozowe, które pozapalał nieprzyjaciel, sam również wyczerpany i zmieszany. Przez całą noc czterej obecni marszałkowie i generałowie nadsyłali raporty. Pokazało się, że jeszcze tylko dywizya gwardyi Decouza zachowała porządek; wszystko inne rozprzęgło się i rozleciało. Zwolna przecież maruderzy zaczęli się zbie-

rać, każdy oddział z osobna porządkował się i powiększał. Marszałek Ney ponownie jako tako uszeregowował młodą gwardyę i natychmiast odmaszerował ku Lesmont. Jeszcze przed świtem inne kolumny poszły jego śladami. Tylko Marmont i pierwszy korpus jazdy zwrócili się w kierunku na Arcis, aby od biedy zasłonić lewy bok armii. Przejście odbywało się prędko i jednym ciągiem; dopiero na drugiej stronie postanowiono zmęczonemu, wyniszczonemu żołnierzowi dać kilka godzin odpoczynku. Korpus konnicy Milhauda wyłącznie zasłaniał odwrót i został w Brienne, podczas gdy cesarz już o czwartej rano, a więc jeszcze nocą ciemną, opuścił zamek i miasto. Zastanawiał się on, co miał teraz robić; mimo smutne myśli, jednak nie tracił ani na chwilę odwagi. Siedmdziesiąt trzy armat ¹⁾ i przeszło 2,000 jeńców zabrali nie-

¹⁾ „Pięćdziesiąt” według źródeł francuzkich,—my przecież wierzymy bardziej sprzymierzonym, ponieważ ta druga cyfra jest zbyt okrągłą. Również zdaje się, wbrew Kochowi, że Napoleon posiadał więcej dział, aniżeli 128, gdyż w takim razie zostałoby mu zaledwie 55. A ponieważ z końcem lutego miał on bez Marmonta i Mortiera 350 dział, sprowadziłby zatem do Troyes bardzo prędko bez mała 300 nowych armat, co jest rzeczą niemożliwą. Prawdopodobnie więc zatem posiadał 150, albo i więcej. Z drugiej strony znowu twierdzenie sprzymierzonych o wzięciu „3—4,000 niewolnika” uważamy za zwykłą przechwałkę, ponieważ dopiero późnym wieczorem, po przełamaniu

przyjaciele; prócz tego 4,000 zabitych oraz rannych francuzów legło na dzielnie bronionym zagonie tuż obok 6,000 sprzymierzonych. Mimo to jego wojsko dowiodło dzielności dawniejszej i mogło śmiało się tem pocieszać, iż uległo jedynie *potrójnie* liczniejszemu nieprzyjacielowi. Nie zdołano go przycisnąć do Aube'y, a nawet musiano spokojnie patrzeć na prawidłowy, porządny odwrót przez zaledwie jeden most pod Lesmont. Żołnierze w bluzach Gérarda ujawnili wyraziście siłę uporczywą, tkwiącą w piersiach narodu, dumę i odwagę. Nawet wobec przewagi nadmiernej nie można jeszcze przewidzieć wyniku stanowczego, jeżeli tylko Francya wraz z cesarzem porządnie wrogowi pokaże zęby. Wiadomości o pościgu i odwrocie— podczas gdy środek armii, ponury, zniechęcony, głodem i zimnem smagany, pod wodzą cesarza wędrował ku Troyes—brzmiały nader pomyślnie. Drugiego lutego, gdy mgła poranna się rozwiała jazda sprzymierzonych posunęła się ku Milhaudowi, który z jednego stanowiska cofał się na następne.

lewego skrzydła francuzkiego, brano jeńców. I właśnie znaczna ilość dział zabranych przemawia za odporem mężnym artylerzystów, co zmniejsza liczbę brańców. Również błędem jest zdanie, jakoby straty Napoleona w zabitych i rannych wynosiły tyle, co napastników. Francuzi mieli lepszy teren i są mistrzami w walkach ulicznych.

Równocześnie korpus bawarski Wredego podążył na wschód za Mormontem, przeprowadzającym się przez Voire, celem dojścia do Arcis-sur-Aube. Księżę Raguzy jednak przyjął go pod wsią Rosnay z taką zręcznością przezorną, że Wrede stracił przeszło tysiąc ludzi, a francuzi bez żadnej straty dokonali odwrotu.

Pod Lesmont nieprzyjaciel również nie odniósł wyników pomyślnych. Milhaud przeszedł przez most; obie zaś dywizye gwardyi Ney'a, któremu, jak zwykle, w rozprawach trudnych powierzano straż tylną, zasypywały brzeg przeciwny potokiem kul, zniszczyły most i niezmordowaną tyralierką całonocną uniemożliwiły wszelką jego naprawę.

Pościg zwycięzko odbiwszy i zyskawszy sporo na czasie, rozwinął teraz Napoleon w Troyes działalność podziwu godną, a okraszoną tym spokojem żelaznym, którym żadne nieszczęście nie zdoła zachwiać.

Miasto przywitało go milczeniem ponurem; ani jeden wiwat się nie odezwał; wszyscy wszystko uważali za stracone. Dezercya się wzmagala; sześć tysięcy rekrutów, jak opowiadano, porzuciło chorągiew. Brakowało dostatecznej żywności.

Na dobitek tutaj dowiedział się Napoleon o zdradzie Murata. Niezmordowanie słał listy na wszystkie świata strony: do wicekróla Eugeniusza, do Soucheta, do Souлта, do Holandyi, do Augereau'a

w Lyonie, do Paryża, z zapytaniem o stosunki polityki międzynarodowej, tudzież o środki obrony stolicy. Głównie przecież skupił swoje wysiłki około uporządkowania i podniesienia ducha własnej armii.

Gérard musiał ze swego korpusu odstąpić jedną dywizję Riccarda Marmontowi, który dotychczas dowodził zaledwie jedyną dywizją Lagrange'a. Riccard utworzył ogniwo łańcucha, łączącego Troyes z Arcis. Gérard do swojej dawniejszej dywizji Dufoura otrzymał nowoprzybyłą dywizję Hamelinaye'a, a połączywszy się z dywizją jazdy, stanął przed Troyes w kierunku ku Bar-sur-Aube. Nadsięgnęły posiłki, które nie tylko wyrównały szczyby, lecz nawet podniosły liczbę żołnierza na 53,000 pieszych i jezdnych.

Celem dokładnego zbadania ruchów Schwarzenberga, musiał Mortier dnia 4-go lutego, na lewym brzegu Sekwany, posunąć się ku Bar-sur-Seine, mając ze sobą dywizję Michela (starą gwardyę) i konnicę. Ci starzy wojacy, nieustraszenie spełniając powierzone im zadanie, starli się z przednią strażą korpusu austriackiego Colloreda, zmiażdżyli ją zupełnie i obsadzili most nad Sekwaną koło Clery. Wieczorem atak na gwardyę francuzkie przyniósł tak znaczną klęskę austryakom, iż część ich nawet wzięto w pęta. Dnia 6-go cesarz, który chciał dokładniejsze pozyskać wiadomości, rozkazał

Mortierowi posunąć się jeszcze dalej, co również uskutecznił nader pomyślnie. Lecz 5-go też nadbiegł ważny raport Macdonalda, że po gwałtownych starciach z Yorkiem musiał opuścić miasta Vitry i Chalons, bez strat, uratowawszy wszelkie zapasy żywności i amunicyi, wysadzić w powietrze most nad Marne'ą, leżący na jego tyłach, by prawdopodobnie na Chateau Thierry oraz La Ferté-sous-Jouarre cofnąć się aż do Meaux, niemal pod same mury Paryża. Blücher bowiem, rozłączywszy się z Schwarzenbergiem, na północnym wschodzie ściga wszystkie swoje korpusy; jego konnica zaś myszkuje już w okolicach Sezanne'y.

Napoleon niemal natychmiast uczuł chętkę rzućcia się na Blüchera; kilka dni wystarczy na opracowanie tego planu. Już o godzinie czwartej po południu rozkaz odpowiedni przywołał z powrotem marszałka Mortiera; a gdy Colloredo poszedł za nim w ślady i zaczął przed Troyes korpus Gérarda, odparto go niesłychanie ostro, tak, iż nietylko stracił mnóstwo ludzi, lecz i sam również został ranny, ku pamiętce wiecznej takiej śmiałości. Wogóle ów pościg kosztował wyłącznie zwycięzce przeszło trzy tysiące ludzi, którzy padli w rozmaitych potyczkach; straty francuzkie natomiast równały się niemal zeru.

Gérard otrzymał rozkaz zasłaniania Troyes aż do chwili, kiedy już całe wojsko skieruje się na

Nogent; to miasto nad Sekwaną obwarowano porządnie, a cesarz przybył tam dnia 7-go, by osobiście dać ostatnie wskazówki. Tego samego dnia Gérard opuścił Troyes, pozwalając sprzymierzonym zajrzeć w otwarte karty.

Już 7-go, zwłaszcza zaś w nocy z 7-go na 8-y, nadeszły raporty Macdonalda, potwierdzające przecucia Napoleona o nieuważnym pośpiechu Blüchera; zeznania szpiegów uzupełniły wiadomość urzędową. Nie było już wątpliwości najmniejszej, że Blücher podzielił swoją armię i rozciągnął ją na przestrzeni zbyt długiej, nie zasłaniając przytem zupełnie lewego boku. Z Nogent na Champaubert przebieć się ku Sezanne—oto myśl znakomita! Piornuny i klęski wykrzesze on z niej napewno; lud powinien uwierzyć w jego geniusz władczy, a wojsko ugiąć się przed swym wielkim mistrzem. Wśród zamieszania lekkiego i niemocy omdlałej otoczenia on jeden wyłącznie stoi prosto, on jeden nie traci odwagi, jak niegdyś w Egipcie i później. Lecz czy wśród takich zamieci, po takich drogach błotnistych bez szos porządnych będzie można tędy się przedrzeć? Niemożebne—tego słowa nie znajdziesz w języku francuzkim. Będzie się musiało pójść i pójdzie się!

W owych uczuciach pogrążonym znalazł go książę de Bassano, który późno w nocy przygotował depeszę do księcia de Vicenza na kongres

w Chatillon i chciał prosić o podpis. Napoleon, siedząc na ziemi, pochylony nad mapami, gdzie już szpilkami poznażył przyszłe marsze, z niechęcią odwrócił ku wchodzącemu głowę:

— Ach! to pan jesteś! Eh! teraz rozstrzygam tutaj inne, ważniejsze sprawy. Pracuję właśnie nad pobiciem w mgnieniu oka Blüchera.

Dnia 8-go mistrz wydał rozkazy: Victor, stanowiąc z Gérardem *jeden* korpus, pozostaje przy Nogent, z nimi połączy się Milhaud. Oudinot z dywizją Rothenburga utworzy swój korpus, jako drugą linię. Do tego nadciągają już z Hiszpanii cztery brygady weteranów, z których przeciw dwie (dywizya Levala) miały posunąć się ku Sezanne w razie, jeżeli cesarz zaatakuje to miejsce. Konnicę z Hiszpanii postanowiono tam również zużytkować, jako korpus osobny, oddany pod komendę Kellermanna. Nad Yonne'ą zawiązuje się dywizya Allisa, dotychczas wprawdzie zaledwie dwa tysiące ludzi; pod Montereau ustawi się dywizya gwardyi narodowej, którą Pacthod ściągnął z wnętrza kraju. W ten sposób zgromadzi się z oczekiwaniem posiłkami przynajmniej nowych trzydzieści tysięcy ludzi, co wystarczy do trzymania w szachu stu trzydziestu tysięcy Schwarzenberga i wzbronienia im przystępu do Paryża.

Już 7-go posłano rozkaz Marmontowi, ażeby ruszył ze swoim korpusem i jazdą Grouchy'ego

w kierunku Sezanne-Champaubert. Tego samego dnia również poszedł Ney ze słabymi resztkami swych dwóch dywizyj młodej gwardyi. Dnia 8-go rozpoczęła marsz na Sezanne stara gwardya; za nią postępował Nansouty. Lecz dopiero 9-go opuszcza sam strategik, zimno wszystko obserwujący, główną kwaterę w Nogent, aby nad wieczorem ustanowić ją w Sezanne.

Ponieważ wszystko maszerowało drogą boczną, jedni za drugimi wężem długim; ponieważ ziemia rozmiękła chwytala koła lawet, więziła podkowy końskie i niszczyła buty piechurów, przeto cesarz sam osobiście odwołał się do chłopów z prośbą o pomoc w dalszym pochodzie. I nie omylił się. Chłopi, to rękami własnymi, to swojemi końmi, umożliwili przewiezienie armat przez błota, rowy, wąwozy i spadziste stoki pagórków. W taki to sposób jego osobistość potężna tajemniczym swym czarem przewyciężyła przeszkody terenu; odtąd marsz odbywał się już całkowicie gładko. Spodziewano się powszechnie, że pokonawszy ziemię i żywioły, dwa razy łatwiej przyjdzie zgnębić nieprzyjaciela. Powiew geniusza, niby huragan, wstrząsnął szeregami francuzkami; żołnierz, niedawno jeszcze krocący niechętnie i martwo, teraz szedł naprzód bohatersko.

Zapał wrócił nazad pod sztandary.

UWAGI.

Ustanowienie magazynów wojskowych i rezerw w Chalons, a więc tuż koło frontu całej linii operacyjnej, możnaby uważać za błąd, za nierozwagę ze strony Napoleona. Gdyby bowiem Blücher zabrał ze sobą korpus Yorka, zamiast bezpożytecznie go zatrudniać między twierdzami nad Mozela, pozyskałby siły odpowiednie do samodzielnego natarcia z Nancy na Chalons i wypłoszenia ztamtąd marszałków. Jego zaś marsz bezpośredni nad Aube bez Yorka i bez Wittgensteina był krokiem wielce nieostrożnym i lekkomyślnym. Wprawdzie wskutek tego zmuszał on Schwarzenberga — monarchów sprzymierzonych bowiem zachęcał pośpiech Blüchera — do dotrzymywania mu kroku i mniej więcej postępowania w jednej linii. Lecz owo posuwanie się naprzód odbywało się według znanej metody austriackiej tak trwożliwie, tak poomacku, że właśnie skutkiem takiego pośpiesznego dotrzymywania kroku Blücherowi armia czeska rozciągnęła się na nieskończenie długiej przestrzeni. Wskutek tego więc dnia 1 lutego jedynie jej część stanęła na placu boju. Gdyby postępowano naprzód z mniejszym pośpiechem, Napoleon nie mógłby w żaden sposób stawić czoła takim tłumom i musiałyby się cofać; ten odwrót zaś nieunikniony bez bitwy zaszkodziłby mu niezmiernie w oczach francuzów.

Dlatego też, zastanawiając się w Chalons, jak zwykle bystro a spokojnie, nad całym położeniem, umiał natychmiast wyciągnąć możliwie największe korzyści z tego nieprzyjemnego faktu, że sprzymierzeni, wbrew oczekiwaniom, tak pośpiesznie zajęli już spory kawał kraju. Tworzy to bowiem jedną z głównych przymiotów umysłów genialnych, że potrafią z każdej danej okoliczności, choćby ona była najniekorzystniejszą, wyciągnąć dla siebie zysk możliwie największy. Skoro spostrzegł, iż na prawem skrzydle nieprzyjaciel już go prześcignął, wnet dojrzał odsłonięte lewe skrzydło wroga. Zamiast więc, jakby to zrobił wódz niegenialny, pomaszerować ku Arcis, celem uratowania linii frontowej nad Aube, posunął się z szybkością błyskawicy na południe i skręcił niespodziewanie na zachód, celem zaskoczenia Blüchera. Wyborne przeprowadzenie tego marszu, a następnie ataku, ukoronowało powodzenie; gdyby Napoleon posiadał sił więcej, albo też gdyby napotkał Blüchera dopiero podczas pochodu do Brienne, byłby go przycisnął ku samej Aube i poturbował srodze. Czyby Schwarzenberg zdążył wówczas na odsiecz, jest rzeczą nader wątpliwą. Łatwo zaś zrozumieć, iż Napoleon nie mógł atakować dalej przed połączeniem się z Marmontem i Gérardem. Prócz bezużytecznej ofiary żołnierza, nie zdołałby wyciągnąć z tego żadnych korzyści. Stanowisko pod La Ro-

thière musiał rozciągnąć zadaleko na wschód, celem ustawienia nielicznych oddziałów Marmonta w terenie falistym i podatnym na pozycję obronną; dzięki temu zasłaniał również linię bojową przed obejściem. Wogóle nie znalazłbyś lepszej pozycji nad całą Aube.

Odwrót natomiast wywołałby przykre wrażenie i wśród wojska i wśród ludu, pociągnąłby też za sobą i groźne niebezpieczeństwo—kto wie, czy podczas cofania się nie napadniętoby na niego w położeniu bardzo niekorzystnym? Musiał tedy, zebrawszy ostatecznie całe wojsko, w d. 31 stycznia przyjąć bitwę. Pozostawienie zaś Mortiera w jego dawniejszych leżach, aby zabezpieczyć Troyes i Sekwanę, bynajmniej nie przyczyniło się do „tak niepomyślnego wyniku,“ jak mu to później zarzucano. Słaby korpus Mortiera z pewnością nie zmieniłby losów bitwy. Dzięki zaś rozporządzeniu Napoleona był on później rezerwą nienaruszoną; w razie przeciwnym natomiast, śmiertelnie znudzony pośpieszonymi marszami (musiałby bowiem i tak poprzednio naprawić most pod Lesmont), połączyłby się z główną armią dopiero 1 lutego, na to tylko, by go porwał ze sobą popłoch ogólny. Tymczasem odsłonięciem Troyes mógłby z łatwością wielką zawładnąć korpus Colloreda, który ciągnął w te strony od Chatillon.

Bitwę poprowadził cesarz ze zwykłą sobie pewnością, jakkolwiek naprawdę z początku za-

skoczono go niespodziewanie. Pokazało się również, że doskonale rozwinął szyk bojowy, gdyż na zaledwie 8,000 ludzi Gérarda i na zaledwie 10,000 ludzi Marmonta (włączając już tutaj dywizję Meuniera i korpus jazdy) rzuciło się po obu skrzydłach 56,000 sprzymierzonych, do których, wbrew woli Blüchera, dodano jeszcze 7,000 żołnierza rezerwowego, podczas gdy w środku, na stanowisku rozstrzygającym, sam Blücher poprowadził zaledwie 25—26,000 (po stratach z 29) i 5,000 rezerwy przeciwko 23—24,000 francuzów. Wskutek tego wynik starcia nie odpowiedział przewadze nadmiernej wroga i Napoleon zupełnie spokojnie cofnął się za Aube. Zachowanie się generałów, tudzież wojsk francuzkich, tak pod Lesmont, jak i pod Troyes, było przewybornem, spokojnem a śmiałem, podczas gdy generałowie sprzymierzonych gorączkowali się co chwila. Roboty organizacyjne cesarza w Troyes i Nogent godnie odpowiadały jego wielkiej przeszłości, godnie również odpowiadały genialnemu manewrowi, który przeprowadził strategik po ukończeniu pracy organizatorskiej.

Trzeba teraz stanowczo zestawić siły zbrojne stron obu. To zadanie posiada wagę niezmiernie wielką i donośną, a zarazem wymaga wysiłków starannych; inaczej bowiem z trudnością przyszłoby rozplątać gmatwaninę błędnych i sprzecznych twierdzeń.

Według sprzymierzonych, posiadał w styczniu:

Macdonald w Holandyi 20,000 żołnierzy, a przecież, znowu według nich, ten sam Macdonald pojawia się pod Chalons jedynie z 10—12,000 ludzi. Francuzkie źródła dają mu 10,000 ludzi. Jest to liczba wiarogodna, wiadomo bowiem zupełnie napewno, że w dniu 26 lutego dowodził 8,800 ludzi.

Victor: 16,000 żołnierza; źródła francuzkie mówią zaledwie o 6,000. Przypuśćmy, że w dniu 25 stycznia powiększył cesarz jego korpus do 8,000 żołnierzy. Pod La Rothière dywizya Duhesme, tworząca sama jedna wyłącznie korpus Victora, miała 7,000 ludzi w szeregach. Jasnym jest przeto, że Victor *nie mógł* posiadać 16,000 ludzi, gdyż w przeciągu dwóch tygodni bez bitwy nie straciłby 10,000.

Marmont: 18,000, podczas gdy źródła francuzkie przyznają mu istotnie niemal 13,000. Pod La Rothière przecież korpus jego składał się wyłącznie z pięciotysięcznej dywizyi Lagrange'a, gdyż dywizyę Riccarda (4,000 ludzi) musiał, oczywista, odstąpić Gérardowi, który początkowo rozkazywał wyłącznie 4,000 gwardzistów narodowych. Prócz tego pozostawił Marmont tyle wojska w Metz i innych fortcach, iż tem właśnie łatwo sobie wytłumaczyć ów brak jeszcze drugich czterech tysięcy.

Ney: według zupełnie wiarogodnych wykazów francuzkich, posiadał 7,000 ludzi, z czem zgadzają się na dzień 1-go lutego i twierdzenia sprzymierzonych. Tutaj osobno trzeba doliczyć pięciotysięczną dywizję Rothenburga. Jazdy posiadali francuzi, jak zapewniają, w sumie 9,750 koni.

Wypływa więc ze źródeł francuzkich, iż w pierwszej połowie stycznia marszałkowie Victor, Marmont, Ney prowadzili ze sobą 33,000 żołnierza. Do nich przyłączył następnie cesarz 4,000 Gérarda, 5,000 Rothenburga, i, być może, 2—3,000 jazdy, ponieważ w dniu 1 lutego wystąpiło, jak ten i ów twierdzi, na plac boju 23, albo i więcej szwadronów jazdy gwardyjskiej, której poprzednio nie było; kto wie, czy nie przybyło również ze 2,000 posiłków dla Victora. Francuzi piszą jedynie o 10,000 posiłków. Lecz nawet i w takim razie obliczenia Kocha na dzień 1 lutego 9,000 konnicy i 29,000 piechoty są, oczywista, zbyt niedostateczne, gdyż w takim razie, biorąc poza nawias Marmonta i Gérarda, pozostałoby dla Victora i Ney'a zaledwie 14,000 żołnierza, jakkolwiek aż do połowy stycznia bez posiłków posiadali 13,000 ludzi, z czego wypada, że przez dwa tygodnie straciliby 6,000—7,000, a tu jedynie źródła mówią o straconych 2,000 w Brienne.

Z tego wszystkiego wynika, że Napoleon, po szczerbach, wyłamanych w dniu 1 lutego, jeszcze rozporządzał 30,000 karabinów i 12,000 konnicy.

Tę ostatnią, tak znaczną sumę uznajemy za wiarogodną dlatego, że już 9 lutego pod Nogent wystawił 18,000 jazdy, rodzaju broni najcięższej i najtrudniej formowanego, z czego wnosić należy, że przez tydzień nie zdołałby zebrać więcej, niż 6,000 świeżych jeźdźców. Dnia 25 zresztą posiadał 15,000 jazdy pod Troyes i 4,000 jazdy na północy, co całkowicie zgadza się z powyższemi cyframi. ✓

Sprzymierzeni obliczają swoje siły w dniu 1 lutego na 85,000 bez rezerw, z których atoli i tak 5,000 weszło w końcu na linię bojową. Nie może tedy być mowy o przewadze „potrójnej,” jak gawędzą francuzi; istniała przecież po stronie pierwszych przemoc dwa razy silniejsza.

Mortier pod Troyes miał dywizję gwardyi Michela i Frianta, prócz tego jedną dywizję konnicy. Wszystko razem miało wynosić rzekomo 12,000 ludzi; trudno przecież wierzyć, gdy zważymy, że Michel i Friant wyprowadzili potem pod Montmirail razem zaledwie 4,000 żołnierza. Wprawdzie w dniu 22 stycznia pod Fontaine stracił Mortier 1,500 ludzi w bitwie z Giulay'em, który sam poniósł jeszcze większe szczyby; potem w okolicach Troyes mogło kolejno ubyc z pięciuset ludzi.

Wolno tedy całe wojsko Napoleona nad Aube szacować na 54,000 ludzi, to jest na tyle, ile dają mu sprzymierzeni w dniu 5 pod Troyes. Z tego

stracił, prócz wyżej wspomnianych 2,000 Mortiera, 2—3,000 pod Brienne, 6,000 pod La Rothière, jeszcze—jak utrzymują—6,000 wskutek dezercyi ogólnej. Nadto na karb odwrotu i zmęczenia trzeba odrachować 1,000 ludzi. Otrzymamy tedy sumę 18,000 żołnierza, a ponieważ sprzymierzeni liczbę jeńców podają o 1,000—2,000 wyższą, nizeli źródła francuzkie, przeto można cyfrę strat podnieść do 20,000. Słuchając tedy ślepo źródeł sprzymierzeńców, trzeba przypuścić, iż Napoleon aż po 9-ty lutego 20,000 ludzi zużytkował na rezerwy, co byłoby rzeczą niesłychanie dziwną. I chyba tylko celem jeszcze większego zagmatwania prawdy utrzymują dziejopisarze sprzymierzonych całkowicie poważnie, że ruszył on przeciw 51,000 Blüchera z 35,000—40,000 żołnierza, zostawiając pod Nogent całe 30,000. Miałby tedy nie „53,000,“ lecz 65—70,000 ludzi, albo raczej, ponieważ owa sprzeczność jest już zbyt widoczną, zasłaniałby Paryż przed olbrzymią armią Schwarzenberga jedynie z pomocą 10—15,000 ludzi, co także bezwzględnie nie zgadza się z prawdą.

Francuzkie źródła też podają liczbę wojsk, z którymi rzucił się na Blüchera, o wiele niższą. A mianowicie:

Konnica gwardyjska: 4,200; 1-szy i 2-gi korpus kawaleryi: 3,600; gwardya przyboczna: 900; razem: 8,700 jeźdźców; przypuścimy: 9,000. (Ponie-

waż 5-ty i 6-ty korpus kawaleryi liczyły dnia 25 jeszcze przeszło 7,000 jeźdźców, do których należy dołączyć 2,000 dragonów, przeto cały ten rachunek zgadza się z powyżej wymienionemi „18,000 jazdy“). Dalej: Stara gwardya pod Mortierem: 4,000 żołnierza; korpus Mormonta: 3,200; Ney (Decouz i Meunier): 2,500. Razem przeto 9,700 piechurów, przypuścemy: 10,000. Obie bronie popołu dochodziły do liczby (19,000) ludzi, co zgadza się mniej więcej z owymi 52,000 pod Troyes (po odrachowaniu owych 30,000). Do tego, oczywiście, należy dodać 1,000 artylerzystów.

Wobec takich liczb nieznacznych — choćby one nawet sto razy powtarzały się w raportach dziennych — trzeba nasamprzód przypuścić, iż forsowne marsze porobiły szcerby znaczne wśród szeregów piechoty. Ponieważ obie dywizye Ney'a w dniu 25 liczyły jeszcze 2,200 ludzi, poniósłszy w dniu 11-ym straty najważniejsze, przeto nie mi niemy się z prawdą, podnosząc ich cyfrę do 3,500 ludzi. Również i starą gwardyę, która później (Friant i Christiani pod Mortierem) liczyła prawie 4,000 żołnierza, spokojnie możemy podnieść do cyfry 5,000 ludzi. Piechota Marmonta, straciwszy przecież w dniu 10, 11 i 13 najmniej 500 ludzi, w dniu 26-ym posiada w swych szeregach 3,700 ludzi. Również i jego korpus jazdy (1-szy Bordesoulle'a, poprzednio Doumerca) w dniu 26-ym po-

siada dwa razy tyle żołnierza, co w dniu 10-ym, kiedy-to liczył zaledwie 1,200 koni. Przypuśćmy więc, że i Marmont rozporządzał zastępem znaczniejszym, bo 4,000 pieszych, tak, iż cała piechota, według obrachunku poprzedniego, musiała dochodzić do liczby 13,000. Straty, poniesione w stosunku sił, posiadanych w dniu 28-go stycznia, są znaczne: Ney ze swoich 7,000 stracił połowę; Mortier niemal połowę (jego dywizya jazdy łączy się z dywizyą gwardyi); Marmont (do którego pięciu tysięcy Lagrange'a przydano 4,000 Riccarda) utracił więcej niż połowę; wogóle wszystkie straty dorastały do wysokości 12,500 ludzi. Zapewne jednak Mortier początkowo mniej liczył wojska, aniżeli podają źródła.

Siły zbrojne Napoleona nie mogły przenosić 23,000 żołnierza, co przewyższa rachunek pisarzy francuzkich, jak już wykazaliśmy, o jakie 3,000—4,000 ludzi.

Dywizya Levala, złożona z 4,500 ludzi, posuwająca się ku Sezanne, nie weszła na linię bojową i należy wskutek tego do owych „30,000,“ rozciągniętych nad Yone i Sekwaną.

Gdyby Napoleon posiadał *więcej* niż „53,000,“ wliczając w to wszystkie nadchodzące posiłki (z Macdonaldem prawie 63,000), to wśród zgromadzonych w dniu 26 lutego 90,000 żołnierza (74,000 pod Troyes i 16,000 na północy, odliczając 5,000

straty w zabitych i rannych oraz 1,000 padłych podczas marszów) zaledwie 15,000—20,000 (zamiast 43,000) wypadłoby na świeże posiłki. Taki zaś obrachunek sprzeciwia się rzeczywistości, gdyż z samej armii Soulta przyciągnęło 20,000 ludzi; prócz tego zdołał Napoleon uruchomić jakieś 40,000 rekrutów i gwardzistów narodowych, z których tylko garść nieduża odmaszerowała do Augerau w Lyonie.

Każdy przeto, z chęcią lub wbrew woli własnej, będzie musiał przyznać, iż Napoleon na dzielnego Blüchera rzucił się z zastępem o $\frac{2}{3}$ słabszym od liczby wroga.

Atak podwójny na Blüchera i Schwarzenberga.

Pochód skierowano prosto na Champaubert, gdzie korpus nieprzyjacielski Olsuwieffa tworzył ogniwo odosobnione wśród rozczłonkowanej armii Blüchera.

W nocy z 9-go na 10-go lutego spał cesarz w Sezanne, zkąd 10-go o świcie wyruszył; o 9-jej rano połączył się z Marmontem. Most pod St. Prix poprzez Petit-Morin obsadzono już dnia poprzedzającego; wąż uciążliwy przebyto z wytężeniem wszystkich sił, tak, iż przed 10-tą korpus księcia

Raguzy, maszerujący z pośpiechem od ranka wczesnego, rzucił się na szeregi Olsuwieffa. Wnet ten ostatni spostrzegł, iż otoczono go zupełnie; wzgórza bowiem lesiste zasłaniały poruszenia francuzów, a ich działom dawały pozycją przewyborną; o godzinie 3-ej po południu wyparto go ze stanowiska, napędzając na zaczajonych kirasyerów Bordesouille'a. Przetrzepały go porządnie również i dwa szwadrony jazdy gwardyjskiej. Utarczka krótka, lecz zacięta. Napoleon pędził nieprzyjaciela przed sobą z miejsca na miejsce, celem wyciągnięcia wszystkich korzyści. Stało się według jego życzenia: z 4,700 nieprzyjaciół uszło zaledwie 1,500 pod osłoną zmierzchu zapadającego, ścieżkami leśnymi ku Vertus, niosąc Blücherowi nowiny wcale niepocieszające. Jakiś rekrut francuzki złapał samego wodza naczelnego i puścił go dopiero przed obliczem cesarskiem. Zdobyto 15 dział. Francuzi stracili zaledwie kilkuset ludzi. Piechoty wprawdzie więcej, niż nieprzyjaciel, nie mieli; część atoli piechurów Ney'a wspierała główną armię ogniem tyralierskim. W każdym razie przecież trzeba pamiętać, iż nieprzyjacielowi zgoła brakowało konnicy (zaledwie miał 21 jeźdźców), nadto zaś znajdował się w ogniu przeważającej liczbą artyleryi. Tysiąc pięciuset jeźdźców, rzuconych na piechotę zalekniętą, znaczą tyle, co dwa razy liczniejsza piechota; ów pewnik sprawdził się i tym razem.

Tymczasem połączyły się korpus Ney'a i konnica gwardyjska z oddziałami Marmonta. Żołnierzem natychmiast owładnęła radość niezmierna ze zwycięstwa; wszyscy nabrali na nowo wiary serdecznej w gwiazdę swego cesarza genialnego. Las pod Champaubert nazwali w mgnieniu oka „lasem czarodziejskim;“ wyobraźnia galijska znowu rodziła fantazyje jaknajśmielsze. Napoleon, niezwykle zadowolony szczęśliwym wynikiem walki, z ruchliwością sobie zwykłą wydał natychmiast rozkazy odpowiedniego wyzyskania zwycięstwa. Licniejsza część armii szląskiej, w środek której, niby klin, wpakował się na wielkim gościńcu wojennym ku Montmirail, znajdowała się w stronie, zwróconej do Paryża. Chodziło teraz o to, by właśnie ową część napędzić marszałkowi Macdonaldowi pod Meaux. Stosownie więc do takiego celu posłał natychmiast do niego ordonansów, aby wlać w niego otuchę i zachęcić do ataku. Równocześnie kilku oficerów skoczyło do Paryża, celem obwieśzczenia stolicy przerażonej, że „gwiazda“ znowu świeci blaskiem jaśniejszym.

Jeszcze o północy posunął się Nansouty ku Montmirail, prowadząc jazdę i garść piechoty; chodziło teraz o zawładnięcie pośpiesznie tem ważnym miejscem węzłowym. Za nim w pobliżu postępowała stara gwardya i jazda liniowa. Marmont otrzymał 1 i 2 korpus kawaleryi, dowodzone przez Grou-

chy'ego, i dywizję Lagrange'a; jego zadanie zasa-
dzało się na zajęciu Etoges i strzeżeniu tyłów od
Vertus.

Pozostałe wszystkie oddziały otrzymały rozkaz
do wymarszu natychmiastowego; również i cesarz,
przespawszy się chwilę, puścił się w drogę ze szta-
bem; ciemności jeszcze zwieszały się nad ziemią:
nie było 5-ej. O godzinie 10-ej przybył do Mont-
mirail; już przed miastem na szosie zawiadomiono
go, że Nansouty, wypędziwszy pułk nieprzyjaciel-
ski, całą miejscowość doskonale obsadził.

Po chwili zameldował generał osobiście cesa-
rzowi, iż od północnego zachodu ukazały się silne ma-
sy nieprzyjaciół, ciągnące na miasto w pogotowiu
bojowym. Musiał to być, oczywista, Sacken, ponie-
waż York stał na północy koło Chateau Thierry.
Uprzedzono tedy jeszcze na czas pierwszego z nich
i zasłonięto przed nim Montmirail. Cesarz rozkazał
wszystkim kolejno nadciągającym oddziałom prze-
chodzić przez miasto, poczem umieścił żołnierzy na
przewybornem, przeważnie zasłoniętym stanowi-
sku. Nansouty wprawdzie posunął się dalej szosą,
wnet atoli musiał się cofać wobec przewagi licze-
bnej napierającego wroga. Wreszcie huknęły
pierwsze strzały armatnie. Cesarz pośpieszył na
wzgórze, widniejące przy wsi Marchais z lewej
strony szosy. Cała konnica gwardyjska wzmocniła
straż przednią Nansouty'ego, odrzuciła porządnie

w tył jazdę nieprzyjacielską i rozwinęła się po prawej stronie szosy, to jest tam, gdzie musiałby się ukazać zbliżający się York. Nieprzyjaciel tymczasem rozwinął się we front; pokazało się, że Sacken postanowił szturmem natarczym otworzyć sobie drogę i oczyścić gwałtownie szosę. Pod Montmirail, oczywista, spodziewał się spotkać z Yorkiem, nadciągającym od północy, i Blücherem, śpieszącym ze wschodu. Natychmiast tedy zawrzał bój tak straszny, że dywizya Riccarda z trudnością wytrzymała ataki Sackena, chcącego koniecznie zdobyć wieś Marchais. Ney tedy stale posyłał owym tysiącu dwustu ludziom posiłki; wkrótce cała jego korpuz, 2,500 żołnierza, znalazł się w ogniu. Wciąż huczący ogień rotowy świadczył o gwałtowności starcia. Napoleon z właściwą sobie bystrością wnet dostrzegł jeden zgubny błąd nieprzyjaciela. Ziemia mianowicie była tak rozmiękkłą i do przebycia trudną, że żołnierz Sackena tylko z mozołem wielkim poruszał się naprzód. Ten ostatni w dodatku całkowicie zeszedł z szosy, ponieważ jedną jej część francuzi obsadzili, drugą zaś gwałtownie ostrzeliwali; zeszedł, aby, posuwając się wciąż ku południowi, obejść Montmirail. Wskutek tego ruchu na prawo, jego linia bojowa na drugim skrzydle również nie dosięgała szosy; drobne oddziały tyralierskie jedynie pełniły tam służbę wędetową. Dalej od zachodu za pierwszą linią wal-

czącą, pod Haute Epine, na południo-zachód od szosy, stały wyłącznie baterye, wyrządzające szkody dokuczliwe, a dopiero znacznie w tyle druga linia. To rozłożenie sił wroga było niesłychanie na rękę mistrzowi strategii! Pierwszą dywizyą gwardyi mógł rozporządzać natychmiast. Druga dywizya Michela przybyła dopiero w południe do Montmirail i dlatego też cesarz z początku zwłóczył z walką stanowczą, stosownie do swej zasady, aby zawsze atakować skupioną siłą. W razie, gdyby York zdążył jeszcze nadciągnąć, musiałby obrócić przeciw niemu Michela.

Polecił Friantowi, aby jedną brygadę ustawił wprost na szosie; za rezerwę dodał jej własną gwardyę przyboczną (*gardes d'honneur*), która dnia tego właśnie pełniła przy nim służbę. Cztery szwadrony tej ostatniej, prowadzone przez generała Guyota, od lewego skrzydła Frianta, i dwa pułki weteranów na szosie oddał pod osobiste dowództwo Ney'a. Tego ostatniego zadaniem miało być zdobycie bateryi i rozpędzenie drugiej linii. Ponieważ francuzi znajdowali się na szosie, mogli poruszać się daleko prędzej i doskoczyć do nieprzyjaciela niespodziewanie. Tak też i stało się. W mgnieniu oka droga była wolną i bezpieczną; baterye nieprzyjacielskie odjechały z pośpiechem; następnie zaś atak, wymierzony od frontu i ze strony południowej, zachwiał drugą linią wroga; Haute Epine wydarto

mu i lotem błyskawicy otoczono pierwszą linię od lewego skrzydła. Było to o wpół do czwartej; wróg atoli pod Marchais walczył z zaciętością niesłychaną. Jego waleczność tembardziej zasługiwała na podziw, iż musiał być niesłychanie zmęczony pochodem całonocnym, ponieważ jeszcze dnia poprzedzającego znajdował się na leżach koło Meaux. Zapewne jednak spostrzegł, że wytrwanie na stanowisku dotychczasowem jeszcze najmniejsze kryło niebezpieczeństwo, podczas gdy odwrót po ziemi rozmięklej, przez którą przejść oraz którą zdobyć tak przyszło trudno, zgotowałby mu klęskę niesłychaną. Od pół godziny słychać było od prawego skrzydła żywy huk armatni; York tedy już nadciągnął i dywizya Michela, którą Napoleon wysłał z Montmirail szosą w kierunku północnym, musiała już się tam z nim potykać. Konnica Nansouty'ego, 4,200 ludzi, ostro zwarła się podczas tego z kawalerją sprzymierzonych, nie tracąc atoli z oka śpieszącej od północy jazdy pruskiej.

Z powodu, że nieprzyjaciel wściekle rzucał się na przód, aby znowu owoić Haute Epine, Ney również musiał prosić o posiłki. Ponieważ w tem właśnie miejscu miał się rozstrzygnąć los bitwy, posłano mu natychmiast i drugą brygadę Frianta. W taki sposób kłębiła się bitwa bezskutecznie jeszcze przez pół godziny, a Napoleon widział pogorszające się z każdą minutą położenie rzeczy. Piecho-

ta wroga, wprawdzie i zmęczona i znajdująca się na terenie wielce niekorzystnym, miała nawprost siebie żołnierza bardziej wypoczętego, żołnierza bardziej przejętego nadzieją zwycięstwa, wszystkie jednak cztery dywizye Ney'a w tem miejscu liczyły zaledwie 7,500 bagnetów, podczas gdy Sacken prowadził ze sobą tylko tutaj podwójną ilość żołnierza. Lecz zkądże wziąć rezerw, aby przecież jakiegokolwiek osiągnąć zwycięstwo? Pozostawał zaledwie jeden środek: Dwa bataliony dywizyi Michela, które dotychczas bawiły się tyralierką umiarkowaną, musiały z prawego skrzydła ruszyć na szosę. W ich rękę wyłącznie spoczywało powodzenie. Celem osiągnięcia tego ostatniego, trzeba było wyteńczyć wszystkie siły; zamiast tedy szefów batalionów stanęli przed frontami dwaj marszałkowie i poprowadzili żołnierza na bój ostateczny. Oba te bataliony starej gwardyi—jeden pod wodzą marszałka Lefebvre, księcia Gdańska, drugi prowadzony przez wielkiego marszałka pałacowego i generała komenderującego Bertranda—wpadły z poza Marchais na tyły nieprzyjacielskie. Za nimi pchnął cesarz ostatni pocisk, sześć szwadronów gwardyi przybocznej, pełniących służbę, pod wodzą śmiałego generała dywizyi Defrance'a. Dzięki temu bitwę wygrał. Połączonemu atakowi ze wszystkich stron nieprzyjaciele ulegli i poszli w rozsypkę, kryjąc się po zaroślach i w gaju pobliskim.

Zmierzech zapadał; godzina piąta minęła. Napoleon odetchnął spokojniej i natychmiast rozkazał nacie-
rać jaknajgwałtowniej; od północy przecież, zkad
prusacy nadciągali na odsiecz Sackenowi, rozlegał
się gromki ogień karabinowy. Należało tego świe-
żego przeciwnika przyjąć nader ostro.

Korpus sprzymierzonych, usiłujący cofnąć się
poza prusaków, zniszczy się sam przez się odwro-
tem po takim obrzydliwym, błotnistym gruncie.

Nie potrzeba ścigać go zbyt natarczywie.
Wzamian za to jednak należy prusakom zgotować
przyjęcie gorące. Dywizya Michela, zazdrosna
o wawrzyny, zdobyte przez oddziały tuż obok niej
walczące, podczas gdy ona stosunkowo przez
dzień cały była niemal bezczynną, ucieszyła się
tem, że godzina jej wybiła. Rozpoczęła ona tak
gęsto walić z dział i strzelby ręcznej, iż prusacy,
całkowicie, ale to całkowicie zachwiani, cofnęli się;
ich komendant, brygadyer Pirsch, padł ranny. Po-
tem biegiem wypadła stara gwardya z zarośli i od-
rzuciła wroga spory kawał w tył; bitwa, podsycona
przez nadbiegłych żołnierzy Frianta, trwała do
wpół do ósmej wieczorem, aż wreszcie nocne
ciemności nieprzejrzane zmusiły francuzów do za-
przestania pościgu.

Ostatnie strzały padły; francuzi mogli zapisać
piękny dzień chwały w swych rocznikach wojen-
nych. Z trudem, lecz tem właśnie zaszczytniejsze

wywalczyli zwycięstwo; 2,000 towarzyszków pokryło pobojowisko. Padło również wielu oficerów sztabowych, między nimi także i generał dywizyi Michel, okryty tak ciężkimi ranami, że musiał udać się do Paryża. Zastąpił go generał Christiani. Do trofeów zwyciężkich należało 15 armat nieprzyjacielskich i 800 jeńców. Sprzymierzeni stracili 2,500 zabitych i rannych; 800 ludzi zabrała bitwa prusakom.

Po stronie francuzkiej, która wszystkich żołnierzy co do jednego rzuciła w ogień, walczyła niespełna 15,000 ludzi. Mieli oni przewagę jedynie pod względem jazdy i znacznie większej liczby dział; piechota natomiast dosięgała co najwyżej ilości 10,000 bagnatów, z czego 2,500 żołnierzy Michela (odliczając dwa bataliony, skierowane przeciw sprzymierzonym) poszło na prusaków, posiadających co najmniej 7,000 ludzi. Nie należy jednak zapominać, iż ci ostatni rozpoczęli atakować, i to na początek z pomocą 3,000 ludzi, dopiero wtedy, gdy już Napoleon, rozbiwszy Sackena, mógł zaraz Michelowi posłać posiłki odpowiednie. Umiejętnością prowadzenia bitwy dowódcy francuzcy wyrównali przewagę sprzymierzonych, którzy piechoty mieli z pewnością dwa razy więcej.

Właściwe owoce zwycięstwa dojrzewają dopiero po bitwie; w wyzyskiwaniu ich Napoleon był mistrzem prawdziwym. Już o świcie musiał Mor-

tier z najdalej wysuniętą dywizją Christianiego i stosowną ilością jazdy rozpocząć pościg. Naza jutrz rankiem wczesnym, chcąc osobiście przekonać się o kierunku odwrotu, sam poprowadził całą konnicę na tyły uciekającego nieprzyjaciela; plan swój wykonał z przezornością bystrą, jak zwykle. Pozostałe wojsko z jego rozkazu rozłożyło się na leże krótkotrwałe, by ugotować strawy ciepłej i wypocząć. York i Sacken uratowali się z trudem wielkim, przeprawiwszy się na drugi brzeg Marne'y; mnóstwo dział i bagaży wpadło w ręce francuzów; 3,000 sprzymierzonych życiem zapłaciło za ocalenie towarzyszków. Macdonald natomiast, który otrzymał rozkaz stanowczy posuwania się w kierunku Chateau Thierry, począwszy od dnia 10 lutego, nie zjawiał się. W razie przeciwnym byłby zaskoczył Yorka w odwrocie i zgnębił go do reszty.

Stanąwszy tu, przed Chateau Thierry, cesarz natychmiast cofnął się z powrotem. Chciał dać wojskom jeden dzień odpoczynku. Wtem w d. 13 lutego wieczorem otrzymał depeszę od Marmonta: Blücher pod Etoges zmusił go do odwrotu. Wiadomość niezwykle pożądana. Stary feldmarszałek tedy, nie wiedząc o zaszłych wypadkach, sam wpada w sieci. Natychmiast wysłano do Marmonta rozkaz, aby szosą ku Montmirail cofał się aż do Vauchamps; cała zaś armia musiała pośpiesznym marszem nocnym zdążać ku Montmirail na ranek

następny; przodem poszła tamtędy główna kwatera cesarska. Jedyne tylko dywizya jazdy gwardyjskiej Colberta, przeszedłszy Marne zamarznąją, ścigała dalej Yorcka w kierunku północnym.

W dniu 14 o 8-ej rano ruszył Napoleon wraz z wojskiem ku Vauchamps, dokąd cofał się z wolna, krok za krokiem, i Marmont. Blücher, ścigając go zapalczywie, wpadł w pułapkę.

Właściwa bitwa rozpoczęła się dopiero w południe. Przedtem nadbiegł jeszcze Friant, w dniu 18-go zostawiony na zachód od Montmirail, a potem Nansouty; prócz tego znaczna część z polecenia Napoleona wypoczywała po marszu całonocnym. Zgromadził on tutaj prawie wszystkie swoje siły, około 8,000 ¹⁾ jazdy i, odliczając straty, prawdopodobnie nie więcej nad 5,000 strzelb. Dywizya weteranów Levala, 5,000 żołnierza, która, wysłana przez Soult'a, połączyła się z armią cesarską pod Champaubert, nie weszła tym razem w ogień, tak, iż cesarz naprawdę rozporządzał zaledwie 7,000 jazdy i najwyżej 4,000 karabinów, a mianowicie korpusem Marmonta i częściczką dywizyi Frianta, tudzież artyleryą gwardyi Drouota. Ta wielka właśnie przewaga konnicy i dział, która podczas od-

¹⁾ Odliczając 1,000 koni Colberta. Natomiast była obecną i brała czynny udział gwardya przyboczna Defrance'a, której liczba dokładnie niewiadoma.

wrotu gorzko dała się we znaki o wiele silniejszym korpusom Yorka-Sackena i później również ciężko zaważyła na szali, ponieważ Blücher prowadził ze sobą zaledwie 1,000 kirysników ¹⁾. Pod każdym innym względem, a zwłaszcza co do piechoty, miał podwójną ilość żołnierza,—a zważywszy nawet na istotnie nieznaczną liczbę piechurów francuzkich, zużytkowywanych w ogniu, posiadał cztery razy tyle piechoty ²⁾.

Przednią straż, dowodzoną przez generała Zie-thena, 3,000 ludzi, otoczył Napoleon około godziny 2-jej po południu, wysławszy generała Guyota z czterema szwadronami gwardyi przybocznej, która już pod Montmirail oddała usługi niezmierne, w kierunku północnym, celem zaskoczenia prusaków z boku; kirasyerzy Grouchy'ego popędzili w ich ślady. Mimo szalone wysiłki konnicy pruskiej, rozbito ją na miazgę; taki sam los spotkał i całą straż przednią poza Vauchamps z chwilą, gdy wy-

¹⁾ Według Müfflinga; ten ostatni atoli zapomniał doliczyć brygady jazdy Hackego, która prawdopodobnie posiadała 500 ludzi. Razem tedy 1,500 jazdy.

²⁾ Dwadzieścia jeden tysięcy pięćset żołnierza, *włączając* 1,500 niedobitków Olsuwieffa. Müffling podaje siły Blüchera (bez owych 1,500) na 16,000. Nawet w takim razie miałby on przewagę liczebną nad francuzami, których w ogień poszło niewiele.

szła z lasu na pole otwarte. Stało się to w oczach Blüchera, zmuszonego patrzeć beczynnienie na pogrom podobny. Armia jego bowiem zanadto rozciągnęła się w tył; rozwinać się w szyk bojowy było niepodobieństwem czystem. To też środek armii, który podczas tego wynurzył się z lasu, natychmiast rozpoczął odwrót na Etoges, po obu stronach szosy. Zaledwie Napoleon bystrym swym wzrokiem dostrzegł pierwsze owego cofania się znamiona, zaraz zarządził środki jaknajbardziej stanowcze.

Samą szosą ruszyła wyłącznie artylerya gwardyi; pociski żelazne Drouota, który wciąż posuwał się na przód, rozrywały boki maszerujących kolumn Blüchera. Jazda gwardyi, 3,300 koni, z południowej strony szosy nieprzerwanie wycinała w pień piechotę nieprzyjacielską, która co chwila musiała tworzyć czworoboki, by jako tako odeprzeć natarcie francuzów; jej zachowanie się zresztą było dzielnem. Tymczasem z północnej strony szosy knuto przeciw prusakom zamiar wielce zgubny. Cała bowiem liniowa konnica Grouchy'ego, zatoczywszy spore półkole, dążyła obecnie ku drodze, aby odciąć Blüchera od lasu Etoges, który niechybnieby go zasłonił. Wprawdzie błoto gęste i bagna głębokie utrudniały koniom tę przeprawę, a przez to i opóźniły zajęcie pozycyi,—lecz równocześnie i prusacy, szarpani bezustannemi atakami

Nansouty'ego, musieli co chwila przystawać, tak, iż Grouchy zdążył przybyć do celu i rozwinąć się w cztery linie. Słońce chyliło się ku zachodowi; prusacy na swoich tyłach ujrzeli nadciągające szosą szeregi starej gwardyi w kołpakach niedźwiedzich — od czoła znowu ostatnie promienie światła dziennego obrzucały nieskończenie długą czarną linię jazdy, malującą się na tle ciemnem boru. Z chrzęstem głośnym szwadrony pędzące rozdzieliły się na obie strony szosy. Okrzyk *Vive l'Empereur!* — obawę wokół siejący, nadzieją zwycięstwa przesiąknięty, zabrzmiał w powietrzu; cztery tysiące ciężkiej jazdy, rozwiniętej we front, ku drodze zwrócony, masą zwartą rzuciło się na prusaków.

Co nastąpiło potem, należy do najdziwniejszych wypadków wojennych. Ponieważ Grouchy chciał, oczywiście, wszędzie przeciąć prusakom drogę, przeto musiał podzielić korpus na części i nie zdołał na jeden punkt skierować wszystkich sił. Nadto bataliony pruskie walczyły z męstwem niesłychanem; księżę August pruski, który już pod Probstheidą bił się po bohatersku, obecnie również odznaczył się niezwykle dzielnie. Wśród hucznych dźwięków muzyk pułkowych, wybębnięcia marsza jeneralnego, okrzyków uporczywych, z bagnetem w ręku torowano sobie drogę do lasu poprzez wir skłębiony jeźdźców. Stał ścierała się

o stal; salwy karabinowe i armaty huczały ustawicznie.

Sam Blücher stary ściągnął mocniej rzemie-
nie od szabli, przepasujące gruby płaszcz w bio-
drach, na wypadek potrzeby odbicia pałaszy nie-
przyjacielskich; istotnie też orszak jego musiał kil-
kakrotnie bronić się, to białą bronią, to pistoletami.
Artylerya pruska po większej części uszła w las
i czempredziej puściła się do odwrotu. Wściekli, że
im wymknęła się zdobycz tak znaczna, z tem wię-
kszą zaciętością rzucili się kirasyerzy i dragoni
Grouchy'ego na piechotę. Zaledwie z jednej stro-
ny zatrabiono: „Stój!“ „W tył!“ „Do szeregu!“
i słyszano w ciemnościach chrzęst zawracających
się i cofających szwadronów,—natychmiast niemal
z drugiej strony w kilku innych miejscach trąbki
grały: „Równaj się!“ i „Do ataku!“—a po chwili na
nowo hełmy niezliczone błyszczwały wśród czarnych
czworoboków, których zdradzały poprzez ciemności
obrysy zatarte, odgłos kroków ciężkich i chrzęst
wozów.

Na skraju lasu dragoni spieszeni strzelali do
tyralierów pruskich, którzy chmarą gęstą rozlali
się między drzewami; ci dragoni dowiedli takiej
samej użyteczności, jak ongi na moście pod Ucelez,
gdzie przyszło do starcia z piechotą hiszpańską
Ducque de Infantado. Zresztą teraz nadbiegły do-
syć szybko i baterye Drouota; ustawiły się one

na długiej i rozległej polance, gdzie las zwracał się ku zachodowi, skutkiem czego cały bok nieprzyjaciela — korpus Kapcewicza — znalazł się w ogniu najstraszliwszym. Wnet również łańcuchy strzelców celnych Marmonta, nadleciawszy krokiem szybkim, opasały skrzydła prusaków po obu stronach. Od biedy na sto kroków odległości cel był dosyć widzialny, gdyż jakby umyślnie ci i owi z nieprzyjaciół ścinali młode sosenki i, zapalwszy je, używali zamiast pochodni. To światło migotliwe, brudne, jedynie francuzom przynosiło korzyść, gdyż mogli chwilami bardzo dokładnie oglądać wrogie zastępy, podczas gdy ich samych zakrywały ciemności nieprzeniknione. Widziano też starego feldmarszałka, z szablą w dłoni, latającego to tu, to tam, podczas gdy francuzcy generałowie jazdy wyłącznie głosem poruszali swe ciężkie i liczne oddziały. Ilekroć razy atoli przednie szeregi tych ostatnich znalazły się na przestrzeni oświetlonej, tyle razy w powietrzu brzmiało „Hurra!“ głośne, czem prusacy odpowiadali na rozkaz: „Gotów! Ognia!“

Niebezpieczeństwo rozbicia się tuż tuż przed portem ocalenia groziło Blücherowi jeszcze po kilkakroć razy, lecz wreszcie minęło. Przez długi czas bowiem należało się spodziewać wyniku jaknajgorszego, to jest zamknięcia i zwarcia się sieci francuskiej. Lecz wreszcie środek armii Blüchera

wsunął się całkowicie w las, jakkolwiek jej baterye, mające bronić wejścia do lasu, wpadły w ręce Grouchy'ego. Inne działa przewracały się w rowach, biegnących wzdłuż szosy. Ilekroć razy rezerwy jazdy pruskiej wysuwały się do ataku, celem częściowego przynajmniej zasłonięcia piechoty, tyle razy po utarczce zaciętej, pierś przeciw piersi, wpędzali ją francuzi nazad pomiędzy czworoboki. Piechota Marmonta nadbiegła wprawdzie na stanowisko, gdzie można było ostatecznie Blüchera otoczyć, lecz, co prawda, żołnierze byli zdyszani i nieliczni, tak, iż o szturmie poważnym i myśleć stało się niepodobnem. Przyszło jedynie do strzelaniny gęstej lecz bezużytecznej w samym lesie. Wszelkie zaś ataki z kopyta Grouchy'ego spełzły na niczem; jego artyleryi konnej nie udało się przejechać po ziemi zupełnie rozmięklej. Ta sama okoliczność kazała zwalniać nietylko pęd i galop koni, ale również bieg posuwającej się piechoty.

Lepiej przeciwnie powiodło się Ney'owi, któremu Napoleon powierzył natarcie jazdy na tyły wroga. Nieustraszony marszałek pierwotnie służył w kawaleryi i żywił dla tej broni zawsze pewną słabość. Już przedwczoraj, pod Chateau Thierry, kierował on pościgiem jazdy i złożył świetne dowody uzdolnienia w tym kierunku. To też częścią dzięki jemu, częścią ciemnościom, coraz to czarniejszym, jazda gwardyi wykonała świetny atak

na tyły Blüchera; dwa bataliony całkowicie w pień wycięto.

Napoleon, jadąc z wolna szosą, słyszał bicie w bębny, wrzawę okrzyków ogłuszających w szeregach wroga, jako też radosne wiwaty swoich żołnierzy, szum walki ręcznej, przerywany co chwila salwami karabinowemi w lesie Etoges. Na podstawie ciągłego falowania tych odgłosów, na podstawie stopniowego oddalania się wrzawy wojennej, musiał wreszcie wywnioskować, iż Grouchy'emu nie udało się właściwie przełamać głównego środka nieprzyjaciół. Noc zapadła. Teraz ozwały się zewsząd po stronie francuzkiej nawoływania do apelu — marszałek Ney zarządził takie środki ostrożności, aby zapobiedz rozproszeniu i zabłąkaniu się jazdy. Pościg w lesie przedstawiał nader wiele trudności. Napróżno dźwięczały głośno sygnały, wzywające do pośpiechu; napróżno zaczęto teraz również posługiwać się pochodniami, aby rozświecić sobie drogę. I światła i rumaki, ni by zaczarowane, nie posuwały się na przód.

Wszystkie hufce Nansouty'ego i Grouchy'ego skupiły się w lesie. Napoleon, jeszcze niezadowolony wynikiem dotychczasowym, postanowił wyzyskać niezawodny popłoch i zamieszanie w szeregach nieprzyjacielskich; miano napaść je raz jeszcze tej samej nocy. Piechota Marmonta po odpoczynku dwugodzinnym, gdyż tutaj niemal całe

zadanie spadło na barki konnicy, otrzymała o godzinie 8-ej rozkaz ścigania wroga pospołu z dywizją jazdy Doumerca aż do Etoges. Niemordowany korpus spełnił to polecenie. Dywizya Lagrange'a, skierowawszy się na drogę znacznie krótszą, otoczyła niepostrzeżenie wieś i z grzmiącym *Vive l'Empereur!* rzuciła się na straż tylną. Blücher, który już sobie winszował, że stosunkowo jeszcze nieznaczną złożył daninę temu piekielnie obmyślanemu planowi, ocknął się teraz nagle, targnięty szorstką nader dłonią. Tutaj szczególnie korpus sprzymierzonych ciężkie poniósł straty. Wogóle prusacy utracili 4,000 ludzi, sprzymierzeni więcej niż 2,000; nadto 16 dział wpadło w ręce zwycięzców, którzy cały tryumf opłacili zaledwie 600 ludźmi.

Napoleon, przyjrawszy się owocom bitwy, posłał do Paryża brańców i trofea, jako dowód szczęścia, wraz z zapowiedzią szumną: „Armia szlązka już nie istnieje.“ Sam przecież w duchu ani na chwilę nie uważał Blüchera za zgniecionego *całkowicie*. Dlatego też postanowił w dalszym pościgu aż po Chalons rozbić ostatecznie jego szczątki, następnie zaś poprzez Vitry wpaść na tyły armii czeskiej. Mógł tam skutkiem takiego ruchu nasamprzód zniszczyć parki i zapasy rezerwowe, poczem dopiero wymierzyłby atak w tylną straż Schwarzenberga. Lecz właśnie nadbiegły depesze

Victora tudzież Oudinota, donoszące, że musieli wobec naporu tłumów tak przeważających cofnąć się poza Nangis, Montereau i Fontainebleau, skutkiem czego odsłonięto Paryż. Napoleon w tej chwili porzucił plan ścigania Blüchera, którego uważał za niegroźnego przynajmniej na jakiś tydzień, a miasto tego wolał bronić Paryża. Ów zamiar tembardziej przypadł mu do smaku, że rozciągnięcie nadmierne armii czeskiej, które odgadywał bystro, jak zwykle, ze wszystkich depesz, dostarczało mu sposobności do rozwinięcia takiej taktyki, jak przeciw Blücherowi. Brygadyera Bourmonta, który świetnie bronił Nogent, mianował odrazu generałem dywizyi; Victorowi przesłał depeszę, wyrażającą mu niezadowolenie cesarskie; Macdonaldowi kazał natychmiast cofnąć się z pod Meaux aż za Yonne (pod Guignes), bliżej ku Victorowi.

Teraz mógł on poprzez Montmirail lub Champaubert pomaszerować na Sezanne przeciw prawemu bokowi Schwarzenberga. Lecz czy udałby się manewr podobny podczas przykrej pory roku, i to w okolicy, gdzie miano do wyboru drogi podrzędne, szosa zaś dobrej zupełnie brakowało? Dłuższa droga szosą z Montmirail do Meaux przedstawiała tedy najwięcej korzyści. Zresztą jego szybkie pojawienie się w pobliżu Paryża zmniejszyłoby popłoch w stolicy, w tej samej stolicy, która teraz na nowo zaczynała po rozbiciu Blüchera wierzyć

w jego wielkość. Z uwagi na niebezpieczne knowania, tudzież prądy polityczne w Paryżu, jedynie w razie potrzeby stanowczej, nieodzownej, miał prawo zaniedbywać starania o bezpieczeństwo metropolii. Zresztą, rzucając się wraz z słabem i zmęczonym wojskiem w sam środek korpusów sprzymierzonych, narażał się na możliwość poniesienia stanowczej klęski jeszcze przed nadciągnięciem licznie wezwanych posiłków. Wybrał tedy plan, najwięcej przedstawiający pewności.

Już 15-go doszedł do Meaux. Gwardya pośpiesznymi marszami ciągnęła za nim przez 15-ty i 16-ty, przyczem jedna jej część jechała na wozach chłopskich, do pociągów artyleryjskich dodano konie pocztowe, co jaskrawo świadczy o zapale ludności wiejskiej. Już po południu 16-go przeniósł on kwaterę główną do Guignes, gdzie w ciągu dnia przybyli Ney, Friant, Nansouty. Tam właśnie stał korpus Victora, i ten to marszałek wraz z swymi towarzyszami, Macdonaldem oraz Oudinotem, przyjmował wodza naczelnego.

Marszałkowi Mortierowi z dywizją Christianiego, która została pod Chateau Thierry, tudzież z dywizją jazdy Colberta oraz Defrance'a, polecił w dniu 15-ym posunąć się ku Soissons i ubezpieczyć silnie a prawidłowo ową małą, opuszczoną warownię. Marszałek Marmont znowu miał wraz z korpusem jazdy Bordesouille'a pozostać na szosie,

prowadzącej ku Etoges, aby pilnować wszelkich ponownych zamachów Blüchera.

Niestrudzony mistrz wojny przez całą noc dozorował osobiście pośpieszny wymarsz z Guignes, tak, iż jeszcze przed świtem wypadł Victor z 5,000 ludzi, tudzież nowo utworzonymi korpusami jazdy Kellermanna i Milhauda—po większej części weterani hiszpańscy,—liczącymi 7,000 koni, na drogę ku Nangis. Zaskoczono tutaj niespełna 4,000 ludzi, którzy pośpiesznie usiłowali się wywinąć z owych objęć płomienistych.

Cesarz, osobiście pojechawszy na rekonesans, natychmiast spostrzegł, jak nieliczną jest stojąca przed nim straż przednia. Chodziło więc teraz o zmiążdżenie jej zupełne. Piechota musiała popędzić naprzód biegiem, jazda puściła się galopem, a jedna z brygad Milhauda nader szybko przecięła odwrót. Wnet przełamano ów oddział nieprzyjacielski, prowadzony przez hrabiego Pahlana, i wycięto go niemal w pień. Uszły zaledwie niedobitki słabe. Zabrano dziesięć dział. Francuzi posunęli się dalej ku Nangis i zastali tam bawarów—straż przednią Wredego, — którzy również w krótkim czasie ponieśli szczyrby nader znaczne. Na rozkaz cesarza, który wszedł do Nangis, urządził Victor do wspólni z jedną dywizją jazdy pościg gwałtowny. W dwie godziny później dopadł dywizji bawarskiej Lamotte'a pod Valjuan i, zada-

jąc jej straty znaczne, pędził ją przed sobą aż do Donnemarie. Otrzymał rozkaz owładnięcia jeszcze tego samego dnia miastem Montereau, punktem nader ważnym ze względów strategicznych, gdyż łączą się tam Sekwana i Yonne, oraz ciągnie się szosa paryzka, prowadząca ku Sens. Równocześnie posłał Napoleon na lewo Oudinota ku Provins, a Macdonalda ku Bray. Wszędzie przecież nieprzyjaciel zdołał cofnąć się zawczasu.

Dnia 17-go w Nangis otrzymał cesarz, ku wielkiemu zdziwieniu, list od Schwarzenberga za pośrednictwem jego adjutanta, hrabiego Paara; pod błahemi pozorami ofiarowywał mu tenże zawieszenie broni. Całkowicie słusznie domyślił się Napoleon, iż jest to tylko wybieg, mający wyratować sprzymierzonych z niebezpiecznego położenia. Kazał tedy parlamentarzowi czekać trzy dni na odpowiedź, zatrzymawszy go wśród forpocztów; lecz i sam równocześnie zmarnował niepotrzebnie sporo czasu na napisanie listu do teścia, cesarza Franciszka, listu, pełnego oddzielnych propozycyj pokojowych.

Jakkolwiek wiedział z góry, że jest to tylko nadaremne łudzenie się niemożliwemi nadziejami, musiał atoli wszelkich chwytac się środków, aby koalicję rozbić i Austryę odsunąć na stronę. Przechywał atoli i był nawet pewnym, iż Metternich zaprzysiągł mu zgubę. Dla obłudy dwujęzycznej przecież Schwarzenberga uczuwał jedynie pogardę.

„Ci nikiemnicy—pisał, słusznie oburzony, do brata Józefa — za pierwszym niepowodzeniem natchmiast padają na kolana.“

Marszałkom zresztą wyraził swoje najwyższe niezadowolenie. Niebezpieczeństwo, grożące Paryżowi, odmalowali mu w barwach stanowczo zaciemnych! A jak niedbale przytem bronili Sekwany! Niedołężnie nad wyraz! Zwłaszcza Victor, który dopuścił się mało sto razy widocznego niedbalstwa. Już w Alzacyi popełniał on błąd za błędem; most pod Pont opuścił bez powodu, nie wysadziwszy go przytem w powietrze. Tak, marszałkowie już się podstarzali; już tylko młodszy generałowie mogą przydać się w razie potrzeby, jak naprzykład przeWyborny brygadyer Bourmont, który w Nogent odznaczył się tak świetnie. Gérard, jedyny niemarszałek wśród komendantów korpusu, do tej pory był jeszcze najużyteczniejszym i najlepszym. Ale, mamy nadzieję, że Victor tym razem pod Montereau naprawi dawne błędy.

Lecz już 18 nadbiegł od Victora raport, który wzniecił w Napoleonie gniew wściekły. A mianowicie marszałek donosił, że o $\frac{3}{4}$ mili przed Montereau zatrzymał się i jedynie jego straż przednia starła się z nieprzyjacielem. Dowodzi tym ostatnim następcą tronu wirtemberskiego, który wybrał sobie doskonałe stanowisko. Korpus Victora manewrował i walczył przez cały dzień 17-go, było to

więc zadaniem, przechodzącym wprost jego siły, jeszcze o godzinie 7-jej tego samego dnia zdobywać wyżynę Surville. Rankiem natomiast zaraz rozpocznie atak.

Więc również i ta korzyść stracona! Gdyby się było dzisiaj zdobyło most pod Montereau, już jutro możnaby odciąć od tego miejsca i Wredego, i Wittgensteina i Bianchiego. W każdym razie zgniecie się przynajmniej jeden jeszcze korpus pod Montereau. Bądź-co-bądź, warto także wyzyskać sposobność odpowiednią i ukarać opieszałość Victora. Teraz potrzeba wyłącznie młodszych i energicznych generałów. Przygotowano tedy rozkaz: Odbiera się komendę księciu de Belluno; dowództwo naczelne obejmuje generał dywizyi Gérard. Równocześnie wyruszają posiłki, zwłaszcza działa; sam cesarz również, prowadząc gwardyę, posuwa się w tamtą stronę. Popołudniową porą, o godzinie wpół do trzeciej, kierując się odgłosem strzałów armatnich, staje na placu walki.

Już od godziny dziewiątej zrana wrzał bój najstraszliwszy. Dywizye Duhesme'a i Chateau'a wciąż ponawiają bezskuteczne zabiegi wydarcia wirtemberczykom choćby jednej piędzi ziemi. Droga paryzką posunął się naprzód generał Pajol wraz z dywizją jazdy i dywizją gwardyi narodowej Pachtoda — te pięć tysięcy żołnierza wspierało 24 armat,—lecz i ten atak skończył się na niczem; Pa-

jola odparto. Aż do tej chwili kierował bitwą marszałek Victor. Lecz o godzinie pierwszej jak piorun spadł rozkaz—Victorowi odebrano komendę, którą obejmuje Gérard, tylko co przybyły na czele jednej dywizyi. Ten ostatni, wzmocniwszy ogień działowy, rozpoczął nowe ataki bardzo energiczne, lecz mimo to nie o wiele posunął się naprzód.

Wtem nagle zjawił się człowieczek w szarym surducie, prowadząc ze sobą gwardyę pieszą i konną. Miał on już teraz w linii czołowej cztery dywizye piechoty i dwie jazdy; ta siła, pospółu z mistrzowsko kierowaną artyleryą Drouota i Sorbiera, znacznie przewyższającą ilość dział wroga, powinna była teraz wyrzucić pożądaný skutek. Cesarz odrazu dostrzegł, że przeciwnik, już raz strącony z wyżyny Surville, mógł niesłychanie łatwo uleść rozbiciu zupełnemu, ponieważ na tyłach miał bardzo spadziste stoki i nader wężki wąż. Wirtemberczycy walczyli wytrwale, lecz siły ich, jak się zdawało, już się wyczerpywały. Straszliwy grad kul spadał na nich, francuzi ustawicznie wzmacniali ogień działowy; właśnie wśród artyleryi przebywał sam Napoleon, a porwany zapałem ku swej specjalności, której ongi wszystkie młodzieńcze siły poświęcał, sam obsługiwał jedno działo i celował. To też takiemu atakowi powszechnemu, poprowadzonemu ze zwykłym Napoleonowi nacięciem, odpowiedział skutek oczekiwany. Korpus

wirtemberski rozpoczął odwrót, ale tak pośpieszny i nieporządny, że część jego zrzucono w przepaść, głęboką na 300 kroków, część zaś przepędzono poprzez ciasne uliczki miejskie oraz most wązki i wpakowano do Sekwany. Nadto nagle zaczęli strzelać do uciekających i mieszkańcy Montereau, pozamykani w domach. Następca tronu wraz z swym korpusem, obrzucani straszliwym i morderczym potokiem kartaczy przez baterye gwardyi, tratowani i wycinani w pień przez huzarów Pajola, jedynie z trudem niesłychanym uniknęli zguby zupełnej. Straty wynosiły 15 armat i 5,000 ludzi; mogłyby zaś być jeszcze większe, gdyby następca tronu, celem zasłonięcia sobie odwrotu, już odrazu na początku bitwy nie zostawił był na brzegu *południowym* 3,000—4,000 piechoty, tudzież jazdy, oraz dwóch bateryj. Lecz również i ten oddział w chwili, gdy tłoczył się przez most kamienny, aby przepuścić uciekający korpus, obsypano tak potężnym strumieniem kul z armat, ustawionych na północnem przedmieściu, że wreszcie i wśród owej rezerwy wszczął się popłoch, zakończony ogólną ucieczką. Rozbity całkowicie korpus dopiero późnym wieczorem zdołał się od biedy skupić i nocą cofnąć ku Bray. Gdyby Macdonald zdołał dzisiaj przejść tam właśnie Sekwanę, byłiby wirtemberczycy jeszcze dobrą dostali łaźnię. Lecz ten właśnie doniósł głównej kwaterze, że Wrede bronił się niesłycha-

nie stanowczo, tak, iż on w dniu 19-ym zwrócił się również ku Montereau, aby tędy przejść przez rzekę, podczas gdy korpus Gérarda, dawniejszy Victora, nie ścigając już dalej następcy tronu, drogą paryżką pociągnął ku Sens. Na zachód od Gérarda, robiąc łuk ogromny, pośpiesznymi marszami cofnął się korpus austriacki Bianchiego, który w d. 18 musiał opuścić Nemours, na południowozachód od Montereau, skutkiem śmiałego ataku generała Allixa (*„qui vaut une armée“*), dowodzącego nader nieliczną dywizją obrony krajowej. Gdyby więc odważono się już w dniu 17-ym zdobyć Montereau, osiągnięto by tutaj bezwątpienia pomyślniejsze wyniki. I tak przecież musiał Napoleon—nocujący w zameczku Surville, z kądem jak na dłoni widniała okolica, a w którego parku on sam osobiście kierował artylerją—zapewne sam przed sobą przyznać, iż Victor z 5,000 ludzi wieczorem tego stanowiska stanowczo nie potrafiłby zdobyć. Oudinot w dniu 18-go na Provins posunął się naprzód, zatrzymał się atoli, gdyż Wittgenstein pośpiesznymi marszami już cofnął się poza Sekwanę. Ponieważ zdobywanie przeprawy orężem w tem miejscu nie przyniosłoby żadnych korzyści, przeto w d. 19-ym otrzymał on rozkaz wyruszenia ku Bray, korpus Ney'a zaś ku Trainel poprzez Montereau.

Ponieważ i tak wśród okoliczności podobnych nie nie można było działać porządnego, a nadto

błędne (jak się zdaje, krzyżujące) marsze Macdonalda i Oudinota podczas przeprawy przez Sekwanę, opuszczoną obecnie przez Wredego, spowodowały opóźnienia niepotrzebne wskutek nagromadzenia wojsk na kilku punktach, przeto dzień 19-go i 20-go zużytkował cesarz do uporządkowania nadciągających obecnie nader tłumnie poprzez Fontainebleau posiłków.

W dniu 18-go wieczorem Victor napisał z obozu wprost do cesarza, nie do Berthiera, że odwołujący go list tego ostatniego śmiertelny zadał cios jego honorowi. Następnie udał się marszałek osobiście do swego władcy i prosił z isticie francuzką pozą o pozwolenie służenia jako prosty żołnierz w szeregach starej gwardyi. Cesarz pozwolił się ubłagać i celem wynagrodzenia surowości poprzedniej dał Victorowi dowództwo nad dwiema dywizjami młodej gwardyi, które właśnie uformowano pod komendą generałów Charpentiera i Boyer de Rebevala. Starą gwardyę, Frianta uzupełniono wysłużonymi wojakami do liczby 6,600; artylerya gwardyi oraz rezerw potrzebowała teraz 2,000 obsługi. Dywizyę Pachtoda dano Oudinotowi, jak również hiszpańskie dywizye Levala i Boyera oraz jego dawniejszą dywizyę Rothemburga. Zapelniono również szczyrby, wylamane w szwadronach konnicy.

Na tych wymagających czasu zarządzeniach upłynęło niemal trzy dni i dopiero popołudniową porą 22-go wyruszyło całe wojsko na wybrzeżu południowem Sekwany płaszczyzną koło Troyes; na końcu lewego skrzydła postępowała dywizya hiszpańska Boyera z korpusu Oudinota. Ten ostatni marszałek otrzymał polecenie zajęcia miasta Méry na północnym brzegu Sekwany i umocnienia tamtejszego miejsca, sposobnego ku przeprawie. Sam cesarz chciał tam ustanowić swoją główną kwaterę.

Oudinot o godzinie 2-ej po południu napotkał po południowej stronie Sekwany nieprzyjaciół, odrzucił ich za most i, gdy nagle (skutkiem nieostrożnego palenia ogni biwakowych) w mieście wybuchnął ogień, przedarł się poprzez płomienie, usadowił się w krzakach, rosnących wzdłuż północnego brzegu, oraz w najbardziej wysuniętych domach, by natychmiast rozpocząć gwałtowny ogień karabinowy przeciwko czerniejącym zdala kolumnom wojsk, nadciągających licznymi masami po obu stronach szosy ku Arcis. Teraz nadjechały również haubice francuzkie, które natychmiast po odprzodkowaniu zaczęły obrzucać okolicę granatami. Pod wieczór zaatakował nieprzyjaciel tak ostro, że wyparł weteranów hiszpańskich przez ulice płonącego miasta z powrotem na przeciwległy brzeg rzeki. Mimo to uporeczywa strzelanina tyralierska

trwała przez całą noc i nie ustawała nawet z nadchodzącym świtem.

Napoleon przebywał w wiosce Chartres, naprzeciwko Méry; uporczywa potyczka nad Sekwaną spotęgowała jego natężoną baczność. Z kim tam walczone? tam, gdzie stały jego najlepsze wojska liniowe?

Marszałek Oudinot wnet nadesłał raport, iż, stosownie do zebranych przez niego wiadomości, naciera tam znowu feldmarszałek Blücher.

Blücher?! Rzecz niemożliwa! A przecież pod Méry walczyli również i prusacy; nie ulegało to wątpliwości najmniejszej. Straż przednia tedy, albo jakiś jeden korpus, mający tworzyć połączenie odpowiednie z Schwarzenbergiem. Sam Blücher musiał niewątpliwie pozostawać jeszcze pod Chalons. Co robił w takim razie Marmont, który powinien dawać na niego baczenie? Bądź-co-bądź, jeszcze dosyć było czasu, aby przed nadejściem Blüchera dopaść Schwarzenberga pod Troyes i pobić go na głowę. Posuwające się naprzód korpusy Oudinota, Gérarda, Macdonalda, nadsyłały wciąż równobrzmiące wiadomości, że połowę armii czeskiej już aż poza Troyes odrzucono z powrotem na prawy brzeg Sekwany. Ta okoliczność zapowiadała niezwykle wiele korzyści. Dzisiaj wieczorem pora już zbyt spóźniona do rozpoczęcia działalności, lecz nazajutrz rankiem wczesnym można uderzyć

na wroga siłami połączonemi, można pchnąć do ataku ogólnego najlepsze i najliczniejsze wojska, jakie tylko zdołał Napoleon zebrać w owej kampanii.

Jazda liczyła 15,000 koni (cztery brygady dragonów pod kierownictwem dzielnego Roussela: 2,000; drugi korpus St. Germain'a: 2,400; piąty korpus Milhauda: 3,300; szósty korpus Kellermanna: 3,800; druga i trzecia dywizya *Garde-à-cheval* pod wodzą Exelmansa i La Ferrière'a: 3,200), artylerya 2,000 ludzi i 350 dział; piechota liczyła niemal 60,000 żołnierza. Stara gwardya Frianta: 6,600; dwie dywizye młodej gwardyi Ney'a: 2,200; dwie dywizye młodej gwardyi Victora: 12,500; korpus Macdonalda: 8,700; Gérard: 6,300; Oudinot: 17,000; do tego dywizya rezerwowa, dzieci paryzkie, prowadzone przez Arrighy'ego księcia Padwy: 4,000. Ta ostatnia stała pod Nogent jako posterunek obserwacyjny, lecz każdej chwili można ją było do Méry przywołać. Tak też się i stało; Victor i gwardya pozostały jeszcze z tyłu poza Méry, podczas gdy Oudinot (prócz użytkowej pod Méry dywizyi Boyera) poszedł ku Troyes. Zgromadzone w jednym punkcie masy liczyły 74,000 żołnierza.

Jeżeli ów nieprzyjaciel chciałby mimo to pod Méry przejść Sekwanę, to narażał się jedynie na niebezpieczeństwo spotkania się z nacierającym cesarzem i skąpania się w rzece.

Z natężeniem gorączkowym wyczekiwał cesarz świtającego poranka. Mieścił się on w chatce stelmacha w Chartres, gdzie od biedy ustrojono mu sypialnię. Ciężką, bardzo ciężką noc miały wojska, wygłodzone i marznące, w tej okolicy zniszczonej, na tej ziemi kredowej, nieurodzajnej, śniegiem pokrytej, огоłoconej z drzew i zarośli. Lecz te same również okoliczności musiały jeszcze gorzej oddziaływać na nieprzyjaciela, otoczonego ludnością, wrogo nad wyraz usposobioną. Ku wielkiemu a nieprzyjemnemu zdziwieniu, nadbiegł rankiem do głównej kwatery cesarskiej raport, iż od godziny 8-ej zoczono odwrót Schwarzenberga, który już większą część swych pociągów wojskowych przeprawia przez Sekwanę z powrotem na drugi brzeg. Wnet potem, o godzinie 11-ej, gdy cesarz francuzów zamierzał właśnie dosiąść konia, stanął nagle przed nim generał ksiązę Lichtenstein jako parlamentarz, prosząc o zawieszenie broni. Wśród dłuższej rozmowy wyjawił magnat austriacki niekorzystne położenie armii czeskiej, której brak wszystkiego, żywności i kierunku. Napoleon zadał jeszcze kilka poufnych i długich pytań co do zamiarów sprzymierzonych, poczem tonem niesłychanie wyniosłym spokojnym oświadczył gotowość przystania niebawem na zawieszenie broni. Mimo to zatrzymano posła w obozie aż do po-

południa, podczas gdy francuzi z siłą wielką nacierali w kierunku Troyes, pędząc przed sobą śpiesznie uciekające wojsko Schwarzenberga. Z tego też powodu Napoleon pożegnał księcia Lichtensteina zapewnieniem nieco samochwalczem, że jeszcze tego samego dnia wieczorem wejdzie w tryumfie do Troyes.

Wnet potem zameldowano posła całkowicie innego rodzaju, barona St. Aignan z Paryża, mającego w imieniu wielu wyższych sfer politycznych i dworskich namawiać cesarza do zawarcia zgody z wrogiem na warunkach, poprzednio przez niego stawianych.

— Pokój — prawił on — będzie tem lepszym, im się wcześniej zjawi.

— I tak zjawi się on — odparł ponuro, szarpamy ze wszystkich stron bohater — dość wcześnie, jeżeli będzie haniebny!

Wreszcie zły i oburzony odwrócił się szorstko od tchórzliwego dworaka.

Podczas tego wszystkiego atak na Troyes rozwijał się coraz to lepiej. Lekka dywizya Lichtensteina, która na drodze z Sens tworzyła straż tylną przeciwko Gérardowi, zrazu dotarła swobodnie już do Fontvannes tuż przed Troyes; tu jednak dopędziła ją jazda francuzka, zdobyła sześć dział z zaprzęgami i zabrała 300 jeńców, poczem niedobitków wysieczono w pień.

O godzinie 4-tej po południu podsunęła się pędem szybkim dywizya huzarów Pirégo aż pod same porozwalane wały i bramy zatarasowane Troyes. Wezwano nieprzyjaciół do poddania się. Gdy Wrede, który chciał zasłonić odwrót głównej armii, odpowiedział odmownie, natychmiast zaczęto ostrzeliwać go z dział ciężkiego kalibru, skutkiem czego znowu Wrede, pragnąc przynajmniej częściowo zyskać na czasie, kazał podpalić przedmieścia. Po zrobieniu w murach miejskich wyłomu, piechota, która tylko co nadciągnęła, rzuciła się do ataku. Trzy atoli potężne szturmy spełzły na niczem.

Już po północy Napoleon zajął na przedmieściu kwaterę. O godzinie drugiej w nocy, wśród dość znacznych strat, Wrede zdołał ujsć z miasta; armia cesarska obozowała na przedmieściach, ciągnących się wzdłuż lewego brzegu. Było tam 50,000 żołnierza.

Rankiem 24-go lutego wszedł cesarz do Troyes. Przyjmowano go z zapalem niesłychanym. Tłumy cisnęły się ku niemu; walczone o możność pocałowania jego ręki, o możność dotknięcia się jego munduru i butów. Zaledwie zdołał się przejechać przez te gromady, tłoczące się w ulicach. Kto wie, czy nie z goryczą przypominał sobie, jak lodowato zimno przyjęto go tutaj przed 20 dniami. Tacy to są już ludzie! Powodzenie jest dla nich bóstwem.

Bez zwłoki najmniejszej musiały teraz korpusy na prawym brzegu Sekwany nadciągnąć na linię bojową; Oudinot i Gérard, którego dywizya Frimonta, tworząc straż przednią, straciła kilkuset ludzi, rzucili się za Wredem drogą, prowadzącą ku Bar-sur-Aube; Macdonald z Milhaudem posunęli się w górę rzeki ku Bar-sur-Seine, gdzie austriacy Bianchiego jeszcze raz ponieśli dotkliwe straty, bo w ręce francuzów wpadło 500 jeńców i park artylerji.

W dniu 23-go posłał Napoleon swojego adjutanta, hrabiego Flahauta do Lusigny, by traktować o zawieszenie broni, lecz pośrednik już 25-go powrócił z niczem: układy, jak się należało tego spodziewać, spełzły bez skutku.

Napoleon pozostał w Troyes i ztąd kierował ruchami wojsk. Wnet dowiedział się, że po pierwsze Schwarzenberg cofa się jeszcze dalej w tył ku Chaumont, po drugie Gérard w dniu 26-go siłą przeprowił się przez Aube. Oudinot i jazda pospieszyły wnet za nim; tej ostatniej przewodzili Valmy i St. Germain. Później atoli nadbiegły wieści, że Wrede nie pozwolił posuwać się zbyt daleko poza Bar; gdy jednak ten ostatni chciał, korzystając z ciemności nocnych, pochwyć miasto, francuzi odparli go, zadając mu cios potężny.

Teraz już cesarz nie miał najmniejszej wątpliwości, że w okolicach Méry zgromadziły się sza-

lenie wielkie masy nieprzyjaciół. Był to Blücher, Blücher we własnej osobie. Lecz wojsko jego po tylu klęskach nie mogło znowu posiadać sił zbyt wielkich, a nadto ogólny odwrót Schwarzenberga, oczywista, porywał go za sobą. Istotnie dano znać w dniu 24-go, że Blücher pod osłoną nocy tajemniczo i cichaczem opuścił Méry. Zajęto więc owo miasto, lecz nie uważano za potrzebne posłać za nim wedet, [przeciwnie—myślano o marszu ku Troyes.

Tutaj było coś niejasnego, coś niewytłumaczonego. Wtem nagle rankiem 25-go nadbiegł list Marmonta, że Blücher posuwa się śpiesznie w kierunku na Sezanne. Marszałek będzie go chciał wprawdzie powstrzymywać, ale o tyle tylko, o ile siły na to starczą.

Napoleon wyraził zdziwienie. Więc Blücher już przeszedł Aube? I dopiero teraz dowiedziano się o takim położeniu rzeczy! Dlaczego nie posłano za nim patrolów i kolumn obserwacyjnych? Co chciano osiągnąć takim marszem? Czy znowu chodziłoby o Paryż? Z takich zachcianek powinienby go przecież raz na zawsze wyleczyć ów tydzień lutowy, pełen tak ciężkich dla niego klęsk! Prawdopodobnie pragnął on jedynie zaniepokoić Napoleona o jego lewą flankę, albo też z pomocą takiej finty ukryć odwrót własny ku Chalons. Nie zważając atoli na to wszystko, wielki strategik

odrazu zaczął wydawać odpowiednie rozkazy, celem wyzyskania w razie możliwym podobnej śmiałości na zadanie Blücherowi śmiertelnego ciosu. Po pierwsze zaprzestał pościgu za Schwarzenbergiem. Dywizya Arrighy'ego otrzymała rozkaz marszu na Nogent; Victor powinien był posunąć się na Méry, Ney zaś nawet już na Arcis. W dniu 26-go w liście do Victora wyraził nadzieję, że za kilka godzin zrozumie zapewne dokładnie, co to ma znaczyć ów ruch Blüchera. Jeszcze 27-go w nocy o godzinie 3-ej pisał i do Paryża i do Ney'a: Skoro Blücher ujrzy korpusy francuzkie z tamtej strony Aube pomiędzy sobą a Vitry, natychmiast z własnego popędu zaprzestanie wszelkich dalszych operacyj. Wtem o 7-ej zrana nadbiegł nowy goniec Marmonta z wieścią, że Blücher maszeruje wprost ku Marne i już znajduje się od Paryża w odległości zapewne pięciu mil. A więc o trzy dni wyprzedził Napoleona. Fatalne położenie! Mimo to jednak zawsze jeszcze można go odciąć ze strony północno-wschodniej. Tylko trzeba działać z szybkością niesłychaną. Nie należy tracić ani jednej minuty!

Już o godzinie 9-ej wysłano rozkaz do wszystkich oddziałów gwardyi, aby natychmiast ruszyły w pochód, podczas gdy Macdonald, jako rangą najstarszy, otrzymał dowództwo naczelne nad trzema korpusami, znajdującymi się pomiędzy Bar-sur-

Seine i Bar-sur-Aube; prócz tego cesarz oddał mu trzy korpusy jazdy: drugi, piąty i szósty; z korpusu Oudinota zabrał ze sobą jedną brygadę weteranów hiszpańskich, prowadzoną przez Piotra Boyera (2,000 ludzi); otrzymał ją Ney; Oudinotowi zaś z weteranów hiszpańskich została jeszcze, oprócz dywizyi Levala, również i nadliczbowa brygada Chasse'go. Z temi 30,000 piechoty i 9,500 jazdy miał Macdonald powstrzymać armię czeską poza Aube. Trudno bowiem było przypuszczać, aby owo wojsko, zdemoralizowane i zmuszone do odwrotu, odważyło się tak prędko atakować francuzów. Osobnym rozkazem polecono Macdonaldowi i Oudinotowi pouczyć żołnierzy, aby wołali *Vive l'Empereur*; dzięki takiemu podstępowi nieprzyjaciel powinien był nie domyślać się odjazdu cesarskiego. Równocześnie zobowiązał Napoleon Oudinota do zajęcia dobrego stanowiska *poza* Aube, obsadzenia Baru silną strażą tylną i wysadzenia w powietrze mostu.

W południe opuścił cesarz wraz z gwardyą Troyes, celem zaskoczenia Blüchera na jego tyłach, podczas gdy Marmont i Mortier zwarli się z nim od północy. Nadzieja zwycięstwa uśmiechała się cesarzowi.

Pośpiesznie zgromadzone wojsko składało się z dwóch dywizyj Victora (12,555 żołnierza), dywizyj Meuniera i Curiala, prowadzonych przez Ney'a

(2,248 ludzi); tu trzeba doliczyć brygadę Boyera (1,912 ludzi); ze starej gwardyi Frianta (6,600 ludzi), dywizyi Arrighy'ego (4,000 ludzi), artyleryi rezerwowej (1,000 ludzi), drugiej i trzeciej dywizyi *Garde-à-cheval* pod Nansouty'm (3,163), dywizyi dragonów Roussela (2,174) i sześciuset lansyerów, prowadzonych przez hrabiego Paca. Razem tedy 34,233 żołnierza, w tem 5,942 konnicy. Naczelną komendę nad tą ostatnią objęli Grouchy i Belliard.

Ponieważ Blücher mógł najwyżej posiadać 50,000 ludzi, a Marmont-Mortier z posiłkami liczyli do 16,000, przeto tym razem siły obu stron były równe. I jeszcze 100,000 do tego: geniusz Napoleona. Dzięki temu francuzi mieli: 150,000!

UWAGI.

Największy po wszystkie czasy wódz przeprowadzał podczas swego żywota ruchliwego wiele świetnych planów, niektóre nawet większych rozmiarów, lecz żaden nie powiódł mu się tak dokładnie, jak atak na Blüchera w ów pamiętny tydzień lutowy. Nawet do takiego uciążliwego po-

chodu, uciążliwego skutkiem słoty przeraźliwej i roztopów, zmusiła żołnierzy jedynie silna wola geniusza. Ów czyn świetny chciano porównać ze zwycięstwem, które niegdyś odniósł pod Mantuą. Lecz generałowie i żołnierze austriacy z epoki ówczesnej nie mogli wytrzymać porównania nawet najłżejszego ze zwycięzkimi i zahartowanymi prusakami, prowadzonymi przez marszałka „Naprzód“ oraz innych sławnych generałów; pod jednym tylko względem zachodziło podobieństwo: i austriacy wówczas i prusacy dzisiaj posiadali przewagę liczebną. Wykonaniu każdego planu zawsze można to lub owo zarzucić; tym razem atoli Napoleon umiał wyzyskać każdą okoliczność. Że Fabius Cunctator Macdonald w dniu 11 lutego zawiódł zupełnie, nie pomaszerował ku Chateau-Thierry i nie odciął Yorkowi odwrotu, to dowodzi jedynie, jak marnych posiadał Napoleon wykonawców i jak rzadko można znaleźć generała z zawodu, który zdołałby dobrze wykonać choćby nawet łatwy rozkaz genialnego dowódcy. W każdym fachu, mniej ważnym i nie tak niebezpiecznym, poprostu wypędzonoby do wszystkich dyabłów tak niedbałego podwładnego, który bez powodu zatrzymuje się w miejscu, mimo że spełnienie sumienne obowiązku obiecuje mu w dodatku i sławę nieśmiertelną. W wojsku przecież patrzy się na wykroczenia podobne przez palce, choćby dlatego, że wódz naczelny niezawsze zdoła otoczyć

się samemi inteligentnemi głowami. A przecież od wojska właśnie zależą losy ludów. Pewna słabość Napoleona ku ludziom dobrze wychowanym skłaniała go do odznaczania Macdonalda, światowca, nad miarę i zasługi. Gdyby był poprostu mianował marszałkiem wybornego Gérarda i jemu oddał dowództwo w tych stronach, gdzie nie mógł zużytkować Marmonta, byłby uniknął wielu, wielu błędów szkodliwych.

Z garścią żołnierza zniszczył Napoleon korpus Olsuwieffa, łączący inne oddziały; z 15,000 ludzi stanowczo pobił o wiele silniejszego Sackena; a gdy York zapóźno połączył się z tym ostatnim, również i tego; potem całkowicie rozbitych przetrzucił za Marnę, a zawróciwszy, Blüchera niemal wyłącznie dzięki dobremu zużytkowaniu swej przeważającej konnicy, porządnie przetrzepał i odpędził na wschód. Osaczenie wroga z pomocą jazdy udało mu się przepysznie. Jakkolwiek wprowadzić baterji, to przecież ten sam teren utrudniał w wysokim stopniu i dalsze wleczenie armat Blüchera. Zarzucano Grouchy'emu, że atakował nieprzyjaciela z trzech stron, ale zarzuty owe niesłuszne. Gdyby bowiem nie zaatakował i z obu boków i od czoła (a musiał z przyczyny rozmięklej ziemi odpowiednio wyzyskać i szosę), w takim razie część wojska Blüchera niezaatakowana natych-

miast zdołałaby ujsć do lasu. Gdyby znowu zaatakował jedynie z obu boków, to wówczas wywinąłby się z pułapki środek wojska. Atak znowu *wyłącznie* od czoła sprzeciwiłaby się wszelkim zasadom taktyki. Zależało także na powstrzymaniu za każdą cenę pochodu, celem dania sposobności Nansouty'emu wpadnięcia na tyły Blüchera. Także i nocny pościg, wykonany przez piechurów Marmonta, udał się nadspodziewanie, tak, iż Napoleon miał prawo pochlebiać sobie, jako uczynił Blüchera na długo niezdolnym do walki.

Ten ostatni, wobec nieznaczących strat (3,000 ludzi), któremi Napoleon okupił zwycięstwo, sam przyznawał, iż ubyło mu z szeregów około 16,000 żołnierza; owe szczyrby wolno nam—z uwagi na uciążliwość pochodu oraz chorobę aż po dzień 23-go lutego—podnieść do liczby 20,000 ludzi. Sprzymierzeni przysłali mu następnie 10,000 żołnierza. Do tego trzeba dodać dywizję Klüxa z korpusu Kleista, który wyruszył na linię bojową z 20,000 (najniższa liczba), a w dniu 14-go rzekomo posiadał zaledwie 8—10,000 ludzi. Klüx zatem musiałby posiadać najmniej 8,000 ludzi (odliczając 2—4,000 na ofiary pochodu i utarczek)—a mimo to w dniu 24-ym cały korpus liczył tylko 9,800 ludzi, wobec czego Klüx—odrachujemy 4,000 strat pod Etoges — mógł przyprowadzić najwyżej 4—5,000 posiłków. My zgodzimy się na liczbę

pośrednią i obrachujemy siły Kleista w dniu 14-ym na 10,000 ludzi. Trudno przecież i o tem wątpić, iż wszystkie jego straty po dzień 24-go wynosiły około 10,000 żołnierza. Albo więc straty w dniu 14-ym były *jeszcze* większe, albo też pochod na przód, odwrót i marsz na Méry wyrwały mu jakies 5—6,000 żołnierza.

Według Damitza prowadził Blücher w dniu 10 lutego 7,000 ludzi Kapcewicza (z korpusu Langerona), 8,000 ludzi Kleista, 4,000 Olsuwieffa, 2,000 Sackena, 18,000 żołnierzy Yorka: 57,000. Olsuwieff zatem straciłby już do tej pory niemal $\frac{1}{3}$ swoich sił pierwotnych (6,000), naprawdę jednak posiadał niemal 5,000; Kleist (patrz wyżej) najmniej 10,000; Blücher tedy rozporządzał najmniej 60,000 ludzi. Wtem naraz Sacken miałyby pod Montmirail przyjmować bitwę zaledwie z 14,000 ludzi (80 armat); jest to niedorzeczność jasna, gdyż w takim razie musiałyby *bez walki* stracić w 10 dniach 6,000 ludzi.

Ponieważ Sacken w dniu 24-ym liczył jeszcze 13,700 ludzi, a poprzednio, *jak sam twierdził*, stracił najmniej 4,000 ludzi (straty wspólne Sackena i Yorka nibyto wynoszą 7,000 ludzi, z czego na Yorka, który posiadał w dniu 24-ym 14,200 ludzi, przypadałoby 3,800; ogółem więc 8,000 ludzi w rannych i zabitych), przeto pod Montmirail szedł w ogień z 18,000 żołnierza. Szczególnym

trafem atoli również i Houssaye przyznaje Sackelowi tylko 15,700 ludzi, a z wojsk Yorka jako obecne wymienia zaledwie brygady Pircha i Horna, 16 batalionów: 7,000, podczas gdy występowała czynnie także i konnica, prowadzona przez Jürgassa tudzież Katzelerera, 18 szwadronów, 2,000 koni. Obydwaj przeto generałowie pruscy stanęli pod Montmirail w sile 18,000 + 9,000 żołnierza = 27,000, a naprawdę posiadali wogóle 36,000 ludzi.

Gdybyśmy nawet wykazy francuzkie, podające liczbę wojsk Napoleona pod Montmirail na 12,800 żołnierza, uważali za zbyt niskie i oceniali je razem z artylerją na 16,000 ludzi, to i tak w rzeczywistości przecież Sacken dał się tam pobić jakimś trzynastu do czternastu tysiącom, a York cofnął się przed dwoma, trzema najwyżej tysiącami ludzi.

Wszystkie straty Blüchera do dnia 24-go doszły do sumy 20,000—30,000. Z tego wypadła na Yorka i Sackena 8,000, na Langerona 7—8,000, na Kleista 4—10,000. A więc Blücher stracił siedm do dziesięciu razy tyle, co występujący przeciwko niemu francuzi, od 8-go do 24-go: a ponieważ walczyli tutaj *najlepsi* generałowie i żołnierze sprzymierzonych, stanowi ów szczegół wybitny dowód zdolności strategicznych, mistrzostwa taktycznego i energii nieznużonej Napoleona, który rozporządzał siłami, o dwie trzecie liczbowo słabszemi. Energię atoli posiadali również

i Blücher i Gneisenau, których pochód nagły z Chalons ku Méry bezwątpienia zdobył dla nich podziw niepodzielny Napoleona.

Niestety, nie wolno w taki sam sposób pochlebny ocenić postępowania Marmonta i Mortiera, którym cesarz z 11,000 ludzi kazał pilnować Blüchera. Co ci panowie właściwie robili aż po dzień 25-go, o tem historia wojenna milczy troskliwie. Mortiera można uniewinnić pochodem części korpusu Winzingerodego od północy, na którego należało dawać baczenie pilne. Lecz zachowanie się Marmonta, który, mając 2,000 konnicy, mimo to stracił z oczów Blüchera całkowicie, jest zarówno dziwnem, jak i karygodnem. Najlepszym bowiem dowodem, iż Marmont doskonale wiedział, jako Blücher nie stoi już więcej pod Chalons, jest opuszczenie przez niego Etoges i posunięcie się na południe aż ku Sezanne, wskutek czego zagrażał on z boku pochodowi Blüchera na Arcis; dziwna rzecz atoli, że nie dowiedział się o przesunięciu się Blüchera obok niego już w dniu 22-go. Gdyby był zaatakował energicznie straż tylną Blüchera podczas przeprawy przez Aube, to jest szukał w jakikolwiek sposób zderzenia się z nieprzyjacielem, wówczas pochód na Méry, niezwykle dobrze pomyślany i śmiały, zakończyłby się dla Blüchera nader tragicznie. W razie bowiem zawiadomienia cesarza ze strony Marmonta o całym położeniu już

w dniu 23-im, zamiast rozpatrywania się samemu w ruchach Blüchera dopiero 25-go, Napoleon jeszcze tego samego dnia i w dwóch lub trzech następnych starłby Blüchera na miazgę i wyciął niemal w pień wszystkie co do jednego bataliony. Napoleon mógłby z pomocą 20,000 ludzi zarządzić silny pościg za Schwarzenbergiem, który skutkiem tego cofnąłby się aż ku Troyes; całe zaś pozostałe 54,000 żołnierza rzuciłby na Blüchera, pozornie atakując go od strony Méry; naprawdę zaś z główną armią obszedłby jego tyły pod Pont i zaczepił z boku. Ten wówczas marszami pośpiesznymi podążyłby albo ku Planey, albo ku Arcis, i zastałby tam nietylko pozrywane mosty, lecz i Marmonta, czatującego na przeciwległym brzegu. Otoczonemu ze wszystkich stron marszałkowi nie pozostawałoby nic innego, jak przemocą przerznąć się na Troyes, przyczem wpadłby jeszcze—było to wielce możliwem — na bagnety francuzów, ścigających Schwarzenberga; a nawet i w takim wypadku, gdyby udało mu się połączyć w kierunku na Troyes z armią czeską, to swoją klęską do reszty demoralizowałyby rozsprzegające się szeregi Schwarzenberga. Obie pobite armie cofałyby się wówczas pośpiesznie na Bar, szarpane przez Napoleona od północy i wschodu; marsz francuzów z Lesmont na Vitry i zajęcie tu dobrego stanowiska ostatecznie rozstrzygnęłoby kampanię na ich korzyść.

Zamiast tedy wraz z Thiersem uważać zajęcie Soissons (patrz niżej) za jeden z najczarniejszych wypadków w dziejach Francyi, należałoby raczej podobnie czarnymi barwami odmalować postępowanie Marmonta od 15 do 25-go. Zaciężyło ono bowiem niesłychanie w tej wojnie i, gdyby nie geniusz Napoleona, sprowadziłoby daleko gorsze następstwa od tych, które rzeczywiście się zjawily.

Twierdzimy bowiem, iż ksiązę Raguzy, jeżeli istotnie byłby takim wodzem, jakim sam się przedstawia w swoich pamiętnikach, powinien był odrazu dostrzedz cały stan rzeczy. Blücher miał przed sobą *cztery* plany, których możliwość Napoleon musiał bezwarunkowo odgadnąć dzięki swym zdolnościom kombinacyjnym. Jednej tylko rzeczy zapewne się nie domyślał, to jest przybycia dla Blüchera posiłków, które połączyły się z nim w Chalons i Vitry. I tak w dniu 18-ym lutego w Vitry stanęło, rzekomo z korpusu Langerona: 5,000 piechoty Rudzewicza i 4,000 jazdy Korffa; liczby to przecież bezwarunkowo zawysokie. Beitzke podaje siły Rudzewicza na 5,000 ludzi, z czego wypływałoby, że ten korpus w przeciągu dni 16 bez bitwy stracił 1,000 ludzi; ilość koni Korffa później podają zaledwie na 2,000. Możemy tedy liczbę posiłków oznaczyć mniej więcej na 8,000. Do tego pod Chalons złączyła się z Blücherem dywizya Klüxa z korpusu Kleista, licząca

4,000, 5,000, najwyżej 6,000 ludzi. Również i York miał otrzymać posiłki.

Skoro tylko Blücher wypoczął pod Chalons (całkowitą energię głównej kwatery Blüchera Napoleon poznał dopiero w tej wojnie, podczas której stary feldmarszałek miał prawo samodzielnie operować), mógł:

a) Posuwać się szosą na Vitry, aby schronić się na tyłach Schwarzenberga; plan ów atoli ze względu na charakter odważny Blüchera należało wziąć poza nawias.

b) Posuwać się szosą na Arcis, celem połączenia się z Schwarzenbergiem. Ten marsz wymagał wielkiej energii, a zarazem odsłaniał Marmontowi flankę; *Napoleon przeznaczył owego marszałka właśnie do tego, by taki pochód wstrzymać lub opóźnić, aby Blücher, bądź-co-bądź, przybył za późno i sam dobrowolnie wpadł w pułapkę.*

Lecz i podobny krok niebardzo był prawdopodobnym, gdyż Blücher bezwątpienia musiał cieszyć się, że stoi zdala od Schwarzenberga, którego pochód powolny paraliżował szybsze rozwiązanie wojny.

c) Ponownie posuwać się na przód szosą ku Montmirail z chwilą, gdy Napoleon zaprzestał go ścigać.

Lecz najprostszym i dla obu stron najmniej niebezpiecznym ruchem był: d) pochód szosą na

Rheims-Laon; tam Blücher mógł poczekać na Bülowa i Winzingerodego, a zarazem postarać się o blizkie i praktyczne zaprowiantowanie armii z Holandyi. Gdyby ztamtąd rzucił się naprzykład na Soissons, obaj marszałkowie zdołaliby go tam przez czas niejaki powstrzymać. W każdym razie Napoleon spodziewał się, że przed jakimkolwiek śmielszym ruchem Blüchera zdaży jeszcze zadać kilka porządnych ciosów Schwarzenbergowi. Tak się przedstawiało *najprawdopodobniejsze* postanowienie Blüchera, gdyż każde wojsko, całkowicie rozbite i cierpiące niedostatek, przedewszystkiem usiłuje pościągać rezerwy i zapewnić sobie dowóz żywności.

Istniał wprawdzie piąty manewr, ale nikt a nikt nie umiał go odgadnąć. Myśl przedarcia się śmiało wzdłuż wschodniego brzegu Marne'y i pomaszerowania na Soissons ku Paryżowi, „przyczem pomagałaby tutaj wielce łatwość zdobycia żywności w okolicy, jeszcze niezniszczonej wojną,“ istotnie przedłożył Gneisenau wielkiej kwaterze głównej. Trudno atoli domysleć się, jak to on sobie ów ruch wyobrażał; obejście bowiem na Chateau-Thierry zmarnowałoby wiele czasu; Soissons zaś, jak już zapewne, acz niedokładnie, wiadano, obsadził Mortier. Taka wyprawa nie doprowadziłaby do żadnego pożądanego wyniku. Stracono również dużo czasu i sporo żołnierza celem ula-

twienia pochodu Sackenowi i Yorkowi, którzy zdążyli z Rheims ku Chalons. Gdyby Gneisenau już w dniu 15-ym wpadł był na myśl obejścia ku północy, nie odwoływanoby rozporządzeń poprzednich, które za punkt zborny wybrały *Rheims*. Już dnia 16-go można było się *tam* połączyć; siły wszystkie wraz z posiłkami pruskiemi dochodziłyby do sumy 45,000 ludzi. Wówczas zdołanoby, łądząc Marmonta łańcuchem konnicy, natychmiast zwrócić się na drogę wiejską ku Fismes, tam przejść Vesle, dalej maszerować drogą boczną wzdłuż wschodniego brzegu Vesle'y aż ku Braine, tu znowu przejść z powrotem na brzeg zachodni, poprzez pola przedrzeć się ku szosie Soissons-Chateau-Thierry (w kierunku Busanzy), potem skrócić nieco w tył na bardzo bliską szosę Soissons-Paryż i pod Villers Cotterets zająć dobre stanowisko, w razie danym zaś ztamtąd posunąć się ku Paryżowi, który właśnie z owej strony był zupełnie odsłoniętym. W taki sposób bowiem można było doskonale obejść pozycję Meaux-La Ferté-Milon, która potem miała tyle kłesk przynieść Blücherowi; tam też nie powiódł się już pierwszy atak przeciw Macdonaldowi. Podczas takiego marszu nie mogło grozić choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, gdyż Marmonta wyprzedzono na sporą odległość, Mortier zaś, gdyby go dość wczesnie uprzedziła jego jazda, przebywająca nad Vesle, mógł schronić się jedynie w kierunku

Chateau-Thierry, z kąd dopiero ze znacznem opóźnieniem potrafiłby połączyć się z Marmontem.

Co za szalony zamęt musiałby taki marsz niezwykły wywołać i w Paryżu i w planach cesarza!

Schwarzenberg zdążyłby otrząsnąć się ze strachu i *nie* cofnąłby się aż za Troyes; Napoleon *musiałby*, z obawy o zupełnie odsoniętą stolicę, podążać marszami pośpiesznymi z Nogent ku Meaux i co najwyżej potrafiłby, od czoła zaczepiwszy Blüchera, odrzucić go ku Aisne. „Napoleońskiego“ bowiem obejścia pośpiesznymi marszami — z Nogent na Montmirail-La Ferté-Chateau Thierry-Soissons—armia czeska zawsze jeszcze dosyć wczesnie zdążyłaby uniknąć, ponieważ Napoleon, celem zaatakowania flanki nieprzyjacielskiej, musiałby z Nogent trzy razy dalej maszerować, a *nawet* po dogonieniu tylnej straży Blüchera nad Aisne osiągnąłby bardzo marne zwycięstwo względnie do znacznych ofiar, które niezawodnie musiałby ponieść. Tymczasem Schwarzenberg zdołałby z powrotem podjąć ruch zaczepny na i poprzez Nogent, tak, iż cesarz w jednej chwili a koniecznie zawróciłby nazad przeciw niemu; Blücher zaś, przyciągnąwszy z przeciwległego brzegu Aisne 45,000 posiłków, także prędko potrafiłby prowadzić dalej plan już rozpoczęty.

Jest to jeden z owych pomysłów, o których szaleństwie lub genialności może rozstrzygać wy-

łącznie powodzenie. Lecz to ostatnie zapowiadało się nader prawdopodobnie. Wprawdzie wojsko, wskutek ponownych i tak gwałtownych a pośpiesznych marszów po drogach nad wyraz lichych, mogło strasznie ucierpieć, wypoczynek atoli po dojeździe do szosy paryzkiej powróciłby niezawodnie żołnierzom stargane siły. Czyż późniejsze pochody pośpieszne ku Méry, z Méry do Meaux, z Meaux ku Soissons nie przedstawiały trzy razy tyle trudności? Czyż nie zapuszczano się, odważnie marszerując ku Méry, na wyssaną i ubogą ziemię kredową Szampanii? Dopiero to biwakowanie Blüchera pod Sommesous, Arcis i Méry naprawdę przyczyniło się do stargania sił jego żołnierza. A czyż połączenie się z Schwarzenbergiem stanowiło cel, godny tak olbrzymich wysiłków? Czyż skutkiem takiego ruchu, jak to zresztą potem wyszło na jaw i sprawdziło się dosadnie, Blücher, miasto porwać za sobą na przód armię czeską, sam nie stracił na swobodzie ruchów? Czyż po bitwie pod La Rothière nie zmarnował on kilku dni nadaremnie i nie nabrał ochoty do nowego a silnego natarcia dopiero po rozłączeniu się z Schwarzenbergiem i wydobyciu się z pod jego paraliżującego wpływu?

Nie, *śmielsze* postanowienie byłoby również i *ostrożniejszym*, ponieważ przez marsz na Méry odłaniano przed francuzami obie flanki; lewej groził Napoleon, prawej i tyłom Marmont. Wystar-

czyłoby ku temu ostatniemu nieco pilności i poczucia obowiązków ze strony zakochanego w sobie samym księcia Raguzy. Gdy Blücher w dniu 18-ym przesunął pierwsze swoje oddziały poza Marne, Marmont powinien był już o tem się dowiedzieć, i natychmiast przywoławszy ku sobie dzielnego towarzysza, Mortiera, który zawsze chętnie a skromnie uznawał wyższe zdolności Marmonta, rzucić się w ślady pruskiego feldmarszałka. Nie wolno go usprawiedliwiać zbyt szczupłą ilością wojsk. Podczas takich operacyj wszystko zależy od konnicy. Posiadał zaś 2,000 jazdy, a w dodatku mógł rozporządzać dwoma tysiącami wyborowej konnicy Mortiera, naprzeciwko których Blücher zdołałby wysłać co najwyżej 6,000 jeźdźców, zmęczonych i zdemoralizowanych; Korff stał jeszcze pod Vitry. Z chwilą zaś, gdy jazda nieprzyjacielska nigdzie nie zajmuje stałej pozycji, lecz przenosi się z miejsca na miejsce, doświadczony generał odrazu odgaduje, że chcą go tutaj wywieść w pole i zasłonić przed nim właściwy kierunek pochodu armii głównej. Trudno znaleźć dość słów odpowiednich celem napiętnowania opieszałości Marmonta, który stojąc 25-go pod Sezanne, wciąż jeszcze przypuszczał, iż Blücher ciągnie od strony Chalons, gdy ten tymczasem już rozpoczął cofać się od brzegów Sekwany. *Ta opieszałość Marmonta właśnie jest nieszczęściem największem, któ-*

re spadło na Napoleona w 1814 roku. Gdyby bowiem ten ostatni otrzymał od Marmonta odpowiedni obowiązkowy raport w dniu 23-im, 24-ym, a nawet jeszcze 25-ym, natychmiast rzuciłby się w pogoń za Blücherem i dopadłby go jeszcze przed przeprawą przez Aisne. A tu, na domiar wszystkiego, wszechwiedzący Marmont, którego charakter znajdował się niżej zera, ośmielił się w swych pamiętnikach wykazywać i poprawiać „błędy“ Napoleona, a zarazem zarzucać mu, że po otrzymaniu pierwszej od niego wieści nie pogonił zaraz za Blücherem i nie przyłapał go na gorącym uczynku. Och, istotnie, dotychczasowe raporty oraz usilne rekonesanse Marmonta były tak wyborne, punktualne i tak pewne, że Napoleon powinien był zawierzyć natychmiast i bezwarunkowo pierwszym przysłanym przez niego wiadomościom!!!

Tak zwani „taktycy“ uważają za błąd nader zgubny ze strony Napoleona, że zaraz nie popędził za Blücherem, nie rozbił go i dopiero wtedy nie pomaszerował na Vitry. Nawet podobno w kwarterze głównej Schwarzenberga miano się tego kroku obawiać, uważając go za najprawdopodobniejszy i najlepszy. Czyż to nie zarozumiałość bezczelna, żeby za własny pomysł, jak ci panowie to robią, przedstawiać wnioski, które dopiero później wysnuto, dzięki istotnemu pochodowi mistrza na Vitry. Wówczas atoli, kiedy tego żądają

owi pp. taktycy, taka myśl po trzeźwym zastanowieniu się była ze względu na warunki chimera niewykonalna, którą przecież geniusz Napoleona, raz zrodziwszy, ciągle pieścił i wreszcie wykonał.

Przedewszystkiem przecenia każdy, świadomie lub mimowoli, liczbę wojsk, pośpiesznie zgromadzonych przez Napoleona. Według Kocha tudzież innych, miał on pod Vauchamps (odliczając 3,500 ludzi Mortiera nad Marne'ą) 10,200 piechoty i 7,000 jazdy; sądzimy jednak, iż tej ostatniej posiadał o 1,000 więcej. Wykazy urzędowe podają jego siły ogółem na 19,000 ludzi; istnieją przecież powody do mniemania, że prawdopodobnie rozporządzał 23,000 żołnierza. Po odliczeniu 3,000 strat i dodaniu posiłków, przyprowadzonych przez Levala, w sumie 4,500 ludzi, pozostaje zawsze tylko 25,000 żołnierza, podczas gdy Blücher po ściągnięciu pod Chalons posiłków był co najmniej o 20,000 żołnierza silniejszym. A zatem na takie zupełne rozbitcie Blüchera trzebaby jeszcze poczekać! Gdyby zaś o podobne rozbitcie Napoleon się pokusił, byłby Blüchera co najwyżej zbliżył ku Bülowowi i Winzingerodemu, co przyniosłoby ostatecznie wcale niepożądane wyniki—a cóż przez ten czas działałoby się pod Paryżem?

Nasamprzód odrzucać Blüchera w tył, a *potem* ruszyć ku Vitry w chwili, gdy każdy dzień był tak droгим — toć to niedorzeczność oczywista. Lecz

gdyby Napoleon znowu *natychmiast* pomaszerował ku Vitry, to zastałby tam posiłki dla Langerona, które mógłby, mniejsza o to, rozbić, a następnie zabrać parki i magazyny żywności Schwarzenberga. Lecz cóż za korzyść z tego, co wreszcie potem? Gdyby nawet, na co zgoda, Schwarzenberg się cofnął, to i tak Blücher od strony Rheimsu zagroziłby tyłom armii Napoleona. Jeżeli zaś Napoleon zwróciłby się teraz do Metz i tam przywołał do siebie załogi fortec, to błąkałby się w tamtejszych okolicach, mając 40—45,000 ludzi, całkowicie bezużytecznie i urządziłby powstania ludowe, lecz po jakimś czasie znalazłby się w groźnym położeniu, musiałyby zamknąć się w Metz i poddać zażartemu oblężeniu. Przeciwnie zaś, gdyby Augereau, jak brzmiał posłany mu rozkaz, z 25,000 żołnierzy bądź połączył się w kierunku na Langres z Napoleonem, bądź z Genewy posunął się ku Bazylei, sprzymierzeni zaczęliby się obawiać oskrzydlenia i musieliby cofać się ku granicom. Lecz na takie złożone plany nigdy nie można rachować z pewnością niewzruszoną; a ponieważ Augereau, jak wiadomo, haniebnie zawiódł pokładane w nim nadzieje, przeto lepiej po tej wzmiance krótkiej zamilczmy już i o samym Augereau i o nadziejach Napoleona, pokładanych na tym marszałku.

Cóż atoli stałoby się, gdyby Blücher *nie poszedł* w pościg za Napoleonem, maszerującym ku Vitry,

jeno rzucił się *odrazu* na Paryż, który z tej strony był *zupełnie* odsloniętym? Napoleon bowiem, oczywiście, nie mógł zostawić ani jednego bagnetu na zasłonięcie stolicy, ponieważ inaczej z siłami przerażająco małemi nie osiągnąłby żadnych wyników pożądaných pochodem na Vitry. A co za następstwa groźne wyniknęłyby wobec zupełnej bezradności w Paryżu, wobec braku wszelkich środków do obrony, wobec lichej komendy tamtejszej nad już zebranemi i coraz obficie nadpływającymi posiłkami? Gdyby nawet istotnie 50—60,000 wojowników pod wodzą najstarszego rangą z marszałków, Victora (patent marszałkowski z 1807 roku z powodu bitwy pod Friedlandem), zasłoniłoby własną pierś Paryż, to i tak warto pamiętać, iż armia czeska zawsze jeszcze miała 150,000 żołnierza, czyli o wiele była potężniejszą w stosunku do francuzów, aniżeli potem w dniu 30 marca. Podczas tego wszystkiego zaś Napoleon, odcięty ze wszech stron, siedziałby w Lotaryngii i, niby wolny strzelec, rzucałby się to w tę, to w ową stronę. Prawdopodobnie zdołałby na odsiecz Paryżowi przybiedz dopiero od strony południowej po przebyciu długiej, mozolnej drogi, po rozbiciu południowej armii austryackiej i po połączeniu się z Augereau. Gdyby już wtedy Paryż sprzymierzeni zdobyli, co bezwątpienia wywołałoby we Francyi całej straszne przygnębienie moralne, zawsze jeszcze mógłby

od południo-zachodu rzucić się na 100,000 sprzymierzonych z 60,000 żołnierza. Lecz w razie gdyby zdołali tym pierwszym przybyć na pomoc również Bülow i Winzingerode, to wówczas sprzymierzeni rozporządzałiby siłami dwa razy od jego wojsk większemi. Zresztą nawet po odebraniu im Paryża i wyparowaniu ich aż do Holandyi, demoralizujące wrażenie chwilowej utraty stolicy krępowałoby wszelką jego następną działalność. To wszystko właśnie, co prędzej mógł sobie lekceważyć władca prawowity (wydanie nieprzyjacielowi Berlina przez Fryderyka II), dla niego stanowiło niezmierną zawadę we wszelkich operacjach wojennych, bo nakazywało sumienne liczenie się z wewnętrznymi, politycznymi stosunkami kraju. Marsz do Lotaryngii tworzył już właśnie *ostateczny, rozpaczliwy środek ratunku na wypadek, skoro zawiodłyby wszystkie inne plany, lub gdyby nieprzyjaciel, zmęczony bezskutecznościami i nużąciami zapasami, zaczął upadać na siłach.*

Może jednak ktokolwiek zarzuci, że Schwarzenberg, przestraszywszy się Napoleona, pośpiesznie zrejterowałby ku Langres. Lecz i w tym także razie Napoleon na czele swego większego wojska straciłby możliwość szybkiego porozumiewania się z Paryżem, Victor zaś, mając takiego wodza jak Blücher, z boku lub od czoła, skoro i ten pośpieszyłby do Lotaryngii, łatwo mógł uleść stanowczemu rozbiciu.

Głównem tedy zadaniem cesarza musiało być zgromadzenie jaknajszybsze o ile możliwości najliczniejszego wojska, a zwłaszcza weteranów hiszpańskich. Cóż za korzyść bowiem zdołałby wyciągnąć z tak nielicznych, dziesięciokrotnie więc cenniejszych posiłków, jeżeli ustawicznie marnowałiby je partacze nieudolni! (Podobnego rodzaju przykład zaszedł później pod Bar-sur-Aube). Nie z innego też, jeno z tego powodu wolał on obejść dłuższą drogą na Meaux i tam dopiero pościągać ku sobie wszystkie oddziały. Gdyby bowiem z garścią żołnierza (po rozłączeniu się z Mortierem i Marmontem najwyżej 15,000 ludzi) natychmiast rzucił się na Nogent, nie zdołałby, dla braku sił odpowiednich, osiągnąć należytych korzyści. Jeżeliby zaś znowu posłał trzem marszałkom poza Yères rozkaz, aby posunąwszy się na wschód, zdążali ku niemu pospiesznymi marszami, to, znając ich opieszałość, z góry mógł się spodziewać, iż połączenie się nie uda, bo marszałkowie przybędą zapóźno i zamało ludzi przyprowadzą, nieprzyjaciel atoli przez ten czas się spostrzeże i zawczasu cofnie, czyli cały atak spełźnie na niczem. Prócz tego trzeba pamiętać i o tem, iż Schwarzenberg, niezaatakowany gwałtownie od czoła w dniu 17-ym, z wszelką pewnością przeszedłby Sekwanę i posunął się na przód. Nadto obecność cesarza w pobliżu Paryża — nigdy nie będzie zamało uwydatniać ów wzgląd —

stanowczo ze względów politycznych była potrzebna. *Połączony* ruch na Nogent, który, nawiasem mówiąc, mógł bardzo łatwo się nie udać, wymagał o wiele więcej czasu. Zagadnienie tedy, już poprzednio rozważane, jest obecnie całkowicie jasnym: Jeżeli w dniu 20-ym Napoleon nie ukazałby się pod Paryżem, to Schwarzenberg, ośmielony tem, że ani razu go nie pobito, ruszyłby prosto na Paryż; chimera jest tedy ów pościg za Blücherem i marsz ku Vitry.

Owi tedy zarozumiali „taktycy“ raczą przestać ganić mistrza za to, że nie zaatakował prawego skrzydła pod Nogent. Mógłby dzięki temu przyprzeć Schwarzenberga aż ku Yonne. Chimera! Napoleon bowiem zdołałby przeprowadzić przez Sekwanę w tem miejscu najwyżej 20—30,000 ludzi, a wojsko, liczące 150,000 żołnierza, przed garścią podobną nie ustępuje tak łatwo i odrazu. Schwarzenberg zawsze jeszcze zdążyłby cofnąć się ku Troyes.

Również nieuzasadnioną jest nagana, że Napoleon, opuściwszy Nangis, niepotrzebnie rozdrobnił swoje siły. Aby zyskać na czasie, musiał postarać się o zajęcie, w razie możności, wszystkich trzech mostów— pod Nogent, Bray i Montereau;— zamiar ów mógł się mu udać jedynie w razie natchmiastowych ruchów zaczepnych i dzięki niespodziewanemu zaskoczeniu nieprzyjaciela. Oudinot

poprostu się rozpróżniaczył; Macdonald zwlekał i ociągał się, a Victor niczego nie umiał porządnie wykonać; na tego ostatniego, choć najmniej zawinił tym razem, spadł za dawne winy gniew cesarza. Gdyby Napoleon wszystkie swoje siły skierował na jeden punkt, jakież osiągnąłby z pomocą tego wyniki? Zajęcia Nogent rzekł się już dawniej, ponieważ jego posiłki nadciągały z zachodu; straciłby tedy niesłychanie wiele czasu, gdyby atakował w kierunku wschodnim. Jeżeliby zaś natychmiast ze wszystkimi wojskami, któremi mógłby rozporządzać, rzucił się na Montereau i jeszcze w nocy zdobył most, co zabrałoby sporo ofiar,—to wprawdzie odciąłby odwrót Bianchiemu i odrzucił księcia wirtemberskiego ku Wredemu, umożliwiając sobie zadanie im ciężkich szram podczas odwrotu,—lecz kto mógł zaręczyć! za to, że następca tronu wirtemberskiego, najdzielniejszy i najbardziej pomysłowy podkomendny Schwarzenberga, nie nakłoniłby Wredego i Wittgensteina do stawienia rozpaczliwego oporu? Napoleon, który mógł w owym czasie po drugiej stronie Sekwany posiadać powyżej 30,000 wojowników, z trudnością zdołałby pokonać owe 40,000, ponieważ czułoby one na tyłach niezliczone rezerwy — główną armię, — a Schwarzenberg *musiałby* porobić odpowiednie kroki do przybieżenia im z pomocą. Wówczas Napoleon, wtłoczony w kąt między Sekwanę

i Yonne, znalazłby się w niesłychanie trudnem położeniu.

Najponętniej przedstawiał się plan zaatakowania centrum pod Bray, w razie przecież gdyby istotnie udało się spędzić Wredego ze stanowiska bez wielkich stosunkowo ofiar. Wówczas bowiem odcinał Napoleon odwrót zarówno Wittgensteinowi, jak i księciu wirtemberskiemu. Lecz i tutaj mogło nastąpić podobne zakończenie, jak wyżej; obaj wodzowie połączyliby się z Wredem i wydaliby bitwę Napoleonowi, który mając na tyłach Sekwanę, rozporządzałby zaledwie częścią dopiero przeprowadzonych przez rzekę wojsk. A przecież nikt inny, jeno on sam (Listy z 1806 r.) nauczał, iż natrafiwszy na rzekę, należy atakować nieprzyjaciela dopiero po zgromadzeniu wszystkich sił; prawdziwości owej zasady dowiódł pod Wagram, wspaniale wyprowadziwszy swe kolumny z Lobau na Marchfeld; prawdziwości owej zasady sam doświadczył na sobie, gdy wbrew niej postąpił pod Aspern i przegrał bitwę.

Napoleon znał również przysłowie przewyborne, że nieprzyjacielowi cofającemu się należy stawiać złote mosty. Ciągły odwrót na daleką metę, jak ów Schwarzenberga, kryje w sobie demoralizujące zarazki. Po co tedy marnować siły, uganianjąc się za zyskiem, wcale jeszcze niepewnym?
„Nieprzyjaciel odchodzi, zostawmy go w spo-

koju!“ —ładnie rzekł w 1757 roku jeden z wodzów o krwi książęcej.

Nawet późniejsza strata czasu poza Sekwaną nie nie szkodziła, ponieważ przedewszystkiem zależało mu na wzmocnieniu organizacyi wewnętrznej własnej armii. Istotnie wypadł na równiny pod Troyes na czele wojsk, doskonale zespojonych i uporządkowanych.

Na Schwarzenberga znowu ci i owi siarczyste rzucają przekleństwa za to, że pod Troyes nie wydał francuzom bitwy. Zważywszy, że stało tam niemal 180,000 sprzymierzonych, należało spodziewać się klęski trzy razy słabszego przeciwnika. Tymczasem Thielen, najżałartszy obrońca i zwolennik austriackiego generalissimusa, z flegmą niesłychaną twierdzi: Schwarzenberg *nieprzyjęciem* bitwy uratował sprzymierzonych. A Houssaye daje oklask takiemu orzeczeniu: Napoleon całkowicie słusznie *chciał stoczyć* bitwę, gdyż wojacy francuzcy, zahartowani świeżemi zwycięztwami, z pewnością wszelką pobiliby zdemoralizowaną armię czeską; armię szląską znowu zatrzymaliby weterani hiszpańscy, istny mur żywy. Wątpliwe to mniemanie! Prawdopodobnie bowiem Blücher przełamalby ów mur i zamknął cesarzowi odwrót w razie, jeżeli ten ostatni *nie zdolalby* rozbić Schwarzenberga. Wprawdzie, jako liczebnie słabszy, sam uległby w końcu; bądź-co-bądź atoli, Napoleon wydobyłby się

z matni po dużych dopiero stratach. Lecz *przeciwnie*, gdyby Napoleon *zdażył* zawczasu odeprzeć Schwarzenberga poza Sekwanę, a następnie odwróciwszy się, na tym samym brzegu rzucił się na Blüchera, wówczas marszałek „Naprzód“ popadłby w fatalne położenie, i albo uciekłby jedynie z garścią na brzeg północny, albo też poniósł klęskę zupełną.

Ponieważ atoli, czego dziwnym trafem nikt dotychczas nie uważał za okoliczność *rozstrzygającą*, tylko *połowa wojsk* Schwarzenberga stała na brzegu zachodnim, podczas gdy druga połowa już powróciła na wschodni i z tej też przyczyny nie potrafiłaby wziąć udziału w bitwie rozstrzygającej, przeto Napoleon niezawodnie zniósłby ją ze szczętem. Schwarzenberg w takim położeniu więc, *unikając* bitwy, działał nader roztropnie; sprawcą przecież owego nad wyraz marnego położenia nikt inny nie był, jeno on sam, skutkiem swego opłakanego mazgajstwa. obrońcy tedy i oskarżyciele Schwarzenberga dopuszczają się jednego i tego samego błędu: przyczynę uważają za skutek i odwrotnie.

Tu kres niniejszych komentarzy.

Drugi atak na Blüchera.

Wyruszywszy na gwałt dnia 27-go z Troyes, w dniu 28-go stanął cesarz w Sezanne.

Pierwszego marca przybyła jego straż przednia już pod La Férté-sous-Jouarre, a dnia 2-go obejrzał on osobiście brzeg Marne'y. Znalazłszy most zniszczony, co ujawniało pod pewnymi względami zamiary Blüchera, zaczął gorzko narzekać, iż nie zabrał z sobą pontonów. Nadsyłane bowiem raporty marszałków Marmonta i Mortiera, którzy za swoją działalność przewyborną mieli obecnie wszelkie prawo spodziewać się gorących pochwał ze strony mistrza, wykazywały, że Blücher gorączkowo cofa się ku północy wzdłuż brzegu Marne'y.

Dnia 28-go Marmont donosił co następuje: Gdy dnia 25-go czoło armii Blüchera zaskoczyło go pod Sezanne, bez zwłoki cofnął się ku La Férté-sous-Jouarre, dając twardy odpór nieprzyjacielowi, i ztamtąd natychmiast ostrzegł o niebezpieczeństwie kolegę Mortiera. Obaj marszałkowie połączyli się tam istotnie w dniu 26-go dzięki dwóm pośpiesznym marszom, zniszczyli również most nad Marne'ą koło Trilport i ostatecznie zajęli w dniu 27-go silne stanowisko pod Meaux. Dotychczas unikając każdego starcia poważniejszego, mimo że jazda Yorka ściagała ich uporczywie, teraz postano-

wili ze wszystkich sił bronić uporczywie prawego brzegu i zwycięzko odparli pierwsze natarcie nieprzyjaciół. Po tem natarciu atoli ci ostatni zaprzestali nietylko ścigać francuzów, ale nawet i postępować na przód; przyczynę takiego kroku odgadł Marmont zaraz, spojrzawszy na kartę. Blücher cofnął wojsko poza rzekę, celem natarcia na stanowisko pod Meaux z tyłu, miasto od czoła posuwać się na przód i ustawiczne staczać boje z dwoma tak dzielnymi marszałkami. Rankiem tedy dnia 28-go pomaszerowali ci ostatni ku Lizy nad rzeką Ourcq, przez którą już się przeprawił korpus Kleista i zajął stanowisko za strumieniem Therouanne, podczas gdy znaczniejsza ilość wojsk Blüchera znajdowała się jeszcze daleko ztamtąd po drugim brzegu Marne'y. Nie należało zaniedbywać podobnie drogocennej chwili; marszałkowie też z całą mocą uderzyli na Kleista i po wścieklej rozprawie odcięli go od głównego centrum armii. Marmont posunął się szybko aż do miasteczka May; Mortier postępował za nim w drugiej linii.

O tych wypadkach z dnia 28-go dowiedział się Napoleon z listu Marmonta, odebranego rankiem dnia 1-go marca.

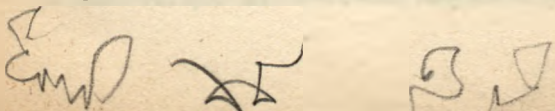
Lecz od tej chwili zaczęło się marszałkom, jak donosiły listy Marmonta, powodzić jeszcze lepiej. Dnia 1-go marca przypuścił Blücher równocześnie trzy ataki. Spęły one na niczem dzięki

energii przezornej Marmonta pod May, gdy równocześnie Mortier pod Lizy zadał cięgi Sackenowi. Do tej pory marszałkowie rozporządzali zaledwie dziesięcioma tysiącami ludzi: Marmont prowadził 6,000, Mortier 4,000. Ostatniej nocy lutowej na rozkaz Napoleona przybyło świeżych 6,000 posiłków: dywizya młodej gwardyi Porret de Morvana: 4,879, dywizya jazdy gwardyjskiej Boulnoira: 1,020, a do tego kompania artyleryi z 48 działami. Dzięki temu francuzi, wzmocnieni oraz zagrzani nadzieją rychłego przybycia cesarza, walczyli niezwykle ochotczo i dzielnie; gdy więc dnia 2 marca Kleist jeszcze raz przypuścił pod May atak natarczywy, natychmiast Marmont domyślił się, że celem tego ostatniego jest zamaskowanie odwrotu Blüchera na całej linii. Bez zwłoki tedy poprosił kolegę, aby nadbiegł z Lizy ku pomocy, dzięki czemu spotkało Kleista takie ostre przyjęcie, że już nie zjawił się więcej, jeno w ucieczce śpiesznej szukał ocalenia. Teraz Marmont puścił się za nim w pościg straszliwy i o północy wdarł się szturmem do La Ferté-Milon, kędy tylko co przebywał sam Blücher. Rankiem dnia 3-go dopadł jeszcze jednej części armii szląskiej na prawym brzegu; tylna straż nieprzyjacielska jedynie straszliwym salwom potężnej bateryi zawdzięczała możność przedostania się na lewy brzeg rzeczki Oureq. Podczas tej potrzeby zaciętej ubito pod marszałkiem Marmontem

konia. O ósmej wieczorem wysłał raport do Napoleona, dołączając list, zaadresowany do Grouchy'ego, który już zetknął się z jego jazdą: zaznaczył w nim, iż liczy na pomoc Grouchy'ego w jutrzejszym pościgu. Oddziały jazdy gwardyjskiej Colberta i Defrance'a, jako też 600 lansyerów hrabiego Paca, należące dotychczas do komendy Mortiera, połączyły się obecnie z gwardyą cesarską.

O ile te wszystkie wieści napawały cesarza zadowoleniem głębokiem, o tyle inne, nadesłane w dniu 2-go, dotknęły go nader nieprzyjemnie. Jeszcze w dniu jego odjazdu, o tej samej godzinie, Oudinota na jego niedogodnem stanowisku pod Barmem z tamtej strony Aube napadły siły przeważające i pobiły dotkliwie. Wprawdzie donosił on o stracie 1,200 ludzi, lecz ze wszystkich okoliczności pobocznych cesarz musiał przyjść do wniosku, że naprawdę musiała ona być znacznie większą. Mimo przecież całego niesmaku, jakim napełniało go zachowanie się Oudinota, Napoleon musiał raz powzięte zamiary przeprowadzić bez zmiany i w całości. Choć linia nad Aube już stracona, to jeszcze linii operacyjnej nad Sekwaną Macdonald potrafi bronić bardzo długo przeciwko tak ociężałe ostrożnemu kunktatorowi, jak Schwarzenberg.

Cesarz pokładał wielką nadzieję w uplanowanych bitwach nad Aisne; dnia 3-go rankiem prze-



szedł Marne z pomocą błyskawicznie naprawionych mostów pod La Ferté i Chateau-Thierry. Główną podstawą jego operacyj było przekonanie, że najważniejsza miejscowość nad Aisne, Soissons, wzbrania przez rzekę przeprawy. Mortier tę małą i już opuszczoną fortecę obsadził niesłychanie dzielnym garnizonem: legia nadwiślańska (700 bagnatów), 280 piechurów starej gwardyi, kanonierzy z 20 działami i 300 gwardzistów narodowych; zastęp ów mógł powstrzymać nawet bardzo liczny wroga przez przeciąg najmniej trzech dni ¹⁾.

Napoleon wiedział teraz, iż korpus Winzingerodego stoi po przeciwnej stronie Aisne'y; nie był atoli pewnym pod tym względem co do Bülowa. Armia szlżaka natomiast uciekała wzdłuż tego brzegu Aisne'y, szukając miejsca odpowiedniego do przeprawy; można było tedy ją zaskoczyć jeszcze

¹⁾ Jest to dziwnem zjawiskiem, jaskrawie uwydatniającem geniusz proroczy Napoleona, że już w dniu 23 lutego uznał on Soissons za tak ważny punkt strategiczny, iż wysłał tam z Orleanu brygadę Chaberta, 2,500 starych gwardzistów narodowych. Oddział ten atoli skutkiem niedokładnych rozkazów dnia 2 marca stanął dopiero w Paryżu i tam czekał dalszych rozporządzeń. Ponieważ atoli nie widnieje on na spisie obrońców Paryża dnia 30 marca, przeto trzeba przypuścić, iż albo go rozpuszczono do domu, albo wcielono do jakiegoś innego korpusu.

przed nadejściem posiłków, podczas gdy rzeka dzieliła obie rozłączone części wojska nieprzyjacielskiego. Obaj marszałkowie zatem otrzymali rozkaz niepokojenia Blüchera i opóźniania za wszelką cenę jego pochodu. Sam cesarz dnia 4-go doszedł do Fismes nad Vesle, dzięki czemu zastał przed Blücherem, i to nader skutecznie, drugi punkt, sposobny do przejścia Aisne'y, Berry-au-Bac. Równocześnie wysłał dywizyonera Corbineau (słynnego swoim przerwaniem się przez zastępy nieprzyjaciół w 1813 r. pod Chełmnem) do Rheims, oddawszy pod jego komendę brygadę jazdy.

Strategiczne stosunki nie mogły się korzystniej dla Napoleona ukształtować. Już w dniu ostatnim lutego nastąpiła odwilż, a potem deszcz, tak, iż drogi popsuły się, podobnie jak w owym słynnym drugim tygodniu lutego. Aisne wezbrała i wystąpiła z brzegów, skutkiem czego przeprawa jeszcze więcej przedstawiała trudności. Marsze pośpieszne, uniemożliwiając wszelkie prawidłowe zaprowiantowanie, spowodowały tak straszną nędzę w szeregach nieprzyjacielskich, iż musiały one szukać ocalenia w płądowaniu okolicznych mieszkańców. Ten rabunek niezmiernie wzburzył chłopów, których i tak już przygotowywano oddawna do tłumnego powstania.

Podczas tego dragoni Roussela już zrobili pożądaną połów: zdobyli bagaże Sackena i furgony

prowiantowe Langerona, które szły ku Berry-aubac. *Blücher* tedy nie mógł już przebić się tamtędy, a Napoleon chciał, zwracając się na lewo, odepchnąć ku zachodowi te wszystkie oddziały nieprzyjacielskie, które jeszcze się znajdowały po tamtej stronie Aisne'y.

Wtem w nocy z 4-go na 5-ty marca nadbiegła wiadomość, bezwarunkowo zdolna do zmiążdżenia słabego ducha—wiadomość o zachyciance złośliwej losu. Marmont pisał z Hartennes, o godzinie 11-ej przed południem: przekroczywszy o godzinie wpół do 7-ej rano rzekę Ourcq, ścigał nieprzyjaciela aż do tej miejscowości, gdy wtem odebrał wieść, iż Soissons poddało się w południe dnia poprzedzającego. Komendant, generał Moreau, zatrzwożony przewagą wroga, po energicznym oporze w dniu 2 marca, wieczorem dnia 3-go wyciągnął z fortecy drogą ku Compiègne, wśród wszystkich honorów wojskowych, z dwiema armatami i z całym garnizonem.

O godzinie 2-ej w nocy Mortier listownie potwierdził ten stan rzeczy, jak również jeszcze przedtem, o 10-ej wieczorem, Corbineau z pobliza Rheimsu. Zwłaszcza Marmont wydawał się przerażonym niesłychanie. Ten wypadek ważny niszczył owoce wszystkich dotychczasowych operacyj. Marszałek czekał na nowe rozkazy cesarskie.

Napoleon, uniósłszy się gniewem straszliwym, napisał 5-go do ministra wojny w Paryżu, aby natychmiast uwięziono i rozstrzelano *ce misérable*, generała Moreau ¹⁾. Równocześnie mistrz, jak zawsze nieugięty i pełen nadziei na przyszłość, natychmiast powziął nowy plan, zastosowany do okoliczności. Ponieważ Blücher wymknął się mu z rąk pod Soissons i, jak przypuszczano, ukrywał się z tamtej strony Aisne'y, przeto Napoleon postanowił i sam również przejść teraz rzekę pod Berry-au-Bac, rzucić się na Laon, zawrócić na lewo i tak długo pędzić lewe skrzydło Blüchera ku jego własnemu centrum, aż wreszcie armia szlązka, nie mogąc się rozwinąć, znajdzie się w położeniu bez wyjścia. Aisne i Oise mianowicie tworzą na zachód od Laonu kąt; gdyby więc udało się Blüchera tam przyprzeć, niechybnie zginałby on marnie, będąc odciętym od swych magazynów żywności w Belgii.

¹⁾ Generała Moreau nie rozstrzelano, jak dotychczas utrzymywali niektórzy historycy, lecz przeciwnie—po zdobyciu Paryża wypuszczono z więzienia, a Burbonowie w dodatku wynagrodzili sownie jego tchórzowstwo. Był on jedynym francuzkim komendantem fortecznym od Gdańska aż do Badajos, niebroniącym się do upadłego. Tem większą jego hańba, tem bardziej rażąca, ponieważ dzielna załoga chciała umrzeć z bronią w ręku.

Lotem błyskawicy zamiar przyoblekł cesarz w czyn. Całe wojsko skierowano na Berry-au-Bac. Cóż jednak, gdyby Blücher zdążył tam przybyć pierwszy? Konnica gwardyi, wyruszywszy o 8-ej rano, szła na czele pochodu; już o godzinie 11-ej zameldował oficer dragonów, iż mostu strzeże jedynie garść nieregularnej jazdy nieprzyjacielskiej i kilka armat. Z miejsca, w mgnieniu oka rzucił się Nansouty na czele lansyerów, dragonów i szwoleżerów Colberta ku mostowi i, zanim nieprzyjaciel zdołał stanąć w szyku bojowym, zdobył armaty, wziął 300 jeńców, a niedobitków popędził ku Corbény. Biegiem pędziły za konnicą korpusy Ney'a i Frianta. Droga ku Laon otwarta. Równocześnie nadszedł pocieszający raport generała Corbineau, datowany o 8-ej rano: dzięki marszowi nocnemu zaskoczył Rheims i wziął do niewoli zarówno cztery bataliony nieprzyjacielskie, stojące poza miastem, jak i słabą jego załogę. Tego samego dnia Napoleon ogłosił dekret z datą 5-go marca, wzywający każdego dorosłego francuza pod broń i nakazujący pospolite ruszenie. Teraz posłał ponownie rozkazy dla Marmonta i Mortiera, by podążali za nim poprzez Berry-au-Bac, celem ześrodkowania wszystkich sił w kierunku na Laon, gdzie on sam, maszerując drogą ku Rheims, spodziewał się przybyć pierwiej od Blüchera. Również i Corbineau, po zabezpieczeniu w taki sposób tyłów, miał nazad

zawrócić się od Rheimsu, aby wszystko aż do ostatniego żołnierza połączonemi siłami rzuciło się na nieprzyjaciół.

Konnicę, napotykaną na drodze, zmuszano do ucieczki; koło południa główna kwatera cesarska znajdowała się w Corbény. Lecz tam dowiedziano się, że wojska nieprzyjacielskie zeszyły z szosy w kierunku zachodnim na wyżynę Craonne. Wyglądało to tak, jak gdyby nieprzyjaciel, zwróciwszy się na lewo, chciał zaskoczyć Napoleona podczas pochodu; na to jednak nie można było żadną miarą mu pozwolić. Dwa bataliony młodej gwardyi zdobyły szturmem wieś Craonne; dywizya Meuniera zaś, prowadzona osobiście przez Ney'a, wyparła z doliny rzeczki Ailette brygadę nieprzyjacielską aż na wyżynę i z nieprzeblaganą zaciętością wdarła się tam za nią do folwarku Heurtebise, gdzie wysunięta na przód mniejsza wyżyna łączy się z tylną, większą, z pomocą przesmyku, szerokiego na jakieś 130 metrów. Tu zawrzał bój wściekły o folwark właśnie, który francuzi trzy razy zdobywali i trzy razy tracili. Dopiero po nadejściu nocy dzielne chwaty Ney'a cofnęły się z linii bojowej; zapalono ognie biwakowe po obu stronach. Reszta wojska obozowała pod Corbény; jedynie dywizye Charpentiera i Arrighy'ego, trzecia dywizya jazdy, jako też część artyleryi, nie doszły jeszcze do mostu pod Berry. Obaj marszałkowie znajdowali się

również po przeciwnym brzegu Aisne'y — rozkazy mistrza, polecające im odmienny kierunek pochodu, odebrali dopiero 5-go po południu — i kierowali przez cały dzień nader gwałtownymi szturmami na Soissons, gdzie przecież nader dzielnie, mimo stratę 1,000 ludzi, bronił się korpus Rudzewicza. Po odczytaniu rozkazu, pozostawiwszy 800 zabitych i rannych, natychmiast ruszyli śpiesznie w drogę, celem jaknajprędzszego połączenia się z cesarzem. Odległość atoli między Soissons a Berry wynosi sześć mil niemieckich.

Położenie przedstawiało się jasno. Ponieważ Nansouty już 5-go wieczorem bezwiednie objaśnił nieprzyjaciela o zamiarach cesarza, przeto owa wrzawa wojenna nad rzeczką Ailette, na tyłach pruskiej kwatery głównej, zmusi bezwątpienia Blüchera do zmiany swego frontu, już całkowicie odsuniętego na zachód, tembardziej, że oczekiwał on ataku od strony Soissons. Oczywiście tedy, rozkaże on wojsku wdrapać się po stokach wapiennych Craonne na wyżynę i tam z frontem ustawionym na wschód wyda Napoleonowi bitwę. Ponieważ atoli tak Craonne jak i las Corbény obsadziły już oddziały Ney'a, przeto walczący tam dnia 6-go korpus pruski cofnął się o sporą przestrzeń w tył, ku samym stokom wyżyny. Wiele tedy wojska na tak małej stosunkowo przestrzeni nie można było rozwinąć. Gdyby zaś udało się je zepchnąć

z wyżyny, napowrót ku Laon, wówczas porwałyby one za sobą w bezładnej ucieczce z tyłu, poza wyżyną stojące korpusy i w ten sposób nieprzyjaciel cofałby się bezładnie i bezradnie zarazem ¹⁾. Równocześnie możnaby, podstępem zaskoczywszy Laon, odciąć mu odwrót.

Ponieważ mapy nie dawały pożądaných wyjaśnień, cesarz wieczorem wypytywał chłopów, czy nie udałoby się obejść tej silnej pozycyi. Pewien pocztmistrz wskazał niejakiego pana de Bussy, burmistrza miasteczka Beaurieux, byłego oficera. Szczególne! A może to ten Bussy, który z porucznikiem Bonaparte służył razem w pułku artyleryi La Fère? Mer zjawił się o północy; istotnie był on dawnym owym towarzyszem, wzruszonym tak serdeczną i dobrą pamięcią wielkiego człowieka. Z wojskowem znawstwem terenu natychmiast wykazał drogi, umożliwiający podwójne oskrzydlenie nieprzyjaciela, i podjął się osobiście służyć za przewodnika Nansouty'emu, za co cesarz odrazu awansował go na stopień pułkownika. Do Ney'a o 4-ej rano wysłano rozkaz obejścia lewej flanki nieprzyjaciela doliną rzeczki Ailette pod wsią Ailles.

Istniały przecież wątpliwości, czy przyjdzie do stanowczej przeprawy. Nocne raporty przednich

¹⁾ Ten plan taktyczny musiał bezwarunkowo błysnąć w głowie Napoleona.

czat donosiły o odwrocie głównego środka nieprzyjacielskiego. Cesarz przypuszczał, iż ruchy owe mają na celu owładnięcie drogi ku Corbény, aby przemknąć się ku Laon. Ponieważ tę drogę francuzi obsadzili, przeto Blücher będzie musiał cofnąć się ku Lette, aby, wyginając się łukowato na zachód, dopaść do Laon, gdzie przecież z trudnością niesłychaną zdołałby *wyprzedzić* francuzów, rozporządzających wygodnie szosą z Rheims.

Rankiem 7-go marca udał się Napoleon do przednich czat, rozstawionych na mniejszej wyżynie. Dotychczas stały tam zaledwie dwa bataliony młodej gwardyi. Cesarz, obejrawszy pozycję nieprzyjacielską, uznał ją za bardzo silną. Piechota stała w trzech rzędach, długich i silnie zmasowanych, frontem zwrócona przeciwko wązkemu przesmykowi, łączącemu tuż koło folwarku Heurtebise obie wyżyny; folwarku bronił również liczny oddział nieprzyjacielski. Znaczna ilość dział widniała na wszystkich węzłowych punktach ¹⁾.

¹⁾ Przed frontem stało armat 36, 12 na prawem, 18 na lewem skrzydle, 30 w rezerwie: razem 76 armat. Ponieważ cesarz pod Troyes miał 350 dział, a zapewne 100 zostawił Macdonaldowi, przeto musiał prowadzić ze sobą zapewne około 250, do czego przybyło jeszcze 100 obu marszałków, razem tedy 350. Zjednoczone siły Blüchera rozporządzały niemal pięciuset działami; ta liczba przecież wydaje się nam zawysoką.

Front pozycji był nie do rozbicia; tutaj jedyny środek tworzyło obejście wyżyny. W tym jednak celu trzeba było zatrudnić nieprzyjaciela od czoła, aby odwrócić jego uwagę. Ustawiono tutaj sześć bateryj, których wywindowanie na górę wymagało bardzo dużo trudów, ponieważ nocą chwycił mróz, tak, iż konie osuwały się po śliskich stopkach. Dopiero o godzinie 10-ej rozpoczęła ta linia artylerji ogień; wszczął się pojedynek dział z obu stron,—nikomu atoli, z powodu zbyt wielkiej odległo-

Woroncow przyprowadził do boju 16,300 piechoty i 2,000 jazdy. Do tego 2,700 jazdy Sackena, którego piechota, 10,000 ludzi, zdaje się, w boju udziału nie brała. Bezpośrednio walczyło: zrazu 18,300, potem 21,000 ludzi wraz z 10,000 rezerwy. Napoleon rozporządzał zrazu tylko: 4,000 Ney'a i artylerją; potem połową oddziałów Victora (którego 12,500 stopniało na 8,800 skutkiem służby polowej i trudów pochodu): 8,000; potem 3,000 Nansouty'ego i 1,000 Sparrego: 12,000; wreszcie 5,000 Carpentiera i 1,000 jazdy gwardyjskiej oraz 1,000 rezerwy artylerji: 19,000. Przytem zawsze w rezerwie 6,000 Frianta, z których pod koniec bitwy stanęła w ogniu brygada Peleta: 3,000. Nieprzyjaciel tedy do 1-ej w południe miał *spórą* przewagę, potem siły równe. Napoleon, nawet z *możliwymi* rezerwami, Friantem i pierwszą dywizją Mortiera, liczył w końcu tylko 27,600 ludzi, nieprzyjaciel 31,000. Dział miał o wiele więcej pierwszy, lecz także dopiero pod koniec. Koch podaje siły Napoleona *bez* marszałków na 29,900 ludzi, dodaje mu jednak błędnie brygadę Roussela, lansyerów Paca i wszystkie oddziały Victora.

ści, nie czyniąc znacznej szkody. Tymczasem Ney podprowadził swój korpus przez las Corbény, aż do podnóża wyżyny i zaczął wdrapywać się po jej stokach. Jakkolwiek to obejście niespodziewane zrazu wywołało zamieszanie wśród nieprzyjaciela, wnet przecież ten ostatni prędko nabrał ducha i rozpoczął zasypywać francuzów potokiem kul. Dywizya Meuniera wydostała się wprawdzie na górę, lecz, nie mogąc z powodu przeraźliwego ognia utrzymać się na pozycyi, cofnęła się poza doniosłość strzału na stoki, w t. zw. „martwą przestrzeń.“ Ale tylko na chwilę, wnet bowiem zawróciła się z powrotem i poszła na nowo do ataku. Podczas tego brygada weteranów Piotra Boyera kusiała się zapalczywie o zdobycie wsi Ailles na dole, w dolinie, którą baterye nieprzyjacielskie ostrzeliwały bez przestanku. Wogóle nieprzyjaciel, zdaje się, bał się właśnie tutaj obejścia, bo w tem miejscu nagromadził największą ilość dział.

Obejścia prawego skrzydła nieprzyjacielskiego pierwsza i druga dywizya kawaleryi nie mogły dokonać tak prędko, gdyż po ścieżynkach i przesmykach wąziutkich żołnierze musieli z mozołem postępować jeden za drugim.

W środku poza baterjami stał tylko Friant. Gdy przecież pierwsza dywizya młodej gwardyi Victora (Boyer de Rebeval) ustawiła się na wyżynie w szyku bojowym, Napoleon te świeże cztery

tysiące ludzi skierował z ukosa na prawo, aby się połączyły z lewem skrzydłem Ney'a, już z tyłu poza folwarkiem Heurtebise, skutkiem czego wysunięty tam na czoło oddział nieprzyjacielski byłby został odcięty od głównej masy wojska. Oczywiście, pośpiesznie opuścił on stanowisko; cofając się jednak, zapalił budynki gospodarskie. Ten środek atoli, mający służyć mu do zasłonięcia własnego odwrotu, wyszedł wyłącznie na korzyść francuzom. Z chwalebłą bowiem przytomnością umysłu Victor zużytkował obłoki dymu do przeprowadzenia swojej dywizyi biegiem poprzez przesmyk wązki na większą wyżynę; dym zasłonił go przed cełnym ogniem krzyżowym czterdziestu ośmiu dział. I jeszcze tam również ukrył żołnierzy za jakimś sporym nasypem ziemnym, szańcem, czy też posterunkiem telegraficznym z starej gallickiej epoki. Podczas gdy dywizya odpoczywała chwilowo poza tą zasłoną, cesarz rozkazał czterem baterjom galopem przepędzić przez pusty teraz przesmyk i ustawić się na lewem skrzydle Victora. Sam Drouot przewyborny osobiście kierował temi działami, zawsze łagodny i zawsze pełen krwi zimnej; niestety, młodzi, niewyrobieni kanonierzy zawiedli. Ich powolne nabijanie i celowanie zupełnie złe użyczyło takiej przewagi znacznej artyleryi nieprzyjacielskiej, iż niebawem kilka dział zdemonto-

wano, zanim same zdołały wystrzelić choćby raz jeden.

Jasnym było, że bitwę rozpoczęto zawczasie. Ney powinien był czekać na Victora, a również i na obchodzącego z drugiej strony Nansouty'ego. Tymczasem do tej chwili może upłynąć sporo jeszcze czasu drogocennego, tak, iż nakoniec nieprzyjaciel mógłby od czoła wymierzyć silny cios przeciw Friantowi, liczebnie znacznie słabszemu, aby go odrzucić z powrotem ku Corbény. Należało więc zadawałniać się tem, co było, i czekać dalszych wypadków. Napoleon zresztą odrazu spostrzegł, iż nieprzyjaciel o odwrocie ani myśli nawet. Trzeba więc było przeciwnika silnego i wytrwałego zgnieść z pomocą obejścia.

Marmont i Mortier nie potrafią już dzisiaj nadciągnąć; po południu ich przednie kolumny dojdą, być może, aż do Craonne, ponieważ rankiem wyruszyć mieli z Berry-au-Bac, którego to ważnego mostu strzegł generał Guyot na czele gwardyi przybocznej (*Garde d'Honneur*). Dywizya Arrighy'ego znajdowała się już bliżej Craonne, tuż przed nią pod Corbény ciągnęła druga brygada dywizyi dragonów Roussela, a na drodze ku Laon odbywało rekonesans sześciuset lansyerów, których Ney, ich najwyższy komendant, posłał w tamte strony. Lecz Charpentiera, La Ferrière'a (trzecia dywizya *Garde-à-cheval*) i Sorbiera (rezerwa artyleryi) należało

spodziewać się najdalej na godzinę trzecią. A więc tylko wytrzymać do tej pory!

I tak bitwa zaraz obróciła się na lepsze. Nieustraszony marszałek Ney wciąż wdrapywał się na krawędź wysoką wyżyny; ile razy odrzucono go w dół, tyle razy ponownie wydostawał się na górę. Ta śmiałość widocznie zastraszyła nieprzyjaciela, gdyż jego lewe skrzydło, zwinięte w kłęb, ustępowało w tył.

Niezwłocznie Victor wyzyskał owo poruszenie i posunął lotem błyskawicy całą swoją dywizję o 1,000 metrów na przód, gdzie pod zasłoną zarośli ustawił żołnierzy ponownie w szyku bojowym. Pod Friedlandem 1807, gdzie zdobył swój patent marszałkowski, pod Talawerą i Messa de Ibor, pod Marengo i nad Berezyną miał przecież sposobność wyéwńczyć się w atakowaniu! Nagle jednak, w tej właśnie chwili poświęceniu godnemu uznania księcia de Belluno, który dzisiaj niemal się podwajał, byle tylko zmazać świeże błędy, kula położyła kres nagły. Marszałek, raniony ciężko w biodro, padł omdlały; zaniecono go czempędzej do ambulansu generalnego lekarza Larrey'a.

Generał dywizyi Boyer de Rebeval, któremu marszałek oddał komendę, pojmował jasno straszne położenie: stał sam jeden naprzeciwko strasznych tłumów wroga. Isć na przód do ataku—niepodobieństwo czyste; cofnąć się poza zarośla—również

trudno, gdyż młodych rekrutów od ucieczki bezładnej wobec takiego piekielnego ognia powstrzymywało jedynie trzymanie ich w zwartych kolumnach. Dlatego też nie rozwinięto się nawet we front, jeno zmasowano w bataliony, ramię przy ramieniu, i wytrzymywano blizki, straszliwy ogień nieprzyjacielskiej artylerji. Rekruci zachowywali się przecież nader walecznie. Upłynęła cała godzina okropna, podczas której, śmiało można powiedzieć, z obu stron wałono salwy niemal w sam nos przeciwnika. Pułk wołyżerów Nr 14 z 33 oficerów pozostawił tutaj na polu sławy 30, z 920 żołnierzy aż 650.

Wreszcie nadeszła pomoc. Generał kominerujący Grouchy, naczelnik konnicy cesarskiej, zdołał na czas zebrać zaledwie 1,000 dragonów brygady Sparrego. Galopem poprowadził ich w ukos na prawo ku narożnikowi lasu, gdzie odstrzeliwała się dywizya Boyera, i w pędzie niesłychanym, puściwszy cugle, rzucił się na wielką baterję lewego skrzydła nieprzyjacielskiego. Zdobyto ją; kanonierzy, jeszcze w godzinę śmierci nieodstępujący armat, wycięci w pień. Równolegle z owem natarciem Nansouty, skoro z trudem dostał się na górę i od biedy uszykował zastępy, uderzył na skrzydło prawe. Brygada jazdy Beckendorfa, konnica nieregularna, dwa bataliony piechoty — zmiażdżone. Rezerwowa baterja Woroncowa

przecież zdołała teraz nadjechać i nagle odstłoniła się podczas dalszego ataku Nansouty'ego. Ten ostatni, nie mając artyleryi konnej—zbyt spadziste ścieżki przeszkodziły jej przejazdowi,—musiał się cofać. Wówczas nieprzyjaciel wysuwa się nawet do kontr-ataku i spędza Nansouty'ego aż po brzeg wyżyny; dwa pułki piechoty z bagnetem do ataku pędzą na dragonów Grouchy'ego.

Podczas gdy ci przed frontem dywizyi Boyera zabierali się do natarcia, obaj ich dowódczy, generał komenderujący Grouchy i brygadyer Sparre, równocześnie padli na ziemię, ranieni odłamkami granatu.

Pozbawieni komendy, przerażeni, wzięci w ogień krzyżowy, zagrożeni nowym atakiem świeżej brygady rezerwowej, która pędziła na nich z bagnetem w rękę, rzucili się zwykle tak waleczni dragoni do ucieczki, wprawiając na dobitkę w nieporządek i zdziesiątkowaną dywizyę Boyera. Ta również chwije się i cofa. Natychmiast popłoch wstrząsnął młodymi rekrutami Ney'a, stojącymi po prawej stronie; uciekają oni na swoją rękę, podobnie jak dragoni, w jary doliny. Wszędzie widnieją popękane pancerze, połamane szable, hełmy podruzgotane, ślady odplyniętych z powrotem żelaznych fal ataku konnicy.

Napoleon, stojący przed starą gwardyą, widział, ku wielkiej boleści, jak teraz już po raz piąty

utracono wyżynę, która tyle do tej pory pochłonęła ofiar. Naprózno błagano nieustannie o posiłki. W razie przeciwnym bezwarunkowo nieprzyjacieli zepchnie francuzów na dół. Artylerya zwalnia ogień z powodu dział zdemontowanych, piechota zaś z racyi niezliczonej ilości rannych.

Teraz, o godzinie 1-ej, ukazały się nasamprzód na mniejszej wyżynie trzecia dywizya jazdy gwardyjskiej La Ferrière'a, grenadyerzy i strzelcy konni. Z stanowczością rzadką rzucili się od Heurtebise na centrum nieprzyjacielskie, lecz również i ich atak spełznął na niczem wobec morderczego zewsząd ognia działowego oraz nieprzerywanych salw karabinowych. W każdym razie za jego sprawą zdołano bitwę utrzymać w równowadze i ułatwić wypad dywizyi Charpentiera, która wreszcie dotarłszy do Heurtebise, zasłonięta właśnie tym atakiem, szybko od lewego boku połączyła się z siostrzaną dywizją Boyera.

Wróg posiadał początkowo podwójną, potem wciąż jeszcze znaczną przewagę nad francuzami. Teraz karta się odwróciła. Podczas tego bowiem książę Moskwy zebrał swoje dywizye uciekające. Spostrzegł wnet, iż czeka tutaj na niego zadanie tak krwawe i tak ciężkie, jak podczas ataku na Semenowskoje, który przyniósł mu tytuł książęcy. Lecz nieustraszony marszałek spełnił

je chwalebnie, według zwyczaju. Na nowo żołnierze musieli mozolnie wdrapywać się na górę; tym razem stała się rzecz dotychczas niemożliwa: zajęto krawędź wyżyny i zdołano ją zatrzymać. Lewe skrzydło wroga, obecnie istotnie otoczone, musiało cofnąć się jeszcze dalej w tył. Żelazny upór Ney'a postawił na swoim. Wprawdzie ostrzeliwano go, jak przedtem, dotkliwie na tyłach, ze wsi Ailles, co dotychczas niweczyło wszelkie na wyżynę zamachy.

Lecz weterani Piotra Boyera usunęli się obecnie z pod ognia dotkliwego artylerii nieprzyjacielskiej, która do tej pory utrudniała i uniemożliwiała zdobycie Ailles. Wielką baterię uczynili niezdolną do boju dragoni Sparrego, a ponowny atak Ney'a o tyle polepszył położenie, że odtąd straszliwy deszcz granatów, spadających z góry, już przestał miazdżyć szeregi francuzkie. Mimo że nieprzyjaciel posłał do Ailles masę piechoty i jazdy, oraz jeszcze jedną baterię artylerii konnej w dodatku, celem wsparcia tamtejszej załogi, brygada Boyera całą siłą darła się na przód, a równocześnie z boku zaatakował Ailles i sam Ney.

Wszystka jazda francuzka, nad którą dowództwo naczelne po zranieniu Grouchy'ego cesarz oddał szefowi sztabu generalnego kawaleryi, Belliardowi, rozwinęła się teraz we front między jarami

nawprost końca prawego skrzydła nieprzyjacielskiego i folwarku des Roches, tworząc półkole. Równocześnie wśród piekielnego hałasu, niby jeden wóz wojenny Bellony, siedmdziesiąt dwie armaty artyleryi rezerwowej pędziło śpiesznie wawozem w samym centrum. Wydostawszy się na front poprzez przesmyki między batalionami piechoty, artylerya odprzodkowała działa i rozpoczęła ogień straszliwy, jakiego jeszcze nie słyszano tego dnia. Było to niejako powtórzenie pędzącej kolumny stu armat Lauristona pod Wagram, albo też olbrzymiej baterii Drouota pod Wachau. Wnet cały front artyleryi otoczyły kłęby dymu, z poza których tu i tam, niby punkty świetlane, niekiedy pobłyskiwały rury metalowe i przebijały się to tu, to owdzie nieuchwytne widma kanonierów.

W tej właśnie chwili ukazał się on sam wśród wojsk, wjeżdżając w linię artyleryi i osobiście kierując ogniem.

Vive l'Empereur!

Każdy czuje, że chwila rozstrzygająca nadeszła. W centrum grzmi kanonada nieustanna, która zmusza do milczenia działa nieprzyjacielskie i zachwiewa coraz to bardziej szeregi piechoty. Bitwa, mimo że trwa już pięć godzin, teraz ponownie jeszcze raz rozpala się do ostateczności. Przenikliwe bicie w bębny odzywa się wzdłuż całej

linii francuzkiej, wstrząsanej ostatnim, niezmiernym wysiłkiem. Odgłosy marsza generalnego w dolinie i na wyżynach; odgłos trąb Belliarda; nakazany atak powszechny powiódł się na wszystkich trzech stronach. Ney wziął szturmem Ailles; silne teraz centrum Napoleona, który, celem zachęty młodej gwardyi, pchnął na linię bojową nawet brygadę szaserów Petita ze starej gwardyi, posunęło się niesłychanie na przód, a cztery tysiące pięćset szabel Nansouty'ego, wyciągniętych z pochw, spadło złowróźnie na karki nieprzyjacielskich jeźdzców.

Również i straż przednia Mortiera stanęła teraz na wyżynie. Takim właśnie sposobem mistrz odniósł zwycięstwo. Posiadając bowiem równe z przeciwnikiem siły, mądrze oszczędzał rezerwy i tylko stopniowo wprowadzał je w bój, podczas gdy tamten wszystkie odrazu pchnął na przód.

Nieprzyjaciel, ustawiony w szachownicę, z początku cofał się z niesłychanie zimną krwią i w całkowitym porządku. Lecz gdy Drouot zebrał jeszcze więcej dział rezerwowych i ustawił 80 armat w jednym punkcie, musiał pobity przeciwnik rozpocząć szybszy znacznie odwrót. Pod Cerny przecież, o dwa i pół kilometry poza stanowiskiem pierwotnem, zajął znowu pozycję obronną. Jazda Wasilczykowa z korpusu Sackena, dotychczas świętująca bezczynnie, miała teraz rzucić się

na Belliarda, który rozproszył 2,000 konnicy Woroncowa. W samej rzeczy udało się Wasilczykowowi z pomocą ośmiu z rzędu ataków zasłonić przed pościgiem prawe skrzydło cofającej się armii. Ale mimo to nie zdołała ta ostatnia utrzymać zbyt długo pozycyi pod Cerny. Belliard bowiem, odrzućciwszy ostatecznie zmęczoną jazdę nieprzyjacielską ku czworobokom jej własnej piechoty, rozpoczął atakować te ostatnie. Mimo to nieprzyjaciel nie stracił odwagi, lecz ustępował zwolna, krok za krokiem, odpierając również wedle sił i szturmy Ney'a.

Poza Cerny Sacken zajechał z 36 armatami, których ogień, jak należało przypuszczać, powinien był powstrzymać energiczny napór francuzów. Lecz w przeciągu krótkiego czasu musiała i ta wielka bateria umilknąć, by pod gradem pocisków Drouota szukać ocalenia w ucieczce. Jedna brygada nieprzyjacielska, która rozpoczęła odwrót w bok poprzez dolinę rzeczki Ailette, poniosła szalone straty, będąc wystawioną na strzały armatnie dywizyi Charpentiera, i zaledwie zdołała wymknąć się marszałkowi Ney'owi, który zszedł na dolinę celem całkowitego jej oczyszczenia, dzięki gromkiej kanonadzie korpusu Langerona, dającego nie-dobitkom pożądaną opiekę.

Odgłosy rozmaitych potyczek zaszumiały jeszcze raz potężnie wśród ciemności i nieprędko ucichły.

Francuzi, dzięki potężnemu rozmachowi, pędzili przed sobą nieprzyjaciela na przestrzeni 15 klm. aż ku wielkiej drodze z Paryża do Laon, z samego wierzchołka wyżyny aż do Lette'y, oczyszczając całą tę okolicę, pagórkami usianą. Cisza zaległa te strony; ani jeden koń nie rwał się na przód na odgłos sygnału bojowego, ani jeden kiryśnik nie pławił szabli w krwi nieprzyjaciela. Jazda Nansouty'ego, oddalona na strzał karabinowy od tylnej straży nieprzyjacielskiej, zajęła nocne leże pod Chavignon, gdzie poprzednio, w dniu 5-go i 6-go, główną kwaterę miał sam Blücher. Napoleon spał w Brey, miejscowości, leżącej od Chavignon w kierunku południowo-wschodnim.

Niezwyczajne męstwo żołnierzy Blüchera pod Craonne, którzy stale okazywali przytomność umysłu, nie uroniło ani jednego jeńca, ani jednej armaty w rękach zwycięzcy. Mimo to jednak Blücher poniósł klęskę i znowu musiał zmieniać front całej armii, zamiast na wschód, ku południowi. Jeżeli francuzi rzucą się w luki między jego oddzielenie maszerujące korpusy, mogą jeszcze wyciągnąć znaczne korzyści.

UWAGI.

Armia Blüchera straciła, według *własnych* raportów, 4,800 ludzi; dwaj generałowie dywizyj,

śmiertelnie ranni, zmarli niebawem; czterech innych generałów poniosło również ciężkie rany.

Francuzi mieli ośmiu rannych generałów: czterech brygadyerów, dwóch generałów dywizyj (Boyer de Rebeval i La Ferrière), jednego generała komenderującego i jednego marszałka. Ich straty wyrównywały niemal całkowicie szczerbom Blüchera. Według Napoleona, oczywista, zaledwie 800! Wszyscy inni dziejopisarze oceniają je przecież niemal na 8,000 ludzi! Korzystali oni z opowiadania Belliarda, złożonego w paryzkim archiwum wojennem; Belliard, rzecz jasna, oceniał na oko, a oceniając—wiemy o nim, iż był zawołanym pesymistą—mimowoli powiększał rozmiary złego.

Houssaye natomiast (w swych objaśnieniach) zwalcza jego opowieść następującym rachunkiem, opartym na faktach: Straty Boyera de Rebevala wynosiły, na podstawie porównania raportów (*état de situation*) z 8 i 9 marca, 1,645 ludzi; jedna dywizya jazdy gwardyjskiej straciła 70 ludzi. Razem tedy, gdybyśmy już nader hojnie obliczali straty wszystkich trzech i pół dywizyj jazdy na 250, artyleryi- zaś na 200 żołnierza, otrzymamy w tym jednym korpusie: 2,100 ludzi. Teraz Houssaye bardzo skromnie i bardzo bojaźliwie chce obliczać dla Ney'a i Charpentiera takie same straty, jak dla Boyera de Rebevala, który, *co dowiedziono stano-*

wczo, w daleko sroższym od nich stał ogniu. Musimy więc w imię ścisłej bezstronności przeciwko temu wprost zaprotestować: Przyjmijmy tedy, że Ney stracił 1,500 żołnierza, Charpentier *najwyżej* 800 (prawdopodobnie 500); ten ostatni bowiem wszedł na linię bojową dopiero o godzinie 2-iej po południu, to jest wówczas, gdy już walka najzaciętsza minęła. Razem tedy otrzymujemy sumę 4,400 ludzi (a *nie* 5,400, jak Houssaye skromnie oblicza), najprawdopodobniej zaś 4,000, ponieważ, jak mieliśmy sposobność się przekonać, niemal zawsze każda strona straty przeciwnika podaje w dwa razy większej ilości. Lekarz generalny Larrey twierdzi, że w ambulansach miał zaledwie nieco więcej nad 1,000 rannych; przyjmijmy dwa razy tyle i do tego 1,000 zabitych, to otrzymamy 3,000 straty!

Wszystkie te cyfry mogłyby się nam wydawać wątpliwymi, gdybyśmy z porównania sił Napoleona w dniach 3-im i 17-ym marca nie wyciągnęli jeszcze bardziej znamienych wniosków, o czym będzie niżej. Niezły to dowód i na to jeszcze, *jak długiego potrzeba czasu do wykrycia i sprostowania niesłychanego kłamstwa dziejowego.* Jeżeli zresztą Napoleon straciłby istotnie 4,000 — 5,000 ludzi, to jeszcze i wtedy niezbyt *drogo* zapłaciłby za zwycięstwo.

Francuzi walczyli z niestychanem poświęceniem. Jak zwykle, na wybitne odszczególnienie zasługuje bohaterstwo marszałka Ney'a. Napoleon umiał oceniać wartość tego najwaleczniejszego z walecznych i zrzucał na jego barki najtrudniejsze zadania. Również odznaczyli się: Victor, Grouchy, Belliard i Charpentier ¹⁾. Bitwa pod Craonne pozostanie na zawsze dniem chwały dla oręża francuzkiego; równocześnie przecież i wytrwały opór przeciwników zasługuje na uznanie chwalebne. Także i chłopi z owych okolic dowiedli wzruszającego męstwa; pod ogniem bowiem nieprzyjaciela zbierali z pola bitwy ranionych francuzów i zanosili do swych chat.

Jak postępowanie, niedostatecznie jeszcze wyjaśnione, między 15 a 25 lutego jest najciemniejszym okresem w działalności wojskowej Marmonta, tak znowu jego zachowanie się między 25 lutego i 5-y marca należy do najświetniejszych. Tutaj oddał on Paryżowi i cesarstwu niezmierne istotnie usługi, tutaj dowiódł, czym jest właściwie pod pewnym względem. Nie zrobił wówczas ani *jednego*

¹⁾ Charpentier odniósł ciężką ranę już w Holandyi, w potyczce pod Arnheim. Wszyscy zranieni generałowie, natychmiast po względem nawet przyjsciu do sił, odrazu i bez wyjątku wstępowali z powrotem w szeregi armii czynnej, zajmując poprzednie stanowiska.

błędnego poruszenia; wszystko wykonywał rozważnie i śmiało, zarówno pomysły własne, jak i rozkazy cesarskie. To też i gwałtownego zamachu celem odzyskania z powrotem Soissons nie możemy żadną miarą, jak Houssaye, uważać za „starcie bezpożyteczne;“ przeciwnie, należy uznać jego znaczenie mistrzowskie, jeżeli rzeczywiście, o czem wątpimy, był to samodzielny plan marszałka. Jedynie bowiem te szturmy wściekle podsycaly aż do dnia 6-go w głównej kwaterze Blüchera mniemanie, że Napoleon posuwa się na przód w kierunku od Soissons i chce w ten sposób przyprzeć Blüchera aż ku Lette; dzięki temu właśnie zdołali francuzi bez przeszkody obejść nieprzyjaciela pod Berry-au-Bac.

Było to przecież jedną z właściwości słabego charakteru tego zdolnego zresztą człowieka, że każde niepowodzenie, jak na przykład zajęcie Soissons, demoralizowało go w najwyższym stopniu, tak, iż późniejszym postępowaniem zupełnie zamiecił świetne rzeczywiście czyny poprzednie.

Porównanie wzajemne wysiłków gorączkowych dziejopisarstwa francuzkiego, które pragnie upadkiem Soissons wytłumaczyć następne niepowodzenia, z nadętym pyszałkowstwem sprzymierzonych, zaprzeczających, jakoby istotnie znajdowali się w niebezpieczeństwie, i to poważnem, sprawia wrażenie wprost wstrętne. Przesadne twier-

dzenia francuzkie, iż Blücher w razie niezajęcia Soissons musiałby poddać się w otwartem polu, jak niegdyś w Lubece, wywołują jedynie uśmiech politowania. Takiego Blüchera trudno zmusić do poddania się wyłącznie skutkiem otoczenia go przezważnemi siłami, czego zresztą tym razem nie było, bo nawprost 50,000 nieprzyjaciół, podzielonych na dwie części, stawiał on 40,000 żołnierza, złączonego w jedną masę. Nadto, gdyby istotnie odepchnięto go aż pod wyloty armat w Soissons, wówczas Bülow w dniu 4-ym lub 5-ym, nie zważając na najcięższe straty, zdobyłby owo „nędzne gniazdo,“ którego mury pękały, a załoga była słabą; — trzy słynne szturmy Wellingtona mogą posłużyć za najlepszy dowód trafności przysłowia angielskiego: *Where there is a will, there is a way.*

Niewątpliwie poniósłby wówczas Blücher bardzo wielkie straty, lecz następnie, skutkiem zdobycia Soissons, połączyłby się z Bülowem i Winzingerodem, dzięki czemu o władnąłby w dodatku i prawym brzegiem Aisne'y. Przypuśćmy, że straciłby w tej rozprawie nawet 20,000 ludzi, to i wówczas jeszcze rozporządzałby 65,000 żołnierza, przeciwko którym Napoleon, osłabiony przynajmniej o 5,000, zdołałby wyprowadzić najwyżej 45,000, psując sobie zarazem wyborne poprzednio stanowisko strategiczne. Gdyby Soissons pozostało w rękach Blüchera, a ten skupił tam wszystkie

swoje siły, w takim razie zagrażałby stale odtąd Paryżowi, sam wybornie zasłonięty. Później przecież cały korpus Bülowa musiał pozostać na tyłach głównej armii Blüchera, celem oblegania Soissons i Compiègne, ponieważ załogi tamtejsze mogły odciąć wszelki dowóz prowiantów, przeznaczonych dla tego ostatniego. Dlatego też opuszczenie Soissons w dniu 6-ym marca przez Rudzewicza stanowiło błąd wielki ze strony Gneisenau'a; jakkolwiek bowiem ów korpus pięcioletni ujrzałby się odcięty od głównej armii, to przecież potrafiłby w każdym razie powstrzymać i udaremnić możliwy odwrót Napoleona ku Aisne.

Blücher atoli, jak świadczą o tem wszystkie dokumenty, wogóle podczas marszu ku Soissons wcale a wcale nie unikałby Napoleona, któremu nieopatrznie już chciał wydać bitwę na szosie z Château-Thierry ku Soissons, pod Oulchy-le-Chateau poza Ourcq'iem, by tylko raz już kres położyć dalszym gwałtownym marszom, od czasu Méry wyniszczającym jego z dniem każdym coraz bardziej zmęczone wojska. Tam, oczywista, poniósłby klęskę niesłychaną. Uchodząc jednak teraz wzdłuż Aisne'y ku Berry, w żaden sposób nie mógłby wymknąć się Napoleonowi, ponieważ dragoni Roussela już dnia 4-go popołudniową porą myszkowali w okolicy między Fismes a Braine, lecz musiłby nad Vesle, bez względu na trudności prze-

prawy, przyjąć bitwę—mając od czoła do czynienia z Napoleonem, a na tyłach obu marszałków. Nawet gdyby piechota Winzingerodego (16,500 Woroncowa) istotnie zdołała przejść przez Aisne, to i tak zdołałaby ona bezwątpienia wejść na linię bojową dopiero w drugiej połowie spotkania, wówczas, kiedy Blücher już stanowczo poniósłby klęskę, został wepchnięty w róg między Aisne i Vesle (pod Vailly) i uciekał zupełnie rozbity poprzez Aisne.

Oczywista, w każdym przeciw razie śmiesznem jest bardzo twierdzenie, jakoby 50,000 francuzów, prowadzonych przez Napoleona, zdołało zmiażdżyć ze szczętem 60,000 żołnierza (włącznie z Woroncowem), którzy Blüchera wzięli za wodza. W wypadku najpomyślniejszym Napoleon, korzystając z demoralizacyi, zmęczenia i popłochu wśród wojsk Blüchera, odniósłby świetne zwycięstwo, które ową armię szluzką uczyniłoby na dni kilka naście niezdolną do boju, dzięki czemu Napoleon miałby czas zwrócić się natychmiast w inną stronę i z powrotem rzucić na Schwarzenberga. Bądź-co-bądź jednak, Bülow i Winzingerode przyprowadziliby tak wielkie posiłki, że Blücher zdołałby znowu niebawem posuwać się na przód w kierunku na Soissons, w razie gdyby Napoleon opuścił tamte strony. Jeżeli zaś przeciwnie ten ostatni pogoniłby poprzez Aisne w ślady za Blücherem, to już nie

mógłby myśleć o jakimkolwiek otoczeniu i obejściu przeciwnika, lecz musiałby pod skałami Laonu ponownie wydać armii szląskiej bitwę w rozciągniętym froncie, przyczem przeciwnik wyprowadziłby w pole 40,000 świeżego, wypoczętego żołnierza. W najpomyślniejszym razie potrafiłby tutaj Napoleon wyprzeć Blüchera aż ku granicom Holandyi. Ponieważ atoli ostatecznie musiałby on powracać nad Sekwanę, gdzie pod ten czas Schwarzenberg *najniezawodniej* stałby już przed Paryżem, niepowstrzymywany przez niedołężnych, a tam dowodzących marszałków,—przeto ta część jego wojsk, którą pozostawiłby ze względów strategicznych pod Laonem, popadłaby w położenie nader niebezpieczne, mając na tyłach Aisne. Okoliczność ową bowiem umiałby wyzyskać przeciwnik, tak szalenie silniejszy liczebnie, i zarządziłby niespodziewany, ogólny atak na całej linii, skutkiem czego odwrót nieodzowny francuzów poprzez Aisne zakończyłby się pogromem zupełnym.

Zupełnie tak samo rozwijałyby się wypadki, gdyby Blücher *nie przyjął* bitwy na południowym brzegu Aisne'y, lecz szukał ratunku śpiesznego w przeprawie przez rzekę po mostach pontonowych. Wystarczy ocenić czas i odległości, aby (wbrew wszelkim zastrzeżeniom Clausewitza, Müfflinga, Damitza i innych) przyznać, że nim mniejsza część armii szląskiej zdołałaby się prze-

prawić, już na brzegu południowym stanęliby i Napoleon i Marmont. Ta więc pozostała część musiałaby się bić; w połowie zginęłaby, w drugiej uciekła w popłochu i nieporządku za rzekę. O zupełnem atoli „zniszczeniu“ („*L'armée de Blücher serait perdue*“ — pisał Napoleon do Paryża) i mówić było trudno, gdyż po tamtej stronie rzeki oczekiwaliby na francuzów Bülow-Winzingerode z wcale nie pokojowem przyjęciem. W najlepszym zatem wypadku skończyłoby się na wybicju Blücherowi 15—20,000 zmęczonego żołnierza i przyśpieszeniu zupełnego opadnięcia z sił fizycznych, ale nie moralnych, uratowanej reszty. Oczywiście, zupełnie innym byłby wynik podobnego pościgu, gdyby nie taka bliska obecność znacznych posiłków. Z chwilą jednak połączenia się rozbitej armii z temi ostatnimi, rozwścieklony Blücher odwołałby się do hartu moralnego żołnierzy i zapalczywie rozpocząłby przygotowywać się do odwetu. Pewne intrygi, podkopy, tudzież polityczne nieporozumienia między prusakami a sprzymierzonymi, które, rozwijając się poza kulisami, w głównej kwaterze pod Laon, aż do połowy marca paraliżowały wszelką zgodną i harmonijną działalność, umilkłyby wtedy odrazu. Napoleon nagle ujrzałby nieprzyjaciela, zajmującego dobre stanowisko poza Aisne i energiczniej prowadzącego kampanię, aniżeli do tej pory.

Zresztą sposobność korzystna zmuszenia Blüchera do bitwy niepożądaney nad Aisne była niemal niczem w porównaniu z innym planem strategicznym, a mianowicie obejściem go szosą z Rheimsu. Ten manewr genialny, oczywista, spełznąłby na niczem w razie wydania bitwy w kierunku zachodnim, ponieważ wówczas nieprzyjaciel, zaalarmowany i przestrzeżony, nietylko miałby się na baczności, lecz również zająłby stanowisko, tak trudne do zdobycia, pod Berry. Nie potrzeba też dodawać, iż późniejsze zwycięztwo pod Rheims, które miało niesłychane znaczenie moralne i silnie wzmocniło władzę Napoleona, nie byłoby nigdy przyszło w takim razie do skutku. Wszystko tedy przemawiało za tem, iż Napoleon powinien był za każdą cenę starać się o utrzymanie szosy z Rheims; każda zaś bitwa w pobliżu Soissons odwlekała lub uniemożliwiała podobne zadanie.

Z Rheimsu stały przed nim otworem dwie szosy: Rheims-Chalons-Vitry i Chalons-Arcis, z pomocą których mógł każdej chwili spaść na tyły, lub zagrażać flance armii czeskiej. Z Soissons miał wprawdzie bliżej do Nogent i Paryża; wszelkie przecież cofnięcie się na wschodzie zwiężało pole jego operacyj i bezwarunkowo ułatwiało Blücherowi posuwanie się w kierunku zachodnim.

Wzgląd na tylny plac boju tembardziej ważył obecnie na szali, gdy Macdonald już w dniu 10-ym

marca ponownie chyłkiem przemknął się poza Nogent; wnet zatem mogły nastąpić podobne stosunki, jak owe z 15-go lutego; wówczas atoli Napoleon znajdował się o połowę drogi bliżej, na szosie z Chalons do Meaux.

Tu również pora i miejsce mimochodem zaznaczyć działalność Macdonalda, do której zrozumienia znowu trzeba rzucić okiem na postępowanie Victora w lutym.

Skoro Napoleon dnia 9-go ruszył pośpiesznie przeciwko Blücherowi, Victor, prawdopodobnie jeszcze na wyraźny rozkaz cesarza, upoczywie bronił się po tamtej stronie Sekwany pod La Chapelle i dnia 9-go odparł wszystkie ataki. Tymczasem trafiło się, że dnia 11-go następcą tronu wirtemberskiego wyparł z Sens dzielnego Alixa, którego 2,400 ludzi, oczywista, nie mogło stawić czoła całemu korpusowi. Tego samego dnia jednak generał brygady Bourmont bronił z pomocą trzech nie licznych pułków przeprawy pod Nogent w sposób niesłychanie stanowczy i zręczny; Victor zaś uznał za stosowne z pod La Chapelle, przeszedłszy przez Sekwanę, cofnąć się niemal pod Provins. Również i przez całą noc oraz przez dzień 12-ty lutego odpierał on — a po jego zranieniu nieustraszony pułkownik Voirol — wszystkie ataki dwóch świeżo przybyłych na plac boju dywizyj; wreszcie wysadzili francuzi most z łoskotem w powietrze. Ten czyn

bohaterski, który sprzymierzonym zabrał przez dwa dni 2,000 ludzi, dowiódł, jakie męstwo zahartowane tkwiło w starych oficerach Wielkiej Armii, tudzież jaki duch ożywiał niższych komendantów; dowiódł tedy, do czego można było dojść dzięki takim ludziom, jeżeli się tylko umiało zużytkować ich na właściwem stanowisku.

Co jednak przez ten czas porabiał marszałek owego przewybornego brygadiera?

Most poprzez Sekwanę pod Pont zostawił uprzejmie nienaruszonym dla użytku Wittgensteina; Bray i Montereau obsadził tak słabemi garnizonami, że nieprzyjaciel z łatwością zdołał się tamtędy przeprowadzić.

Tutaj 13-go przynajmniej Oudinot okazał nieco energii, rzuciwszy się natychmiast ku Bray z trzema brygadami i zatrzymawszy Wredego do tej chwili, aż Victor przybiegł od wschodu i zdołał się z nim połączyć. Wówczas bawarowie przezwali bitwę i cofnęli się z powrotem, obaj marszałkowie zaś również rozpoczęli odwrót ku Nangis.

Od tej pory aż do przybycia cesarza popadli w zupełną bezczynność, którą urozmaicali sobie bądź płaczliwemi raportami, posyłanemi do Paryża, o nadmiernej przewadze nieprzyjaciela, bądź cofaniem się, mimo że wróg ich nie napastował, aż za Yéres (dnia 15-go lutego), gdzie w dniu następnym

wpadł pomiędzy nich, niby piorun straszliwy, sam ich monarcha.

W jaki zaś sposób Macdonald pod Meaux przez cały ten czas bronił się przeciw nudom, na jego szczęście dziejom nie wiadomo.

W dniu 27-go lutego położenie strategiczne polepszyło się znacznie. Blücher stał zdala nad Aisne, Schwarzenberga odpędzono aż za Aube; ten ostatni podczas marszów zaczepnych w utarczkach nad Sekwaną stracił najmniej 3—4,000 żołnierza, wskutek ataku Napoleona najmniej 12,000, bezwątienia zaś drugie tyle, jeżeli nie więcej, wśród trudów pochodu. Zresztą szkodliwość zbyt długiego pobytu Napoleona w Troyes i zaprzestanie poscigu za Blücherem wyrównało odparcie właśnie Schwarzenberga aż poza Bar, co zawsze opóźniało wszelkie dalsze ruchy zaczepne tego ostatniego; zawdzięczano zresztą ową korzyść osobistym wskazówkom Napoleona. Gdyż wszędzie, gdzie go tylko nie było, francuzom się nie wiodło; wykrzyknik Belliarda: „Dlaczego cesarz nie może znajdować się na wszystkich punktach!“ wypowiedział i wypowie jeszcze dzisiaj każdy.

Prawdziwości owego westchnienia dowiodły wypadki tego dnia, w którym Napoleon odjechał do Troyes. Wówczas to król pruski mocą swej osobistej powagi, którą tak świetnie ujawnił w roku 1813 pod Chełmnem, zmusił Schwarzenberga

do ataku na Bar. Owo miasto zajmował Gérard, obsadziwszy je częścią swojego korpusu, dywizją nieliczną Duhesme'a. Wszelkie wysiłki Wredego (który prowadził cztery razy silniejsze zastępy), dążące do odebrania mu stanowiska, spełzły na niczem. Wreszcie Gérard sam dobrowolnie wyszedł z miasta w chwili, gdy marszałek Oudinot z pagórków spuściwszy się na dolinę Aube'y, winem porośłą, wpływ przez rzekę zaczął się przedostawać na brzeg zachodni.

Znajdowała się tam już gwardya narodowa Pachtoda ¹⁾, korpus jazdy Kellermanna i cała artylerya, wtem nagle na brzegu wschodnim zaatakował go korpus Wittgensteina. Trzy brygady weteranów hiszpańskich, 7,000 ludzi, walczyły z mężstwem niesłychanem; podobnie odznaczyła się i ciężka jazda Kellermanna, która bez rozkazu na

¹⁾ Jako *curiosum* zasługuje na zaznaczenie, że stary żołdak Oudinot wygonił z planu boju owych uzbrojonych cywilnych, nieprzybranych w mundury, obawiając się, że będą szerzyli nieporządek wśród wojsk liniowych—wygonił tych samych ludzi, którzy na kartach owego głośnego boju upadającej francuzkiej potęgi wszechświatowej zapisali z czynów chwalebnych najchwalebniejsze. Król pruski pod Barem podziwiał marsowe zachowanie się weteranów hiszpańskich. Lecz broniąca się do ostatniej kropli krwi dywizya Pachtoda, której jedynem słowem na wargach zamierających było *Vive l'Empereur!*—przedstawiała widok jeszcze bardziej bohaterski.

tychmiast na odgłos pierwszych strzałów z powrotem przepawiła się przez Aube i trzy razy bezskutecznie atakowała 70 dział nieprzyjacielskich, siejących wokoło zniszczenie. Zupełny przecież brak dział po stronie francuskiej udaremniał bohaterską odwagę żołnierza; po pięciogodzinnej zażartej walce, która pochłonęła mnóstwo ofiar, zepchnięto francuzów z wyżyn aż pod miasto. Oudinot musiał pożyczyć jedną baterię od Gérarda i miał w ogniu najwyżej 10 armat. Co prawda, trudno mu było przewozić na czółnach z powrotem przez Aube swoje 51 armat; naiwne argumenty jego brygadyera Maulmonta, że marszałek nocą nasamprzód przepawił przez rzekę artylerję, która utrudniałaby w razie napadu odwrót, są niestety zgodne z prawdą. Szkoda przecież, że nie raczył na czas przepawić również i innych wojsk. Jego sposób prowadzenia bitwy zasługuje wprawdzie na uznanie, tak, iż trudno zbyt surowo ganić go za ociąganie się trwożne, które już raz pod Grossbeeren wyszło mu całkowicie na złe. I jakkolwiek mieszkańcy okolic nad Aube tudzież żołnierze krzyczeli: „Zdrada,“ widząc, iż idą na rzeź pewną bez armat, —to przecież należy otwarcie wyznać, że wielu generałom już zdarzyło się coś podobnego. Pozostawienie głównej części wojska jeszcze na brzegu wschodnim wypłynęło ze względów prowiantowych; wyraźne bowiem przechowały się

wzmianki, że jazda zajmowała się furazowaniem. Łatwo również pojąć, dlaczego marszałek tak długo nie wierzył wieściom o nadsygnięciu nieprzyjaciela; doświadczeni bowiem starzy wojacy wiedzą doskonale, jak często niepotrzebne alarmy wywołują jeno popłoch szkodliwy. Gdy się już dowodnie o prawdzie owych wieści przekonał, mógł zapewne natychmiast zarządzić odwrót ogólny; ów krok atoli byłby podwoił niebezpieczeństwo i nadzwyczaj nieprzyjemnie dotknął żołnierzy. Zresztą uważał swoje siły za wystarczające do odparcia — mimo brak artylerji—nawet silnego ataku. Prócz Pachtoda i artylerji (5,100 ludzi) posiadał jeszcze 10,200 piechoty, 6,200 jazdy i według świadectwa historyków niemieckich prowadził ze sobą również nie liczną dywizję Hamelinaye'a z korpusu Gérarda. Ponieważ jednak jazda Pahlena nie weszła na linię bojową, przeto walczyli przeciw niemu jedynie piechury Wittgensteina, 17,000 ludzi (według Beitzkego, prawdopodobnie, po stratach pod Nogent i Nangis, zapewne 15,000) i kirasyerzy w liczbie 1,200 koni; pod koniec bitwy połączyła się z nimi brygada Volkmana z korpusu Wredego, podobno 4,000 ludzi. Przewaga Wittgensteina tedy nie mogła być znaczną; różnicę przecież, i to wielką na jego korzyść, stanowiła spora ilość dział.

Houssaye, który temu spotkaniu poświęcił rozdział osobny, twierdzi wprawdzie, że Oudinot

nie wprowadził wcale na linię bojową ani 2,600 ludzi Rothenburga, ani 2,400 jazdy St. Germaina, lecz trzymał ich w odległości 3 klm. od placu bitwy. Pisarze z obozu sprzymierzonych sprzeciwiają się tym wywodom. Jeżeli Oudinot istotnie trzymał te oddziały w rezerwie, celem zasłonięcia odwrotu, to w takim razie popełnił błąd niezmiernie stary niezliczonych wodzów, szukających oparcia w rezerwach, które wysłane w ogień przyniosłyby daleko większy użytek.

Ponieważ zresztą silny korpus Wredego, stojący przed Barem, zagrażał jego flance, przeto Oudinot, nawet gdyby zwyciężył, musiałby przerwać bitwę i rozpocząć odwrot. On jednak nie chciał cofać się bez boju, gdyż i tak podobna przeprawa przez rzekę pod kulami dział nieprzyjacielskich kosztowałaby *również sporo* ofiar; podjąwszy natomiast walkę, imponowało się nieprzyjacielowi i przyprawiało się go o straty.

Dzięki temu nadto zdobyli francuzi możność cofania się w spokoju, ponieważ i nieprzyjaciel opadł z sił, zwłaszcza gdy na początku potężne otrzymał ciężki.

Łatwo odgadnąć, iż dziejopisarze z patryotyzmu zbyt dowolnie obchodzą się z liczbami; Housaye przecież przekroczył już miarę dozwoloną. W przypisach na dole, przytaczając listę służbową z 27-go lutego, podaje siłę trzech brygad hiszpań-

skich—Leval 5,100, Chassé 2,500 — dokładnie na 7,600 ludzi; w samym tekście nagle z owych 7,600 robi się 7,200! Korpus Wittgensteina natomiast oblicza całkowicie seryo na 21,000 ludzi, czyli tak, jak na początku kampanii!! Skoro zaś ów korpus, jak to niżej roztrząsamy przy wykazie sił stron obu, stracił aż po dzień 30-go marca 9,000 ludzi, przeto posiadał *w całości* najwyżej 17,000, bez jazdy Pahlena najwyżej 15,000. Po drugie, nadto z powyższego wypływa, że raporty Wittgensteina o utracie pod Barem tylko 1,200 ludzi są stanowczo fałszywe, bo zanizkie; w takim bowiem wypadku aż do 30-go marca bez boju postradałby 3,800 ludzi. W rzeczywistości padło mu 1,500 ludzi; walczący z nimi francuzi (brygady hiszpańskie i Kellermann stosownie do list służbowych aż po 5-y marca) zostawili na placu 1,800. Gdy jednak sprzymierzeni przypisywali francuzom 3,000 strat, przeto Houssaye na rachunek Gérarda dodaje 700 zabitych i rannych. Bawarowie znowu, atakujący Gérarda, utrzymują, że stracili zaledwie 300 ludzi (tu jaskrawo uwydatnia się naiwna łatwo-wierność naszych historyków, którzy jeden od drugiego odpisują całkowicie widoczne, najbezczelniejsze kłamstwa); Gérard więc wobec tego albo postradał jedynie 100 ludzi, mianowicie trzecią część strat atakujących, albo też, jeżeli on, jako broniący się, zostawił na placu 700 ludzi, to bawa-

rowie atakujący postradali najmniej 1,500 ludzi. Zgódźmy się, że Gérard stracił 7,000 ludzi, a Wrede tylko 1,000, to otrzymamy prawdziwy wynik, jasno wypływający z wszystkich szczegółów walki: *równe straty*, po 2,500 dla każdej strony, przy czem Oudinot postradał *więcej*, Gérard zaś *mniej*, aniżeli walczący z nimi przeciwnicy.

W jakim celu tak ściśle roztrząsamy owe liczby?

Pragniemy udowodnić, iż „zwycięstwo“ pod Barem nie posiada wielkiej wartości; nawet bez niego francuzi nie zdołaliby obronić Aube.

Dnia 14 marca połączył Macdonald wszystkie trzy korpusy pod Troyes już po popełnieniu przez Oudinota w dniu 2-go i 3-go podobnego błędu, jak pod Barem, iż podzielił swoje wojska w taki sposób, iż Gérard i dywizya Rothenburga, tworząca jego straż tylną, znaleźli się odosobnieni.

W dniu 5-go bronił Gérard nader wytrwale Troyes i dopiero zwołna podążył za obu marszałkami ku Nogent, gdzie w dniu 5-go Macdonald zajął stanowisko, uznał je przecież dnia następnego za nader niebezpieczne i dnia 7-go zrejterował ku Provins! Oto świetne wyniki jednego tylko tygodnia! Z 40,000 Macdonalda pozostało jeszcze 34,000; nieprzyjaciel poniósł zapewne straty równe.

Tak się rzeczy miały nad Sekwaną w chwili, gdy Napoleon walczył nad Aisne i dnia 7-go pod Craonne krwawego dokonał dzieła.

Pod Craonne Napoleon *musiał* wydać bitwę, ponieważ jego zbyt długo rozciągnięty pochód ku Laon z boku był narażonym na wielkie niebezpieczeństwa, a równocześnie Marmonta, który zbyt daleko od niego się znajdował, nieprzyjaciel mógł nader łatwo odciąć od głównej armii. I taki los byłby go spotkał niechybnie, gdyby Napoleon istotnie przeprowadził swój zamiar przedarcia się aż do Laonu, uprzedzenia w tem miejscu Blüchera i oczekiwania na niego, po odcięciu go od miasta, pod samemi murami. Zgodziwszy się nawet na to, że Napoleonowi udałoby się z niewielką ilością piechoty, którą miał pod ręką, zaskoczyć energicznego Bülowa i obsadzić Laon, to i tak jeszcze trzeba przyznać, iż Blücher *musiałby* zawrócić od Lette'y i siłą torować sobie drogę pod Laonem, ponieważ ów punkt węzłowy dróg z Rheims i Soissons pozwalał poruszać się z łatwością ku północy oraz na wschód. W razie zamiaru cofania się ku Holandyi Blücher nieodzownie powinien był starać się za wszelką cenę utrzymać Laon w swej mocy. Celem rozwinięcia 80,000—90,000 ludzi, Blücher przedewszystkiem potrzebował dojść do drogi z Rheims, zkąd już zupełnie swobodnie mógł cofać się na wschód, ponieważ odwrotu na południe broniła mu teraz

pilnie strzeżona Aisne. Tam też napadłby na 10,000 ludzi Marmonta, których albo zgniótłby, albo też odrzucił przynajmniej do Berry, gdy przeciwnie pod Laonem spotkałby się z 30,000 Napoleona. Taka prawidłowa bitwa, z uwagi na niesłychaną przemoc Blüchera, nie doprowadziłaby do żadnych wyników, nawet wtedy, gdyby Napoleon, zakryty skałami laońskimi, zwycięsko odparł ataki nieprzyjacielskie. Blücher, pobity, cofałby się ku wschodowi, czego pobity Napoleon nie mógł naśladować, gdyż w razie odrzucenia go ku północy na swoich tyłach ujrzałby Bernadotte'a z 25,000 szwedów. Ten ostatni zaś, mimo wszelką miłość własnej ojczyzny i tajoną nienawiść przeciw sprzymierzonym, nie zdołałby się oprzeć ponęce tryumfowania nad osobistym swoim i znienawidzonym wrogiem, Bonapartem ¹⁾.

Jeżeli tedy wciągniemy w rachunek ogólny wszystkie powyższe okoliczności, wówczas bitwę pod Craonne będziemy uważali jedynie za pocieszającą zmianę pierwotnego planu, zmianę z góry jednak przewidzianą, gdyż inaczej Napoleon już 6-go natychmiast nie wysłałby Ney'a ku wyżynie

¹⁾ Ówczesna obawa Blüchera, że Bernadotte wpadnie mu na tyły i połączy się z Napoleonem, jest absurdem psychologicznym. Bernadotte uznawał tylko jedną Francję: rządzoną przez niego.

Kraońskiej. Dzięki zaś groźnemu pochodowi ku Laon *zmusił* Blüchera zawrócić na wschód, chyba że ten ostatni na łeb na szyję pragnął posuwać się ku Laon, gdzie Napoleon, maszerując drogą z Rheims, bądź-co-bądź musiał przybyć pierwszy.

Stanowisko obronne pod Craonne, które Napoleon z obowiązku *musiał* zdobyć, gdyż inaczej cały jego pochód albo stanąłby w miejscu, albo uległby rozbiciu, miało, mimo swoje przyrodzoną wyższość, jedną wielką wadę: owa wyżyna była zbyt *ciasną*, tak, iż korpusy sprzymierzonych mogły wchodzić na nią tylko jedne za drugimi. Z owych rzekomo „52—53,000 ludzi“ (Beitzke według Damitza oraz innych) weszło w ogień istotnie zaledwie 21,000; całą tę masę zepchnięto natychmiast w tył i odparto za Lette w chwili, gdy dzięki wybornym rozporządzeniom mistrza przedni korpus nieprzyjacielski poddał tył.

Podczas tego powinien był Winzingerode z 10,000 jazdy (5,500 własnej i 4,500 Yorka tudzież Langerona) i 60 działami, wzmocniony całym korpusem Kleista i piechotą Yorka (Beitzke str. 263 pisze o 22,000 piechoty i 140 działach), wpaść na tyły Napoleona drogą z Rheims pod Festieux. To śmiało obejście pragną niektórzy pisarze półgębkiem przedstawić jako cios śmiertelny dla Napoleona. Trzeźwa rozwaga może w tej chwili wykazać zarozumiałość śmieszłą owych zwolenników

sprzymierzonych. Każdy niedołęga ma prawo obmyślać obejścia; wszystko jednak zasada się na tem, czy obejście jest dobrze obliczonem i wykonalnem. Jazda Winzingerodego stała pod Chevrigny nad Lette i miała do przebycia strasznie uciążliwą drogę po wertepach, górskich ścieżynach, przesmykach; w dodatku ziemia była częścią rozmiękłą, częścią ślizka; artylerya tamtędy ani kroku zrobić nie mogła; jazda poruszałaby się z trudnością niesłychaną.

Skutkiem takich warunków terenu cały korpus, przeznaczony do obejścia, w dniu 7 w południe znajdował się jeszcze w dolinie Ailette, straszliwie zdemoralizowany; przekleństwa Blüchera nie zdołały porządku zaprowadzić. Spostrzegł on, że nie obejdzie na czas Napoleona i dlatego też posłał wojskom, walczącym na wyżynie, rozkaz do odwrotu, który Woronców odebrawszy o godzinie mniej więcej drugiej, zrazu nie ustępował, ponieważ widział możliwość dalszego oporu; a równocześnie posiadając bardzo mało konnicy, bał się cofać wśród ataków przeważającego liczbą przeciwnika. Później atoli Woronców skorzystał z owego rozkazu i, już pobity, twierdził, że, cofając się, wykonał dane mu polecenie; francuzka przewaga (pozorna) nie zdołała go wyprzeć ze stanowiska.

A przecież już wtedy jego wojska się chwiały. Gdy jednak Drouot rozpoczął niszczycielską

działalność, gdy francuzka jazda gwardyi zdołała całkowicie obejść nieprzyjaciela, gdy Ailles zdobyto, gdy Charpentier uderzył do ataku—wówczas nieprzyjaciel nie mógł opierać się dłużej, nie potrafił ustać w miejscu. Również i nadejście z pomocą piechoty Sackena (której część w jakimś miejscu zwarła się z francuzami) utrudniłoby jeszcze odwrót.

Francuzi zepchnęli nieprzyjaciół w wąwóz i pędzili ich przed sobą 3 mile francuzkie (*lieu*) aż do drogi z Soissons. *Pod Craonne tedy francuzi odnieśli zwycięstwo w pełnem tego słowa znaczeniu*; wszelkie inne twierdzenia są czczą jedynie gadaniną.

Słynne obejście Winzingerodego, który w najlepszym razie przeprowadziłby na czas po terenie niekorzystnym 10,000 żołnierza, nie zmieniłoby nic a nic wyniku bitwy; nasamprzód bowiem natknąłby się na 1,600 jeźdźców Grouchy'ego, następnie na 7,000 Mortiera, z którymi koło wieczora zdołałyby się połączyć jeszcze 2,000 Marmonta; najniezawodniej tedy odrzuconoby go z powrotem w dolinę Ailette'y, gdzie zaskoczyliby go Ney i Charpentier.

Faktyczne atoli powodzenie posiadało dla Napoleona również i niezwykłą korzyść *moralną*. Bez względu na straty, zależało mu jedynie na zwycięstwie, co niesłychanie ożywczo musiało oddziaływać

na naród i wojsko. Armia szlężka, tak czy tak, cofała się przecież ku Laon, gdzie nie potrafi żadną miarą należycie rozwinąć swoich sił; równocześnie została zniewoloną do zmiany frontu po raz wtóry (ze wschodu na południe), na co przy niekorzystnym terenie trzeba było zmarnować wiele sił i czasu. Nadto trudy pochodu, złe stosunki prowiantowe i kwaterunkowe, narzucone w ten sposób przeciwnikowi, podwajają jego straty, poniesione podczas bitwy.

Wykazy stron obu co do sił posiadanych roją się mnóstwem chaotycznym błędów. Strat nikt porządnie nie oblicza; tak samo ubytku codziennego żołnierzy skutkiem pochodów i chorób; siły rzeczywiste każdy podaje wedle upodobania samowolnie, nie sięgając do tygodniowych i miesięcznych list prawdziwego stanu służby.

Napoleon pod Laonem rzekomo wyprowadził w pole przeciw Blücherowi 60,000 ludzi, podczas gdy wogóle dnia ostatniego lutego zdołał on skupić naokoło siebie zaledwie 50,000 żołnierza; naprawdę jednak, jak świadczą dowody, rozporządzał 42—43,000 wojska.

Pisarze francuzcy znowu, którzy pod Laonem dają mu wszystkiego 35,000 ludzi, błędzą oczywiście, gdyż na straty pod Craonne odtrącają 8,000 ludzi, czyli stanowczo o 3,000 za dużo. Rozporządzał więc pod Laonem pierwszego dnia zawsze jeszcze

37,000 ludzi, drugiego dnia zaś bez Marmonta niepełna 27,000.

Również atoli i siły jego przeciwnika oceniono zbyt wysoko, bo na 110,000 żołnierza, albo i więcej. Idąc ku Méry, Blücher prowadził ze sobą niepełna 53,000 ludzi; w dniu 24 lutego, po obozowaniu utrudnionem pod gołym niebem, wśród mrozów i przy braku żywności, pozostało mu zaledwie 48,000. Wprawdzie jako posiłki nadeszli: Bülow, 16,000; Winzingerode, 27,000; do tego 3,000 ludzi, wziętych z drobnych garnizonów. Od końca lutego stracił w boju 5,000 ludzi. Do tego należy doliczyć 5,000 straty pod Craonne. Razem tedy Blücher dowodził 83,000 ludzi, i to w najpomyślniejszym wypadku, — podczas odwrotu bowiem w kraju nieprzyjacielskim i przez okolicę już poprzednio zniszczoną traci się zawsze niesłychanie wiele żołnierza. Naprawdę zatem nie posiadał pod bronią więcej nad 80,000 ludzi.

Atak na Laon.

Napoleon, który zupełnie słusznie mawiał o sobie, że myśli prędzej, aniżeli inni ludzie, w swej głównej kwaterze Bray zastanowił się szybko nad położeniem rzeczy. Oczywiście, celem stanowczego

odrzczenia Blüchera trzeba było wydać mu jeszcze drugą bitwę. Jednej tylko wątpliwości nie umiał ostatecznie rozstrzygnąć: czy nieprzyjaciel oczekuje go tam na stanowisku obronnem, czy też bitwę pod Craonne należy uważać jako zasłonięcie odwrotu ku północy. Zresztą mógł obecnie Blücher, wzmoconiony dwoma świeżemi korpusami, nawet po raz trzeci wykonać swoją sztuczkę huzarską i rzucić się ku Paryżowi. Wyruszyłby w takim razie w kierunku północno-zachodnim ku La Fère, tam przeszedłby przez Oise i pomaszerowałby wzdłuż jej prawego brzegu. Należało tedy za każdą cenę utrzymać czucie z nieprzyjacielem i starać się o odrzucenie armii szląskiej w tył, ku jej dawniejszej linii północnej. Wówczas Napoleon zdołałby przywołać ku sobie garnizony lotaryńskie i pomaszerować ku Vitry. Już dnia 1-go marca odpowiednie rozkazy posłał minister wojny do kometendantów twierdz: Moranta, Broussiera, Durutte'a (Metz), Jansens'a (Mézières). Mieli oni wypaść z twierdz, szarpać nieprzyjaciela na tyłach i zarazem ogłosić *Levée en Masse*.

Stanowiskiem, strategicznie najlepszem i najkorzystniejszym taktycznie, o którym Napoleon już marzył, obchodząc wroga, był i pozostał, oczywiście, atak na drodze z Rheims. Gdyby Blücher rozpoczął odwrot, to możnaby mu jeszcze na drogę dodać klęskę w tem miejscu; gdyby stanął, łatwo

byłoby go tam otoczyć i odepchnąć w kierunku południowo-zachodnim. Co prawda, musiał Napoleon podczas tego wszystkiego pamiętać ustawicznie, że w otwartem polu taka drobna garść, jak jego wojsko, z trudnością potrafiłaby zadać nieprzyjacielowi klęskę stanowczą. Lecz wystarczyłoby nawet takie odparcie wroga, jak tylko co pod Craonne. Tego rodzaju powodzenie oddziałyłoby dodatnio na wojsko i lud; podczas wojny zaś „zapał“ stanowi niemal wszystko.

Opuścił teraz drogę z Rheims i musiał pomaszerować wyżynami niezmiernie falistemi, tudzież uciążliwemi nad wyraz, lecz właśnie w razie potrzeby mogło okazać się nader pożytecznem owo oparcie się o drogę z Soissons ¹⁾. Czy powinien był obecnie przyciągnąć do siebie Marmonta, który z 9—10,000 ludzi szedł na przód drogą z Rheims, aby tylko uniknąć owego niesłychanie niebezpiecznego rozdzielania wojsk wobec nieprzyjaciela, co on sam zawsze gorąco potępiał i często dotkliwie wrogom swoim dawał uczuć? Wówczas jednak nieprzyjaciel miałby czas bez szkody najmniejszej

¹⁾ Wówczas wiedział on już, że załoga w Soissons, dywizya nieprzyjacielska Rudzewicza, szybko opuściła miasto w kierunku ku Oise, chcąc uniknąć odcięcia. Dopiero 9-go o godzinie 10-ej rano wskutek takiego okrążania stanęła w Laon. Natychmiast po niej zajął Soissons słaby garnizon francuzki.

dla siebie rozpocząć odwrót, gdy w razie przeciwnym dalsze posuwanie się Marmonta umożliwiłoby odcięcie pod Laonem jeszcze jednego korpusu nieprzyjacielskiego. Czy też należałoby i jemu samemu napowrót z główną armią zawrócić ku drodze z Rheims? Ależ zbyt to uciążliwy plan, zważywszy na teren niekorzystny i zbyt blizkiego nieprzyjaciela, plan, który zresztą naraziłby dzielnych żołnierzy na nowe trudy wojenne. Żołnierze zaś do takiego stopnia potrzebowali wypoczynku, że cesarz zarządził postój nocny. Pozostanie się tedy na obu drogach; kto wie, do czego się to jeszcze zdoła przydać! Tymczasem łączą się z główną armią wszelkie oddziały, dotychczas osobno operujące. Dnia 8-go rankiem o godzinie 10-ej posłano rozkaz ¹⁾ do Marmonta, który jeszcze siedział w Berry-au-Bac, aby pochód przyspieszył. Cała gwardya piesza i konna, z którą złączyły się prowadzone przez Mortiera dwie dywizye piechoty Christiani'ego i Porreta de Morvan oraz dywizya jazdy gwardyjskiej Boulnoira, jako też Ney oraz silna dywizya dragonów Roussela, skierowali się na drogę z Soissons. Ułani gwardyi Colberta

¹⁾ Nieprzyjaciele skutecznili odwrót jedynie z wielkimi trudnościami i, według Bogdanowicza, można im było przy tej sposobności zadać ciężkie straty. Lecz konie Nansouty'ego były zmęczone wdrapywaniem się na wyżynę.

w przedniej straży spędzili nieprzyjacielskie placówki aryergardy aż ku Etouville; tu jednak zastali wąż, obsadzony silnym oddziałem wojska. Przeni ogniem działowym, nie mogąc się nadobitek rozwinąć do ataku z powodu złego terenu, ustąpili miejsca pierwszej dywizyi Ney'a. I ten jednak musiał się cofnąć aż do Urcel, posyłając równocześnie gońca z prośbą o nowe rozkazy. Lecz cesarz dowiedział się niebawem od chłopów, iż można obejść nieprzyjaciela z prawej strony; na tę wyprawę wysłał szefa szwadronu Gourgeaud'a, swojego adjutanta, dawszy mu dwa bataliony starej gwardyi i dwa szwadrony.

Przez ten czas już noc zapadła. Francuzi nie zdążyli tedy wdrzeć się pomiędzy, być może, jeszcze nadciągające korpusy Blüchera i wzbudzić wśród nich popłochu, zanim pod Laonem zdążą zajmując stanowisko do boju. Pokazało się też również obecnie, że przysunięcie się ku Laon z tej strony utrudniają jeziora bagniste; błota, częściowo zamrznięte, rozciągały się w owej okolicy na szerokiej przestrzeni. Z tamtej strony Marmont bez przeszkody mógł posuwać się dalej; dzięki temu przynajmniej część mniejsza armii znajdzie sposobność tu i owdzie stoczyć z nieprzyjacielem utarczkę; Napoleon spodziewał się, że Marmont potrafi odpowiednio to wyzyskać. Jego nowa dywizya Arrighy'ego składała się co prawda z rekrutów,

lecz reszta liczyła w szeregach zahartowanych wiarusów, którzy od 1-go lutego wciąż mierzyli się z Blücherem w całym szeregu walk zaciętych. Prowadził również ze sobą marszałek 53 armat, które oddano mu, jako dawnemu fachowemu artylerzyście, do rozporządzenia, z nadzieją, że potrafi doskonale je zastosować, jak to już raz dowiódł pod Mœckern, gdzie zgromadził w jednym punkcie mnóstwo dział rozmaitych korpusów. Obsługiwali też jego działa teraz, podobnie jak w 1813 roku, kanonierzy artylerji morskiej.

O godzinie 10-ej wieczorem wydał Berthier rozkazy, dotyczące uplanowanego pochodu nocnego i napadu. O godzinie 11-ej ruszył w drogę Gourgeaud. W chwili, gdy on zaskoczy tyły nieprzyjacielskiej aryergardy, Ney powinien zaatakować wsie Etouville i Chivy, a następnie cała jazda, prowadzona przez Belliarda, miała w pełnym galopie na karkach uciekających dopaść aż do Laonu.

O godzinie 1-ej w nocy, w terminie oznaczonym, podniosła się wrzawa straszliwa. Z zręcznością niesłychaną marszałek umiał zmiażdżyć do szczeru tylną straż nieprzyjacielską. Po zaskoczeniu nagłem forpoczt, francuzi obudzili wroga bagnetem, częścią wycięli w pień, częścią pojмали w niewolę. Zaledwie jeden pułk uszedł do Laonu. Lecz szwadrony Belliarda jeszcze nie nadleciały; w wężozie wskutek tłoku powstało takie zamie-

szanie, że nieprędko zdołano oczyścić drogę. Wskutek tego dragoni Roussela dopiero przed świtem galopem przypadli do skał laońskich, gdzie ich atoli powitano rześistą salwą granatów i kartaczy. Nieprzyjaciel miał się na baczości; o zaskoczeniu go niespodziewanem nie wolno było myśleć.

W dodatku złego śnieg padał coraz gęstszy. Biały kobierzec pokrył zlekka ziemię zmarzniętą; zimno nastąpiło przenikliwie. A gdy znowu weszło słońce i śnieg ustał, mgła gęsta zaciągnęła się nad bagnistą doliną. Wówczas Napoleon natychmiast kazał wojsku stanąć pod bronią, celem wyzyskania tej osłony przyrodzonej; francuzi tedy zbliżyli się szybko ku nieprzyjacielowi.

Belliard obsadził na prawo wieś Leully, na lewo zaś ku Clacy wysłał silny posterunek. Ney, a za nim Mortier, posunąwszy się na przód drogą, bardzo prędko stanęli w szyku bojowym nawprost miasta, prawe skrzydło opierając o Leully, lewe natomiast o pagórek pod Clacy.

Wnet padły pierwsze strzały armatnie; linia bateryj, stojących w ogniu, zarysowała się wyraźnie; odgłos salw karabinowych dowodził, iż natrafiono na szeregi nieprzyjacielskie. Obaj marszałkowie przecież, nie czekając na zupełne rozwinięcie się całej armii, nie rozwijając nawet własnych kolumn, rzucili się na przód przed siebie wśród owej mgły. Pod osłoną tej ostatniej dywizya

Porreta de Morvan zaatakowała wieś Ardon; przedmieście Semilly znowu (między Ardon i Clacy) brygada weteranów Boyera. Ze zwykłą sobie stanowczością zdobyła ona tę miejscowość i wyparła wroga, posługując się jedynie bagnetem i nie odpowiadając wcale na zbliżka wypaloną do niej salwę.

Prusacy musieli uciekać na sam szczyt góry laońskiej.

Wnet atoli nadciągnęły posiłki—dowodził tutaj generał Clausewitz, najślynniejszy teoretyk niemiecki—i odparły zamachem wściekłym francuzów spory kawał w tył. Równocześnie poprzez mgłę błyszczał i huczał morderczy ogień działowy; wszystkie skały zdawały się ożywiać, gdyż z rozmaitych punktów odważnie i zapamiętale wypadały na przód bataliony Bülowa.

Lecz marszałkowie nie chcieli żadną miarą tak łatwo podać tyłu. Ich tyralierzy, ich baterye usadziły się o ile możności najbliżej i najsilniej. Całe bataliony zwartemi kolumnami ruszyły z powrotem do ataku, a nadciągające za nimi oddziały utworzyły odrazu skuteczne oparcie. Porret de Morvan zdobył Ardon z bagnetem w rękę i ścigał prusaków aż do podnóża skał. Pod zasłoną mgły udało się nawet kompanii wołyżerów młodej gwardyi wdrapać się odrazu aż na sam szczyt wyżyny, tuż obok starego opactwa św. Wincentego, wnet

atoli sparto ją na sam dół gwałtowną strzelaniną nietylko długiego łańcucha placówek, ale i jednego całego batalionu.

Jakkolwiek tedy nieprzyjaciel tyralierów na łeb na szyję zrzucał z góry i jeno do podnóża tej ostatniej dopuszczał francuzów, to przecież Ardon, mimo wszelkie szturmy, Porretowi de Morvan wyrwać z powrotem nie zdołał. Gęsta mgła nie znikiała wcale, a marszałkowie podtrzymywali bitwę z pomocą tyralierów i kanonady.

Na razie trzeba było czekać przybycia cesarza.

Ten ostatni, upojony niezmiernie niespodziewanem powodzeniem nocnem, wyczekiwał lada chwila wiadomości, że przednia jego straż zajęła już Laon. O godzinie 7-ej rano Berthier pisał do Marmonta: że Jego Cesarska Mość na wypadek, gdyby zapóźno stanął w Laonie, a nieprzyjaciel do tej pory owo stanowisko całkowicie opuścił, rozkazuje mu pomaszerować ku Rheims ¹⁾. Lecz do godziny 10-ej nie nadeszły żadne wieści stanowczo pewne, ponieważ marszałkowie skutkiem

1) Jak to dziwnie układają się wypadki: Gdyby był Blücher cofnął się, marszałek zaś pomaszerował do Rheims, to wprawdzie pod Athis ten ostatni nie poniósłby klęski, lecz zato historia wojen nie mogłaby zapisać świetnego zwycięstwa pod Rheims.

mgły nie potrafili rozeznąć ilości nieprzyjaciół, a zarazem i zamiaru wodza, czy zależy mu właściwie na poważnym oporze, czy też tylko na zasłonięciu odwrotu. Skoro cesarz koło południa usłyszał, że bitwa wciąż się jeszcze toczy, z wielkiem zdziwieniem pojechał na plac boju, podczas gdy stara gwardya, rezerwa artyleryi i dawny korpus Victora, którym teraz dowodził Charpentier, ustawili się za Ney'em i Mortierem jako drugi szereg.

Walka pod Semilly tymczasem wciąż jeszcze trwała. Dzielna brygada Boyera, której pierwsze plutony podczas kontr-ataku prusaków nieco się zmieszały, pod ogniem nieprzyjacielskim uporządkowała się ponownie, w ładzie wzorowym rzuciła się do szturm, zdobyła Semilly, lecz, jak i razem poprzednim, zbyt długo nie zdołała się tam utrzymać. Wnet atoli francuzi rozpoczęli atakować na nowo; naprzemiany obie strony zdobywały *Faulbourg* i traciły z powrotem.

Tak stały rzeczy aż do godziny 11-ej; wreszcie mgła się rozwiła i walczący mogli wzajemnie przyjrzeć się sobie doskonale. Przyjemności to i Ney'owi i Mortierowi bynajmniej nie sprawiło. Nieprzyjacielski bowiem sztab generalny miał teraz sposobność przyjrzeć się z wałów ich nielicznym batalionom, przyjrzeć się daleko lepiej, aniżeli oni, stojąc na dole, mogli ocenić stanowisko sprzymierzonych na górze.

Owo wrażenie, które u nieprzyjaciela musiały wywołać siły nieliczne francuzów, niebawem zrodziło odpowiednie skutki. Silne masy rozmaitych rodzajów broni wysunęły się na przód celem obejścia linii francuzkiej; dowodził niemi, jak się pokazało, Winzingerode. Brygada Boyera, dostrzegłszy zagrożone tyły, cofnęła się. Już jedna kolumna nieprzyjacielska docierała do drogi, gdy wtem niezmordowany Ney na czele kilku szwadronów przecisnął się wśród własnej piechoty i rozbiwszy nieprzyjaciela, pędził go aż do Clacy. Równocześnie brygada dragonów Grouwelle'a rozbiła na miazgę spory korpus nieprzyjacielskiej jazdy nieregularnej.

W tej właśnie chwili stanął na placu boju cesarz i prędko zaczął obznajmiać się ze stanem bitwy, wrzając z coraz to większą zaciętością.

Długiego czasu na to nie było trzeba. Zdawało się niemal pewnem, iż Blücher nieodwołalnie postanowił wyzwanie przyjąć. Oczywiście przecież chciał się on dostatecznie przekonać, czy atak z tej strony przedsięwzięto zupełnie poważnie, ponieważ teraz nakazał rozpocząć długi szereg nader żywych kontr-ataków i pozornych szturmów. Brygada pruska Krafft, nagle wyszedłszy ze stanowiska obronnego, rzuciła się z wściekłością niesłychaną na Ardon. Po walce uporczywej musiał Porret de Morvan wieś opuścić i cofać się ku

Leully. Nieprzyjaciel ścigał ich długo—nagle przecież zatrzymał się i cofnął, widocznie skutkiem wyższego rozkazu.

Gdy do tej pory rozpoznanie sił oraz zamiarów wroga spore przedstawiało trudności, teraz przeciwnie z owego kroku należało wnioskować, iż Blücher dowiedział się o nadciąganiu Marmonta i pragnął wdrzeć się między niego a prawe skrzydło Napoleona. Ten ostatni przecież znajdował się w przykrym kłopotcie—nie wiedział bowiem nic zgoła o swoim marszałku, nie wiedział i nie słyszał nic o nim, choć bardzo surowo mu nakazał przybyć w porę, tudzież bez przestanku wysyłać o ile możności jaknajwiększą ilość kuryerów, celem utrzymania czucia, do kolegi, Mortiera, księcia Treviso, który najmniej od niego był oddalonym. Choćby Marmont się zbliżał, a nawet już i nadszedł, to niestety tutaj wśród huku własnego ognia działowego i poprzez powietrze wilgotne niepodobna było podchwycić odgłosu słabszej kanonady, którą mógłby był rozporządzać książę Raguzy. Wreszcie Napoleon, przez długi czas nieczynny i dla braku dokładnych wiadomości wahający się wydać dalsze rozporządzenia, postanowił nakazać powtórny atak. Znowu pojawiła się mgła, która ponownie zakryła okolicę, ku wielkiej korzyści francuzów. Piotr Boyer owładnął teraz przedmieściem Semilly,

o które tak długo i tak zawzięcie walczone; przez ten czas Roussel z powodzeniem zaatakował piechotę pruską przed Ardonem. Jakkolwiek jej i teraz całkowicie nie przełamał, to przynajmniej ułatwił Porretowi de Morvan zbliżenie się tudzież atak.

O 2-ej po południu właśnie zawrzała w tem miejscu krwawa walka. Kierownictwo Napoleona zaważyło, jak zawsze, na szali losów stanowczo; w oczach cesarza zdobyła teraz młoda gwardya ponownie wieś i odrzuciła Bülowa na skały. Tu jednak wystąpiły jego rezerwy. Wściekle zaczęły one francuzów pod Ardonem na flance i tyłach. Chwilami walka ręczna ustawała; wówczas często wano się strzałami; tu i owdzie zagrzmią krótką, urywana salwa; potem znowu rzucano się na przód z bagnetem w rękę.

Dotychczas Napoleon rozporządzał zaledwie 15,000 ludzi. Gdy jednak około godziny 4-ej zjawiała się na drodze dywizya Charpentiera w zupełnym szyku bojowym, znowu tworząc rezerwę rozstrzygającą, podobnie jak pod Craonne, polecił cesarz zdobyć wieś Clacy, leżącą po jego lewicy, nieprzystępną nad wyraz, bo otoczoną bagniskami. Odwróciwszy podstępnie uwagę brygady nieprzyjacielskiej, która obsadziła Clacy, z pomocą rozrzuconego na boku szeregu tyralierów, wdarła się do wsi

brygada Montmarie ¹⁾ biegiem, z bagnetem w rękę, tak raptownie i porywająco, że nieprzyjaciel uciekł, zostawiając na placu 250 jeńców. Lecz gdy Ney usiłował dalej posunąć się w kierunku północnym, mgła się, na nieszczęście, rozwiała i szalony ogień działowy, wymierzony przeciw niemu ze skał, zmusił go do odwrotu. Również i Boyer oraz Morvan nie zdołali utrzymać się stale w Semilly tudzież w Ardon. Napoleon musiał patrzeć bezczynnie, jak dywizya młodej gwardyi biła się z mężstwem niesłychanem, a mimo to w jego oczach cofnęła się o znaczną przestrzeń w tył. Sam dzielny dowódzca dywizyi poniósł ranę śmiertelną; jego pułkownik, Leclerc, padł trupem. Nie o wiele lepiej poszło Boyerowi, który, zaprzestawszy dalszego posuwania się na przód, zadowolnił się obsadzeniem pierwszych domów przedmieścia.

Między godziną 5-tą a 6-tą cesarz nakazał zaprzestać ognia. Wnet zatem umilkł grzmot dział i wnet ucichnął huk karabinów.

Lecz gdzie, u licha, podziewał się Marmont?

Dnia 8-go o godzinie 10-ej i o 11-ej rano posłał mu Berthier dwa dokładne rozkazy, wzywające do przyśpieszenia pochodu; najpóźniej musiał on

¹⁾ Ten generał brygady już się raz odznaczył; z początkiem lutego bowiem bez strat z Vitry przebił się wraz z żoną do Maconalda, gdy ten opuszczał Chalons.

je odebrać o 1-ej w południe; mógł zatem już dzisiaj o godzinie 8-ej rano stanąć przed Laonem. Lecz Marmont pisał wczoraj o godzinie 7-ej wieczorem, iż będzie mógł rozpocząć pochód dopiero przed samym świtem. Teraz więc zapewne musiał już oddawna stać w ogniu na drodze z Rheims i znajdował się w pobliżu, ale gdzie? Potrzeba było koniecznie dowiedzieć się o jego stanowisku dokładnie. Co pół godziny główna kwatera cesarska wysyłała, od południa zacząwszy, ordynansów, celem wyszukania marszałka; żaden z nich nie wrócił; być może, iż żaden nie dojechał na miejsce swego przeznaczenia, ponieważ w pośrodku między obu drogami kręcił się ustawicznie wódz nieprzyjacielskiej jazdy nieregularnej, Czernyszew.

Aż do późnej nocy strzelały do siebie i ścierały się wzajemnie obie linie forpoczt, jakkolwiek bitwa oddawna się skończyła. Wiatr powiewał z zachodu—wskutek tego od wschodu nie mógł żaden odgłos dolecieć.

Cesarz powrócił do Chavignon, tam nieco wypoczął, a następnie ułożył szybko nowy plan bitwy.

Obie dywizye Charpentiera w pierwszym rzędzie, obie dywizye Ney'a w drugim, podczas gdy tego ostatniego brygada Boyera wciąż jeszcze gnieździła się w pierwszych domach przedmieścia Semilly, miały poprzez Clacy rzucić się w kierunku północno-wschodnim i odepchnąć nieprzyjaciela ku

Neuville. W trzecim rzędzie miała postępować stara gwardya Frianta, cała konnica gwardyi tudzież artylerya rezerwowa. Nad wszystkim miał objąć dowództwo naczelne książę Moskwy. Podczas tego powinien był książę Treviso z dwiema swojemi dywizyami, z dragonami Roussela i lansyerami Paca stać w pogotowiu i cały atak o ile możności wspierać, sam zbytnio nie zapuszczając się w walkę. Napoleon tedy pragnął opuścić dawniejsze główne stanowisko pod Ardonem. Tymczasem na księcia Raguzy spadał obowiązek posuwania się ciągle na przód, aby zagrażać drodze z Laonu ku Avesnes w kierunku północno-wschodnim.

Rankiem wczesnym, między 4-tą a 5-tą, cesarz zażądał koni. Podczas gdy je dobrze siodłano—chciał on bowiem dotrzeć do samych przednich straży,—a cesarz właśnie wdziewał buty, oficer na służbie zameldował dwóch dragonów, przynoszących niesłychanie ważne wiadomości. Dawać ich tutaj! Z powierzchowności i postawy obu przybyśzów przebijają się oznaki szalonej ucieczki.

Opowieść ich straszna.

Nocy wczorajszej pod wsią Athis na korpus Marmonta, gdzie marszałek przybył dnia poprzedzającego o godzinie 2-iej po południu i już o 5-iej, dzięki swym baterjom, zmusił nieprzyjaciela do odwrotu, nagle napadli prusacy Yorka i Kleista. Młodzi rekruci Arrighy'ego, których niepojętym

sposobem wysunięto na czoło, uciekli odrazu, przeżeni samemi okrzykami nieprzyjacielskiemi; wszystkie baterye po walecznym oporze artylerzystów zdobyte; jazda Bordesoullé'a jeszcze przy ogniskach, zanim zdołała dosiąść koni, zaskoczona i rozbita. Sam marszałek albo padł trupem, albo wzięty do niewoli.

Napoleon zrazu nie chciał wierzyć owej opowieści i nakazał wszystkim swoim adjutantom ruszyć pośpiesznie na drogę z Rheims. Wnet atoli rekonesanse jazdy nadesłały raporty, potwierdzające zeznania dragonów. Zwłaszcza raport posterunku w Nouvion, datowany o godzinie wpół do trzeciej w nocy, był najdokładniejszym. Otóż pokazało się, że ostatecznie cofano się w porządku; ucieczka bowiem niebawem zmieniła się w powolny odwrót, tak, iż marszałek, bynajmniej nie zabity, zbiera swój korpus pod Corbény.

Ów szczęśliwy obrót rzeczy należy zawdzięczać energicznemu kontr-atakowi pułkownika Fabviera, którego Marmont o godzinie 6-ej wieczorem wysłał w bok z 1,000 ludzi i 2 armatami, celem połączenia się z cesarzem. Ten, usłyszawszy wrzawę, przeczuł coś złego, zawrócił, rozpoznał położenie i rzucił się na przód, tworząc rodzaj rogatki, zamykającej drogę z Rheims. Również i w wąwozie Festieux, gdzie jazda pruska chciała przeciąć francuzom odwrót, przytomność umysłu tudzież

doświadczenie wojskowe 150 weteranów-szaserów starej gwardyi, którzy konwojowali przypadkiem z Rheims transport mundurów, uratowały marszałka. Szaserzy bowiem poukrywali się, za czem mogli, i bronili wawozu tak dzielnie, że jazda pruska, zaskoczona ich salwami, musiała się cofnąć.

Taki smutny wypadek mógł bezwątpienia wywołać wiele niepokoju. Obrzucano obelgami księcia Raguzy, który postąpił jak podoficer.

Jeden Napoleon tylko zachował spokój i zastanawiał się.

Ta klęska, jakkolwiek początkowo przedstawiona w rozmiarach przesadnych, odślaniała prawą flankę. Jeżeli nadto Marmont stracił prawie wszystkie działa, to w takim razie przestał ważyć na szali i musiał cofać się do Berry-au-Bac, z kąd zresztą w ciągu dnia nadbiegły odpowiednie raporty tamtejszego komendanta placu. Lecz również i wśród nieprzyjaciół—wypływało to z wszelkich wieści zebranych—panował zapewne wielki nieporządek, ponieważ każdy oddział i każdy dowódzca znajdowali się nie na właściwych miejscach. Czyż zresztą, celem przedsięwzięcia podobnie śmiałego ataku na drodze z Rheims, nie odsłonięto samego Laonu i nie pozbawiono go dość silnej załogi, tak, iż właśnie teraz dopiero mógłby atak energiczny przynieść odpowiednie owoce?

W każdym razie Napoleon postanowił nie opuszczać pola bitwy, jeno właśnie teraz rozpocząć atak. Dzięki temu równocześnie marszałka przestaną ścigać prusacy, Blücher nie zdoła dalej wyzyskać odniesionych korzyści i będzie musiał skupić swoje siły. Nadto podobna śmiałość, która często jest najlepszą przezornością, musi koniecznie na nieprzyjacielu wywrzeć wrażenie. W ostateczności biegowi wypadków najlepiej zostawić końcowe rozstrzygnięcie spotkania; odwrót ku Soissons każdej chwili stoi otworem.

Utrzymano tedy w całej mocy poprzednie rozporządzenia i o godzinie 8-iej rano wojsko francuzkie w szyku bojowym przygotowywało się do ataku. Generałowie pruscy widocznie spodziewali się czegoś wprost przeciwnego; z niepewnych ruchów ich oddziałów bowiem przebijało się zdziwienie wyraźne. Na atak atoli nie chcieli lub nie mogli czekać, ponieważ zapewne sami zarządzili poprzednio szturm na francuzów. O godzinie 9-iej od Laonu nieprzyjaciel ruszył na przód na całej linii.

Na Clacy zdążyła silna kolumna, która jednak dopiero o godzinie 10-iej rozwinęła się do ataku.

Generał Charpentier przez noc jeszcze obwarował wieś, i tak już mało dostępną. Zrazu bez strzału dopuścił zblizka zbite w masę gęstą kolumny atakujące i dopiero wtedy zaczął je obrzucać straszliwemi potokami kul. Winzingerode przy-

ciągnął na skrzydło świeżą brygadę. Równocześnie jego jazda poprzez nawpół zamrznięte bagniska rzuciła się odważnie na liczną artylerję Ney'a. Lecz konie zapadały się; atakującą piechotę działa Ney'a, doskonale wymierzone, a ustawione z boku na niewielkim pagórku, zmiatały całemi plutonami, tak, iż wreszcie zatrzymała się, zachwiała i cofnęła. Pięć razy z rzędu usiłowała cała piechota korpusu Winzingerodego zdobyć z bagnetem w ręku wieś, otoczoną bagniskami; za każdym atoli razem atak pozostał bezskutecznym, odparty zarówno gradem morderczym kartaczy, wyrzucanych przez baterję Ney'a, tudzież odporem jaknajzaciętszym Charpentiera.

Cesarz osobiście wysunął się na przód aż do Clacy i wszedł na wieżę kościelną. Ztamtąd skierował lunetę na wyżynę, rojącą się od tłumów. Wnet dostrzegł tamże jakiś ruch tajemniczy wśród spokojnie dotychczas stojących oddziałów.

Czyżby prusacy wreszcie postanowili opuścić Laon?

W takim razie musi on przyśpieszyć swój zamiar. Wysłał tedy adjutantów na wszystkie strony placu boju z rozkazem porobienia odpowiednich przygotowań do stanowczego ataku na całej linii. Mortier rzucił się na Ardon, Ney na Semilly, Charpentier na Neuville.

Tymczasem zaszedł zwrot niespodziewany. Sam Bülow to osobiście zszedł na płaszczyznę, gdzie u stóp skały sformował swoje brygady. Wnet rozpałała się nowa walka. Winzingerode wprawdzie pozostawił przed Clacy takie stosy ofiar, że, zdziesiątkowany i złamany, stosownie do swoich sił, stał w przyzwoitej odległości. Bądź-co-bądź atoli wstrzymywał dalsze posuwanie się francuzów ku Neuville i podsyczał wciąż przeciągającą się bitwę. Z francuzami zresztą nie szło nieprzyjacielowi tak łatwo. Bülow ponownie stracił Ardon, podczas gdy Mortier usadowił się silnie na niższych ścieżynach skały. I Ney również po raz wtóry, nakazawszy na razie obu dywizyom zmienić front, odsunąć się na prawo od Clacy, a potem zrobić w kierunku Laonu jeszcze pół obrotu w prawo, doszedł poprzez przedmieście aż do samego podnóża skały. Dywizya Curiala częściowo zaczęła z odwagą niesłychaną wdrapywać się na górę i już wznosiła huczne okrzyki zwycięskie, gdy wtem nagle odsłoniła się dotychczas niewidzialna bateria, która zuchów literalnie zasypała kartaczami i zmusiła ich do prędkiej ucieczki.

Nieprzyjaciel więc nie tylko nie robił postępów, ale nawet musiał opuścić dotychczasowe stanowisko na płaszczyźnie. Wciąż jednak bronił się zapalczywie i opierał na skałach, gdzie za każdy krok w tył niesłychanie drogo kazał sobie

płacić. Zbyt długo też siły francuzów w podobnem nateżeniu trwać nie mogły; myśl przebicia się wyżej, do samego miasta, coraz bardziej zdawała się niewykonalną.

Jeszcze atoli o godzinie 2-iej po południu Napoleon nie tracił wiary, że odniesie pod Laonem zwycięstwo. Wydał rozkaz nieprzerywania bitwy. Zaszła teraz krwawa utarczka pod Semilly, gdzie jednak przeszkody nieprzezwyciężone nie pozwoliły dzielnym batalionom gwardyi wydostać się wyżej na górę. Posłał tedy cesarz nasamprzód wiernego Drouota, a następnie Belliarda, poprzez Clacy do ataku, celem wyśledzenia jakiegokolwiek luki, przez którą możnaby się przemknąć i otoczyć prawe skrzydło nieprzyjacielskie. Obaj generałowie przecież zawiedli pokładane w nich nadzieje. Bój trwał dalej; atak następował po ataku; szczęście wahało się na obie strony; każda z nich opierała się z równą wytrwałością.

Wreszcie nie przeszkody, lecz wprost niemożliwość przewyciężyła dumny upór cesarza; wydał on rozkaz do odwrotu. Skończyło się na uporczywej strzelaninie tyralierów i kanonadzie zapamiętałej z obu stron, które wzajemnie odplącały sobie pięknem za nadobne.

Trwało to aż do zmierzchu, poczem wojsko Napoleona w dwóch kolumnach cofnęło się ku Soissons. Ogniska obozowe paliły się i nadal. Jak

już oddawna weszło w zwyczaj, „najdzielniejszy z dzielnych,“ straż przednia i tylna Wielkiej Armii, zasłaniał i tym razem odwrót, który sam rozpoczął dopiero o godzinie 1-ej w nocy, by dojść, prawie niezaczepianym, aż do Aisne.

O godzinie 11-ej wieczorem w Soissons złączyły się wszystkie oddziały.

Już o godzinie wpół do 4-ej po południu cesarz przybył do fortecy, o 4-ej napisał rozkazy, dotyczące się rozdziału wojsk, o godzinie 5-ej obejrzał wały. Bezustannie czynny, ani na chwilę nie oddawał się na pastwę denerwującym rozmyśleniom; przeciwnie, wciąż oczekiwał chwili, w której zdołałby z nieszczęścia wyciągnąć korzyść. Jego marszałkowie wszędzie się cofali: Macdonald ku Provins, Augereau na Lyon, a nawet Soult, jego jedyny strategik, rozpoczął odwrót ku Tuluzie, co prawda zgoła inaczej, aniżeli wszyscy towarzysze, bo po odporze niezmordowanym i genialnych pomysłów. Biurokraci zdradzieccy, zgromadzeni na osławionym kongresie pokoju w Chatillon, postawili właśnie bardzo uciążliwe ultimatum. Nieprzyjaciel rozpanoszył się niemożliwie; wynik starcia pod Laonem jego wrogowie najniezawodniej otrąbią na wszystkie cztery strony świata jako cios rozstrzygający i doniosły.

Wobec niezwyklej różnicy sił stron obu słabszy liczebnie Napoleon tem dotkliwiej odczuwał

swe straty. Pierwsza dywizya Ney'a razem z brygadą Boyera liczyły razem jeszcze zaledwie 1,000 ludzi! Zważywszy tedy na okoliczności podobne, trzeba było dzień 12-go marca zużytkować na zreorganizowanie wojska. W Soissons znaleziono posiłki: 2,400 jazdy z komendy uzupełniającej w Wersalu, tudzież tysiąc żołnierza z pułku piechoty liniowej N. 122. Do tego trzeba było doliczyć ową dawniejszą dzielną załogę w Soissons, około 750 ludzi, ponieważ pułk nadwiślański, liczący dawniej 700 ludzi, stracił około 150 w zabitych i rannych, a z 250 gwardyaków także część padła. Armię koniecznie należało przekształcić; geniusz organizacyjny cesarza natychmiast zajął się ową robotą. Z każdą godziną nadpływały skargi oraz raporty podkomendnych generałów, którzy, jak powyżej Ney, zawiadamiali o zmniejszeniu się znacznem ich oddziałów. Celem uzupełniania szczerb chciał Napoleon powołać pod broń gwardyę narodową w liczbie 4,000 ludzi; te świeże zastępy pragnął mieszać z weteranami. Z góry atoli wiedział, nauczony doświadczeniem, iż zawsze tylko część owych nowozaciężnych stawała, posłuszna wezwaniu. Skutkiem zaś połączenia nadtopniałych i zmieszanych wzajemnie oddziałów okazała się pewna część oficerów tudzież podoficerów na razie niepotrzebną; ci nadliczbowi natychmiast udali się

do Paryża, by tam dozorować tworzenia nowych pułków.

Podczas gdy cesarz dokonywał bezwzględnie owych zmian, tak potrzebnych, nie wiedząc jeszcze dokładnie, w jakim kierunku powinien teraz wymierzyć atak następny, los bardzo prędko dostarczył jego umysłowi wynalazczemu odpowiedniego środka ratunku. Już dnia 10-go Corbineau z Rheims doniósł cesarzowi, że korpus nieprzyjacielski, przeważnie z prusaków złożony, a liczący 15,000 ludzi (St. Priest i Jagow, dotychczas nad Renem), zmierza ku Rheims; już tedy 11-go generał Defrance, który na czele *garde d'honneur* obsadził Berry-aubac, otrzymał rozkaz połączenia się w razie potrzeby z Corbineau, rozporządzającym zaledwie 150 jeźdźcami tudzież 1,000 gwardzistów narodowych. Teraz atoli cesarz otrzymał raport majora wołyżerów gwardyi z Chalons-sur-Vesle, wnet zaś potem również i raport samego Defrance'a. Dnia 12-go rankiem gwardya przyboczna nad brzegiem Vesle'i użyczyła opieki jeźdźcom Corbineau'a, którzy z pałaszem w rękę utorowali sobie drogę, podczas gdy gwardya narodowa, obwarowawszy się cichaczem po domach, wystrzelała nieprzyjacielską kawaleryę. Nocą bowiem na 12-go wdarł się do Rheims nieprzyjaciel; mała załoga tamtejsza, której nadobitek zabrakło nabojów, ratowała się pośpie-

sznie wedle sił i możliwości. O losie gubernatora Corbineau nikt nie wiedział.

Ta wiadomość napozór wywarła wrażenie niezbyt pocieszające. Oko geniusza jednak odkryło w niej sposobność pożądaną do częściowego przynajmniej wygładzenia poniesionej szczyrby.

Natychmiast po otrzymaniu raportu wydał odpowiednie rozkazy, by całe wojsko (z wyjątkiem Mortiera, który na czele 13,000 gwardyi, dawniejszych sześciu dywizyj, pozostał pod Soissons) skierowało się ku Rheims. Jeżeli zniszczy on korpus nieprzyjacielski, to w takim razie otworzy drogę, łączącą go z fortecami w Ardennach, a wówczas będzie mógł natychmiast przywołać ku sobie choćby Jansensa z Mézières. A skoro wyczerpany trudami wojennymi żołnierz potrzebował wypoczynku, to pewniej i łatwiej można go było znaleźć w Rheims, aniżeli poza Aisne. Również i reorganizację armii należało aż do tej chwili powstrzymać. Wszelka zwłoka jedynie przynosiła szkodę; kto sam sobie na wyczerpany nie zezwala, nie potrzebuje też oszczędzać i drugich. Ney, Friant, Drouot, Sebastiani (zastępca Belliarda) otrzymali między 6-tą i 8-ą wieczorem polecenie do rozpoczęcia natychmiastowego pochodu. O świcie dnia 13-go sam cesarz osobiście wysunął się na czele armii; świetne widoki na przyszłość gorączkowały go i pędziły na przód.

Przedewszystkiem napisał bezwłocznie Berthier do Marmonta, że ma dnia 13-go rankiem jako straż przednia uderzyć na Rheims. Ten wódz, dziwnie chwiejny, raz przepełniony ufnością bezbrzeżną, to znowu we wszystko wątpiący, dnia 11-go dopuścił się ponownie ciężkiej przewiny. Wyszedł mianowicie z Berry-au-Bac, mimo że wyraźny rozkaz ministra wojny z dnia 10-go obowiązywał go do pozostania w tej miejscowości. Cofnął się do Fismes, jakkolwiek nikt go nie ściagał i tylko pułki nieprzyjacielskiej jazdy nieregularnej docierały aż do Aisne. Gdyby tedy i Defrance, lekceważąc sobie podobne obowiązki, ustąpił ze stanowiska, byłby Napoleon wręcz zapóźno dowiedział się o wypadkach w Rheims.

Widocznie Marmont nie ufał sam sobie, jeno usiłował czempredzej zbliżyć się pod opiekuńcze skrzydła Napoleona, tego samego Napoleona, którego głupstwa i błędy później tak niesłychanie mądrze wytykał. Po otrzymaniu rozkazu Berthiera pchnął zaraz na czoło korpus jazdy Bordesoullé'a, z którym obecnie połączyła się i gwardya przyboczna Defrance'a; za nim w tropy szła dzielna dywizya Riccarda, która wywalczyła zwycięztwo pod Montmirail. Szczęście jeszcze raz uśmiechnęło się swojemu dawnemu ulubieńcowi. Gdy bowiem Napoleon o godzinie 1-ej po południu galopem forso-

wnym wpadł na plac boju przed Rheims, boju, który kanonadą coraz to głośniejszą wabił go ku sobie, znalazł wszystko stosownie do życzenia. Kirasyerzy i ułani Bordesouille'a całkowicie niespodziewanie zaskoczyli pod Rosnay, Orme, Gueux pruską landwerę generała Jagowa.

Ten ostatni uratował się jedynie z trudem wielkim na nieosiodłanym koniu; cztery bataliony, mimo opór rozpaczliwy—wielu, którzy leżeli jeszcze w łózkach, bronili się boso i w koszulach—pojmano do niewoli; inne wysieczone w pień; konnicę landwery zapędzono aż do Rheims. Tuż przed miastem Marmont zatrzymał się, stosownie do rozkazu cesarza, który chciał bezwąt্পienia uśpić nieprzyjaciela kłamliwymi przypuszczeniami, że to wszystko było jedynie zwyczajnym figielkiem huzarskim, i to na tak długo, aż on sam nadciągnie z przeważającymi siłami. Już o 1¹/₄ po południu Sebastiani, który z konnicą gwardyi stanął tuż za Marmontem, doniósł głównej kwaterze, że jest gotowym do bitwy.

O godzinie 2-iej wyszedł nieprzyjaciel z Rheims i ustawił się w szyku bojowym na wzgórzach, przytykających do Vesle. Wpadł tedy dobrowolnie w pułapkę, sądząc, iż stoi przed nim jakaś kolumna latająca albo też rekonesans, który wnet on zgniecie, dzięki swym znacznie przeważającym siłom. Marmont też zręcznie odsłonił zaledwie trochę jazdy i nieco dział; do godziny czwartej zapa-

nowała cisza; ów rozejm nieprzyjaciel objaśniał sobie chęcią francuzów przerwania bitwy.

Wnet atoli poznano, że owo milczenie złowieszcze równa się ciszy zwykłej przed burzą. A burza wybuchła z mocą niespodziewaną. Nagle, niby za uderzeniem różeczki czarodziejkiej, czterdzieści dział zjawilo się na przeciwległych wzgórzach; masy jazdy zamknęły w półkole wojsko St. Priesta; teraz wreszcie niespodziewanie po obu stronach drogi rzuciły się do ataku dwie silne kolumny piechoty. Na skrzydłach Bordesouille, Defrance i szwoleżerowie gwardyi Colberta zacięte przypuszczali szarżę.

Naporowi takiemu nieprzyjaciel nie zdołał się opierać zbyt długo. Środek jego wojsk przełamano; drugi szyku bojowego szereg, który powinien był obsadzić Rheims celem zastąpienia odwrotu, spędziła jazda francuzka w ataku szalonym ze stanowiska i zepchnęła ku rzece. Nieprzyjaciel tłoczył się w popłochu dzikim przez jedyny most poprzez Vesle, a na jego kark bezlitośnie spadały wśród trwogę szerzących okrzyków *Vive l'Empereur!* pałasze francuzkie. Pierwszy szereg szyku bojowego, prowadzony przez Jagowa, usiłował podjąć walkę, wnet jednak rzucił się tłumnie do ucieczki, skoro na tyłach swoich dostrzegł tak olbrzymie zamieszanie. Francuzi ścigali go zawzięcie. Między innemi trzeci pułk *Garde d'honneur* wykonał

tutaj świetny atak, zdobył jedną baterię, w pełnym galopie rozbił czworobok piechoty i rozproszył jazdę. Jeden szwadron pod osobistym przywództwem generała Filipa Segura (znanego pisarza) niemal całkowicie tutaj wyginał, ponieważ zapuścił się zbyt daleko pomiędzy nieprzyjaciół. Brama Rheimsu przecież, pod którą zawzięty pościg do reszty zmiażdżył uciekających, podczas gdy zgnieceni kopytami końskimi piechurów pruscy na lewo i prawo wpadali do rowów, opierała się długo wszelkim pociskom działowym i każdemu zamachowi saperów. Pięć pułków nieprzyjacielskich stawiało tutaj dzielny opór, podczas gdy reszta sprzymierzonych uciekła do Berry-au-Bac, ścigana jeszcze zaścienie i wyrębywana przez konnicę francuską.

Dopiero o północy wyłamano bramę miejską i wdarto się z wściekłością w ulice. Cesarz, zniecierpliwiony i zły, że część korpusu, przeznaczonego na zniszczenie, umknęła, chodził dookoła ogniska obozowego na przedmieściu. Gdy mu o tym wyniku doniesiono, wsiadł czempredzej na konia i wmieszał się osobiście pomiędzy kirasyerów, którzy w szalonym pędzie lecieli ulicami, wycinając w pień pierzchającego wroga. Z tysiąca piersi dobywający się okrzyk *Vive l'Empereur!* zagłusza wystrzały karabinowe i uderzenia podków o bruk uliczny; we wszystkich oknach błyskają światła, powszechna iluminacja;—Rheims w taki to sposób

podczas bitwy składa hołd swemu zwyciężkiemu monarsze. W tryumfie prowadzi go tłum na ratusz, gdzie się nagle ukazał gubernator, którego uważano za przypadłego: Corbineau do tej pory ukrywał się cichaczem w Rheims.

Aż do godziny drugiej w nocy bito się na ulicach; w końcu wymordowano i rozproszono co do nogi cały korpus St. Priesta. Generał komenderujący padł zaraz na początku walki; odłam granata roztrzaskał mu ramię. Jagow uratował około 2,000 ludzi, których doprowadził do Berry-aubac, gdzie natrafił na straż przednią Yorka; reszta sprzymierzonych uciekła w kierunku Chalons. Trzy tysiące padło po ich stronie trupem; trzy tysiące poszło w niewolę; francuzi wzięli 22 ¹⁾ dział. Korpus jako jedno ciało taktyczne zniknął. Była to prawdziwie napoleońska bitwa mordercza. Francuzów poszło w ogień zaledwie 4,000 piechoty i 4,000 jazdy. Stracili ledwie 700 ludzi.

¹⁾ Tę liczbę wymienia też i Beitzke; zaraz na początku bitwy francuzi wzięli 17 dział. Houssaye skromnie podaje tylko „12;“ wystarcza przecież zastanowić się nad położeniem rzeczy, a trzeba przyznać, iż uciekający na dwie strony korpus, zupełnie rozbity, nie potrafiłby ocalić zbyt wiele dział. Ponieważ Jagow uratował około 2,000, należy tedy i dla uciekających w drugim kierunku przyjąć taką samą liczbę, a straty ocenić na 10,000 ludzi, zaznaczając i to, że korpus jako taki przestał istnieć.

Rankiem dnia 14-go zawezwał cesarz do siebie księcia Raguzy, którego od lutego nie widział. Obsypał go zrazu wyrzutami nader zasłużonemi, które tego próżnego człowieka w duchu zapewne tylko rozgoryczyły. Wnet przecież dobroduszość lwia, właściwa cesarzowi, i jego słabość do dawnego adjutanta wzięły w Napoleonie górę; zaczął go tedy pouczać o stanie rzeczy, niby mistrz ulubionego ucznia. Ostatecznie zaprosił go na obiad. Zresztą Marmont podczas wczorajszego zwycięstwa sprawiał się zupełnie dobrze.

Teraz natychmiast zabrano się do odłożonego przekształcenia wojsk na nowo. Ze zwykłym sobie mistrzostwem rozpoczął organizator zamierzoną robotę i prawie przez cały dzień odbywał przeglądy poszczególnych pułków. Żołnierz francuzki, jak zawsze, zręcznie i obrotnie sformował świeże oddziały. Konie zmęczone opadły całkowicie z sił; brano nowe, z kąd tylko było można. Również i umundurowanie wydarło się i zniszczyło; to wszystko przecież u nieprzyjaciela znajdowało się w stanie znacznie gorszym. Niedawno przybyła jazda liniowa częściowo powikłała się; ciężki i lekki rodzaj tej broni pomieszały się wzajemnie: kirasyerzy obok huzarów. Dnia 12-go można z nich było utworzyć zaledwie jedną brygadę. Teraz, dnia 15-go, całą konnicę, nadciągającą z okręgów uzupełniających, oddano pod dowództwo generała Berck-

heima; otrzymała ona miano „dywizyi na nowo połączonych szwadronów“ — ciężka brygada Mourieza 800, lekka brygada Curély'ego 1,000 koni. Te 1,800 koni razem z 1,900 dragonów Roussela miały tworzyć korpus Belliarda; wnet je przecież napowrót rozdzielono. Prócz tego utworzono jeszcze trzecią lekką brygadę Grouvela, przedtem brygadyera dragonów, 600 koni; dołączono je do świeżego korpusu Mortiera.

Korpus jazdy Bordesouille'a, liczący 2,400 koni 25 lutego, stopniał teraz do liczby 1,800. Jazda gwardyi, podzielona, jak do tej pory, na trzy dywizye, miała 4,200 ludzi, przyczem prócz tego tymczasową dywizyę gwardyi Boulnoira również oddano Mortierowi. Miejsce generała dywizyi La Ferrière'a, który musiał poddać się amputacyi, zajął śmiały Letort ¹⁾, głośny dzięki atakowi pod Wachau na czele dragonów gwardyi i sprzymierzonych lansyerów. Dowództwo naczelne zamiast Nansouty'ego ²⁾

¹⁾ Zginął w 1815 r. pod Ligny.

²⁾ Nansouty nie brał już udziału w bitwie pod Laonem, a w dniu 11-go, gdy chciał przebić się do armii, dokonał prawdziwie mistrzowskiej, kawaleryjskiej sztuczki. Napadnięty przez konnicę nieprzyjacielską, stracił pod sobą konia; wówczas, mimo buty z ostrogami, przeplynał Aisne. Zapewne wrócił do Paryża, celem tworzenia kadr. Sebastiani, który dotychczas w 1814 r. nie miał żadnej komendy, po dowodzeniu jazdą Macdonalda w dniu 6 lutego w wielkiej bitwie kawaleryj pod La Chaussee rangą znacznie przewyższał Nansouty'ego, który musiał mu ustąpić miejsca.

objął doświadczony Sebastiani, od 1809 komendujący generał korpusu w Hiszpanii, a w 1813 dowódca jazdy w armii Macdonalda, gdzie co prawda wywołał niezadowolenie cesarza po bitwie nad Katzbach; znajomy zresztą jeszcze od czasów młodości generała brygady Bonapartego. Komendę starej gwardyi Frianta i wielkiej rezerwy artyleryi Drouota, której siły pozostały niemal te same, cesarz stale i z zasady zatrzymywał dla siebie.

Korpusy Ney'a i Victora całkowicie rozpuszczono, czego wynik był zaiste niezwykły. Ney zamiast korpusu otrzymał tylko brygadę Boyera i pułk nadwiślański—ten ostatni celem uczczenia jego dzielnych żołnierzy, pomiędzy których cesarz osobiście rozdzielił 30 krzyżów legii honorowej z powodu wybornego zachowania się w Soissons, gdzie oni w żaden sposób nie chcieli się poddać. Teraz Napoleon, rozejrzawszy się w całym położeniu, zapewne w duchu dziękował tchórzliwemu komendantowi, że uratował mu tych walecznych dobrowolnem wyjściem z fortecy. Każda bowiem garść weteranów posiadała dla niego nieocenioną wagę obecnie, gdy rekruci młodej gwardyi topnieli niby śnieg. Tę garstkę więc weteranów wzmochniło 1,000 ludzi z pułku piechoty liniowej N. 122 komenda naczelna sławą okrytego marszałka przynosiła im zaszczyt niemały; on sam jednak bezwątpienia musiał niebardzo być zadowolonym, iż spadł

na poziom brygadiera. Wreszcie ów wybrany korpus uzupełniła konna gwardya przyboczna. Miejsce Boyera zastąpił generał brygady Rousseau, który w styczniu odznaczył się mężstwem i pomysłowością w Wogezach. Z czasem miała do korpusu Ney'a przyłączyć się jeszcze i dywizya Jansensa, która nadciągała od strony Mezières.

Z niedobitków dywizyi Meuniera, Curiala, Boyera de Rebeval, Charpentiera i rozpuszczonej również dywizyi Morvana powstały dwie dywizye młodej gwardyi: Charpentiera i Curiala. Prócz tych Mortier zatrzymał jeszcze dawniejszą dywizyę starej gwardyi Christianiego. Wszystkie trzy liczyły zaledwie 8,500 żołnierza; reszta przecież, pozostała po pięciu dywizyach, z których powstały dwie nowe, wystarczyła jeszcze do utworzenia korpusu 4,500 ludzi, przeznaczonego na załogi.

Oczekiwano nadto na 3—4,000 żołnierzy Jansensa, tudzież na dwa pułki jazdy, które mogły przybyć najprędzej za tydzień. Skutkiem tego siły wojenne francuzów na północy wzrastały mniej więcej do wysokości 45,000 ludzi, podczas gdy w dniu ostatnim lutego rozpoczęli kampanię w owych stronach niemal z 51,000 ludzi. Ponieważ posiłki co najwyżej mogły wynosić 7—8,000 żołnierza, przeto operacye od 25 lutego pochłoneły zaledwie 13,000 ludzi, podczas gdy nieprzyjaciel, zważy-

wszy na zniszczenie całego korpusu, stracił przynajmniej dwa razy więcej.

UWAGI.

I.

Dziejopisarze niemieccy twierdzą, że same tylko bitwy z 7-go, 9-go i 10-go marca wyrwały z szeregów napoleońskich 17,000 ludzi! Już mówiąc o Craonne, wykazaliśmy owo podrobienie naiwne; z bitwą pod Laonem stało się również nie inaczej. Tutaj owi historycy straty francuzkie podają na 8,800; liczba śmiesznie przesadna na pierwszy rzut oka. Straty Marmonta pod Athis, które marszałek rozmyślnie zmniejszyła do 800 ludzi, jakkolwiek przyznaje się do zabranych mu 45 armat, dowódcy sprzymierzonych znowu samowolnie powiększają do 4—5,000 zabitych i rannych. Rejestr urzędowy (porównanie list z 8-go i 10-go marca; Houssaye, str. 214. Uwaga) straty jego podaje na 3,200 ludzi z ogólnej ilości 9,500. Ponieważ 17-go marca dowodził jeszcze 5,800 ludźmi, a z 700 żołnierza ubitego pod Rheims bezwarunkowo 500 przypada na jego oddział, przeto ów wykaz powyższy zgadza się, oczywista, z prawdą.

Wogóle francuzi utrzymują, że pod Laonem (wliczając tutaj i Marmonta) nie stracili więcej nad 6,000 ludzi, o czem jednak archiwa urzędowe zachowują całkowite milczenie.

Możemy przeprowadzić tutaj rachunek możliwie wiarogodny, opierając się, jak pod Craonne na skargach dywizyi Boyera de Rebevala, tak tutaj na narzekaniach Ney'a, że jego pierwsza dywizya wraz z brygadą Boyera liczą zaledwie jeszcze 1,000 ludzi, a zatem jedną trzecią część pierwotnej siły. Druga tedy dywizya poniosła w ogniu mniejsze straty, czyli połowa jej ludzi (600) stała w szeregach. Ney przeto stracił razem 2,500 ludzi, z czego 1,500 trzeba odrachować na Craonne, a na Laon 1,000. Najbardziej zresztą kule nieprzyjacielskie wytrzebiły dywizyę Porreta de Morvan; jej straty musiały wynosić także około 1,000 ludzi. Wciągnijmy jeszcze do tej ogólnej sumy 800 zabitych i rannych w oddziałach Charpentiera, tudzież konnicy, jakkolwiek liczby te są stanowczo zbyt wygórowane.

Jeżeli przecież straty francuzów *bez Marmonta* wyniosły 2,800 ludzi, to należy bez zwłoki taką samą zupełnie liczbę ustanowić dla Bülowa i Winzingerodego, ponieważ wojska ich pod Ardonem i Semilly również tak często szły do ataku, jak i francuzi. Wyrażajmy się ściślej: Jeżeli Ney i Mortier stracili tam 2,000 ludzi, to Bülow musiał

ponieść takie same straty. Zgoła innem było położenie Winzingerodego. Jego trzy pułki pod Chevy w pień wycięte i rozbite, Clacy zdobyte, pięciokrotne a bezowocne szturmowanie na Clacy, odparty atak jazdy, gwałtowna kanonada Drouota—to wszystko spowodowało straty cztery razy większe, jak u walczących tam francuzów, czyli najmniej 2,500 zabitych i rannych. Cała piechota Winzingerodego, prowadzona przez Woroncowa, a później i Strogonowa, licząca zrazu 20,000 ludzi ¹⁾, w dniu 30 marca nie miała pod sztandarami więcej niż 12,000 żołnierza. A ponieważ biła się *jedynie* pod Craonne i Laonem, przeto rachunek wypadła dobrze: 4,800 pod Craonne, 2,500 pod Laonem, razem 7,300 ludzi; 700 żołnierzy odliczamy na straty, spowodowane przez pochody dwudziestodniowe. Jeden fakt jest stanowczo pewny: *mniej niż 4,000 nie mogli* stracić tak Bülow, jak i Winzingerode, wliczając już napad nocny pod Chevy. Liczbę zaś 600 ludzi, których York i Kleist, jak sami zapewniają, stracili pod Athis, trzeba koniecznie podwyższyć do 1,000. Dnia 9-go bowiem pod wie-

¹⁾ Ów korpus przed Soissons stał z 27,000 żołnierza, w tem 7,000 konnicy. Należący do niego osobny oddział, pod wodzą Strogonowa, oddzielnie obozował pod Hamburgiem w sile 9—10,000 ludzi i dopiero później posunawszy się od Renu, przyłączył do Blüchera, licząc jeszcze 8,000 ludzi.

czór granaty Marmonta takie wyłobiły w ich szeregach szczyrby, że musieli się z pod Athis cofnąć; w nocy znowu również i oddziały pruskie tak się nawzajem pomieszały, że jedne strzelały na drugie; przebieg bowiem wszystkich nocnych bitew uczy nas, iż atakujący zwykle sam sobie ciężkie zadaje straty, czego przykładem Hochkirch.

Do takiego samego wniosku można dojść także i na podstawie innych liczb. Dwa korpusy pruskie pod Méry liczyły jeszcze 24,500 ludzi, pod Laonem jeszcze ¹⁾ 22,000, 30-go marca natomiast już tylko 18,000, mimo że do korpusu Kleista przyłączył się Jagow z 2,000 ludzi, wyratowanymi z pogromu pod Rheims. Ponieważ York tylko pod Meaux i Claye mógł stracić 1,000 ludzi, oba korpusy zaś od chwili bitwy laońskiej (wyjąwszy utarczkę dnia 14-go nad Aisne) ani razu nie były w ogniu, przeto 5,000 straty nie można sobie wytłumaczyć. Kleist, który pod Méry stał jeszcze na czele 9,800 ludzi, przybył pod Paryż z 8,000; stra-

¹⁾ Beitzke tudzież inni samą nawet piechotę obliczają na 22,000; jest to cyfra równie wygórowana, jak 58,000 dla trzech sprzymierzonych korpusów; miały one najwyżej 50,000, Bülow zaś 17,000.—Houssaye co prawda znowu przesadza, wszędzie podając siły pierwotne, bez żadnych strat. Jazdę Yorka i Kleista podaje na 7,000, gdy było jej już najwyżej 4,000.

cił tedy, wliczając do jego korpusu Jagowa, przez ten czas 4,000; York stracił 4,700!

Podobnie działo się z Sackenem, którego strata od spotkania pod Méry aż do 30-go marca w liczbie 5,700 ludzi (13,700 tam, 8,000 tu) wygląda niezmiernie podejrzanie. Skoro tedy nad Therouanne stracił on 700 ludzi, a potem, nie wystrzeliwszy ani razu, jeszcze 5,000, to należy domyślać się, że pod Craonne podczas odwrotu Woroncowa poturbowano porządnie nietylko jego piechotę, lecz i jazdę. Do straty 4,800 ludzi, poniezionej i nieukrywanej zresztą przez Woroncowa, trzeba doliczyć 1,200, wybitych podczas odwrotu.

Dowód wiarogodności owych cyfr znajdziemy, odtwarzając sobie rozwój bitwy pod Craonne.

Ponieważ Ney i Victor nacierali tylko na prawem skrzydle, w kierunku północno-wschodnim, przeto zaledwie część oddziałów Woroncowa mogła im dać należyty odpór. W samym środku, co prawda, artylerya francuzka zrazu musiała niemal zupełnie umilknąć wobec nieprzyjacielskiej, później atoli jej pociski raz po raz wyszczerbiały gęsto zmasowaną piechotę Woroncowa, podczas gdy tenże nie miał właśnie w tem miejscu nawprost siebie ani jednego batalionu francuzkiej piechoty, do której mógłby strzelać. Na lewem skrzydle Nansouty rozbił konnicę nieprzyjacielską; potem również i ataki Sparrego tudzież La Ferrière'a zadały wro-

gowi spore straty. Nie będzie tedy błędnym rachunek następujący: 1,800 nieprzyjaciela na 3,000 francuzów do godziny 1-ej w południe. Od tej chwili jednak zdobycie Ailles, której to miejscowości załoga musiała teraz uciekać wśród morderczego ognia krzyżowego, zaczepki na wielu punktach, gwałtowny atak, przedewszystkiem zaś mordercza kanonada Drouota i całkowicie świeży ogień karabinowy Charpentiera, podczas gdy nieprzyjacielowi zabrakło nabojów, to wszystko powiększyło straty tego ostatniego *trzykrotnie*, zwłaszcza podczas odwrotu; na 1,500 francuzów padło 4,500 wrogów. *Mniej* tedy nad 6,000 wróg stracić nie mógł, tak jak znowu francuzi *więcej* nad 4,500, skoro rozważymy stosunki i porównamy *pozostałe* po obu stronach siły, które istotnie można wykazać.

Zamiast „17,000“ Napoleon od 7-go do 10-go marca stracił najwyżej 11,000; Blücher zaś zamiast 5,000 pod Craonne i 3,500 (według innych nawet tylko 2,000!) pod Laonem, najmniej 6,000+5,000, to jest również 11,000, jak i pierwszy. Doliczmy do tego najmniej 5,000 ludzi straty aż po dzień 6-go marca i najmniej 6,000 w dniu 13-go pod Rheims, to otrzymamy sumę 22,000. Zupełne *rozbitcie* St. Priesta wchodzi tutaj także w rachubę, ponieważ z 15,000 żołnierza zaledwie 2,000 uratowawszy się z trudem wielkim,

połączyło z armią szląską. Blücher musiałby tedy mieć (48,000 pod Méry, 44,000 Bülowa i Winzingerodego i 15,000 St. Priesta) 107,000 żołnierza na północy, z czego 17-go marca pozostało mu jedynie 78,000. Ponieważ już po bitwie pod Laonem piechota Strogonowa powiększyła siły armii o 7—8,000 ludzi, przeto ogólna liczba wojsk Blüchera w pierwotnych swych rozmiarach wynosiła 112,000 ludzi. Ponieważ jeszcze Bülow przypro-wadził później w dniu 30 marca 20,000, a Langeron 17,000, podczas gdy pod Laonem pierwszy poszedł w ogień tylko z 17,000, drugi zaś z 13,000, przeto jasnym jest, iż Bülow, którego korpus dochodził w Holandyi do 30,000, otrzymał 5,000 *posiłków*, -- Langeron zaś, który od dnia 6-go żadnych strat w ogniu nie poniósł, również tyle. Przyjmijmy tedy dla sił Blüchera na północy w rozmiarach pierwotnych 112,000. Dnia 30 marca obejmowała cała armia szląska (47,000 przed Paryżem i 38,000 garnizonów) 85,000 wojowników, straciła zatem jeszcze 9,000 od dnia 17-go (*nie wliczając* strat Winzingerodego pod St. Dizier); cała tedy kampania na północy uszczupliła armię szląską najmniej o 30,000 ludzi, ponieważ *dowodami* stwierdzono aż po dzień 30-go marca ubytek 35,000 ludzi z ogólnej liczby 120,000 żołnierza.

Dnia 28-go lutego przyprowadzili ze sobą według urzędowego *Carton des Situations* paryżkiego

archiwum wojennego (Houssaye, str. 124, uw. 4): Marmont: 6,630, z czego 2,400 jazdy; Mortier: 4,364, z czego 1,822 jazdy. Z nim połączyło się 6,055 ludzi, z czego 1,026 jazdy w dniu 1-go marca. Obaj marszałkowie tedy posiadali niespełna 16,520 ludzi, z czego mniej więcej 5,250 jazdy. Mortier oddał cesarzowi Colberta i Defrance'a 1,800 jazdy, tak, iż pod Laonem rzekomo dowodził jeszcze tylko 6,000. Strata: 2,500. Marmont, który, nawiasowo mówiąc, wobec 300 artylerzystów połączonych i o wiele silniejszego korpusu Mortiera, samych artylerzystów liczył do 550, otrzymał dywizję Arrighy'ego, 4,000 ludzi. Stracił około 1,000 ludzi aż do spotkania pod Laonem, gdzie więc przyprowadził z sobą 4,500 żołnierza. W dniu 17-go marca pozostało mu z nich jeszcze 5,800 ludzi. Straty ogólne: niespełna 4,800 ludzi. Doliczymy do tego 1,000 ludzi, utraconych przez Mortiera pod Laonem, a otrzymamy okrągłą sumę 8,000 strat obu marszałków, co wynosi połowę ich korpusów.

Według historyków z obozu sprzymierzonych, Marmont pod Sezanne stał na czele 7,000 ludzi; plotką oni jednak jakieś mgliste frazesy o „konnicy Grouchy'ego,“ który przecież stał u boku Napoleona w Troyes. Następnie z pomocą znanej sztuczki dziejopisarskiej obliczają ci panowie 6,000 posiłków dwukrotnie; według nich już 26-go obaj mar-

szalkowie prowadzili ze sobą 16,000 ludzi, z którymi nad Therouanne rozpoczęli atak: Dodaje się im tedy 6,000 ludzi, *dzięki którym* mieli stanąć odrazu na czele 16,000, *zaraz na początku*, celem porachowania następnie tych ostatnich *jeszcze raz osobno*. Teraz można łatwo zrozumieć, dlaczego według Beitzke'go tudzież innych mieli oni w dniu 6 marca przed Soissons podobno 25,000, oraz dlaczego sam Marmont pod Athis rzekomo rozporządzał 16,000 żołnierzy!

Napoleon sam wyruszył w pole z 34,233 ludźmi (Houssaye, str. 127. Uwaga 2). Z tych w dniu 7 marca pozostało mu jeszcze około 27,000, włączając 900 Colberta, a zarazem 900 *Garde d'honneur* w Berry-au-Bac i 4,000 Arrighy'ego u Marmonta. W tym rachunku przecież Ney i Victor, którzy prowadzili 16,700, widnieją tylko z 13,000 żołnierza; brakujące 3,700 rzekomo pochłonęły bądź trudy wojenne, bądź załogi. Zgódźmy się tedy, że w dniu 9-ym Mortier dowodził tylko 6,000 żołnierza, a Marmont 9,500. W takim razie, odliczając straty 5,000 pod Craonne, będziemy mieli przed Laonem 37,500 francuzów, a więc ani nie 35,000 (jak chce tego Houssaye), ani „80,000,“ jak usiłuje tego dowieść kilku „sprzymierzonych“ historyków. W całości bowiem, nie odciągając strat, francuzi w dniu 1 marca zdołaliby zgromadzić najwyżej 51,000 ludzi. Od tego trzeba po

dzień 9-go marca odtracić 13,000 strat, po dzień 15-ty jeszcze dalsze 7,000, razem tedy 20,000. W tej liczbie mieszczą się jednak już owe 3,700, brakujących Napoleonowi, tudzież jeszcze 1,500 utraconych przez Mortiera (straty bowiem tego ostatniego muszą przecież co najwyżej równać się szczerbom Marmonta, czyli 1,000 ludzi, istotnie straconych w potyczkach nad Therouanne i pod Soissons), które poszły na marne bez bitwy. Z biegiem czasu przecież choć część owych 1,200, zrazu bądź-to powalona chorobami skutkiem trudów wojennych, bądź zużytkowana na załogi, beczynnje stojące, napowrót zjawiała się w szeregach.

Takie przypuszczenie zyskuje tem większą wiarogodność ze względu na fakt, iż Napoleon w dniu 17-go znowu przecież stał na czele 45,000, jakkolwiek otrzymał *tylko* 7,000 świeżych posiłków; francuzkie źródła bowiem nie zawierają ani jednej wzmianki o tych 9,000 gwardzistów narodowych, którymi miał cesarz w Rheims wypełnić szczerby, powyłamywane w szeregach; zresztą, rozpatrując się dokładniej w składzie i liczbie pojedynczych oddziałów, nigdzie nie natrafiamy na dowody tego rodzaju uzupełniania. Ponieważ Napoleon tedy na północy pod swemi sztandarami zgromadził wogóle tylko 58,000 ludzi, przeto wszystkie jego straty wyniosły zaledwie 13,000!! Wypływa z tego, że i owych 5,000 ludzi, które

mu brakują od chwili bitew pod Craonne i Laonem, bez bliższych dowodów, nie należy uważać za właściwe straty.

Wszystkie dywizye Mortiera, Ney'a i Victora, początkowo 24,000, w dniu 17-ym stopniały na 8,500 (Mortier), 4,500 załóg, 1,000 brygada Boyera-Rousseau, razem tedy 14,000 ludzi. Straty więc wynoszą 10,000; do tego padło 4,200 piechurów Marmonta i 800 jeźdźców Frianta oraz artylerzystów, gdzie zamiast 7,600 widzimy już tylko 6,800. Nadto trzeba straty jazdy Bordesoullé'a przyjąć w sumie 500 zabitych i rannych.

Reszta całej konnicy liczyła razem 8,780. Dnia 12-go połączyło się z nią 2,400 świeżych posiłków. Z owego zastępu oddano 2,480 koni Mortierowi, cesarz zabrał ze sobą 6,800: razem 9,280. Doliczywszy 1,800 koni Bordesoullé'a, dostaniemy 11,080 jazdy, podczas gdy kampanię rozpoczynano w całości z 10,800 koni. Dodając razem powyższe rachunki — 2,400 posiłków sumujemy z cyfrą ogólną — otrzymamy 2,120 zabitych i rannych — straty zatem okrągło wynosiły 2,000.

Takie ścisłe badanie doprowadza nas do odtworzenia możliwie największych strat francuzkich od 25 lutego do 17 marca: 17,500 ludzi.

Ta liczba, wyprowadzona z dokładnego porównania siły wszystkich oddziałów, już dla tego samego wywiera spory urok, iż obala wszelkie gada-

niny sprzymierzonych, jakoby właśnie tyle stracili francuzi *tylko pod Craonne i Laonem*. Owo porównywanie znowu uczy nas, jak często, a błędnie, historycy straty całej kampanii przypisują wyłącznie jednej lub dwom rozstrzygającym bitwom.

Co prawda, w każdym razie brakuje tutaj owych przeszło 4,000 maruderów, których nie można wliczyć ani między świeżo nadeszłe 7,000 posiłków ani do zreorganizowanej czterdziestopięcioletniej armii. Kto wie jednak, czy wcielone do szeregów posiłki nie liczyły jeszcze: trzech batalionów kadrowych generała Corbineau w Rheims, na nowo zgromadzonych po zwycięstwie Napoleona; również i Jansens mógł doskonale zamiast 3,000 (Houssaye mówi nawet o 2,900) przyprowadzić 4,000, jak to sam Napoleon opowiada, choć, nawiasem mówiąc, lubił on z zasady stale pomnażać siły zbieranych posiłków. Prócz tego uważamy za fakt całkowicie wiarogodny późniejsze zjawienie się w obozie przynajmniej połowy z owych 5,000 maruderów, co zresztą odnosi się również i do wielu zbiegów z korpusu Marmonta, ani niezabitych, ani niewziętych do niewoli. Znaczną część ich znajdziemy z pewnością później w ogniu, już-to przed Paryżem, już-to pod sztandarami marszałków. Beitzke bowiem na str. 358 podaje ich siły „po otrzymaniu posiłków tudzież strat nieznaczących“ w dniu 25 marca na 25,000 ludzi,

w tem 7,000 konnicy. To twierdzenie, tudzież inne, zwiększające zastępy marszałków w dniu 17 wogóle do 30—32,000 ludzi, zbadamy później dokładnie. Mijają się one z prawdą; kto wie przecież, czy marszałkowie na północy, choć *nie mogli* rozporządzać 25,000 wojowników *w otwartem polu*, nie mieli tych sił *łącznie z załogami, tudzież dzięki zbieraniu zbiegów, niedobitków i maruderów*.

W każdym razie od owej straty 17,500 ludzi należy odciągnąć jeszcze 3,000; czyli *połowę* zameldowanych maruderów; ci bowiem bezwątpienia zwolna powracali pod chorągwie. Skutkiem tego straty wyniosą okrągło 15,000 ludzi. Istotnie, trudno byłoby więcej strat naliczyć: najwyżej 5,000 pod Craonne, 2,800 pod Laonem po stronie cesarskiej, 3,200 pod Athis, 700 pod Rheims, 300 w innych pomniejszych potyczkach, przyczem 3,000 pozostaje na wszystkie straty obu marszałków po dzień 9-go marca, co jest liczbą stanowczo zbyt wysoką.

Jeżeli Ney (2,500) straciłby pięć ósmych, Mortier (3,500) siedm siedmnastych swego oddziału, to w takim razie trudno przypuszczać, aby Victor, który musiałby liczyć jeszcze 7,300 żołnierzy, miał stracić całe dwie piąte swojego o wiele liczniejszego korpusu, tylko pod Craonne stojącego w porządnym ogniu, podczas gdy Ney także pod Laonem, a Mortier nawet od 25-go lutego wciąż musiał spotykać się z wrogiem. Dlaczego

właśnie on miałby stracić 3,700 ludzi wskutek trudów wojennych, skoro przeciwnie młodzi rekruci Arrighy'ego przybyli w całkowitym komplecie?

Również i straty jazdy obliczono zbyt wysoko, ponieważ dragoni Roussela, którzy najbardziej walczyli, w dniu 17-yim marca stracili zaledwie 200 jeźdźców; konnica gwardyi zaledwie 400; gwardya przyboczna zaś, biorąca nader żywy udział w potyczce pod Rheims, jakieś 200—300, a Bordesouille podczas całej kampanii północnej zaledwie 600. Pozostaje tedy jeszcze 500—600 zabitych i rannych, których nie wiadomo, komu przypisać; być może przypadają one na dywizyę Boulnoira, o której istnieniu wcale się już potem więcej nie słyszy. Wszystkie te liczby przecież, prócz owej, odnoszącej się do Roussela, są zbyt wygórowane; najpewniejszym będzie przypuszczenie, iż część kawalerzystów, z powodu koni chorych, albo poprostu z przyczyny braku koni, spieszona, bądź wróciła do Paryża, bądź czekała na przysłanie nowych wierzchowców z komend uzupełniających.

Również i na 800, utraconych przez Frianta i Drouota, trudno się zgodzić, skoro w przebiegu wypadków możnaby znaleźć uzasadnienie strat o połowę mniejszych. Część artyleryi rezerwowej jednak musiano z pewnością oddać Marmontowi, jako zupełnie pozbawionemu i dział i kanonierów.

Wszystkie te nasze liczby wiarogodne niezbi-
cie jednak dowodzą: 1) *Wbrew wszelkim dotych-
czasowym twierdzeniom* kampania na północy za-
brała francuzom najwyżej 17,000 ludzi, acz my
przechylamy się tylko na rzecz 15,000, jako po-
party dokomentami; 2) posiłki, jak dowodzą do-
kumenty, wynosiły 7,000, co najwyżej można do-
dać do nich jakieś 2—3,000 (gwardya narodowa
Corbineau'a i 1,000 żołnierzy więcej u Jansens'a);
3) Blücher, według własnych zeznań, stracił 18,500;
liczbę tę przecież należy podwyższyć o 1,000 pod
Craonne, 1,500 pod Laonem, 1,000 pod Rheims, przy-
czem rozproszenie całego korpusu pod Rheims przed-
stawia osobną stratę 5,000 ludzi; 4) skutkiem tego,
jak już stwierdziliśmy na początku naszych badań,
armia szlążka (włączając straty z powodu trudów
wojennych) na północy uszczupliła się istotnie o ja-
kieś 28,000 żołnierzy.

Dzięki takim dowodom rzeczowym ukazuje
się w świetle właściwym cała gadanina, powtarza-
na z wielką powagą zwłaszcza przez mądrego Mar-
monta, jakoby Napoleon, zaślepiony gniewem, mar-
notrawił swe siły. To twierdzenie, oczywista, przy-
pada również do smaku i hrabiemu Yorkowi (*Napo-
leon jako wódz*, część II), który z góry chce dowieść
stopniowego zaniku i dobrowolnego samobójstwa
geniuszu napoleońskiego. Wszyscy dotychczasowi
krytycy przedstawiali Napoleona podczas owej kam-

panii jako człowieka, który w rozpaczy gniewnej bez rachuby błądzi to tu, to tam, rzucając się chwilami naprzód, celem złapania byka za rogi. Jakże w gruncie rzeczy inaczej wygląda prawda?

II.

Atak na Laon tworzy rozdział sam w sobie; dlatego też poświęciliśmy mu zupełnie oddzielny opis, podczas gdy do tej pory wszyscy historycy, całkowicie zapoznając powody, bitwę pod Laonem uważają za logiczne zakończenie operacyj napoleońskich. Błędne to mniemanie. Napoleon dążył jedynie do przyłapania Blüchera nad brzegiem Aisne'y, a skoro ów zamiar się nie udał, chciał z pomocą obejścia w kierunku wschodnim zmusić go do odwrotu na północ. Na bitwę pod Craonne zapatrywał się jako na odpór, dany przez straż tylną, celem zasłonięcia cofającej się armii. Posunięciem się na drodze z Soissons pragnął możliwie utrudnić odwrót Blüchera, z przed Laonu natomiast zamierzał wracać jaknajprędzej. Ów plan tak wyłączenie zajmował jego umysł, że wciąż marzył o zbożeniu ku Rheims; Marmont miał w razie, gdyby z Laonu już wyszedł nieprzyjaciół, w jednej chwili zawrócić do Rheims. Napoleon pozostał też dlate-

go wraz z główną armią spory kawał w tyle w Chavignon nad Lette. Jedyne jazda otrzymała rozkaz rzucenia się na przód i owładnięcia zniemacka Laonem. Dopiero w dniu 8-ym wieczorem niezwykle twardy opór tylnej straży Blüchera pod Chevy wznicił w nim postanowienie stoczenia z Blücherem znaczniejszej bitwy. Ów opór bowiem dowodził jasno, że Blücher jeszcze nie przeszedł z całą armią przez Laon; możnaby tedy z pomocą Marmonta, nadchodzącego drogą z Rheims, odciąć choć jeden korpus nieprzyjacielski. Dopiero wówczas rozpoczął Napoleon z zwykłą sobie energią układać atak ogólny, o którym poprzednio ani nie marzył nawet, sądząc, iż *skończył* swoje operacje nad Lette.

Pewnemu sobie kierownictwu mistrza odpowiadało zachowanie się przyzwyczajonych do zwycięstwa żołnierzy — dowód pośredni, że bitwę pod Craonne uważali oni za walne nad wrogiem zwycięstwo. Zdobyte i obrona wsi Clacy stanowiły arcydzieło strategiczne i taktyczne; ich następstwem były częściowe zwycięstwa w dniu następnym. Tylko wyborne rozporządzenia Bülowa tudzież odwaga jego wojsk nie dopuściły do zajęcia przez francuzów owego niezdożytego stanowiska. Niczem niezachwiana odwaga młodej gwardyi, która niezmordowanie wdrapywała się na skały, zasługuje na najwyższą pochwałę; nie można nawet

zaprzeczać, iż faktycznie 27,000 francuzów (z których w ogień naprawdę weszło 17,000) *pobiło* 37,000 żołnierzy Bülowa tudzież Winzingerodego z chwilą, gdy ci w dniu 10-ym przeszli z pozycyi odpornej do zaczepnej. Bülow musiał się cofać; Winzingerodego odrzucono w tył o kilkaset i więcej staj.

Atak wojsk Blüchera, co prawda, nie rozpoczął się ani równocześnie, ani zgodnie. Sprzymierzeni narzekali, że nie wykonano planu, obmyślanego rzekomo przez Müfflinga: według niego, należało w d. 10-ym z czterema pozostałemi korpusami rzucić się na Napoleona, podczas gdy równocześnie York i Kleist, upędzając się za Marmontem, zagrażaliby prawej flance cofającego się Napoleona. Naprawdę przecież skutek owego ruchu, ze względu na teren niedogodny tudzież liczne strumienie bagniste, byłby taki, że żaden korpus nie mógłby się przed Laonem należycie rozwinąć, tylko kolejno jeden po drugim zdołałyby zmierzyć się z francuzami. Okupionoby tedy odwrót Napoleona nadmiernie ciężkimi stratami. Marmont zaś już zdołałby *teraz* zręcznie nadstawić czoła pod Berry-aubac i żadną miarą nie pozwoliłby przerzucić się poza Aisne, co tylko zwiększyłoby straty sprzymierzonych. Wprost nierozsądnem atoli było rozporządzenie Gneisenau'a, wedle którego Sacken powinien był iść w tyle za Yorkiem, Bülow i Win-

zingerode zaś ścigać Napoleona, o którego odwrocie rankiem w dniu 10-go nikt a nikt nie wątpił; Langeron wreszcie miał iść w środku między obu częściami armii poprzez Bruyère. W ten sposób wojsko rozpadłoby się na dwie części, z czego — i wątpić nie należy — natychmiast skorzystałby Napoleon, by zawrócić się i zmiażdżyć ze szczętem część armii, idącą za nim na zachód.

Lecz z chwilą, gdy Napoleon sam zaczął atakować, Gneisenau zląkł się, i to zupełnie słusznie, że ostatecznie francuzi jeszcze zdobędą Laon, i dlatego też czemprowadził powołał korpusy z powrotem na ich dawne stanowiska. W zdumienie atoli wprawiają marzenia ambitnego Yorka, który, porywając się na zgnębienie stanowcze wielkiego imperatora, chciał poprzez bezdroża i pola dotrzeć do drogi z Soissons, by tam odciąć odwrót Napoleonowi. Zapomniał przy tej sposobności całkowicie, że z Festieux w kierunku południowo-zachodnim musiałby zrobić co najmniej 25 klm., Langeron zaś tak samo co najmniej 20 klm., i to po terenie jaknajgorszym, poprzez wąwozy, strumyki i samą Lette, — podczas gdy francuzi wygodną szosą nie potrzebowali zrobić więcej nad 15 klm. Skutków wielkich oba obejścia bynajmniejby nie wydały. Późnym dopiero wieczorem część wojsk zmierzyła-by się z rezerwami Napoleona, który, natychmiast sam zjawiwszy się na polu bitwy, potopiłby bez-

czelnych natrętów w nurtach Lette'y. Podobne plany są czystymi urojeniami, tak samo jak obejście Winzingerodego pod Craonne. Gdyby Napoleon od rana rozpoczął odwrót, nie doścignęłoby go zupełnie; również to samo stałoby się, skoro odwrót nastąpiłby w południe; jedynie w razie odwrotu pod wieczór zdołałby York, który i tak koło południa wyszedłby z Festieux, z częścią swych wojsk stanąć na szosie, gdzie znalazłby się w jaknajgorszem położeniu. Gdyby nadto już zapadła noc, musiałyby świętować całkowicie beczynnici. Jeszcze od biedy osiągnąłby powodzenie, puszczając się na tę wyprawę dopiero rankiem dnia następnego.

Napad niespodziewany pod Athis przypomina podobny napad pod Beaumont w 1870 r. I tu i tam niedbalstwo komendantów korpusu. Lecz także w tym wypadku Marmont na łamach pamiętników usiłuje osłonić swoje niesłychane niedbalstwo. Wszystko napróżno — fakty potępiają go dostatecznie. Przedewszystkiem stanął przed Athis o sześć godzin za późno, niabyto dlatego, że nie śmiał wśród mgły nieprzeniknionej zapuszczać się na dolinę. A przecież wśród tej samej mgły i na tej samej dolinie rozkłada się na spoczynek nocny, zamiast rozłożyć się obozem tuż przy wąwozie z Festieux. Na dobytek na przedzie zostawia biednych rekrutów paryzkiej dywizji rezerwowej Arrighy'ego, niemają-

cych wyobrażenia o służbie polowej, tuż przy nich wszystkie działa i sprzęty obozowe, a sam cofa się na tyły wojska, gdzie w wygodnym zameczku pragnie zasnąć, niby mąż sprawiedliwy. Że, wyrwany z owego snu wieścią straszliwą, nadludzkie niemal czyni wysiłki, by położyć kres zamieszaniu i wśród uciekających zaprowadzić jakikolwiek porządek, celem ustalenia prawidłowego odwrotu, każdy to pojmie, znając dobrze jego ogromne doświadczenie tudzież znakomitą odwagę osobistą. Jeżeli przecież zdobyłby się na hart moralny bronięcia Berry-au-Bac, w takim razie atak na Rheims, o czem pouczy rzut oka na kartę, przyniósłby jeszcze większe wyniki, bo wówczas nie uszedłby ani jeden żołnierz nieprzyjacielski, podczas gdy przeciwnie teraz droga z Rheims ku Berry stała otworem.

Na samą zresztą bitwę pod Laonem napad pod Athis zgoła nie oddziałał. Marmont i tak podwójnie licznych prusaków nie zdołałby pokonać; *rozstrzygnięcie* bitwy zależało od kolei wypadków, zachodzących tuż pod Laonem. Bez wielkiej straty niczego już tutaj nie możnaby zmienić; co prawda, gdyby Napoleon odgadł siły tudzież zamiary Blüchera, byłby najniezawodniej Marmonta ku sobie przyciągnął. Nadto wygodna, szeroka droga z Rheims powiększała dla nadchodzącego Marmon-ta niebezpieczeństwo; dwa razy bowiem liczniejszy

przeciwnik, zaopatrzony w masę jazdy, potrafiłby tam prędko rozwinąć się do bitwy. Powodzenie mógłby był Marmont osiągnąć jedynie dzięki pośpiechowi i należytemu wyzyskaniu mgły. Należało wówczas rzucić się na armaty, skręcając na lewo w tym kierunku, z kąd wiatr zachodni przynosił mu odgłosy strzałów armatnich cesarza. Sam tedy wykonałby rodzaj zamachu czy zasadzki pod zasłoną mgły. Lecz do takiego ruchu zabrakło mu obrotności. Nikt jednak nie zaprzecza, że w odpowiedniej porze poprowadzony atak Marmonta, przed południem zamiast po południu, i równocześnie z śmiałym szturmem Ney'a tudzież Mortiera, wywołałby straszny popłoch w rozdwojonej i niezgodnej kwaterze Blüchera. Czy przecież doszłoby aż do opuszczenia Laonu, pytanie więcej niż wątpliwe. Blücher bowiem *pragnął*, Napoleon przeciwnie *nie chciał* stoczyć walnej bitwy. Siły Napoleona zapewne oceniano jako daleko większe, anizeli były istotnie; za Marmontem, należało się obawiać, mógł postępować jeszcze drugi korpus. Takie okoliczności i obawy zdołały w Laonie wywołać wielkie zamieszanie. Pomógł atoli sprzymierzonym traf, iż Napoleon nabrał przekonania, że Blücher *chce* opuścić Laon, i dlatego też z uporczywością, właściwą tylko geniuszom i waryatom, całe spotkanie krwawe wielce sobie lekceważył. Gdyby był bowiem zaraz zrana pojawił się u boku Ney'a, wów-

czas, jak się nam zdaje, Clacy stanowczo wpadłoby w ręce francuzów, z kąd *wtedy* jeszcze można było obejść nieprzyjaciela zupełnie dogodnie. Następnie, jeżeliby i Marmont, przybywszy na czas, zamiast zapuszczać się na prawo ku Athis, przez co jeszcze bardziej oddalał się od cesarza, skrzył właśnie w lewo ku Bruyères, aby na wschód od Ardonu zaskoczyć wroga (Berthier przecież pisał mu, że powinien połączyć się z Mortierem)—w takim wypadku możnaby jeszcze na łeb pobić wroga. Niechby był Napoleon tylko *odrazu* pchnął dostateczną ilość wojsk, aby zastąpić już zmęczonych atakami; niechby był wypadł z rezerwami przed Clacy, aby przerwać stopniowe rozwijanie się wroga,—najniezawodniej zmiądzzyłby jeszcze niespojone wzajemnie oddziały nieprzyjacielskie u stóp góry, a jęczyczek u wagi przechyliłby się na niekorzyść sprzymierzonych. Jak długo francuzów wyłącznie *od czoła* prażyły kule działowe, góry zając nie było można; każde przecież niespodziewane obejście przyczyniłoby się do powtórzenia wyniku z pod Craonne. Niestety, cesarz wręcz utrzymywał przeciwnie, że to wszystko tworzy tylko potyczkę przedniej i tylnej straży — tak, nie do wiary, a przecież prawdziwe! — nawet jeszcze podczas odwrotu polecił Ney'owi o ile można najdłużej podsycać ogniska obozowe i bystro wypatrywać, czy nieprzyjaciel nie cofa się z Laonu!

Rzadko kiedy doznawał Napoleon tak przykrego uczucia, jak w chwili, gdy odebrał wiadomość o klęsce pod Athis. Przykrość owa nie wypływała bynajmniej z obawy niebezpieczeństwa, które względnie mu zagrażało, względnie tylko, gdyż dzięki bystrości wrodzonej natychmiast widział, jakich korzyści dostarczała mu opanowana przez niego droga ku Soissons. Sam atoli jego odwrót po nieskończonej jeszcze operacyi musiał nieprzyjaciela napęlić odwagą. Natychmiastowe przeto postanowienie rozpoczęcia silnego ataku należy wprost do najświetniejszych, najgenialniejszych planów w jego życiu. Dzięki niemu bowiem, jak trafnie z góry obliczył, oswobodził swego marszałka od wszelkiego pościgu i dał mu sposobność do zebrania sił. Wskutek tego zatrzymano w posiadaniu ważną drogę z Rheims i Berry-au-Bac, z kąd można było bądź zagrażać, bądź zasłaniać Rheims. (Ucieczka Marmonta, mimo wyraźny rozkaz, do Fismes należy do owych karygodnych przewinień, na które niema słów potępienia. Za okoliczność łagodzącą zdoła jedynie posłużyć względ, iż prędko wedle sił starał się on dostać pod opiekuńcze skrzydła „Bonapartego!“)

Fakt atoli, że Napoleon już po klęsce Marmon-ta, w chwili, gdy każdy inny wódz zacząłby odwrót, jeszcze raz zachwiał szeregi wrogów, tak zatrwożył tych ostatnich, że prócz głośnego samochwal-

stwa: „Napoleon pod Laonem poniósł straszną klęskę”—nie zdobyto się na żaden krok i beczynnie przez cały tydzień łażono po ukochanych nagle skałach!

Jakich nadto okrucieństw należało jeszcze spodziewać się po człowieku, który w dwa dni po rzekomym zgonie z upływu krwi znowu zerwał się na nogi, rozbił cały korpus i wyrzwał kilka tysięcy żołnierza? *Tak więc Napoleon osiągnął cel głównie zamierzony: Blüchera chwilowo ubezwładnił i uczynił nieszkodliwym.* Spełnił swój wielki plan, i to spełnił z żelazną stanowczością, a nie, jak błędnie sądzą, musiał od niego odstąpić. Spełnił go, choć przemądra krytyka wobec działalności tego geniusza kręciła nosem niby wobec karkołomnego skoku szaleńca!

Praca organizacyjna, następnie błyskawiczny rzut ku Rheims—oto przejawiał się w nim właśnie zawsze ten dawny, ten genialny Bonaparte! Po Aspern Lobau, Hanau po Lipsku.

Teraz zajmował stanowisko *korzystniejsze*, aniżeli poprzednio, na linii wewnętrznej *między* obu wojskami, panując nad drogą z Rheims ku Vitry tak, jak dawniej pod Arcis. Było to położenie *lepsze* pod względem strategicznym, aniżeli z końcem stycznia pod Chalons, gdzie w kierunku południowym obie armie były niemal połączone,—tudzież jak w połowie lutego, gdzie Blücher za

punkt środkowy swych operacyj mógł obrać Châlons.

Obecnie Blücher, ubezwładniony, stał w kacie z tamtej strony Aisne, nie mogąc niemal w żadnym kierunku przeprowadzić porządnego planu działania.

Drugi atak na Schwarzenberga.

Zdobycie Rheims'u musiało wywołać wrażenie niemałe. Blücher na wszystkie strony świata trąbił nieustannie o zmiążdzeniu całkowitem Napoleona; wtem nagle ów rzekomo zgubiony i zupełnie rozbity cesarz pojawia się na linii, łączącej obie armie sprzymierzonych, tudzież zniszczywszy cały korpus, zajmuje niesłychanie ważne stanowisko strategiczne. W obu głównych kwaterach sprzymierzonych zapanował popłoch. Od przeciwnika, który w przeciągu czterech dni stacza trzy bitwy, trzeba było wyczekiwać czynów jaknajśmielszych, przewyższających jeszcze dotychczasowe przejawy szalonej energii.

Co prawda, Napoleon wcale się nie łudził, jakoby jego położenie było znowu tak wielce świetnem. Wojsko topniało, niby śnieg na słońcu. Osiągnięte przecież korzyści podniosły znowu niesłychanie odwagę wojska; sangwiniczny tempera-

ment gallów żywił ponownie nadzieje jaknajświe-
tniejsze. Cesarz ze swej strony nie zapomniał o ulu-
bionych przez siebie proklamacyach, w których
własne zwycięstwa przedstawiał w świetnych bar-
wach i nakazywał wszędzie powoływać pod broń
gwardyę narodową, która miała ścigać szczątki po-
bitego nieprzyjaciela aż po Ren.

Głównem zadaniem teraz było przekształcenie
nadwątlonej armii.

Napoleon spełnił je z szybkością zadziwiającą,
równocześnie przyciągając ku sobie wszystkie za-
łogi z fortec nad Maas i Mozela. Komendant dru-
giej dywizyi liniowej, generał Jansens, miał utwo-
rzyć dywizyę z 6,000—8,000 ludzi. Przyprowa-
dził przecież z sobą poprzez Rethel-Mezières około
3,000 żołnierza.

Dywizyę Jansensa wcielono do śmiesznie ma-
łego korpusu Ney'a, który prócz brygady Rous-
seau'a (dawniej Boyera) i już wyżej wymienionych
posiłków miał jeszcze ósmy pułk huzarów, tudzież
gwardyę przyboczną generała Defrance'a, ogółem
około 6,000 ludzi, w tem 800 jazdy.

Śmiały generał jazdy Lefebvre-Desnouettes,
w 1808 r. wzięty do niewoli w potyczce jazdy
z konnicą gwardyi angielskiej podczas odwrotu
sira Johna Moores'a, później podstępem przywraca-
jący sobie wolność, następnie jeszcze, jak to już po
wiedzieliśmy, przed sześciu tygodniami pod Brienne

ciężko zraniony, teraz już zdrów, przyprowadził z Paryża silną kolumnę posiłkową; jako punkt zborny wskazano mu Champenoise: 4,500 ludzi, w tem 1,500 konnicy. Do tego: 7,000 gwardyi, 4,200 konnicy gwardyjskiej, dywizya Berckheima 1,800 ludzi. Siły więc, któremi można było rozporządzać, wynosiły około 23,000 ludzi, może nawet nieco więcej ¹⁾.

Prócz tego miał jeszcze cesarz w Rheims korpus Marmonta, 6,000 ludzi. Postanowił go przecież natychmiast połączyć z korpusem Mortiera, stojącym teraz nad Aisne w sile 11,000 ludzi. Trzy tysiące ludzi załogi zostawiono w Soissons ²⁾; 1,500 żołnierza postawiono w Rheims ³⁾. Z tym ostatnim połączył się w dniu 17-go marca siódmy pułk kawaleryi liniowej, który, nie zdążywszy połączyć się z dywizyą Berckheima, pozostał już razem z korpusem jazdy Belliarda. Ta armia, złożona z 22,000

¹⁾ Wprawdzie historycy sprzymierzonych dowodzą, że pośpiesznie nadbiegłe posiłki wzmocniły wojsko cesarza do wysokości 27,000 żołnierza. Ową różnicę przecież można wytłumaczyć spóźnieniem się brygady gwardyi Henriona, 3,000 ludzi którą porachowano podwójnie, choć należała do Lefebvre-Desnouettes'a.

²⁾ Pod dowództwem szefa batalionu Gérarda, który bronił się aż do zawarcia pokoju.

³⁾ Pod komendą naczelną Belliarda.

ludzi, powinna była czynić wstępy Blücherowi i w razie danym zastąpić Paryż.

Już w dniu 14-go marca, w ośm godzin po wejściu do Rheims, zastanawiał się cesarz bardzo głęboko, czy nie powinien, odwracając się od Blüchera, rzucić na flankę Schwarzenberga. Nadesłane przez Macdonalda raporty stwierdzały, że armia czeska zagraża już zblizka Paryżowi. Czy mógł on Macdonalda i Paryż zdać na łaskę losu? Co prawda, rozporządzał znowu 45,000 ludzi pomiędzy Aisne i Vesle, mógł tedy jeszcze raz pokusić się o odcięcie Blüchera poprzez Rethel od Niderlandów.

Pomagałoby mu w tem dziele ogólne powstanie całej ludności wiejskiej, stosownie do dekretu z Fismes, ogłoszonego w dniu 7 marca w *Monitorze*: „Nakazuje się wszystkim obywatelom chwycić za broń i bić we dzwony na trwogę z chwilą, gdy posłyszają huk naszych armat, przerywać mosty i wpadać na tyły nieprzyjaciela.“

Niedbały pościg od Laonu ze strony o wiele liczebnie silniejszego nieprzyjaciela oraz widoczne wahanie się i ociąganie naczelnego wodza nieprzyjacielskiego nakazywały wnioskować, iż w pruskiej kwaterze głównej nie wszystko konieczne jest w porządku należywym.

Dnia 14-go marca, co prawda, jak dowiedziało się teraz, jazda nieprzyjacielska, dotarłszy aż do

Berry-au-Bac, przedsięwzięła kilka śmiałych ataków (były to dwa pułki huzarów brandenburskich); Mortier znowu, zasłaniający Soissons, doniósł o bardzo żwawej utarczce nad Oise. Na tem atoli i skończyło się. Armia szlązka, widocznie niespodziewanem zajęciem Rheims'u strwożona, na wszystkich punktach zaprzestała pościgu i cofnęła się z powrotem na dawne stanowiska. Stojąc spokojnie pod Laonem, usiłowała żywić się z pomocą rabunku. Tego trudnego rekwirowania żywności i nieszczęśliwa okolica zbyt długo znosić nie mogła i sam nieprzyjaciel ostatecznie musiał źle na tem wyjść. Bądź-co-bądź, przecież tak odrazu Napoleon z siłami o połowę mniej licznymi nie zdołałby pokonać 100,000 żołnierza, wspartego przewybornem stanowiskiem. Postanowił zatem rzucić się na Schwarzenberga.

Natychmiast wydał rozkaz Colbertowi, by na czele ułanów i szwoleżerów gwardyi posunął się ku Epinay; Ney miał z korpusem ruszyć ku Chalons; obydwaj powinni byli wojsku torować przejście swobodne i zasłaniać lewą flankę. Równocześnie listownie polecił gubernatorom twierdz lotaryńskich, Durutte'owi, Morand'owi i Merle'mu, by wypadli w otwarte pole i usiłowali się z nim połączyć. Dnia 15-go rankiem wytłumaczył następnie swój plan Marmontowi. Chciał pobić austryaków, przyciągnąć ku sobie wszystkie załogi i manewrować

na tyłach sprzymierzonych, podczas gdy Marmont powinien był bronić stolicy. Ten przecież nie okazywał ku temu najmniejszej chęci i odradzał, mniemał nawet, iż tylko sam cesarz osobiście zdoła pobudzić Paryż do jaknajwyższego oporu. Właśnie przeciwnie on, Marmont, pragnie zamiast cesarza dowodzić w Lotaryngii. Cesarz zapewne uśmiechał się skrycie, widząc ową zarozumiałość marszałka, który wmawiał w siebie, że owe rozstrzygające ruchy szachowe mogłyby wyrzucić pożądany skutek, gdyby je wykonała czyja inna ręka, aniżeli wielkiego mistrza wojny.

O tej porze nadbiegły wieści od Ney'a. Ten ostatni w dniu 15 marca niemal bez bitwy zajął Chalons, gdzie zdobył znaczne magazyny nieprzyjacielskie. Mieszkańcy przyjęli go z zapalem i iluminowali wieczorem domy. Na prośbę Berthiera, by wydał proklamację do lotaryngczyków i alzateczyków (zapewne dlatego, że Ney sam pochodził z Lotaryngii), ofiarował się teraz Ney, przynajmniej półsłówkami (bynajmniej nie tak wprost i otwarcie, jak to Beitzke utrzymuje na str. 295), samodzielnie rozpocząć kampanię w Wogezach i przygotować powstanie chłopów.

Takie przecież rozdrobnienie sił okazałoby się zgubnem. Bądź-co-bądź, dowodzi to jednak, iż każdą myśl Napoleona jego podkomendni przyjmowali ochoczo.

Dnia 16-go pisał także Mortier do Berthiera, że Blücher stoi zupełnie spokojnie pod Laonem i ogłasza proklamacye, usiłujące odstraszyć mieszkańców od wzięcia udziału w zgubnem dla niego powstaniu. Na razie tedy nie należało z jego strony obawiać się żadnego napadu.

Obecnie trzeba było zastanowić się nad sposobami zaatakowania Schwarzenberga. Cesarz rozważał długo i głęboko, podczas gdy wojsko pod Rheims reorganizowało się i odpoczywało. Czyż tem zwlekaniem nie marnował czasu drogocennego? Kto wie jednak, czy tego rodzaju ociąganie się nie było lepszem, aniżeli wszelkie ruchy, przedsiębrane na ślepo. Wypadało również zapewnić się o bezczynności Blüchera. Dywizyę jazdy Berckheima posłano z Fismes do Fère Champenoise, korpus Ney'a ku Arcis nad Aube. Nowe polecenia otrzymali Marmont i Mortier. Pierwszego obowiązki zasadzały się na właściwem kierownictwie obu połączonych korpusów, ponieważ „cesarz—jak pisał Berthier—ufa Pańskim zdolnościom;“ nominalnie naczelne dowództwo dzierżył Mortier, jako starszy co do lat służby.

Tak minął dzień 16-go marca; pod wieczór Napoleon powziął ostateczne postanowienie. Mógł śmiało pomaszerować ku Meaux, połączyć się z Macdonaldem i wydać stanowczą bitwę na całym froncie armii. To był krok najpewniejszy. Łącze-

nie bowiem oddziałów odosobnionych stanowi zawsze czynność niemal największego znaczenia. Atak natomiast od czoła prawie nigdy nie przynosi wyników pożądaných. Czy raczej nie lepiej byłoby dla niego odrazu ze swoją garścią ludzi pomaszerować ku Arcis poprzez Troyes, aby zaatakować Schwarzenberga bądź-to z boku, bądź-to na tyłach? Ten ruch jednak mógł wywołać pewne niebezpieczeństwo. Macdonald nie zdążyłby na czas przybyć na pole bitwy. Czyż atoli atak z boku nie przynosi zawsze korzyści; czyż zresztą nie zaskoczy się prawdopodobnie armii czeskiej, zmieszanej i podzielonej na korpusy, jak poprzednio w lutym Blüchera? Z 23,000 ludzi rzucić się na 100,000—jest to, co prawda, śmiałością nielada, lecz atak z boku—to zawsze atak z boku, a Napoleon, Napoleonem będąc, sam zdoła zastąpić 100,000 żołnierza. Zamiar najśmielszy najlepsze zawsze przynosi owoce. A zatem na przód, na Arcis-sur-Aube!

Dnia 17-go marca porzucił cesarz francuzów starodawny gród koronacyjny królów. Równocześnie posłał rozkaz Macdonaldowi, aby bronił każdej piędzi ziemi i w miarę następstw zaczepnego marszu cesarza, o czem go równocześnie zawiadamiano, sam rozpoczął atak.

Miasto Epernay, słynne ze swego szampana, przyjęło cesarza z takim zapalem, jak gdyby powracał z pod Austerlitz i Jeny; tam również połą-

czył się z Colbertem. Dzielni mieszkańcy, rozczuleni i szczerzy, otworzyli wojsku bogate piwnice, win pełne, które poprzednio zacięcie bronili przed chciwością nieprzyjaciela. Napoleon przenocował tam, poczem dnia 18-go na czele gwardyi wyruszył do Fère Champenoise, podczas gdy Ney, postępując równolegle z cesarzem, doszedł do Sommesous. Konnica gwardyi natrafiła pod Herbisse tudzież w kierunku na Arcis na ułanów nieprzyjacielskich, których odrzuciła aż po brzeg Aube'y. Ney biwakował pod Mailly, cesarz pod Fère Champenoise, gdzie już zastał dywizyę Berckheima. Tam dowiedział się o przerwaniu czy rozejściu się rychłem kongresu w Chatillon. Co mu zależało na nim w chwili obecnej, kiedy uśmiech losu stanowczo mógł się ku niemu zwrócić!

Jeszcze zdoła on, wszechpotężny, wstrząsnąć posadami ziemi!

Należało spodziewać się, że wieść o jego szybkim pochodzie poza nieprzyjacielską linię operacyjną wywoła w szeregach wroga zamieszanie niesłychane. Stosownie do zapewnień Macdonalda, sądził, iż armia czeska stoi między Villenoxe, Nogent i Provins. Postanowił przeto pod Arcis przeprawić się przez Aube, by ztamtąd zaskoczyć tył wojsk nieprzyjacielskich. Lecz o godzinie 4-ej w Champenoise dowiedział się, że nieprzyjaciel, uprzedzony o jego nadejściu, zacząwszy odwrót,

ściąga siły swe przeważnie pod Arcis i Plancy. Szybko zdecydowany, pchnął teraz gwardyę na Boulages, aby tam przejść Aube, a ztamtąd Sekwanę pod Méry. Dzięki takiemu ruchowi, obchodził z północno-zachodniej strony stanowisko pod Arcis i spodziewał się zaskoczyć jeszcze tylną straż nieprzyjacielską podczas odwrotu na Troyes. W każdym razie miał sposobność przez to natychmiast połączyć się z Macdonaldem. Jeszcze w nocy odeszło dla Ney'a polecenie ruszenia na Plancy (pomiędzy Boulages i Arcy); Macdonald zaś powinien był maszerować na Bray i Villenoxe.

Rankiem dnia 19-go wszyscy puścili się w drogę i wnet stanęli u celu. Sebastiani, prowadząc ze sobą jazdę gwardyi, przyparł nieprzyjacielską konnicę nieregularną Kaisarowa aż do brzegu Aube'y, poczem naprawił zniesiony most pod Plancy. Następnie przeprawiwszy się przez rzekę, ruszył na przód brzegiem lewym. Jazdę nieregularną wroga dogonił, poturbował srodze i zaprzestał pościgu dopiero na połowie drogi do Arcis. Dziwiono się wprawdzie, że cofała się ona w tym kierunku, zamiast ku Troyes, ale nie przykładano do tego żadnego znaczenia.

Tymczasem cesarz na czele jeźdźców Letorta tudzież brygady Curély'ego, stanąwszy o godzinie 5-ej w Plancy, galopem przebiegł wązki pas ziemi, dzielący Aube i Sekwanę, celem przyłapania nie-

przyjaciela jeszcze pod Méry. Istotnie natrafił tam na tylną straż korpusu wirtemberskiego, idącego z Nogent ku Troyes. Po gwałtownym oporze przełamano ją i otworzono sobie przejście; wirtemberczyków przepędzono przez most na Sekwanie, jakkolwiek oni sami do połowy go zniszczyli, i ścigano zacięcie na drodze ku Troyes. Jak to już zrobiono pod Plancy, konnica francuzka częściowo wpływ przebyła rzekę, dopadła brzegu południowego i ztamtąd posuwała się na przód. Wzięła jeńców i zdobyła pontony, należące do korpusu Rajewsky'ego (poprzednio Wittgensteina), który z Pont usiłował przedostać się ku Troyes. Równocześnie jednak przekonał się cesarz—czego, szybko idąc na przód, i przeczuć nawet nie mógł,— że już nie zdoła w przyszłości wpaść pomiędzy porozdzielane kolumny Schwarzenberga, oraz kolejno je porozbijać. Pesymista Macdonald wprowadził go w błąd: nieprzyjaciel jeszcze nie znajdował się tak blisko Paryża na północnym brzegu Sekwany. Nawet już tylna straż Schwarzenberga przesunęła się wzdłuż frontu Napoleona.

To odkrycie przecież, niezbyt miłe, boć rozmachano się w próżni, mogło pociągnąć niezłe następstwa. Bądź-co-bądź przecież, Schwarzenberg na łeb na szyję cofał się już-to w kierunku Brienne, już-to w kierunku Bar-sur-Aube—a właśnie przede wszystkim na odwrocie podobnym zależało Napo-

leonowi. Obejście dalsze na wschód, jakkolwiek umożliwiłoby zaskoczenie garści wroga, z drugiej strony zmusiłoby znowu Napoleona do zbytniego oddalenia się od Macdonalda, który był sobie jego mościem porządnym, wiarogodnym, zasługującym na zaufanie, lecz doprawdy zbyt powolnym.

Obecnie już nadbiegli od niego z Plancy gońcy z zawiadomieniem, iż o godzinie piątej po południu marszałek połączył się z cesarzem. Stał pod Villenoxe, podczas gdy nieprzyjaciel bezładnie się cofał. O tem samem o godzinie 7-ej wieczorem doniósł z Chartres jakiś pułkownik strzelców. Dostano także list z Troyes, pisany rankiem dnia 19-go: Popłoch tam wśród wroga straszliwy; kwatera główna cofa się.

Choć tedy odwrót pośpieszny zniweczył możliwość niespodziewanego napadu, to przecież zawsze cel osiągnięto: Paryż oswobodzony, Schwarzenberga i Blüchera dzieli jeszcze większa przestrzeń, aniżeli do tej pory. Teraz korzystając z owego zamieszania wśród szeregów Schwarzenberga, Napoleon, połączywszy się z 30,000 żołnierzy Macdonalda, rzuci się do Lotaryngii, tam przyciągnie ku sobie załogi forteczne — 20,000 ludzi, — wywoła w kraju ogólny ruch i przetnie na tyłach sprzymierzonych wszelkie komunikacye. Celem wykonania owego planu odcięcia w całej jego okazałości, trze-

ba jeszcze przywołać także Marmonta i Mortiera; Napoleon zatem stanie na czele 90,000 żołnierzy.

Cesarz noc z 19-go na 20-ty przepędził w Plancy, gdzie skupił całe wojsko; jedynie jazda Berckheima i Letorta została w Méry. Rankiem dnia następnego wysłano do obu marszałków na północy rozkaz, by wyruszywszy drogą poprzez Vitry ku Chalons, usiłowali się z nim połączyć; Macdonald znowu tudzież Oudinot bez straty czasu powinni byli podążać ku Aube.

Wprawdzie można było ścigać nieprzyjaciela w kierunku na Troyes; ów ruch atoli nie przyniósłby korzyści; nieprzyjaciel, już przestrzeżony, czuwał, a godzina, kiedy to z korzyścią dałoby się napaść na jego podwójnie liczniejsze szeregi, bezpowrotnie minęła. Teraz więc należy myśleć jedynie o wykonaniu wielkiego planu uwijania się na tyłach wroga!

Vitry — oto miejscowość, na której zajęciu przedewszystkiem powinno zależeć. Tamtędy prowadzi droga do Metz. Najpewniejszym ruchem będzie zwrot na północo-wschód, a następnie marsz na Vitry w półkole znowu poprzez Champe-noise.

Podobny manewr przecież z początku będzie wyglądał na odwrót, co może ośmielić nieprzyjaciela i nakłonić go do ponownego posuwania się na przód, dzięki czemu znalazłby drogę do Paryża

stojącą otworem. Mądrzejszym tedy będzie krokiem posuwać się wzdłuż Aube i dojść do Arcis, gdzie stoi tylna straż bawarczyków. Wywiąże się z tego potyczka, która zabierze nieco czasu, Schwarzenberg atoli, mniemając, iż główny napór francuzów skieruje się na Troyes, będzie tam nieruchomie wyczekiwał dalszego rozwoju wypadków. Tymczasem zaś, gdy on będzie marudził, Napoleon rzuci się śmiało do Lotaryngii.

Rozkaz tedy dla generałów gwardyi, aby nawprost Arcis zgromadzili się na prawym brzegu Aube'y i byli gotowi, bądź-to po południu, bądź-to nocą pomaszerować wprost na Vitry. Rozkaz dla Macdonalda, by również tam skierował swe wojska, nie narażając ich przecież na zbytne zmęczenie. Podczas gdy te części armii będą się posuwały wzdłuż brzegu północnego, inne, stojące na południu od Aube'y, pozostawszy na brzegu północnym, ruszą wzdłuż tego ostatniego: Ney, Sebastiani i jazda pod Méry, od strony Sekwany, wszystko ku Arcis-sur-Aube.

Taki marsz podwójny ułatwi, oczywista, szybkie poruszanie się na przód.

Rozkaz dla Ney'a i Sebastiani'ego, aby ustawili się na *lewym* brzegu Aube'y przed Arcis, celem przeprowadzenia się z kolei na prawy, skoro tylko połączy się tam cała gwardya. O godzinie 11-ej nadchodzi list Mortiera (pisany dnia 19-go o go-

dzinie 5-ej po południu) z wiadomością o przekroczeniu przez Blüchera Aisne'y. Teraz więc wręcz i natychmiast Marmont otrzymuje rozkaz: natychmiast ruszyć na Chalons-Vitry, celem zgromadzenia wszystkich sił w jednych rękach. Drogę do Paryża pozostawiono nieprzyjacielowi otworem; niech nawet stolica pada, byle tylko kampanię rozstrzygnąć stanowczo na swoją korzyść za jednym zamachem; Napoleon żywi przekonanie niepodzielne, że zdziała to z pomocą owego planu wspianiałego; kto wie, czy nawet jeden najeźdnik zdoła z powrotem ujść za Ren. Zresztą Blücher odrazu również na Paryż się nie rzuci, lecz przedewszystkiem będzie usiłował połączyć się z Schwarzenbergiem. Obie armie nieprzyjacielskie w okolicy spustoszonej, mając na tyłach Napoleona z 90,000 żołnierzy, oraz powstanie ludowe, odcięte od wszelkich zapasów, zginą bezwątpienia marnie.

Cesarz dosiadł konia: tymczasem gwardya ruszyła z powrotem na brzeg prawy, a ztamtąd wzdłuż rzeki z Plancy ku Arcis; tuż przed cesarzem rozpoczął pochód Ney, a Sebastiani o godzinie 9½ rano zwinął obóz. Nieprzyjacielską jazdę nieregularną oraz bawarczyków z łątwością spędzono z bagnistych brzegów strumyka Barbuisse, który pod Arcis z południowej strony wpada do Aube'y. Ułani francuzcy, nie napotkawszy oporu najmniejszego, weszli do Arcis, zkąd bawarczycy Wredego z po-

śpiechem się cofnęli. Była to zapewne godzina jedenasta przed południem. Nieco później przybył również i punktualny marszałek Ney na czele swego korpusu; na brzegu prawym zaś ukazała się gwardya przyboczna Defrance'a, oraz brygada kirasyerów Mourieza z dywizyi Berekheima, już raniem przywołana napowrót z Méry do Plancy.

Ruchy konnicy nieprzyjacielskiej pod Arcis nie napełniały Sebastiani'ego obawą; według niego, było to tylko zasłanianie odwrotu. Wysłał nawet depeszę do Berthiera: „trzy do czterech tysięcy koni, dostrzeżone zdaleka, cofają się ku Brienne.“ Szosą na Troyes posłał przed sobą kilka podjazdów. Marszałek Ney, gdy czoło jego kolumn nadeszło, natychmiast nakazał przeprawę na prawy brzeg Aube'y. Artylerya miała pozostać na miejscu i, zasłonięta drugim pułkiem lekkim, czekać na batalion tylnej straży. Wtedy drugi pułk lekki powinien był przejść rzekę, a dopiero za nim artylerya, strzeżona przez ów batalion.

Zaraz po dwunastej w południe Napoleon z jednym tylko szwadronem przybocznym wzdłuż lewego brzegu podążył ku Arcis.

W tymże czasie Ney otrzymał dziwnie niepokojące wiadomości. Z przeróżnych stron nadbiegli wieśniacy, donosząc o zbliżaniu się mas nieprzyjacielskich. Podczas gdy Defrance myszkował na prawym brzegu w kierunku Chalons i Vitry, jego we-

dety powróciły z drogi ku Brienne do Sebastiani'ego: nie dostrzegły nigdzie nie podejrzanego. Mimo to Ney zaniepokoił się, odwołał rozkazy poprzednie i ustawił swój korpus w szyku bojowym po obu stronach drogi, na przedzie jazdę Sebastiani'ego. Następnie rozciągnął front na wschód o dwa kilometry, aż ku wsi Grand-Torcy, z kąd możnaby było obejść francuzów: Jansens stanął sam w pierwszym szeregu, reszta jako rezerwa między Torcy i Arcis. Most pod Arcis wnet naprawiono; każdej chwili łatwo było przejść na brzeg prawy; w każdym razie przecież postanowiono zatrzymać się na lewym brzegu aż do przybycia naczelnego wodza. Ten ostatni pojawił się tamże o godzinie pierwszej; dziwiono się jego nieopatrności; niezbyt trudno bowiem przyszłoby go pochwycić kręcącej się to tu, to tam nieprzyjacielskiej konnicy nieregularnej. Opowiadania chłopów, o których mu natychmiast zaraportowano, uważał za przywidzenia. Bądź-co-bądź atoli, posłał adjutanta ze szwadronem, celem wymacania prawdy.

Ney'a i Sebastiani'ego zaraz przywoławszy ku sobie, zastanowił się zwięźle nad położeniem rzeczy. Czyżby istotnie nawprost francuzów nie stała straż tylna, lecz sam Schwarzenberg, przygotowujący kroki zaczepne? To zgoła niepodobne ze względu na jego lękliwość! Lecz gdyby nawet i tak się stało, bezwątpienia francuzi mają jeszcze

dosyć czasu do natychmiastowego przejścia na brzeg północny i zniszczenia mostu. Za kilka godzin przybędą napewno wszystkie wojska cesarskie, a nadto z armii Macdonalda korpusy jazdy Milhaua i St. Germaina, następnie korpus Oudinota. Wówczas z przeciwnego brzegu będzie można śmiać się wesoło z wszelkich wysiłków armii sprzymierzonych. Napoleon atoli wciąż jeszcze uporczywie sądził, że Schwarzenberg z pomocą owej konnicy pragnie wyłącznie zasłonić odwrót. Utwierdzono go niebawem w owym mniemaniu. Młody adjutant bowiem, powróciwszy, zaświadczył, iż dostrzegł tylko kilka pułków nieprzyjacielskiej jazdy nieregularnej.

Ponieważ zgadzało się to z poglądami Napoleona, zawierzył całkowicie raportowi, przeciwne zdanie Sebastiani'ego odrzucił, i to dosyć gwałtownie, poczem rozkazał mu ani na krok nie ruszać się z miejsca. Sam zaś pojechał do Torey obejrzeć stanowisko piechoty Ney'a.

Uważał przedewszystkiem za środek najwłaściwszy wytrwać na raz już zajętej pozycji. Jeżeli bowiem nieprzyjaciel istotnie nadszedł, i to tłumnie, wówczas przeprawa — każdy przyzna — po straceniu napróżno dwu godzin, stała się wręcz niemożliwą bez znacznych strat. Odwrót nadto ośmieliłby nieprzyjaciela i zniesławił pochód ku Vitry. Wydanoby zresztą na łup wrogowi konnicę,

jeszcze stojącą pod Méry; w żaden sposób nie zdołałaby ona wówczas dotrzeć do Planey.

Sebastiani zamilkł, skoro cesarz więcej ufał raportowi adjutanta, niż jego zdaniu, ustawicznie jednak żywił pogląd, iż wszystkie okoliczności wskazują na zbliżający się atak głównej armii nieprzyjacielskiej. Celem przekonania się, czy podjazd przypadkiem nie przepatrzył okolicy zbyt powierzchownie i nie omylił się skutkiem fałstego terenu, który mógł zakryć wygodnie całe masy nadchodzącego wroga, ruszył sam drogą na czele dwu szwadronów. Zaledwie dojechał do stoków małej wyżyny, rozciągającej się przed Arcis, gdy nagle na odległość strzału armatniego dostrzegł tłumy niezliczone jazdy nieprzyjacielskiej, przeważnie austriackiej. Puściwszy koniom cugle, popędził generał, jak szalony, z powrotem ku Arcis, celem zebrania swych żołnierzy. Ci ostatni stali w dwu rzędach: w pierwszym dywizya Colberta, dywizya Exelmansa w drugim. Że najlepszym sposobem obrony jest atak, o tem i nie trzeba było nawet mówić tak doświadczonemu kawalerzyscie. Stanąwszy tedy na czele wojska, natychmiast rzucił się na przód, aby nieprzyjaciela zaskoczyć, zanim zdoła ustawić się we front i rozwinąć. Ów atak przecież zaraz odparły liczne konne baterye nieprzyjacielskie, które, posuwając się na przód, siały w szeregach francuzkich śmierć; równocze-

śnie jazda nieregularna Kaisarowa rzuciła się na bok francuzów, podczas gdy od czoła doskoczyło 56 szwadronów austriackich Frimonta. Strwożona jazda gwardyi zachwiała się zrazu, następnie uciekła, porywając za sobą drugą linię. W zamieszaniu szalonem wszystko leci z powrotem do Arcis, mając na karku nieprzyjaciela. Trudno o gorszy początek bitwy.

Napoleon w Torcy usłyszał strzały armatnie. Otoczony kilku oficerami oraz oddziałem gidów, galopem pędzi do Arcis. Tam odrazu wpada w sam środek wiru uciekającej jazdy. Nawpół zduszony naporem owych żywych fal, z szpadą w ręku dostaje się szczęśliwie do środka pułku nadwiślańskiego, który obsadziwszy Arcis, z bagnetem w ręku dzielnie odiera huzarów nieprzyjacielskich. Ci odskakują w tył; droga jest znowu otwarta; cesarz, jak błyskawica, dopada do mostu nad Aube. Tam zawraca i staje nawprost uciekających.

— Kto chce przede mną dostać się na most?

Zbiegowie, pod wpływem wzroku cesarza, wstrzymani jego głosem potężnym, przystają. Korzysta on z owego wstydu, zbiera ich pospołu i na nowo prowadzi przeciwko nieprzyjacielowi. Stara gwardya już lada godzina przybędzie. Czy jednak 2,600 jeźdźców Sebastiani'ego zdołają powstrzymać 6,000 jazdy Kaisarowa i Frimonta, których artylerya na dobitek otwiera coraz to żywszy ogień?

Cesarz musi pozwalać, aby go spędzono niemal w samą rzekę.

Piechota Ney'a nie zdołała nic a nic pomódz, sama bowiem prowadzi bój zacięty. Ponieważ 800 jeźdźców (Defrance) zabrano Ney'owi, a nadto pułk nadwiślański walczył w Arcis, przeto nieustraszony marszałek rozporządzał pod Torcy najwyżej 4,500 ludźmi. Korpus Wredego, 34,000 ludzi, po ociąganiu przydługim rzucił się na ową wieś, nie rozwijając, jak to się zwykle działo, według nieudolnej metody wojsk sprzymierzonych, od razu sił należytych. Zaledwie jedną brygadę austriacką Volkmana, która już odznaczyła się pod Hanau i gdzieindziej, przeznaczono do szturm; co prawda, wspierał ją straszliwy ogień 72 dział. Spełniła ona polecenie jej zadanie z dzielnością niesłychaną i nie tylko wyparła ze wsi dywizję Jansensa, lecz nawet posunęła się o sporą przestrzeń na przód ku Arcis.

Marszałek Ney atoli nie mógł pozwolić na to, ponieważ wieś leżała od miasta najwyżej o jakie 2,000 kroków; zresztą strata takiej węzłowej miejscowości mogła w następstwie spowodować obejście, a nawet odcięcie od mostu. Nieprzyzwyczajony zresztą do oddawania z taką łatwością jakiegokolwiek stanowiska, porywa bohater za sobą brygadę Rousseau'a (dawniej Boyera, weterani hiszpańscy), zdobywa z bagnetem w ręku wieś

napowrót i odrzuca austryaków aż do Petit-Torey. Lecz teraz kolumny Wredego groźnie się powiększają; dywizya Rechberga zbliża się; dzięki przewadze co do liczby dział wyłamuje szczyby olbrzymie w szczupłych szeregach francuzkich. Już trzy godziny ciągnie się bój zacięty; zaden z przeciwników nie zdołał posunąć się na przód; dzielni żołnierze Ney'a napróżno ścierali się z wytrwałymi austryakami, którzy tutaj już 8,000 ludzi (dywizya Hardegga i Spleny'ego) kolejno wysunęli na linię bojową, jakkolwiek całą walkę głównie podtrzymywała brygada Volkmana. Było już po piątej po południu. Wówczas feldmarszałek Wrede ¹⁾ pchnął na przód również i swoich bawarów. Brygada Karola von Baiern (dywizya Rechberga) i brygada Habermanna (dywizya Lamotte'a) poszły na przód, celem przechylenia zwycięstwa stanowczo na stronę sprzymierzonych. Lecz właśnie teraz otrzymał Ney posiłki w postaci trzech batalionów w pełnym komplecie, i to jakich jeszcze batalionów! Dwa z nich tworzyli *zandarmi*, jeden *grenadyerzy* z dywizyi Frianta, słynnej na świat cały.

Księżę Moskwy nebrał otuchy; szturmcy bawarów, bez przestanku ponawiane i zdwajane, spelzły

¹⁾ Ów zaszczyt niesłychany spadł na niego za bitwę pod La Rothière, gdzie, prawdę mówiąc, niczem osobiwem się nie odznaczył.

na niczem. Dwukrotnie sadowili się oni w pierwszych domach wsi i dwukrotnie ich ztamtąd wyparto. Bawarski generał brygady Habermann pada na czele atakujących żołnierzy. Przeciwnik traci znowu generała dywizyi Jansens'a, którego niemal konającego unoszą z pola bitwy. Jego komendę obejmuje generał dywizyi Lefol.

Ostatecznie o godzinie 8-ej wieczorem postanowił wódz nieprzyjacielski przywołać rezerwy; istotnie niebawem poprzez mrok dojrzano nadciągające spore tłumy piechoty nieprzyjacielskiej (około 4,500 żołnierzy gwardyi). Lecz atak wnet ustał z powodu zapadającego zmierzchu ¹⁾. Tylko kanonada jeszcze szalała przez czas dłuższy. W samej wsi Torcy, palącej się żywo, toczyła się walka zacięta aż do północy, przy świetle płomieni i wybuchających granatów; to ci, to owi brali naprzemianny szturmem jedną albo drugą chałupę. Wreszcie bitwa zaczęła milknąć. Sprzymierzeni wszędzie popowracali na stanowiska, zajmowane przed bitwą.

¹⁾ Uważamy za rzecz pewną, że gwardya już nie atakowała zupełnie ostro, mimo wręcz przeciwne zapewnienia francuzów. Podobnie przecieź za bajkę, wymyśloną gwoli obniżeniu dzielności francuzów, uważamy twierdzenie sprzymierzeńców, jakoby brygada Volkmana *sama jedna* walczyła z francuzami.

Przez sześć godzin bronił się Ney niewzruszenie na czele garści ludzi. Straciwszy co prawda sam 1,100 żołnierza w zabitych i rannych, wybił połączonym austryakom i bawarom 2,000 ludzi.

Podczas tego bitwa na prawem skrzydle skończyła się także dopiero nocą późną. W chwili największego tam niebezpieczeństwa dla francuzów w samą porę przybyła na plac boju stara gwardya. Czapki niedźwiedzie zjawily się na czas. Zaledwie mignęli na przeciwnym brzegu Aube'y, już zaraz przebiegli most i miasto, gdzie biegiem do ataku poprzez główną ulicę defilowali przed cesarzem.

Pas de charge!

Batalion za batalionem, pchają się strzelcy, grenadyerzy, żandarmi przez most, przez miasto, na pole odkryte, kędy człowieczek w szarym surducie na białym rumaku prowadzi ich w ogień najstraszliwszy. Sam cesarz osobiście ustawia swych weteranów w szyku bojowym. I gdy on niezmordowanie wskazuje każdemu oddziałowi jego stanowisko, nagle pęka granat przed frontem jakiejś kompanii; ta cofa się w popłochu. Wybraniec losu znika wśród kurzu i dymu; pada na ziemię; wszyscy, przerażeni i oniemieli, uważają go za straconego. On atoli powstaje, niedrażnięty na-

wet, wskakuje na nowego konia i znowu wydaje rozkazy ¹⁾).

Jego zachowanie się potężne przywraca strwożonym przytomność, spokojnych zaś napawa otuchą niemałą. Niezliczone szwadrony sprzymierzonych, uwijające się pod Arcis, łamią się o granitowe czworoboki „czapek niedźwiedzich.“ Gdzie poprzednio rozlegały się krzyki: „*Sauve, qui peut!*“ — teraz zewsząd brzmi tylko odzew wszechpotężny: „*Vive l'Empereur!*“ Rezerwa artylerji gwardyjskiej pod wodzą Drouota i Sorbiera przybywa pośpiesznie i zieje straszliwym gradem kartaczów. Pod jej osłoną w szeregach jazdy Sebastiani'ego powraca znowu porządek; wnet rzuca się ona do ataku. Ułani tudzież dragoni gwardyi ruszyli za

¹⁾ Francuzi lubią ów wypadek przedstawiać w romantyzmem oświeceniu. Według nich, Napoleon rozmyślnie przysunął konia do granatu, by uciekających zagrzać do boju. Nawet Houssaye opowiada podobną baśń. Jest ona stanowczo zainawna! Pyszalkowate popisywanie się podobnem zuchwalstwem przystałoby kapralowi, lecz nigdy głównemu wodzowi. Inni znowu utrzymują, że Napoleon dobrowolnie szukał niebezpieczeństwa i śmierci! On, który wówczas wierzył w tryumf swego genialnego planu, a w bitwie z 20-go marca dopatrywał się jedynie utarczki gwałtownej tylnych straży, miałby do tego stopnia zwątpić o swojej gwieździe! Lecz tak to się dzieje, gdy historycy, nie oglądając się na psychologię, jeden od drugiego odpisują plotki nierozsądne.

nią; nieprzyjacielska jazda nieregularna rozbita uchodzi. Wnet atoli przeważający liczbą nieprzyjaciel otacza korpus Sebastiani'ego i odrzuca go z powrotem aż pod czworoboki. Lecz stara gwardya tak dzielnie odpierała wszelkie natarcia, że wnet energia nieprzyjaciela osłabła i tylko artylerya nie układała się do spoczynku. Również i Arcis teraz paliło się na wszystkich rogach.

Między siódmą i ósmą wieczorem doniósł generał Lefebvre-Desnouettes o przybyciu swoim na czele 1,500 jeźdźców; piechotę musiał zostawić w drodze, przyśpieszywszy pochód na odgłos strzałów armatnich. Pozwolono koniom wysapać się, lecz natychmiast Sebastiani zaczął układać plan odemszczenia się za klęskę południową. Obecnie na czele 4,000 konnicy rzucił się nagle o godzinie dziesiątej wieczorem z wściekłością niesłychaną na korpus jazdy nieregularnej Kaisarowa, tworzący kraniec lewego skrzydła i oparty o bagnistą rzeczkę Barbuisse. Ciemności pomagały owemu dzielnemu zamachowi. Nieprzyjaciele, raptownie zaskoczeni i rozbici, szukali osłony pod skrzydłami szwadronów Frimonta, stojących na ich flance; po chwili również i te ostatnie w ucieczce szalonej szukały ocalenia. Wówczas nagle został odsłoniętym bok piechoty Wredego. Z wściekłością rzucili się na nią francuzi, rozbili w puch kilka pułków i zdobyli jedną baterję. Teraz jednak nadbiegła na pomoc

dywizya kirasyerów nieprzyjacielskich, z którą połączył się szwadron jazdy gwardyi pruskiej; również i baterya jakaś bawarska, oraz pułk grenadierów zaczął strzelać do francuzów, bez względu, że tu i owdzie trafiano własną konnicę. Wreszcie z trudem zdołano odpędzić nieproszonego gościa i odebrać mu jego zdobycze. Jazda Sebastianiego usadowiła się poza wsią Nozay; nawprost niej na odległość strzału karabinowego stał nieprzyjaciel. Żołnierze, obawiając się nowego alarmu, spali tuż obok koni, owinąwszy sobie cugle naokoło ręki.

W szeregach sprzymierzonych panowało wielkie zamieszanie; zjawisko zwykłe w chwilach, kiedy całe oddziały armii pouciekały w popłochu niesłychanym. Stracili oni 2,700 ludzi; Napoleon zaś tylko 1,800, i to odparłszy zwycięzko na wszystkich punktach napór sprzymierzonych, jakkolwiek ci ostatni w liczbie zrazu 14,000, a potem podczas bitwy 25,000 mieli przeciwko sobie na początku zaledwie 8,000, potem zaś na końcu 16,000 żołnierza; co prawda 5,000 rezerwy sprzymierzonych zbyt żywego udziału w bitwie nie brało ¹⁾.

¹⁾ Beitzke (III, 310) twierdzi nawet, że 12—14,000 francuzów walczyło z 60,000 sprzymierzonych; według niego bowiem, cała armia Schwarzenberga rzuciła się na Napoleona. Błędne to mniemanie, najmniej bowiem 20,000 gwardyi i rezerw sprzymierzonych na placu boju nie stanęło. Bądź-co-bądź, 40,000

Gwardya przyboczna Defrance'a, pozostawszy na brzegu prawym, ucierała się tam z całą dywizją nieprzyjacielskiej jazdy gwardyjskiej, którą ostrożny Schwarzenberg przeprowadził na drugą stronę Aube'y celem strzeżenia mielizn, aby go francuzi nie obeszlili na prawem skrzydle. Ośmuset kirasjerów z brygady Mourieza przeszło o zmierzchu przez most i połączyło się z Sebastiani'm.

sprzymierzonych biło się z wszelką pewnością na różnych punktach. Również i część oddziałów Frianta zapewne udziału w właściwej bitwie nie brała, ponieważ owa dywizya straciła tylko 500 ludzi, z czego $\frac{2}{3}$ przypadają na trzy bataliony w Toroy. Zgódźmy się tedy, że 4,000 jazdy i 8,000 piechoty Napoleona stoczyło walkę zaciętą z 8,000 jazdą i 20,000 piechoty sprzymierzonych. Straty tych ostatnich wynosiły 2,700, z tego austriacy i bawarowie 2,224 ludzi; inni sprzymierzeni około 500. Prawdopodobnie przecież sam Kaiserow stracił więcej. Prawdopodobnie też Wrede poprowadził w ogień nie 15,000 ludzi, lecz 24,000, skoro sama jego rezerwa wynosiła 30,000 ludzi. Inaczej bowiem straciłby siódmą część swych sił; 2,000 na 15,000, liczbę nieprawdopodobnie wysoką, podczas gdy Ney utracił *piątą* część, choć liczebnie o wiele będąc słabszym, trzy razy atakował Wredego, dziesiątkowany na dobitkę kartaczami niesłychanie potężnej artylerji bawarskiej. Trzeba tedy zgodzić się, iż Wrede pchnął na francuzów najmniej 24,000 żołnierza. Przekonamy się tedy, że Ney na czele najwyżej 6,000 ludzi bronił Torcy przeciw wrogowi cztery razy silniejszemu: wynik podziwiania godny wobec dzielności austriaków i bawarów, tu licież wobec przewagi artylerji sprzymierzonych. Również i jazdy francuzkiej było dwa razy mniej.

Dopiero na drugi dzień dowiedziano się, co za przygoda spotkała dywizję jazdy gwardyi, dowodzoną przez Letorta. Zabrawszy zdobyte pod Méry pontony, dopiero koło południa ruszyła ona w drogę truchcikiem po szosie z Méry ku Arcis. Tak doszła ową szosą już do Premierfait, 3,000 kroków odległości od lewego brzegu strumyka Barbuisse, gdy wtem nagle obkoczyły ją liczne szwadrony jazdy nieprzyjacielskiej. Zatrzymać się, rozwinąć we front i rzucić na niespodziewanego przeciwnika — było to drobnostką dla dzielnych strzelców i grenadyerów konnych. Ci tysiąc sześciuset ludzi tak długo opierali się owym czterem tysiącom nieprzyjaciół, aż wreszcie z Méry nadbiegły im z pomocą idące na tyłach ¹⁾ lekka brygada Curély'ego

¹⁾ Musimy bowiem koniecznie przypuszczać, iż Curély szedł za Letortem, podczas gdy francuzi utrzymują, że pozostał jeszcze pod Méry, i dopiero spostrzegłszy niebezpieczeństwo towarzysza, posłał mu na pomoc swoją brygadę. W takim razie byłby z wszelką pewnością przybył zapóźno. Historycy z obozu sprzymierzonych ośmieszają się twierdzeniem, jakoby nawet *Sebastiani* posłał Letortowi z odsieczą jedną brygadę. Oczywiście, błąd niesłychany, który snadno spostrzeże każdy, obeznany z odległością i położeniem rzeczy. *Sebastiani*, posyłający posiłki, ten sam *Sebastiani*, który sam z trudnością stawiał opór wrogowi!! Owi historycy mówią także, iż zamiast dywizyi Letorta były tam załedwiedwa pułki!! A tu następca tronu dowodził najmniej 8,000 jazdy!! Czyżby więc 800 kawalerzystów zdołało się przebić przez zastępy dziesięć razy silniejsze? Znowu plotka, którą bezmyślnie przepisują jedni od drugich.

tudzież bateria artylerii konnej. Gdy przecież ukazała się również i piechota nieprzyjacielska, Letort wywnioskował, iż ani sam nie przebije się, ani pontonów do Arcis już doprowadzić nie zdoła. Roztropnie oraz z wolna rozpoczął odwrót i utorował sobie drogę do Méry. W taki sposób, zrazu otoczony i rzekomo zgubiony bezpowrotnie, wymknął się ze stratami nielicznymi i utrzymał łup w swoich rękach na przeciwnym brzegu Sekwany. Następca tronu wirtemberskiego, osobiście tutaj dowodzący, rzucił się za nim w pościg, celem zmiążdżenia go z biegiem czasu; Curély przecież niesłychanie dzielnie zaślaniał odwrót, a pod Méry całą nawałnicę nieprzyjacielską powstrzymał ogień pięćdziesięciu spieszonych *chasseurs-à-cheval*. Rozgniewany takim zawodem haniebnym, zawrócił następca tronu ku swojej piechocie, która już połączyła się z lewym skrzydłem Schwarzenberga, i doniósł głównej kwaterze, że w Méry stoi Macdonald z całym korpusem. Ta wiadomość nakazywała obawiać się, że poprzez Méry wnet naciągną na sprzymierzonych oddziały Macdonalda 1).

1) Łatwo pojąć, iż sprzymierzeni uwierzyli owej wiadomości. Co nas przecież dziwi, to zapewnienia historyków wojskowych, powtarzających z zimną krwią, że Méry obsadziły wojska Macdonalda. Tymczasem te ostatnie co do jednego oddziału szły na północnym brzegu Aube'y poprzez Villenoxe.

Jeżeli zaś ten marszałek przeszedłby w tem miejscu Sekwanę, to wówczas bądź zagroziłby tyłom Schwarzenberga, bądź obszedłby jego lewe skrzydło. Wówczas sprzymierzeni znaleźliby się między dwoma ogniami, wtłoczeni pomiędzy Aube i Sekwanę. I tak już przeliczono się zabardzo, sądząc, iż Napoleon stoi pod Plancy. Dlatego też następca tronu wirtemberskiego miał ze swoim oraz korpusami Giulay'a i Raszewskiego posuwać się na przód od lewego brzegu strumyka Barbuisse, celem zaatakowania mniemanego szyku bojowego wojsk cesarskich. Zamiast tego odczuto wnet pod Arcis srogie uderzenie łapy lwa, pod tem samem Arcis, które Wrede chciał obsadzić bez boju, jako kraniec prawego skrzydła francuzkiego. Wredemu polecono obejść owo mniemane prawe skrzydło, czemu jednak Ney, dzięki wrodzonej bystrości i doświadczeniu, z pomocą obsadzenia Torcy natychmiast przeszkodził. Napoleon, wbrew mniemaniu sprzymierzonych, iż zajął on stanowisko półkoliste, między Méry i Plancy, frontem zwrócone do ich własnego frontu, stał pod Arcis, zagrażając flance ich prawego skrzydła, a raczej prostopadle do niego, tworząc rodzaj klina.

Owe trzy korpusy przeto, oddane pod dowództwo naczelne następcy tronu wirtemberskiego, nie znalazły przed sobą nieprzyjaciela; powinny były natomiast przejść przez błotnisty Barbuisse i oto-

czyć prawą flankę Sebastiani'ego. Wobec takiej potęgi niesłychanej nawet odwaga bohaterska 12,000 ludzi z pewnością wszelką nie zdołałaby stawić oporu; sprzymierzeni straciliby Napoleona do Aube'y. Lecz pomijając trudność wydawania podczas bitwy nowych, a wręcz przeciwnych rozkazów, pomijając już wrodzoną Schwarzenbergowi chwiejność i opieszałość, mógł ten ostatni przypuszczać, iż główne siły francuzkie, a w każdym razie Macdonald, nadchodzą z Méry, by natrzeć na Troyes. Ów pogląd żywili również i monarchowie sprzymierzeni, którzy, wbrew dotychczasowemu pośpiechowi, nie chcieli słyszeć o ataku, a rozpoczętą bitwę uważali za bezpożyteczną i szkodliwą. Sądziłi oni, że starcie pod Arcis to złudny manewr Napoleona, który chce z pomocą takiego podstępu odwrócić uwagę od Troyes. Następnie wedety Schwarzenberga spostrzegły i doniosły o licznych ogniach obozowych na brzegu północnym, jeszcze daleko na zachód poza Plancy. Ztamtąd tedy nadchodziły Napoleonowi posiłki. Zresztą Schwarzenberg, złudzony oporem silnym, sądził, że francuzi są dwa razy liczniejsi, aniżeli byli istotnie; atak Sebastiani'ego, podjęty wieczorem, nakazał mu jeszcze większą ostrożność. Zważywszy na podobne okoliczności, najlepiej będzie pozostać na stanowisku obronnem i bronić pasma wyżyn, ciągnących się na południo-wschód od Arcis. Następca

tronu wirtemburskiego otrzymał tedy polecenie, by ze świtem przeszedł na wschodni brzeg strumyka Barbuisse i tam, obok Wredego, frontem zwrócił się przeciwko Arcis. W taki sposób ustawiono tutaj w gęstej masie, jednych za drugimi, 100,000 ludzi.

Cesarz francuzów był niezmiernie zadowolonym. Armia jego odznaczyła się nad siły niemal; każdy musiał jej to przyznać. Skoro późnym wieczorem sam się przekonał, z jaką wytrwalością bohaterską Ney utrzymywał Torcy w swej mocy, podziwiać zaczął hart moralny swych wojsk, co prawda starych, wysłużonych weteranów, pomijając już gwardyę. Obrona Torcy do wieńca sławy najdzielniejszego z dzielnych przyczyniła nowy liść. Gdyby on tej wsi *nie zdołał* obronić, bitwa byłaby przegraną. Jeżeli atoli utrzyma, Napoleon bitwę wygrywa. I w samej rzeczy była ona wygraną, jak każda bitwa odporna, w której atak nieprzyjaciela odparto, zadawszy mu ciężkie straty, jak naprzykład Wellington pod Talawerą francuzom.

Z tego teraz należało wyciągnąć korzyść; przeciwnika, który atakował i cofnął się, atakuje się samemu z kolei i ściga. Zresztą zbyt licznym ów przeciwnik, który stał nawprost francuzów, być nie mógł, co najwyżej jakaś część armii czeskiej, ponieważ względnie nader mało sprzymierzonych było w ogniu, być może 40,000 żołnierza;

nieprzyjaciel wszystkie rezerwy co do jednej pchnął na przód, byle tylko zgnieść słabą garść Ney'a. Zresztą Schwarzenberg, zważywszy na jego znane usposobienie, zapewne już bał się strasznie i gwoli owej obawie rozpoczął odwrót. Zamiast więc korzystać z nocy, by pod jej osłoną przejść z powrotem Aube i natychmiast pomaszerować ku Vitry, co należało jeszcze zrobić w południe 20-go marca, chciał cesarz skorzystać ze sposobności i dać *cofającemu się* nieprzyjacielowi porządnię nauczkę. Dzięki takiemu ciosowi zapędzi on go z pewnością jeszcze dalej na południo-wschód ku Troyes i oddali go od linii Brienne-Vitry. Ten wzgląd przeważał.

Już o godzinie wpół do 10-ej wieczorem Berthier rozesał rozkazy, celem przyśpieszenia nadejścia świeżych wojsk. Piechota Desnouettesa (brygada Henriona z uzupełniającej komendy gwardyi) stała pod Plancy, korpus Oudinota pod Boulares, korpusy Gérarda i Macdonalda obozowały pod Anglure, lecz drugi i piąty korpusy jazdy, Milhauda i St. Germaine'a pędziły ku Napoleonowi, co sił im starczyło. Letort i Curély otrzymali rozkaz, aby znowu usiłowali przedostać się z Méry poprzez Plancy. Dnia 21-go marca rankiem o godzinie 4-ej wysłano nowe rozkazy, a już o 7-ej cesarz z radością ujrział, iż część oczekiwanych oddziałów stanęła u mostu nad Aube: 3,000 żołnierzy Henriona,

5,000 kirasyerów i dragonów, wreszcie czoło korpusu Oudinota, liczące 6,000 ludzi: sławna hiszpańska dywizya weteranów Levala. W ten sposób siły, któremi rozporządzał Napoleon, składały się z 9,500 szabel i 18,500 bagnatów, oczywista po odtrąceniu strat z dnia poprzedzającego.

Na czele owych 28,000 wojowników bez zwłoki postanowił Napoleon porządnie zaatakować rzekomo cofającego się wroga. Przednie straże i placówki doniosły, że mają przed sobą tylko jazdę nieregularną nieprzyjaciela, rozstawioną na wysuniętych krańcach wyżyny; sam cesarz, puściwszy się podjazdem, sprawdził wiarogodność owego raportu. Atak niespodziewany a potężny miał zgnieść odrazu ów korpus nieprzyjacielski, który i tak dnia wczorajszego przed Torcy poniósł ciężkie straty. Naprzód cała jazda z Sebastiani'm na czele! Za nim postępuje Ney, prowadząc swoich walecznych; Henriona dodano mu ku pomocy; gwardya i Leval stanowią rezerwę.

O godzinie 10-iej rano wśród promieni jasnych marcowego słońca rozwija się szyk bojowy wspañiałej jazdy. Jakież atoli widok sparaliżował ich żwawy atak, skoro dopadli grzbietu wyżyny! Jak tylko daleko wzrok zdołał sięgnąć, wszędzie czerniały ciemne masy, zasłaniające sobą widnokrąg! Trzy linie w półkolu między Aube a Barbuisse!

Marszałek i głównodowodzący generał jazdy natychmiast zaczęli się naradzać, gdy kanonierzy konnej artylerii gwardii nieustraszenie i z dobrą myślą skierowali swoje działa na to wojsko niezliczone. Nie można wątpić ani na chwilę, że cała armia Schwarzenberga stała tutaj w pogotowiu wojennem i była przygotowaną podjąć rzuconą jej przez francuzów rękawicę. Przez ten czas szwadrony prawego skrzydła podjęły walkę z korpusem jazdy Pahlena, który wyszedł z półkola celem obejścia francuzów wzdłuż brzegu Barbuisse. Odrzucono go w tył.

Gdy cesarzowi złożono odpowiedni raport, przybył on teraz na miejsce i sam własnymi oczyma przekonał się, jak powierzchownie i niedokładnie sprawił się podczas podjazdu. Poznał więc całe niebezpieczeństwo, grożące własnej armii i uniknął grożącego mu ciosu dzięki pośpiesznemu odwrotowi, który zarządził z właściwą sobie zimną krwią.

Dywizya Levala musiała nasamprzód obwarować czempredzej Arcis.

Było to zapewne między 1-szą a wpół do drugiej po południu. Ani chwili tracić nie należało. Rezerwa artylerii i Friant przeszli przez most pod Arcis, a równocześnie generał saperów Léry nakazał pośpiesznie zbudować t. zw. „most ruchomy.“ Z chwilą, gdy przejście stało się znowu otworem,

Ney otrzymał rozkaz cofnięcia się; za nim tuż tuż mieli postępować Milhaud i St. Germain.

Była to już wtedy godzina 1³/₄ po południu. Sebastiani'emu polecono o ile możności jaknajdłużej bronić wyżyny pospołu z Colbertem, Exelmansem, Lefebvrem, aby zasłaniać odwrót. Cesarz chciał, by trwało to do nocy samej, co przecież stanowczo przewyższało siły owego korpusu. Mądry jednak generał jazdy zrobił, co spoczywało w jego mocy, i ludzi sprzymierzonych o wiele dłużej, aniżeli się tego należało spodziewać, z pomocą pozornych ataków i utarczek. Podczas gdy Napoleon w biały dzień cofał się, ci ostatni z uroczystą powagą oczekiwali jego ataku, istotnie jego ataku, jak gdyby mieli do czynienia z waryatem. Choć bowiem w owej chwili Napoleon mógł z wyżyny doskonale objąć okiem całą armię czeską, dufano, że zechce on na czele 30,000 albo i najwyżej 50,000 ludzi zaatakować podwójnie tak liczne i dzielne wojsko, wyposażone w 370 armat, rozstawionych przed frontem i usadzone na doskonałym stanowisku, i to zaatakować z pomocą ataku czołowego, gdyż możliwość ruchów flankowych z góry trzeba było wyłączyć.

Ponieważ jazda Sebastiani'ego wciąż jeszcze stawiała opór i odwracała uwagę nieprzyjaciela, przeto ten ostatni spostrzegł odwrót całej piechoty dopiero wtedy, gdy ze wzgórzy pod Ménil (na

południowy wschód od Arcis) spostrzeżono czoło silnych kolumn piechoty, spinającej się na stoki pagórków *przeciwnie* wybrzeża w kierunku ku Vitry. Wówczas więc spostrzeżono podstęp i nakazano ogólny atak. Lecz już minęła godzina 3-a po południu i dwie trzecie armii francuzkiej znalazły się na brzegu prawym.

Przez czas dłuższy doświadczony generał jazdy podtrzymywał jeszcze bój na wyżynie, równocześnie skutecznie odwrót i powstrzymując napór sprzymierzonych dzięki szykowi szwadronów *en echiquier*, ustawicznym cząstkowym atakom i gwałtownej kanonadzie swej konnej artylerii. Potem atoli musiał sam postarać się o utorowanie odwrotu, czego dokonał dzięki energicznej postawie bez znaczniejszej straty. Jedna zaledwie z jego brygad, opadnięta rojem nieprzyjaciół, część żołnierzy musiała oddać w więzy.

W Arcis zasłoniła Sebastianiego dywizya Levala; pośpiesznie zaczął on przeprowadzać się po obu mostach na brzeg prawy, podczas gdy na lewym pozostała piechota Levala, przeznaczona do powstrzymywania nieprzyjaciół. Wnet atoli most pontonowy powyżej Arcis zaatakowały tłumnie napływające masy nieprzyjacielskie. Wówczas saperzy korpusu inżynierów natychmiast most zniszczyli; cała pozostała jazda musiała skierować się na most pod Arcis, jako jedyny punkt przejścia.

Skutkiem owego ruchu pośpiesznego powstało, oczywista, wielkie zamieszanie, które wzrosło z chwilą, gdy granaty i kule działowe zaczęły zasypywać miasto. Z trzech stron sprzymierzeni wymierzili atak: drogą ku Méry szedł Rajewsky, drogą ku Troyes Württemberg i Giulay, wreszcie Wrede poprzez Torcy, z którego już dawno francuzi wyszli.

Lecz weterani dywizyi Levala nieustraszenie wyczekiwali ataku. Z właściwą sobie zręcznością zabarykadowali wszystkie ulice; na barykadach ustawili armaty; w ścianach każdego domu wyrąbali strzelnice. Bardzo trafnie postąpił Napoleon, powierzając straż tylną tym zahartowanym w bitwach szczątkom, pozostałym z wojen hiszpańskich. Przetrzymani już oni gorsze ciągi ¹⁾. Najzaciętsze ataki odparto, lecz sprzymierzeni, w miarę znacniejszego napływu swych sił, nabierali coraz to większej ochoty do boju. Z wyżyny przed Arcis zstępują coraz to nowe kolumny, które rzucają się na płonące miasto z zaciętością podobną tej, z jaką tygrys rzuca się na łup upatrzony. Równocześnie z wyżyny owej ryczą działa niezliczone, którym Leval jeno zrzadka i słabo mógł się odstrzeliwać. Niemal wszystkie jego

1) Talavera, Vittoria, Bidassoa, Nivelle.

działa zdemontowano; żołnierzom zaczyna brakować nabojów. Ustępuje, broniąc każdej piędzi ziemi. Natychmiast trzy olbrzymie gromady austryaków, wirtemberezyków, oraz innych sprzymierzonych zajmują barykady i częściowo przepychają się aż do mostu. Tam właśnie w owej chwili ruch wszelki na razie zatamowano, gdyż park artylerji Levala najechał na tylną straż Sebastianiego. Część piechoty francuzkiej skutkiem tego odcięto; jednych wybito w pień, drugich pojmano w niewolę; wielu utonęło, usiłując wpław przebyć rzekę. Zdawało się tedy, że dzielna dywizya ma odwrót przecięty. Levala raniono; pod generałem brygady Maulmontem, który objął w jego zastępstwie dowództwo, zastrzelono konia. Żołnierze walczą na własną rękę, wszędzie otoczeni; w zaciekłych starciach ulicznych pragną przynajmniej jaknajdrożej sprzedać swoje życie. Generał brygady Chassée ¹⁾ obejmuje teraz komendę. Chwyta za bęben i własnoręcznie wybija marsz generalny.

Na to hasło zbiera się naokoło niego stu starych żołnierzy z pułku liniowego Nr 20 i pułku lekkiego Nr 16. Z bagnetem w ręku rzucają się

¹⁾ Brygada „hiszpańska” Chasséeego z korpusu Oudinota, od której odłączono brygadę Boyera, należała teraz widocznie do dywizji Levala, walczącej z nią pospołu pod Barem.

na tłumy nieprzyjaciół i torują drogę aż do przy-
czółka mostu. Dzięki temu wszyscy inni towarzy-
sze nabierają energii; niebawem wywalczono sobie
swobodne przejście do mostu. Przeprawa na drugi
brzeg odbyła się w porządku jaknajlepszym.

O godzinie 7-ej wieczorem zaczęli saperzy ni-
szczyć wielki most, naokoło którego jeszcze hu-
czała strzelanina zacięta. Lecz teraz ukazała się
na przeciwległym brzegu również i druga dywizya,
należąca do korpusu Oudinota, dywizya, prowadzo-
na przez generała Rothenbourga. Jej tyralierzy
osłaniali tak długo saperów, dopóki ci nie skończyli
poleconego im zadania. O godzinie 8-ej wieczorem
Aube rozdzielała oba wojska; tylna straż Napoleo-
na nie potrzebowała obawiać się pościgu. O tym cza-
sie również, koło wieczora, jazda Letorta i Berckhei-
ma—ten ostatni przebywał przy brygadzie Curély'e-
go, a teraz prowadził brygadę Mourieza — jako też
szósty korpus kawaleryi Trelliarda ¹⁾ doszły wzdłuż
prawego brzegu do Arcis. Nocą i rankiem dnia na-
stępnego wreszcie połączyły się z nimi korpusy
Gérarda i Macdonalda, z wyjątkiem jednak dywi-
zyj gwardyi narodowej Pachtoda i Amey'a, które
idąc na ostatku, odłączyły się przez to od całej ar-
mii. Bądź-co-bądź atoli zgromadziło się razem

¹⁾ Objął dowództwo po Kellermannie.

niemal 45,000 ludzi, którzy teraz posuwali się ku Vitry.

Dywizya Levala straciła przeszło szóstą część swoich żołnierzy, bo 1,100 ludzi; inne oddziały zaledwie 400. Przez oba dni francuzi stopnieli o 3,500 ludzi. Nieprzyjaciel zabrał im również trzy działa ¹⁾, zdemontowane i zgoła nieprzydatne. Sprzymierzeni nibyto ponieśli takie same straty, prawdopodobie przecieź *znacznie większe* ²⁾.

¹⁾ Były to zapewne ostatnie trzy działa, które Leval po wyprawieniu za rzekę parku artylerji pozostawił w mieście do obrony barykad.

²⁾ Sprzymierzeni gwałtownie utrzymują, że dnia 21-go utracili zaledwie 500—600 ludzi. Ponieważ atoli zdobywali oni miasto, silnie obwarowane i bronione w dodatku przez weteranów, przeto musieli, co najmniej, stracić tyle, ile utracili obrońcy, 1,500 ludzi. Sami zaś przyznają, że w dniu 20-ym utracili około 2,800 ludzi, co śmiało można podwyższyć do 3,000. Gdybyśmy tedy w dniu 21-ym porachowali ich stratę w sumie 1,000 ludzi, to jest o 500 mniej, aniżeli francuzi, to i tak jeszcze wypadnie razem 4,000 ludzi. Ponieważ atoli strona atakująca *zawsze więcej* traci, aniżeli napadnięta, i to jeszcze gdy ową ostatnią są weterani, przeto sprzymierzeni musieli niezawodnie więcej utracić, niż 4,000. Archiwum urzędowe paryzkie wlicza do straty 1,276 ludzi nietylko dywizyą Levala, lecz już i pierwszą brygadę dywizyi Rothenbourga. Należą tu przecieź nietylko ranni oraz zabici, lecz i jeńcy, których sprzymierzeni — wedle własnych zapewnień — wzięli ogółem aż 800.

UWAGI.

Dwudniowa bitwa pod Arcis-sur-Aube stanowi dzień chwały dla armii francuskiej. Ney stracił piątą, Leval nieco więcej, niż szóstą część żołnierzy, walcząc z przeciwnikiem, cztery razy silniejszym ¹⁾. Trzy brygady hiszpańskie poniosły już znaczne straty pod Bar-sur-Aube: 1,500 ludzi, piątą część ówczesnych sił. Te wyłomy straszliwe jeszcze większe bezwarunkowo posiadały znaczenie z przyczyny, że Ney i Leval stanowili jądro najlepsze wojsk liniowych. Lecz ponieważ i brygada Henriona pochodziła również z komendy uzupełniającej gwardyi, jak również i dywizya Rothenbourga, przeto Napoleon, wliczając Frianta, zawsze jeszcze rozporządzał na prawym brzegu Aube'y 22,000 przewybornej piechoty, a w dodatku prowadził 14,000 przedniej jazdy. Zresztą można śmiało polegać na młodych żołnierzach Gérarda, czego dowiodła obrona mistrzowska Baru nad Aube przez dywizyę Duhesme'a.

Bitwa owa zresztą nie wywarła bynajmniej złego na żołnierzach wrażenia. Dowodzi tego brak wszelkich objawów zniechęcenia, które zwykle

¹⁾ Tylko pod Craonne przekroczono tę granicę; kilka bowiem oddziałów straciło *dwie piąte* liczby pierwotnej (1,600 ludzi na 4,000).

przytrafiają się po każdym spotkaniu przegranem. Wiedziano, że armia miała pójść wzdłuż prawego brzegu Aube'y na Vitry; podczas tego na lewym brzegu cała armia nieprzyjacielska napadła na *straż tylną*, która zwycięzko odparła zapędy wroga i dopiero po świetnem starciu opuściła Arcis. To wszystko mogło żołnierza jedynie dumą napełniać jako dowód, iż istotnie francuz w obecności swego cesarza potrafi walczyć jeden przeciwko trzem nieprzyjaciołom.

Cesarz francuzów nie miał najmniejszego powodu opłakiwać swej rzekomej klęski. Zaświadczyła mu ona bowiem ponownie, że Schwarzenberg nawet na czele możliwie w całości zgromadzonej armii, jak nigdy przedtem, nawet mimo niekorzystnego stanowiska słabej garści francuzów, zaskoczonych zniemacka i mających rzekę na tyłach, nie umie odnieść żadnej korzyści. Mniej więcej Napoleon tutaj wy dobył się w taki sam sposób z sideł, jak Fryderyk Wielki pod Hochkirch. Całe starcie wynikło z przypadku zwyczajnego, zjawiska, stale powtarzającego się w każdej wojnie, jakkolwiek taki Napoleon nieomylnie niemal odgadywał myśli przeciwnika. Czy przecież powinien winić sam siebie o jaką nieopatrzność? Czyż mało tu było znamion, wskazujących, iż Schwarzenberg wedle zwyczaju cofa się na Troyes? Istotnie wszystkie zarządzenia tego ostatniego w dniu 18-ym i 19-ym,

skoro Napoleon obsadził przejścia obu rzek, zmierzają do rozpoczęcia odwrotu. Tak nieprzewidzianej i nadnaturalnej, można powiedzieć, zmiany przez Schwarzenberga poprzedniego planu w dniu 20-ym żadna z istot ludzkich nie zdołałaby odgadnąć.

Do tego punktu krytycy Napoleona raczą go jeszcze uniewinniać. Dalsze atoli jego ruchy potępiają w wyrazach co najostrzejszych. Szkoda przecież, iż nie wiedzą, jako całe ich rozumowanie wypływa z faktów, zgoła mylnie podanych. Utrzymują bowiem oni wszyscy bez wyjątku, że *wyłącznie sam Sebastiani* posuwał się wzdłuż południowego brzegu; *Ney zaś — według ich błędnego pojmowania rzeczy — miał przejść z brzegu północnego przez Arcis!!* Ten błąd, z którego do tej pory wysnuwano wszystkie owe mylne wnioski, trudno uniewinnić. Rozkazy bowiem, tudzież listy Berthiera oraz Napoleona stanowczo wskazują, że 1) Ney szedł za Sebastianim *brzegiem południowym*, 2) Napoleon ani przez chwilę nawet nie chciał posuwać się ku Troyes, to jest w razie danym *wydać bitwę na brzegu południowym*.

„*Je négligerai Troyes*“ albo „*Je pars pour me rendre à Vitry*“, pisał jeszcze rankiem dnia 20-go do ministra wojny!! Naiwnie tedy największego na świecie mistrza sztuki wojennej posądzono o głupstwo niewybaczalne, posądzono go nawet, nie

zadawszy sobie trudu przejrzenia źródeł!! W taki to sposób ludzie piszą historię!!

Spyta się przecież niejedyn, dlaczego Napoleon dopuścił się takiego błędu, że nakazał wojsku maszerować po *obu* brzegach i skutkiem tego podzielił armię. Łatwo wyjaśnić. Sebastiani stał już na połowie drogi do Arcis, czego gwałtem potrzebowano, celem zbadania okolicy naokoło Troyes; Napoleon nadto mniemał, iż odpędzenie przez Sebastianiego nieprzyjacielskiej jazdy nieregularnej przyspieszy z wszelką pewnością odwrót ociągającej się tam tylnej straży. Jeżeli zaś Sebastiani powróciłyby do Plancy, podjazdy nieprzyjacielskie natychmiast wysłodziłyby pochód całej armii francuzkiej na brzegu północnym. Letort i Curély nadto pozostali jeszcze na tyłach pod Méry, ponieważ przetrzasali oni okolicę na przeciwległym brzegu Sekwany aż po Nogent;—ostrożność niezbędnie potrzebna. Piechota Ney'a zaś musiałaby oczywiście czekać pod Plancy do chwili, kiedy przejdzie przez rzekę Friant i wielka rezerwa artylerji; byłby zatem, skoro ci przybyli pod Arcis koło godziny 3-ej po południu, stanął tam (na brzegu północnym) dopiero o 5-ej. Napoleonowi atoli zależało na nieprzerwanym pochodzie ku Vitry, a właśnie równoległy marsz po *obu* brzegach pozwalał zyskać kilka godzin czasu, a nadto usuwał z planu przejście przez *jedyny* most pod Plancy, przejście, zawsze

powoli się odbywające, gdy mają go skutecznie rozmaite rodzaje broni. Był to zatem krok nader rozsądny, owo skierowanie Ney'a na Arcis. A na przypadek, gdyby na tem miejscu przyszło do potyczki, czyż należało Sebastianiego, który dopiero usiłował połączyć się z Letortem, pozostawiać bez piechoty i narażać się na możliwość przeprawy pod Arcis już w wirze najzaciętszej walki? Daleko przezorniejszym krokiem było dodanie mu na każdy wypadek odpowiedniej piechoty, ponieważ jazda, pozostawiona *sobie samej* wśród górzystego terenu, rzadko kiedy potrafi dobrze się sprawić. No i właśnie ku temu celowi przeznaczono Ney'a, idącego trop w trop za Sebastianim. Gdyby zresztą Ney pozostał pod Plancy i ociągał się podczas pochodu, co zresztą nader łatwo stać się mogło, usłyszawszy odgłosy armat pod Arcis, przynajmniej z częścią piechoty podążyłby w tamtą stronę, by nad rzeczką Barbuisse wpaść w ręce jazdy następcy tronu wirtemberskiego. Kto wie nawet, czy z kolei ta jazda, zamiast na Méry, nie rzuciłaby się na Plancy i tam na tyłach Napoleona nie narobiłaby popłochu; kto wie nawet, czy nie owładnęłaby na dobitek mostem tamtejszym, nie odciągnęłaby w każdym razie Letorta od punktu przeprawy, a nawet przeprawiwszy się pod Plancy, nie rzuciłaby się na Macdonalda ku wielkiej jego trwodze.

Nie, plan Napoleona zasługuje wyłącznie na pochwały. Niepomysłny początek potyczki, popłoch jazdy dowodzi jasno, że bez pomocy piechoty Ney'a i obsadzenia Torcy Sebastiani zginąłby najniezawodniej. Gdyby zaś nawet zdołał on na czas uniknąć miążdżącego ciosu Wredego, to w każdym razie 2,600 jazdy, prowadzącej z Méry pontony, padłoby ofiarą natarcia następcy tronu wirtemberskiego, ponieważ ten ostatni wówczas uderzyłby na francuzów na czele wszystkich swoich sił, kiedy w rzeczywistości, zajęty kanonadą pod Arcis, tylko połowę wojsk pchnął do boju. Co więcej, pobiwszy owe 2,600 jazdy pod Méry, ruszyłby dalej i przekonałby się, że wojsk Macdonalda nie ma przed sobą, co znowu ośmieliłoby w dniu następnym Schwarzenberga, wciąż obawiającego się nadejścia tego marszałka napoleońskiego. Prawdopodobnie nawet następca tronu, który piechotę wysłał ku Arcis, po ucieczce Sebastianiego z tego miasta, z całym korpusem rzuciłby się na Plancy, zajął ową ważną pod względem strategicznym miejscowość i ztamtąd przeszkadzałby połączeniu Macdonalda z Napoleonem, jednego i drugiego poważnie niepokojąc. Wrede na dobitkę, zajmawszy w dniu 20-ym Arcis, pod osłoną dział mnogich na brzegu południowym, przeprowadziłby się z jazdą na północ i w ten sposób uniemożliwił ostatecznie

pochód Napoleona na Vitry. Ten ostatni musiałyby cofnąć się na północ.

Do czego zaś doszłoby, gdyby Sebastiani, jak się zrazu dnia 20-go na to zanosilo, uciekł w rozpysce przez most! Wówczas Wrede, zajmwszy most niezburzony, całą masą napadłby na Frianta i rozdwoił armię cesarską. O pochodzie zaś na Vitry, o wszelkiem działaniu zaczepnem i marzyć wtedy nie byłoby można. Koronę nakoniec owych niepowodzeń utworzyłoby prawdopodobnie *wzięcie Napoleona do niewoli* w razie, jeżeli zjawiłby się na brzegu południowym z jednym szwadronem służbowym wtedy, gdy już Sebastiani ustąpiłby z drogi Troyes-Arcis.

Ze Napoleon na podróż ową z tak małą eskortą się odważył, świadczy o pośpiechu z jego strony; chciał widocznie w taki sposób powetować czas, stracony na pisaniu mnóstwa listów w Plancy. Zapewne artylerya gwardyi przeprowadzała się zbyt wolno i dlatego cesarz sam osobiście postanowił zachęcać ludzi do pośpiechu.

Łatwo również pojąć, dlaczego generałowie, stojący pod Arcis, zwlekali z zaczęciem pochodu aż do przybycia cesarza. Każdy z nich, nawet taki Ney, za działanie na własną rękę otrzymywał zawsze srogie napomnienie. O godzinie 1-ej atoli, gdy Napoleon przybywszy, wysłał jeszcze adjutanta z podjazdem, przez co znowu zmarnowano wiele

czasu, odwrotu bez wielkich strat już nie można było uskuteczyć. Straty te nie byłyby nic a nic mniejsze od poniesionych w późniejszym starciu; nieprzyjaciel zaś straciłby daleko mniej i nacierałby na cofających się o wiele zapalczywiej. Tak atoli, gdy francuzi nietylko stanęli w szyku bojowym i bronili dzielnie Arcis, ale nawet szybko zajęli Torcy, przez co uniemożliwili Wredemu obejście Arcis, nieprzyjaciel złąkł się, postradał sporo energii i co chwila oczekiwał nadejścia nowych sił francuzkich. Bitwę przeto uratowała bystrość Ney'a, który wówczas tak, jak już raz w 1811 r. pod Busacco, gdzie przecież Massena nie usłuchał jego rady, odrazu spostrzegł klucz całej pozycji. Błądzą przeciwnie wszyscy historycy, utrzymując, iż Ney i Sebastiani natychmiast po przybyciu pod Arcis zwietrzyli jakieś groźne niebezpieczeństwo. Że tak nie było, dowodzą tego poprzednie rozporządzenia Ney'a, dotyczące się przeprawy piechoty na brzeg przeciwległy oraz list Sebastiani'ego, pisany do Berthiera o godzinie 11 przed południem. Zresztą wówczas pchniętoby bez wątpienia ordynansa do cesarza z zawiadomieniem, by nie puszczał się lewym brzegiem, zagrożonym przez nieprzyjaciela. Dopiero już po godzinie 12-iej w południe Ney'em owładnęły jakieś niedobre przeczucia, które niebawem musiały zamienić się w pewność, skoro natychmiast,

nie zadawałnając się zajęciem miasta Arcis, obsadził Torcy.

Łatwo również zrozumieć nietylko ze względów taktycznych, ale i strategicznych, dlaczego cesarz, tak nawykły do zwycięstw, po szczęśliwych wynikach boju w dniu 20 marca, pragnął wyciągnąć z całego położenia możliwie największą korzyść i porządnie nadszarpniętego wroga odrzucić aż do Troyes. W ten sposób bowiem daleko swobodniej mógłby pomaszerować na Vitry w kierunku północno-wschodnim, skoro Schwarzenberg znajdowałby się na południo-wschodzie. Teren falisty niestety uniemożliwił podjazdowi należyte zbadanie okolicy; trzeba nadto pamiętać, iż trzeci korpus księcia wirtemberskiego na zachodnim brzegu Barbuisse dopiero o 11-ej godzinie przeszedłszy na wschodni, ukazał się w całości oczom francuzów i niemal podwoił zastępy Schwarzenberga. Że Napoleon, mimo twierdzenia wielu historyków, bynajmniej nie zamierzał stoczyć z wrogiem wielkiej bitwy, z 30,000 przeciw 100,000, najlepiej dowodzi jego *natychmiastowy* odwrót, spokojny, prawidłowy, ale prędki, skoro tylko przekonał się o obecności całej armii czeskiej. Istotnie ów odwrót stanowi wzór taktyczny; energia oraz przezorność tak Ney'a, jak i Sebastiani'ego podczas obu dni zasługują na najwyższą pochwałę.

I to także wielkie pytanie, czy Napoleon wogóle poniósłby klęskę, gdyby przyszło do bitwy. Ponieważ on nie atakował, przeto, być może, o godzinie 3-iej po południu Schwarzenberg przystąpiłby do szturm. W trzy godziny albo i prędzej otrzymałby przecież Napoleon świeże, niezmęczone posiłki: 4,000 jazdy i 2,000 piechoty. Mając nadto do czynienia z wodzem chwiejnym i powolnym, którego ataki nieudolne rzadko trafiają w cel odpowiedni, można istnych cudów dokazać.

Przypuśćmy: Napoleon zatrzymałby wroga na wyzynie — Ney z pomocą brygady Henriona, rannym nadeszłej, obroniłby Torcy, tak jak dnia 20-go, przeciw Wredemu i rezerwom—Arcis w środku, bronione przez Levala, oparłoby się księciu wirtemberskiemu — gwardya zaś z konnicą pospołu wparłyby lewe skrzydło (Rajewsky'ego) do Barbuisse. W takim wypadku Schwarzenberg, poniosłszy ciężkie straty, ani nie myślałby nawet o ponownej walce w dniu 22-im. Tej nocy jednak połączyliby się z Napoleonem Gérard i Macdonald; wówczas francuzi, wprawdzie o połowę słabsi, lecz prowadzeni przez Napoleona, mogli Schwarzenberga zgnieść i zmusić do stanowczego odwrotu. A gdyby nawet Napoleon nie osiągnął tak pomyślnych wyników, toć zawsze zdołałby wytrwać na stanowisku od 3-iej do 8-iej wieczorem, coraz to liczniejsze posiłki dodawałyby odwagi jego żołnie-

rzom, aż wreszcie przybycie całej masy, 6,000 ludzi, starych, doświadczonych weteranów, znakomicie zawsze przez swego cesarza zużytkowywanych, przechyliłoby stanowczo szalę zwycięstwa na niekorzyść sprzymierzonych.

Nie są to przypuszczenia na wiatr. Stanowiska sprzymierzonych nic nie były warte. Czyż na wązkim pasie ziemi od Chaudrey do Nozay można rozwinąć należycie 100,000 ludzi? Oddziały stały ściśnięte, tuż jedne za drugimi; artylerya Drouota miałyby cel doskonały. Napoleon, który służył z mistrzostwa w łączeniu i ustawianiu bateryj, potrafiłby z wszelką pewnością skorzystać z takiej okoliczności i wyrównać przez to większej liczbie dział nieprzyjacielskich. Wrede, pewien zwycięstwa i prowadzący *niezmęczonych* żołnierzy w dniu 20-ym, nie zdobyłby Torcy dnia następnego tak, jak nie zajął poprzednio, ponieważ walczyliby z tym samym Ney'em i to zasobnym w liczne posiłki. I Leval z wszelką pewnością zdołałby obronić Arcis, gdyż dnia 21-go naprawdę dopiero trzy korpusy mogły zdobyć to miasto, z trudem w dodatku. Nadto z północnego brzegu Aube'y można było doskonale ostrzeliwać prawe skrzydło Wredego. Niepodobieństwo zaś czyste, by taki Napoleon nie umiał zmienić w katastrofę straszliwą pozycyi Rajewsky'ego nad błotnistą Barbuisse. Dwukrotnie co prawda liczniejsza jazda nieprzyjacielska

(15—20,000 przeciw 10,000) nie mogła skorzystać z swojej przewagi z powodu braku odpowiedniego terenu do rozwinięcia się, jak to pokazało się w dniu 21-ym, gdy Sebastiani w 4,000 koni, już po odejściu Milhauda i St. Germaine'a, zupełnie bezpiecznie uskutečnił odwrót w obliczu całej armii nieprzyjacielskiej. Przewaga liczebna jazdy zresztą nigdy na nic się nie przyda, gdy nie można obejść pozycyi nieprzyjacielskiej. Każde zaś usiłowanie takiego obejścia narażałoby jazdę sprzymierzonych na morderczy ogień działowy francuzów z brzegu północnego.

Nadto jazda francuzka, dzięki swemu szczęśliwemu atakowi wieczornemu, nabrała otuchy tak wielkiej, iż 4,000 nowej konnicy, która o godzinie 5-ej wieczorem nadciągnęłaby w całości, zapewniłoby jej pełną przewagę. Ponieważ wreszcie wolno na podstawie dotychczasowej taktyki sprzymierzonych wnioskować, iż również tym razem nie umieliby równocześnie nieprzyjaciela zaatakować, ich rezerwy zapóźno zjawilyby się na placu boju, a Schwarzenberg, jak zawsze, straciłby głowę przy najmniejszym niepowodzeniu, — przeto przypuszczenie następujące wcale a wcale nie byłoby zbyt śmiałem: sprzymierzeni, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ponieśli by klęskę. Oczywiście, nie stanowią, gdyż na to nie pozwalała ich znaczna przewaga, lecz, bądź-co-bądź, o tyle do-

tkliwą, by, jak po starciu pod Lützen, Bautzen i Dreznem, pośpiesznie cofnąć się (ku Troyes), poczem zwolna zdążaliby aż do Langres i Renu.

Już taka bitwa *nierozstrzygnięta* tworzyłaby dla Napoleona zysk niepomierny. Wskazywałaby bowiem jego wojsku, że geniusz cesarza sam jeszcze obstoi za 50,000 żołnierza, a zarazem do tego stopnia zatrwożyłaby główną kwaterę sprzymierzonych, iż przez długi czas nie śmiałyby ona przedsiębrać ani jednego śmielszego ruchu.

Potwierdza to nasze przypuszczenie zdanie Bogdanowicza, że Napoleon mógł śmiało pozostać na stanowisku przez cały dzień i dopiero nocą zupełnie wygodnie przejść na drugi brzeg. Do tego więc stopnia głównej kwaterze sprzymierzonych brakowało wszelkiej przedsiębiorczości.

I, prawdę powiedziawszy, nie możemy Schwarzenbergowi jego wahania w tym razie zgoła brać za złe, jakkolwiek wcale a wcale nie zamierzamy stawać w jego obronie. Skoro bowiem raporta, acz błędne, zwiastowały bytność Macdonalda pod Méry, musiał on istotnie obawiać się wpadnięcia pomiędzy dwa ognie. Zapewne dostrzeżone przez forpoczty liczne ognie obozowe poza Plancy powinny były pouczyć go o błędzie. Lecz czyż to nie mogły być świeżo utworzone korpusy, które nadciągały jako tylna straż z Sezanne, miejsca zbornego wszystkich rezerwowych batalionów? A przed

sobą mieli sprzymierzeni Napoleona, gwardyę, tudzież marszałka Ney'a!

Och! niech gderają sobie panowie dziejopisarze, że jeden porządny atak wystarczyłby do zmiążdżenia Napoleona. Zapominają przecież, iż łatwiej Napoleona zmiążdżyć ot, tak na papierze, aniżeli w rzeczywistości. Każdy dowódzca czy żołnierz sprzymierzonych wiedział doskonale o wielkim geniuszu tego męża, wiedział również, jak on umiał swoją obecnością zagrzewać francuzów do męstwa i wysiłków nadludzkich. Przewaga zeru się równa, stanowczo zeru, skoro jej nie można należycie rozwinać, jak właśnie tutaj się stało.

Jeszcze komiczniejszym jest gniew na Napoleona za jego rzekomo śmiałość niesłychaną, że odważył się w biały dzień na odwrót poprzez rzekę, jak gdyby nie miał na tyłach ani plutonu armii nieprzyjacielskiej. Według panów historyków z obozu sprzymierzonych, Napoleon powinien był spostrzedz niebezpieczeństwo takiego odwrotu w biały dzień i, śmiało nadstawivszy czoła wszelkim atakom, poczekać aż do nocy. Tymczasem ci sami panowie zapominają, że odwrót nocny, i nadto w warunkach tak trudnych, jest jeszcze sto razy trudniejszym, a zarazem zabiera mnóstwo czasu; przedewszystkiem bowiem zmarnowałby Napoleon tak mu potrzebne 15 godzin; dalej, na brzegu prawnym, naprzeciwko Arcis, rankiem dnia 22-go, sku-

tkiem przybycia tam o tej porze Macdonalda powstałoby wśród pojedynczych oddziałów zgubne zamieszanie i natłok, skutkiem czego pochód na Vitry musiałby najniezawodniej się opóźnić. *A przecież tylko na tym pochodzie zależało Napoleonowi, wszystko inne stanowiło dla niego drobnostkę.*

Należy bowiem zawsze pamiętać, iż Napoleon, geniusz potężny, nigdy nie gonił za zyskiem częściowym, jeno zawsze ten ostatni poświęcał dla ogólnych korzyści strategicznych, przyświecających mu stale jako cel ostateczny. Spokojnie tedy cofnął się. Obliczył nader trafnie, że nikt a nikt nie pójdzie za nim w pościg, ponieważ niesłychane wrażenie, które wywierała jego obecność tak na swoich, jak i na wrogu, postrach, opromieniający jego nazwisko, rozgłos zwycięzcy w siedmdziesięciu bitwach, od Montenotte aż do Montereau, tworzyły czynnik nader poważny. Tylko głupcy mogą świadomą sobie pewność geniusza stawiać na równi z grzeszną lekkomyślnością.

Przeciwnie znowu gwałtowny atak Schwarzenberga, niedołącznie przeprowadzony, przypomina gorączkowe rzuty niedołęgi, niedorastającego do powierzonego mu zadania. Gdy jednak rój otaczających go niedołęgów wciąż na niego narzeka, rzuca się przeto na przód, celem zagłuszenia skarg. Bezwarunkowo ów rzut na przód jest „największem w jego życiu bohaterstwem,“ a ponieważ skutkiem

późniejszych, postronnych (czego historia do tej chwili jeszcze nie rozjaśniła na niekorzyść Schwarzenberga) okoliczności pośrednio przyczynił się również do rozstrzygnięcia wojny, przeto zapewnił mu już za życia „sławę nieśmiertelną.“ Życzenie monarchów, aby zająć nieczynne stanowisko na wyżynach Trannes (pomiędzy Brienne i Bar-sur-Aube), doprowadziłoby przeciwnie niebawem do całkowitego odwrotu nad Ren. Zniechęcenie i zmieszanie, demoralizujące armię czeską, przybrałyby podczas dalszego odwrotu tak wielkie rozmiary, że po kilku tygodniach nastąpiłaby zupełna dezorganizacja. Trzeba nadto pamiętać, iż sprzymierzeni, mając Napoleona na tyłach w Lotaryngii, musieliby przechodzić przez departamenty, już poprzednio wojną spustoszone. Jedynie mądrym krokiem, jeszcze lepszym, aniżeli atak, obmyślany przez Schwarzenberga dnia 19-go, wykonany zaś 20-go i 21-go, było przejście na lewy brzeg Sekwany oraz ustawiczne krążenie w okolicach Paryża. Tego rodzaju ruch sprawiłby Napoleonowi wiele niedogodności, musiałby bowiem porzucić pochód ku Vitry i narazić się na walkę równocześnie z Blücherem oraz Schwarzenbergiem.

Trzeba zresztą nadmienić, iż nibyto wyborny plan Schwarzenberga, opracowany dnia 19-go, polegał na zgoła błędnem przypuszczeniu, jakoby Napoleon stał wciśnięty w delcie, utworzonej przez

Sekwanę i Aube, pomiędzy Méry i Plancy. Uważając owo rzekome stanowisko Napoleona za bardzo dla tego ostatniego niekorzystne, odważył się przypuścić atak. Gdyby atoli nawet tak było, Napoleon szybko z pod Plancy przeprawiłby się za rzekę i most zniszczył, a wówczas Schwarzenberg bezradnie sam znalazłby się w delcie, Napoleon natomiast albo otoczyłby go w kierunku na Arcis, albo też zagroziłby jego tyłom od strony Brienne, gdzie przybyłby pierwiej, aniżeli armia czeska. Wówczas straszna tej ostatniej klęska byłaby nieodwołalną. Nadto, czyż to nie śmieszna naiwność przypuszczać, aby taki Napoleon wybrał podobnie niekorzystne stanowisko, przerżnięte w dodatku kilku strumieniami, bez porządnej drogi? I o tem nadto trzeba pamiętać, iż w owej delcie Napoleon o trzy godziny wcześniej otrzymałby znaczne posiłki; wieczorem dnia 21-go całe wojsko Macdonalda stawiłoby się na rozkazy cesarza i zgmiotło pomęczonych i zniechęconych żołnierzy Schwarzenberga na terenie niemożliwie bagnistym.

Jedne tylko korzyść odnieśliby sprzymierzeni dzięki własnej klęsce. Napoleon, zachęcony powodzeniem, ścigałby Schwarzenberga aż do Troyes, wskutek czego o dwa dni opóźniłby pochód ku Vitry. Ten pochód zaś tylko wtedy przyniósłby owoce pożądane, gdyby francuzi *uprzedzili* Blüche-

ra, który zapewne pośpiesznymi marszami podążałby do połączenia się z Schwarzenbergiem.

Słowem zachowanie się Napoleona w owych dniach zasługuje jedynie na pochwałę. Pod Arcis postąpił sobie wybornie, w szeregach wroga wzbudził popłoch, zmylił go co do własnych planów, spowodował mylne nadal jego poruszenia, stracił zaledwie 24 godzin (od 1-ej w południe 20-go do 1-ej w południe 21-go) i jeszcze dzięki temu nadciągającego Macdonalda zasłonił od wszelkich strat, które łatwo ten ostatni mógł ponieść, gdyby sam-nasam musiał zmierzyć się z sprzymierzonymi.

Macdonald atoli postępował jaknajgorzej.

Dnia 27-go stoczono walkę pod Bar-sur-Aube; tego samego dnia Napoleon wyruszył przeciw Blücherowi. Schwarzenberg wiedział o tem doskonale. Powinien był więc już-to zacząć tyły cesarza, już-to zaatakować Macdonalda z myślą rzucenia się na Paryż. Mógł nawet doskonale wykonać oba ruchy; jedna część jego armii ścierałaby się z Macdonaldem, druga, stosunkowo jeszcze liczna, podążałaby pod Paryż. Schwarzenberg nie wykonał ani tego, ani owego planu, lecz powoli i metodycznie postępował na przód, w dniu 4-ym obsadził Troyes, a dopiero 11-go posunął straż przednią ku Nogent i Bray, równocześnie przecież główną rezerwę pozostawiwszy zadaleko

w tyle pod Chaumont. Na dobitek, celem dogodniejszych kwaterunków, środek armii podzielił na drobne kawaleczki.

Macdonald znowu już 6-go opuścił pod Nogent lewy brzeg Sekwany i stanął na prawym nawprost owego miasta. Marszałek uniewinniał się potem, iż jego wojska, zmęczone niesłychanie, gwałtem wymagały tego dobrowolnego zawieszenia broni. Oczywiście przecież, codziennie oczekiwał napadu, lecz, ku wielkiemu zadowoleniu, oczekiwania zawiodły.

Mozna wprawdzie opieszałość Schwarzenberga tłumaczyć nieświadomością o losach Blüchera. Dnia 27-go jazda nieregularna Płatowa i Kaiserowa, puściwszy się na podjazd, usiłowała połączyć się z tym ostatnim, ale zabiegi owe speliły na niczem. Dopiero dnia 11 marca główna kwatera sprzymierzonych otrzymała raport Kaiserowa z dnia 10-go, że Napoleon stoi pod Rheims i Soissons, a wszelkie połączenie z Blücherem jest zgoła niemożliwem. Ta wiadomość nie brzmiała zachęcająco. Łatwo możnaby było w razie zwrotu ku północy dostać się w sieci Napoleona, jeżeli ten już zdążył pobić Blüchera. Gdyby znowu Schwarzenberg ruszył na Paryż w kierunku północno-wschodnim, odslaniał flankę. Należało również dbać o połączenie z magazynami żywności; lada większe oddalenie, a chłopci przecięliby wszelki dowóz. Trzeba też i o tem

pamiętać, iż na początku marca samych chorych było 50,000, którzy wysoce opóźniali wszelkie ruchy armii. Ponieważ atoli monarchowie niecierpliwi się, przeto Schwarzenberg postanowił zdobyć się na czyn energiczny. W dniu 14-ym Wrede ostrzeliwał miasto Bray, księżę wirtemberski obsadził Nogent. Rajewsky pod Pont przeprowadził się na prawy brzeg Sekwany i zagrażał lewemu skrzydłu francuzkiemu pod Villenoze. Wieczorem do głównej kwatery sprzymierzonych nadbiegła depesza generała St. Priesta, wysłana dnia 11-go marca: Napoleon poniósł pod Laonem stanowczą klęskę. Rozpoczęto tedy w dniu 15-ym marca, zamiast dotychczasowych lekkich obrotów, energiczny ruch zaczepny. Żołnierz francuzki przecięciowo zachowywał się dzielnie. Macdonald atoli, sądząc, iż sprzymierzeni już go otaczają, opuścił stanowisko nad Sekwaną i cofnął się aż do Provins.

Był to pośpiech szkodliwy, który zabrał mu niepotrzebnie dwa dni. Już bowiem dnia 16-go wieczorem, na wieść o klęsce pod Rheims, Schwarzenberg przestał postępować na przód. W dniu 17-go wydał klasyczny rozkaz, polecający Wredemu i Rajewskiemu zwrócić się przeciwko Napoleonowi frontem ku rzece Marne nad Aube, podczas gdy równocześnie Giulay i księżę wirtemberski powinni byli bronić pod Pont Sekwany przeciwko

Macdonaldowi, czyli chciał rozrzucić wojska na przestrzeni bagatelnie małej 130 kilometrów.

Teraz rozeszła się pogłoska, że francuzi już zajęli Chalons. Popłoch padł wśród sprzymierzonych; zaklinano Schwarzenberga, by cofał się czemprowadzej, przynajmniej aż do Troyes. Dokonano tego w dniu 18-ym marca. Gdy przecież po południu dnia 19-go Kaisarow doniósł, iż Napoleon przechodzi na brzeg południowy Aube'y, widocznie w zamiarze rzucenia się na Troyes, wódz naczelny sprzymierzonych nagle gorączkowo a chorobliwie zerwał się do owego powyżej opisanego boju pod Arcis.

Macdonald powinien był już 18-go rzucić się na wroga; dzień następny przyniósłby mu sowite owoce tej zaczepki. Tymczasem, zamiast ruchu zaczepnego, wezwał na pomoc cesarza, skutkiem czego ten ostatni nabrał wyobrażenia zgoła mylnego o stanowisku armii czeskiej i stracił trzy dni (od 14-go do 17-go) na bezużytecznych pochodach. Te trzy dni zwłoki przyczyniły się znacznie do rozstrzygnięcia losów wojny.

Pochód na Vitry.

Noc z 21-go na 22-gi spędził Napoleon już w Somme puis, gdzie zebrała się znaczna część armii wraz z korpusami jazdy Milhauda i St. Ger-

maine'a. Jedyne trzy korpusy Macdonalda i korpus jazdy Trelliarda rozłożyły się wzdłuż prawego brzegu, straż tylna pod Plancy. Naprzeciwko Arcis na prawym brzegu zatrzymała się brygada Maulmonta (Leval), celem niedopuszczenia naprawy zniszczonego mostu. Celny ogień karabinowy powstrzymywał pionierów nieprzyjacielskich od tej roboty.

Rankiem dnia 22-go Ney pod Frignicourt przeprowił się przez Marne i wraz z piechotą, Defrance'm oraz Milhaudem stanął przed Vitry. Wnet wezwał załogę nieprzyjacielską do poddania się; a gdy ta dała odpowiedź odmowną, rozpoczął natychmiast bombardowanie miasta. Ponieważ cesarz przewidywał ów opór, przeto jeszcze w Somme puis wydał rozkaz założenia pod Frignicourt dwu mostów pontonowych. Wnet wojsko, przeprowiwszy się tamtędy, ruszyło ku St. Dizier.

Lekka brygada Piré'go pędziła jako straż przednia i o godzinie 5-ej po południu dopadła jeszcze w mieście bardzo znaczny transport żywności oraz park pontonowy, prowadzone pod zasłoną dwu batalionów pruskich, które natychmiast utworzyły czworoboki. Jeden z nich, rozbity przez 400 huzarów oraz strzelców konnych, poddał się; drugiego część uszła, spaliwszy poprzednio park pontonowy. O godzinie 6-ej wieczorem raz, a po raz drugi o godzinie 11-ej w nocy, szczęśliwy generał

mógł donieść cesarzowi, że zdobył 400 wozów prowiantowych i 500 świeżych, prześlicznych koni, a zarazem pojmał do niewoli 800 jeńców. Pomysł Napoleona już zaczynał przynosić owoce.

Cesarz spał tej nocy w zamku Duplessis przed St. Dizier, a dnia 23-go po południu główna kwatera cesarska stanęła w mieście. Teraz należało przedewszystkiem połączyć się zupełnie z Macdonaldem.

Pod koniec lutego w Troyes armia tego marszałka liczyła jeszcze 42,600 ludzi. Od tych odłączono brygadę Boyera, złożoną z 1,600 ludzi; bitwy, choroby, dezercye zmniejszyły ową armię do dnia 10 marca o 10,000 ludzi, czyli miała ona pod chorągwiami jeszcze 32,500 żołnierza. Do dnia 19-go straciła jeszcze 1,000 ludzi. Korpus Oudinota (dnia 10-go jeszcze 11,200 ludzi) stracił w Arcis przeszło 1,200 żołnierza, a 5,000 jazdy Milhauda i St. Germaine'a zabrał obecnie cesarz do własnego rozporządzenia. Wreszcie jeszcze nadciągały również i dywizya Pachtoda (należąca do Oudinota) i Amey'a (z korpusu jedenastego Molitora, poprzednio Macdonalda), oraz wielki park artylerji. Macdonald tedy naprawdę przyprowadził dopiero 20,000 żołnierza, do których przyłączyły się pierwsza i druga dywizya jazdy gwardyi, 2,200 szabel pod wodzą Sebastiani'ego, pożyczonych przez cesarza Macdonaldowi celem zastąpienia jego odwrotu.

Dnia 22-go o godzinie 1-ej w południe jeszcze raz posłał Berthier Macdonaldowi rozkaz wzbraniania nieprzyjacielowi przez cały dzień przejścia Aube'y. Obecnie atoli musiał on już bezwątpienia usilnie zmierzając ku Marne, by się przez nią samemu jaknajpośpieszniej przeprowadzić. A gdzie pozostał Schwarzenberg? St. Dizier, miejscowość ważna pod względem strategicznym, zagrażała Blücherowi i Schwarzenbergowi równocześnie. Czy ten ostatni chciał rzucić się na Vitry, czy też cofać się ku Brienne z zamiarem wydania Napoleonowi walnej bitwy, bądź-co-bądź poprzednio musiał pościągać razem pojedyncze oddziały, zbyt daleko od siebie porozrzucane. Tylko więc jazdę powysyłano na dalsze podjazdy w kierunku wschodnim i południowym, huzarów Piré'go aż do Chaumont, brygadę strzelców konnych Maurina aż do St. Michel, dragonów Milhauda nawet na północ aż do Chalons. Równocześnie chłopcy i żandarmi przebrani po cywilnemu rozbiegli się do wszystkich fortec z zamiarem uprzedzenia komendantów o zbliżaniu się cesarza i wezwania ich do wyjścia na jego spotkanie. Każdy mer w departamentach Mozeli i Meurthe otrzymał rozkaz bicia w dzwony na trwogę i tłumnego uzbrajania gwardyi narodowej, celem mordowania nieprzyjaciela, gdzie się tylko pokaże.

Napoleon obliczał. Z St. Dizier, punktu, tworzącego środek wszystkich linii operacyjnych,

mógł łatwo rzucić się w każdą stronę. Według nadsyłanych przez Macdonalda raportów trudno było odgadnąć, w jakim kierunku wyruszyła armia czeska; marszałek atoli dowodził, iż rzuca się wprost na niego. W takim razie więc celem ostatecznym pochodu nieprzyjaciela będzie Vitry. Można go tedy jutro, wyruszywszy nocą naprzeciwko niego, zaatakować, albo też podczas tego zająć Vitry.

Można przecież także, zamiast owego ruchu wstecz na północo-zachód, przeciwnie natychmiast rzucić się na Brienne w kierunku południowo-wschodnim, w razie gdyby armia czeska tam właśnie zamierzała się skupić. Albo też można było w tymże samym kierunku obejść Schwarzenberga na Chaumont, dzięki czemu przecinało się mu wprost odwrót na Langres-Vesoul.

Te trzy plany przecież sprzeciwiały się zamiarowi poprzedniemu pomaszzerowania na St. Michel do Metz, zwabienia w tamte strony Schwarzenberga i zmiżdżenia go zupełnego z pomocą pościąganych już poprzednio załóg fortecznych.

Wieczorem atoli Piré, Sebastiani i Ney nadesłali wiadomości, wskazujące, że sprzymierzeni, oddalając się od Brienne i Chaumont, nadciągają tłumnie ku Vitry. Wówczas Napoleonowi strzela nowa myśl do głowy. Podczas gdy nieprzyjaciel będzie go ścigał w kierunku Metzu, on szybko

frontem zwróci się do Baru, w ten sposób dojdzie z powrotem do Troyes i zajmie pod Vitry poprzednie stanowisko Schwarzenberga, jego samego zmuszając do zajęcia pozycyi, tylko co opuszczonej przez siebie. Dzięki takiemu obrotowi równocześnie i zapewni sobie połączenie z Paryżem i pomiesza wszelkie linie komunikacyjne sprzymierzonych.

Za taką więc cenę zrzekał się Napoleon zamiaru przyciągnięcia załóg fortecznych i wywołania tłumnej ruchawki w Lotaryngii. Nowa bowiem myśl, jak mu się chwilowo zdawało, zrodziła wyniki najlepsze ze wszystkich możliwych.

Przed północą otrzymały wszystkie podjazdy, przetrząsające okolicę w kierunkach południowym i wschodnim, rozkaz połączenia się na St. Dizier z cesarzem. Takie same polecenie wysłano do Ney'a pod Frignicourt i Macdonalda pod Vilotte: wszystko ruszyło na Bar. Wśród żołnierzy przecież rozpuszczono wieść, iż armia zdąża na Metz.

Tego wieczora też do głównej kwatery przybył gość nielada, albo i maruder, jak kto woli: Coulaincourt, pełnomocnik na kongresie w Chatillon. Zaklął on jeszcze raz monarchę, by zgodził się ponieść pewne ofiary, -- lecz ten ani chciał o nich słyszeć, przenikając aż zanadto trafnie ostateczne zamiary sprzymierzonych.

Przez dzień 24-go odbywał się pochód na Bar, niczem niezakłócony, i jeszcze tego samego wie-

czora stanął cesarz z gwardyą pod Doulevent, na połowie drogi do Baru, równoległe z Brienne.

Wprawdzie Macdonald w przydługim liście skarżył się, że nieprzyjaciel, jeżeli tylko zechce, najniezawodniej go zmiazdzy, gdyż jego żołnierze zupełnie z sił opadli. Dnia 23-go nieustannie przeciągał on wzdłuż frontu nieprzyjacielskiego; jazda Schwarzenberga niejednokrotnie go napadała, zabierając mu to bagaże, to działa. Lecz Ney kazał obsadzić wyżyny pod Courdemanges, a już 24-go rankiem o godzinie 4-ej Macdonald doniósł o przejściu Marne'y.

W południowych godzinach dnia 23-go zaszła dziwaczna utarczka pod Sommepuis, gdzie jazda nieprzyjacielska omal nie zdobyła wielkiego rezerwowego parku artylerji Macdonalda. Dywizya Amey'a, dodana jako konwój, skutkiem złego zrozumienia rozkazu ruszyła sama z powrotem do Sezanne, gdzie połączyła się z zapóźnioną również dywizyą Pachtoda.

Dowódzca francuzki bronił się o ile możności najdzielniej, z pomocą salw kartaczowych; garść jego jazdy, 10 zandarmów, 15 podoficerów i kanonierzy konni mierzyli się nawet w otwartem polu z tłumem nieprzyjaciół, 1,800 szabel! Gdy przecież i nieprzyjaciel ustawił lekką półbaterję, której kule wysadziły w powietrze kilka jaszczyków z prochem, wszczęło się wśród francuzów zamieszanie;

wróg wdarł się pomiędzy działa. Wtem nadciągnęła przednia straż korpusu Gérarda ¹⁾ i oswobodziła celnym ogniem karabinowym artylerję, już otoczoną oraz uważaną za przepadłą. I tak jednak nieprzyjaciel zdażył zabrać ze sobą 14 dział, tudzież 200 jeńców. O wiele więcej dział było uszkodzonych.

Cesarz lekceważył obawy Macdonalda i pokazało się następnie, że miał słusność, jak zawsze. Jedynie tylko małe oddziały jazdy z oddalenia, i to do połowy drogi, śledziły księcia Tarentu, poczem bezpowrotnie zniknęły. Lecz ta właśnie okoliczność niepomiernie zdziwiła Napoleona. Dnia 25-go stanął w Doulevent, podczas gdy jazda, dokonywując nielada jakich połowów i chwytając uciekających zapóźnionych dyplomatów jako zakładników, dotarła do Brienne, Baru i Chaumont. Należało oczekiwać na wiadomości dokładniejsze. Wszyscy otrzymali rozkaz stania w miejscu; za pięć godzin geniusz naczelnego wodza rozwiąże zagadkę i wpadnie na tropy nieprzyjaciela. Wszyscy kowodanci korpusów mieli zatrzymać się bezzwłocznie.

1) Gérard, jeden z najenergiczniejszych generałów cesarstwa, holdował zawsze prawidłu Napoleona: „*ić* za odgłosem armat.” Pozostał on mu wiernym i w dniu 18-go czerwca 1815 roku, zaklinając Grouchy'ego, by zawrócił i podążył do Waterloo.

Ney doniósł jeszcze 24-go o godzinie 8-ej wieczorem: przez dzień 24-go spokój całkowity w okolicach Vitry. Piré donosił o godzinie 7-ej wieczorem, że cesarz austriacki Franciszek przed kirasyerami St. Germaine'a uciekł z Baru do Dijon, z Troyes nieprzyjaciel się cofnął aż do Langres, wszędzie wreszcie wśród oddziałów nieprzyjacielskich widnieje popłoch, tudzież przygotowania do odwrotu. Oficer ordynansowy Lanezan raportem z rannych godzin 25-go potwierdził ów stan rzeczy. Szczególne to objawy. Czyżby nieprzyjaciel posuwał się w kierunku północnym na Chalons lub też zgoła — trudno temu wierzyć, a nawet przypuszczać. Jakim sposobem Schwarzenberg zdobywa się na podobną energię? Wszystkie owe wiadomości nadbiegały do południa 25-go.

Lecz już koło wieczora otrzymano inne wieści. Macdonald słyszał huk dział, lecący od stanowisk tylnej straży. Ney o godzinie 6-ej wieczorem doniósł, iż 10,000 koni przypędziły z Vitry do St. Dizier, obsadziły to miasto i przepawiły się przez Marne. Wreszcie położenie jasnem! A więc armia czeska nie zajęła pozycyj obronnych pod Brienne, nie uwierzyła w maskowany, udany pochód na Metz, lecz poszła przeciw w ślad za francuzami, okrążając ich poprzez Vitry. Możliwe to i wiarogodne, ponieważ rozumne postanowienie. Czyż przecież

owych operacyj przypadkiem nie mógł wykonywać zaledwie jeden odosobniony korpus?

Cokolwiek atoli się stało, to pewna, że nieprzyjaciel ma Marne na tyłach, nie należy tedy przepuścić tak niekorzystnej dla niego okoliczności. O godzinie 9-ej wieczorem wysłano do wszystkich komendantów korpusów rozkaz, aby całemi masami podążali ku St. Dizier. Nocą o godzinie wpół do 3-ej ruszył w drogę sam cesarz i o świcie przybył do Vassy, na południo-wschód od St. Dizier. Tam powiadomił go Macdonald, że nieprzyjaciel, który pod Valcourt nader upoczywie nacierał na straż tylną, teraz zatrzymał się. Lecz jazda Trelliarda tłumnie obecnie rzuciła się na przód, rozbiła nieprzyjacielską konnicę nieregularną, usiłującą uniknąć starcia, i przepędziła ją na drugi brzeg Marne'y. Stanąwszy na wyżynie pod Valcourt, objął Napoleon wzrokiem nieprzyjaciela na prawym brzegu Marne'y, tuż pod St. Dizier, poza miastem. Było tego, jak mniemał, z 10,000 jazdy, nieco piechoty i wiele dział. W mgnieniu oka tedy nakazał atak najgwałtowniejszy.

Oudinot rzucił się na St. Dizier; cała jazda przeszła Marne pod Neuville, rozwijając się kolejno plutonami w jedną linię na drugim brzegu. I piechota również cała poszła za nią w kolumnach do ataku. Takie nagłe rozwinięcie sił, do tego stopnia przeważających liczbą, doskonale nadawało

się do wzbudzenia popłochu w szeregach nieprzyjacielskich. To też zachwiał się on zaraz i, miazdżony straszliwym ogniem działowym, chciał rozpocząć odwrót. Lecz nie pozwolono mu na to. Dragoni gwardyi, tudzież grenadyerzy konni, wzmocnieni hiszpańskimi dragonami-weteranami Trelliarda, rozbili w puch jazdę nieprzyjacielską, podczas gdy dywizya Levala przy odgłosie bębnow zdobyła przedmieście St. Dizier. Załoga nieprzyjacielska — 800 strzelców — uciekła, lecz Trelliard wyciął ją w pień niemal co do jednego żołnierza. Dywizya ciężkiej jazdy Lheritiera rozpedziła nieprzyjacielską jazdę nieregularną Tettenborna; w tej czynności pomagał Lheritierowi przysłany później szwadron mameluków z dywizyi gwardyi Lefebvre-Desnouette'a, z którym połączył się na ochotnika rozgłośnej sławy mameluk przyboczny, Rustan. Stanowisko wroga przebite w samym środku; wnet spędzono go z pozycyi; panami płaszczyzny zostali francuzi. Całe starcie trwało zaledwie dwie godziny; jego wyniki: 500 zabitych i rannych, 2,000 jeńców, 18 zabranych dział. Większe atoli znaczenie, aniżeli to łatwe zwycięstwo, posiadał świetny, niepowstrzymany zapal wojaków cesarskich, którzy tak ochoczo i rzeźko rzucili się do boju, jak gdyby wcale a wcale nie toczyli wojny przez całą zimę. Był to piękny dzień wiosenny.

Z zeznań, zupełnie zgodnych, wszystkich jeńców pokazało się, że pobito jedynie Winzingerodego, a więc jeden z korpusów Blüchera. Jakim sposobem znalazł się on tutaj z nad Aisne'y nad Aube? Gdzie znajduje się Schwarzenberg, który rzekomo, jak to jeszcze przedwczoraj wiele oznak zapowiadało, podążał ku Vitry? Czy więc byłoby prawdą, co potwierdzały zeznania wielu jeńców, iż sprzymierzeni *wprost idą na Paryż*? A więc jednak! Lecz jeszcze Napoleon nie mógł temu uwierzyć. Celem dostatecznego sprawdzenia owej wiadomości udał się zaraz do Vitry, gdy Oudinot równocześnie powinien był w tej chwili zawrócić się i rzucić na Bar. (Ten marszałek stał już pod Barsur-Ornain i dopiero 28-go przybył do St. Dizier, tak, iż ów plan spełznął na niczem). Mer z Saint-Dizier znowu już przedtem doniósł, że zamówiono tam mieszkania dla sprzymierzonych monarchów. Cóż to więc za chaos!

Po południu dnia 27-go cesarz stanął przed Vitry i właśnie odbywał radę wojenną z marszałkami, czy możnaby wziąć miasto szturmem, gdy nagle ze wszystkich stron nadbiegł istny potop wiadomości, odślaniających zupełnie dokładnie prawdziwy stan rzeczy. Przejęta depesza nieprzyjacielskiego głównodowodzącego Barclay'a do byłego komendanta sprzymierzonych w Barze, biuletyn drukowany nieprzyjaciela, rozślawiający zwycięstwo

pod Fère Champenoise, gdzie rzekomo marszałkowie Marmont i Mortier ulegli zupełnemu rozbiciu, zeznania chłopów i żołnierzy francuzkich, którzy uciekli z niewoli—wszystko zgadzało się na jedno: Oba wojska sprzymierzonych idą na Paryż!

A więc przecież nadeszła owa straszliwa możliwość! Napoleon zapadł w milczenie głębokie, co stanowiło u niego oznakę niezwykłego wzruszenia. Do tej pory z najzimniejszą krwią przysłuchiwał się narzekaniom i szemraniu niezadowolonemu wyższych generałów, którzy wietrzyli katastrofę. Jego pewność, iż wszystko skończy się jaknajlepiej, teraz nagle chwiać się zaczęła. I dlaczego? Przecież jeszcze niedawno bardzo mało przykładał wagi do możliwości, że Paryż wpadnie w ręce sprzymierzonych. A teraz owa godzina rozstrzygająca miałaby go zastać słabym?

Cesarz co koń wyskoczy popędził do St. Dizier. Tam zamknął się i badał to mapy, to raporty. Przepaść ujrzał przed sobą. Czyżby już zbliżał się koniec? Była to najprzykrzejsza chwila w jego życiu.

Czy powinien obecnie na czele zmęczonych wojsk marszem pośpiesznym podążać do Paryża? Sprzymierzeni o trzy dni zdolali go już wyprzedzić; niemal niepodobna, by potrafił przybyć na czas. Czyż nie lepiej wytrwać przy postanowieniu poprzednim i poświęcić Paryż? Olbrzymi szmat ziemi

między Yonne i Mozelą jest teraz wolny; z łatwością można obecnie wykonać wszystkie zamiary dawniejsze i wszędzie powołać pod broń pospolite ruszenie aż po brzeg Renu. Durutte przed dniem 25-go radośnie donosił z Metz, że na czele 4,000 wypadłszy z twierdzy, oswobodził osaczone Thionville i połączył się z tamtejszą załogą. Broussier na czele 5,000 ludzi ma zamiar wyjść z Strassburga i pościągać załogi Breisachu, Schlettstadtu i Pfalzburga.

Oto raport hrabiego Droueta d'Erlona (poprzednio generała komenderującego w Hiszpanii i doradcy króla Józefa, obecnie przybyłego tutaj z armii Soulta), komendanta w Chalons: gubernator Verdunu, generał Duvigneau, zdąża ku Chalons z swoją załogą, 2,000 ludzi. Załogi z Longny, Montmedy, Luxemburga, Saarlouis, Landau chcą natychmiast się z nim połączyć, rozpędzając na wszystkie strony słabe korpusy oblężnicze. Pod Nogent stoi Souham na czele 6,000 ludzi, pod Auxerre—Alix na czele 2,000.

To wszystko jednak blednie wobec patryotycznego zapału ludności, zapału, który bucha płomieniem jaskrawym tak wśród mieszczan, jak i chłopów. W Ardennach wszystkie konwoje przewoźne i kolumny ruchome Blüchera wycięto w pień; 750 uzbrojonych chłopów, leśniczych i przemytników, obsadziło wszystkie wąwozy. Pułkownik

Viviot na czele 18 kompanij gwardyi narodowej przetrząsa okolicę między Meurthe i Maas. Drobnostką przecież owe siły wobec tych tysięcy i tysięcy, pałających żądzą zemsty na najezdnicach, tysięcy, domagających się broni i wojny. Od 25-go do 28-go marca bandy chłopów, uzbrojonych w stare flinty, cepy i widły, dostawiły do głównej kwatery cesarskiej między Toul i Barem tysiąc jeńców, mnóstwo zdobytej amunicyi, broni, armat i bydła, odbitego nieprzyjacielowi. Listy Oudinota, Piré'go, Defrance'a, St. Germaine'a i Henriona potwierdzały, że wszędzie objawia się niezmierny zapal ludności. Należy jedynie powołać na organizatorów dymisyonowanych oficerów i weteranów. Taką samą propozycyę zresztą w ostatnim liście zrobił cesarzowi i minister wojny. „Wandea cesarska“ z pewnością święciłaby świetne tryumfy!

Ten plan uznawał on za zupełnie słuszny. Do przeprowadzenia go przecież dokładnego, w całej sile i pełni, potrzebował pomocy energicznej i śmiałej tak marszałków, jak i sztabu generalnego. Zwołał tedy radę wojenną, która ciągnęła się kilka godzin.

Brakowało Oudinota i Macdonalda, którzy przemawiali za zorganizowaniem *Levéé en masse* i rzucaeniem się w Wogezy; znajdowali się oni przy swoich korpusach. Lecz Berthier, syt nagród

i dostatków, stary Lefebvre, a przedewszystkiem Ney, „najdzielniejszy z dzielnych,“ pod względem moralnym zawsze niedołęga, ograniczony i samolubny—och, *ci* brali udział w naradach! I jeszcze wielu innych generałów, podobnie usposobionych, zmęczonych walką, stroskanych nadto o swoje rodziny i dobytek w Paryżu. Jakto, wojnę jeszcze i nadal przedłużać? Ach, w takim razie lepiej dopuścić do katastrofy okrutnej, aniżeli do okrucieństw bez końca. Nie, wyłącznie od Paryża zależy los wojny, Paryż zaś tylko w takim razie zdoła się porządnie bronić, jeżeli sam cesarz i armia nadejdą tam pierwej, aniżeli sprzymierzeni.—Pierwej? Ależ czy to już nie zapóźno? No, przynajmniej *należy* próbować ich wyprzedzić.

Cesarz miał wszystkich przeciwko sobie; zresztą sam chwiał się na tę i na ową stronę, To, co wódz potępiał, monarsze — przeciwnie — pozorną przynosiło korzyść. Podzielał teraz, gdy już chwila okropna się zbliżała, przestkach dyplomatów Caulaincourta i Mareta (Bassano), wywołany możliwością utraty Paryża i znaczeniem politycznym tego faktu. Czyż zresztą sam nie pragnął przedtem paść na ruinach tego świętego miasta? Jeżeli Paryż, główna kwatera cesarstwa, wpadnie w ręce nieprzyjacielskie, czyż wogóle wtedy będzie jeszcze istniało cesarstwo?

Była już godzina 11-ta w nocy, kiedy cesarz, przegłosowany i przybity, dyktował rozkazy do odwrotu. Czynił to ze wstrętem, ale, bądź-co-bądź, zdecydowany nieodwołalnie dopaść do Paryża, za jakąkolwiek cenę, przed jego kapitulacją. Z Vitry najbliższa droga prowadziła na Sezanne. Lecz czy przez to armia nie dostanie się w dwa ognie? Nadto w takim razie trzeba będzie przede wszystkim pod Meaux usiłować przeprawić się przez Marne. Wszystkie te względy nakazywały ostrożność. Również idąc na Arcis i Nogent, wciąż jeszcze odsłaniało się nieprzyjacielowi flankę. Niebezpieczna to gra, ponieważ marnowała siły i czas, zmuszając do pochodu w ustawicznym szyku bojowym. A zatem lepiej wybrać drogę dłuższą, z powrotem na St. Dizier, potem na Bar, Troyes, Sens, marszami pospiesznymi iść na przód bez żadnej przeszkody, korzystając z Sekwany, jako zasłony dogodnej. Od szybkiego dojścia do Paryża przedniej straży zależały losy wojny.

Wczesnym rankiem 28-go rozpoczęto pochód; korpus za korpusem ruszał w drogę bezzwłocznie i bez wytechnienia śpieszył na przód. Jeszcze tego samego dnia pod wieczór, o godzinie 5-ej, przybył cesarz do Doulevant, nocą zaś 29-go do Troyes. Podczas drogi dopadli do niego kurjerzy, którzy w najjaskrawszych barwach odmalowali niebezpie-

czeństwo stolicy oraz zabiegi polityczne żywiołów burzliwych. Natychmiast więc wysłał generał-adjutanta Dejeana do Paryża, za którym w kilka godzin później pośpieszył i adjutant Berthiera, generał Girardin; obaj mieli donieść o przybyciu rychłem cesarza, tudzież zalecać jaknajenergiczniejszą obronę miasta.

Już jutrzienka 30-go widziała bladego cesarza, pędzącego co koń wyskoczy; za nim jedynie służbowy szwadron gwardyi przybocznej. Zaledwie przez chwilę pokrzepiwszy się snem, oddał on dowództwo naczelne Berthierowi, który powinien był pośpiesznemi marszami podążać ku Fontainebleau. Z dwóch czynników ratunku: Napoleona i armii, pierwszy z wszelką pewnością ma znaczenie największe; z tej też przyczyny należy go użyć czempędzej. Napoleon w Paryżu—bohater równy armii stutysięcznej, — a sprzymierzeni zadrzą i uciekną. Mieszkańcy powstaną, *jak* jeden mąż. A więc na przód! Końmi pocztowemi, zmienianemi co stacya, można jeszcze tej nocy przybyć do Paryża. Dlaczegoż tedy nie odważyć się na czyn tak zuchwwały? Drogi stoją otworem; nieprzyjacieli stoi po stronie północno-wschodniej. A więc do widzenia, wierny konwoju, który takiej dowiodłeś wytrwałości. A więc na przód, pocztmistrzu w Ville-neuve, konie zaprzęgać, dwa razy więcej niż zwykle, dwa razy lepsze.

Napoleon wskakuje do kabrioletu, za nim Caulaincourt; Drouot i generał-adjutant Flahaut wsiadają do drugiego; oficer ordynansowy Gourgeaud otwiera drzwiczki trzeciego dla starego marszałka Lefebvre'a. Ten, rozpromieniony rozkazem cesarskim, który zlecił mu obronę przedmieść paryzkich na czele ludności robotniczej, opowiada stare dzieje swej wziętości, gdyż był za czasów republiki sierżantem paryżkim. On jeden z pewnością wszelką ze wszystkich jest najwesołym. Szczęśliwy Lefebvre!

A powozy toczą się wartko, co koń wyskoczy; z pod kół lecą tumany kurzu; słońce pali; od strony Belleville i Montmartre nadlatują jakieś odgłosy przytłumione—przytłumione, lecz zrozumiałe dla wpraw nego ucha, które już tysiącom grzmotów wojennych się przysłuchiwało. Biją się! Szturm się rozpoczął. Na przód, choćby koniom płuca miały popękać!

A słońce zwolna kryje się i zmrok zwolna pada na ziemię. Przytłumionych o spiżowym tonie odgłosów, niby przywitania z daleka mistrza bitew, którego sławę tak często rozgłaszały na wsze strony armaty-heroldzi — już teraz on przecież nie słyszy! Głucho, wszędzie głucho!

UWAGI.

Wielka przewaga armii Schwarzenberga groziła Macdonaldowi nad Aube groźnem niebezpieczeństwem. Nie umiał jej przeciw ten wódz sprzymierzonych wyzyskać, o czem świadczą korzystne dla Napoleona wyniki bitwy pod Arcis i pochód połączonych sił na Vitry, główny cel tego ostatniego. Obecnie połączywszy się bezpośrednio z Macdonaldem, mógł natychmiast z przednią strażą ruszyć na St. Dizier, ponieważ, po pierwsze, do czego *w braku* napaści ze strony sprzymierzonych nie przyszłoby nigdy, zatrzymał w swem posiadaniu brzeg północy Aube'y, dzięki czemu utrudnił nieprzyjacielowi wszelkie pokusy o powstrzymanie jego marszu. Następnie, jeżeliby sprzymierzeni, jak to poprzednio zamierzali, stanęli jedynie pod Brienne, Napoleon z wyprawy na Vitry wyciągnąłby korzyści bardzo małe, ponieważ wówczas sprzymierzeni mogliby każdej chwili zwrócić się frontem przeciw niemu i powstrzymać pochód Napoleona wzdłuż ich własnych tyłów na Chaumont i Bar. W tym wypadku jednak, który nastąpił, zdołał Macdonald—zawsze wyborczy i dzielny, ilekroć dano mu wyraźne rozkazy, zamiast zawierzenia jego samodzielności, bardzo nieudolnej i chwiejnej—przez dwa dni zatrzymać Schwarzenberga, który dopiero wtedy poszedł na Vitry, gdy Napoleon stał

już pod St. Dizier. Dzięki bitwie pod Arcis Schwarzenberg znalazł się w błędnem kole sprzecznych wiadomości i faktów: raz z wszelką pewnością—wedle raportów nadsyłanych — miał Napoleon cofać się na Sezanne, to znowu również z wszelką pewnością miał iść na Chalons.

Jeszcze 22-go pisał Barclay do komendanta sprzymierzonych w Vitry: Nie można nawet przypuszczać, jakoby nieprzyjaciel szedł na Vitry; bądźco-bądź przecież, pójdziemy za nim trop w trop! Dopiero w dniu 23-go Schwarzenberg, gdy już dzięki przejętym depešom wiedział zarówno o zamiarze cesarza przerwania się do Lotaryngii, „celem odciągnięcia nieprzyjaciela od Paryża,“ jak i o całkowitem już przejściu armii francuzkiej na tyły sprzymierzonych,—dopiero wówczas natychmiast przerwiał już rozpoczęty marsz na Vitry. Oczywiście, bał się tam ze swojemi 100,000 ludzi wpaść w sidła, zastawione przez Napoleona i jego siły przeważne, przez jego 144,000 żołnierza, boć Napoleon sam znaczył przecież tyle, co 100,000 wojska.

Wszystkie kruki złowróźbne głównej kwatery sprzymierzonych straciły głowę. Wszystko to krzyczało, że już należy, skoro Napoleon zaskoczył ich na tyłach, cofać się aż do Langres. Innemi słowy, należało, według zdania owych jegomościów, cofać się aż po Ren, zmarnować wszelkie dotychczasowe korzyści, wojsko narazić na całkowitą roz-

sypkę, podczas gdy równocześnie na wszystkich punktach ruszyłyby się francuzka gwardya narodowa i szarpała uciekających. Takim było zdanie rzekomo rozsądniejszych i trzeźwych umysłów. Lecz, szczęściem dla sprzymierzonych, wzięły górę żywioly prawdziwie rozsądne, które powyższe środki napiętnowały jako małoduszność tchórzliwą. Postanowiono zrazu połączyć się z Blücherem pod Chalons, a potem zwrócić się przeciw Napoleonowi i wydać mu pod Metz rozstrzygającą bitwę. Jeńcy francuzcy bowiem zeznawali jednomyślnie, że cesarz idzie ku Metz.

Wstrzymano tedy odrazu rozpoczęty pochód na Vitry i zwrócono się na Chalons. Skutkiem takiego zwrotu jednak oddawano na pastwę Napoleona wszystkie pomniejsze załogi, magazyny, kolumny prowiantowe i komendy uzupełniające. Gdzie jeszcze było można, rozesłano tym drobnym oddziałkom rozkaz cofania się ku Langres, a w razie potrzeby i jeszcze dalej. Wreszcie spodziewano się, że połączywszy się pod Chalons, obie armie sprzymierzonych zdołają wtedy stawić czoło Napoleonowi, jakkolwiek *niestety* i wtedy będą posiadały *zaledwie* trzy razy tyle ludzi, co on, który w Lotaryngii powiększy swą armię o 15,000 żołnierza. Lecz nie trzeba zapominać o grożącej na dobytek *Levée en masse* lotaryngczyków — trudne położenie, ciężkie czasy!

Dnia 23-go dowiedział się Schwarzenberg, że Blücher podąży ku niemu pośpiesznymi marszami; nie potrzeba tedy było zbaczać na Chalons. Dnia 24-go przeto ponownie skierowano całą armię tłumnie wprost na Vitry. Aż do tej chwili wszystkie obliczenia Napoleona okazały się trafne; zamieszanie więc, wywołane jego pochodem ku St. Dizier, już samo doskonale usprawiedliwia obmyślany przez niego śmiały manewr.

Lecz w dniu 24-ym monarchowie sprzeciwili się Schwarzenbergowi. Przedłożono na radzie wojennej przejęte depesze dostojników paryzkich, którzy zawodzili w nich zwykłą swoją piosenkę: siły państwa są wyczerpane, Paryż bezbronny, ludność wzdycha do pokoju. Monarchowie przeto żądali natychmiastowego pochodu na stolicę, mimo wszelkie zastrzeżenia i protesty wojskowych doradców. Po długich naradach Schwarzenberg ustąpił. Zawiadomiono o tem odrazu Blüchera i wieczorem z Vitry rozesłano rozstrzygające rozkazy. Dnia 25-go rozpoczęto słynny pochód; jedynie Winzingerode na czele 11,000 ludzi miał przed Napoleonem zładnie zasłaniać odejście głównej armii.

Z dwojga złego ten pomysł niespodziewany wydawał się jeszcze złem mniejszem. Taka powaga bowiem, jak Clausewitz, otwarcie wyznaje, że sprzymierzeni, raz już zwabieni przez Napoleo-

na do Lotaryngii, musieliby w końcu cofnąć się za Ren. Mistrz wojny, opierając się na licznych a silnych fortecach, unikając bitwy, manewrując to tu, to tam, szczując na sprzymierzonych *Levee en masse*, pchnąłby wroga w sidła tysięcznych błędów, znużyłby go, zmordował i uszczuplił znacznie.

Pochód na Paryż zakończył się zwycięstwem wprawdzie; to powodzenie w oczach świata znaczy wszystko i zasłania wszystko. Mimo to, śmiało utrzymujemy, że ów wściekły pochód był szalonym wyskokiem, błędem, mogącym ściągnąć na sprzymierzonych klęski niesłychane. Mając wroga na tyłach, drżąc przed zrywającymi się wszędzie do broni chłopami, rzucać się na Paryż, stolicę świata, której obronę, jak to wyszło na jaw jeszcze i w 1870 r., niezmiernie ułatwia korzystnie ukształtowany teren—na to posiadał jedynie prawo odważyć się taki Napoleon, świadomy swej wyższości duchowej. Lecz sprzymierzeni na tyłach mieli właśnie przeciwko sobie owego największego po wszystkie czasy wodza! I należy też odrazu zaznaczyć, iż Napoleon, zowiący sam siebie „najśmielszym wojownikiem,“ nigdy przecież nie dopuścił się takiego, iście *dziecinnego* zuchwalstwa. Inaczej bowiem przejawiała się śmiałość takiego Napoleona, inaczej znowu takiego Macka lub Melasa. Mistrz nigdy nie narażał swej linii operacyjnej i zawsze

dbał o zapewnienie sobie odwrotu. W kampaniach 1805 i 1809 r., mimo wyciągniętą linię, zajmował zawsze stanowiska w taki sposób, aby każdej chwili mógł cofać się z jaknajwiększą swobodą. W 1806 r. postępował zawsze z taką ostrożnością, że każdej chwili mógł cofnąć się poprzez Wesel, w razie gdyby prusacy zagrażali głównemu punktowi jego operacyj, Frankfurtowi. Nawet w 1812 r., mimo bardzo niekorzystne warunki terenu, odległości i słoty, umiał zasłaniać główną armię na lewo z pomocą Macdonalda, na prawo Oudinota, z tyłu Victora, dzięki czemu nad Berezyną uniknął jeszcze od biedy zupełnego rozbicia. A i w Hiszpanii pilnie zabiegał o zasłonięcie dróg między Portugalią i Bajonną, tak, iż bandy powstańców nigdy zbyt wielkiej szkody głównej armii przynieść nie mogły.

W tym wypadku przecież sprzymierzeni istotnie poświęcali Napoleonowi na pastwę możność odwrotu, poświęcali wszelkie połączenia z nadciągającymi korpusami, kolumny prowiantowe i parki rezerwowe; w razie niepowodzenia swych zamierzeń mieli jedyną drogę ratunku: odwrót do zniszczonej Holandyi poprzez Aisne i Oise. W tych zaś okolicach, wysoce niekorzystnych co do terenu, Napoleon z łatwością zdołałby im bądź całkowicie odwrót odciąć, bądź zadać przynajmniej ciężką klęskę. I liczebnie zresztą przewyższałby wówczas Napoleon sprzymierzonych: w Paryżu 60,000 żoł-

nierza, w Lotaryngii 60,000, a wszędzie w dodatku *Levée en masse*.

W razie upadku Paryża, jedna proklamacya, wydana w Metz, zrównoważyłaby powstałe skutkiem tego zniechęcenie moralne. Wystarczyłoby bowiem napisać: „*Odciełem sprzymierzonych od Renu; w Paryżu siedzą oni jak w pułapce*. Do broni, francuzi; tłumnie śpieszcie pod chorągwie; pomścijcie znieważenie waszej stolicy i wypędźcie wroga z Francyi, jak tego dokonaliście ongi, w 1792 r.!”

Zważywszy na niesłychane zaufanie francuzów do geniuszu Napoleona, łatwo przewidzieć, iż podobna proklamacya równałaby się wygranej bitwie, która przejęłaby trwogą sprzymierzonych i wypędziłaby ich z Paryża.

Do czego by atoli przyszło, gdyby Paryż oparł się nieprzyjacielowi? Jeżeli mieszkańcy tamtejsi stanęliby pod bronią? Czyż zdawano sobie w obozie sprzymierzonych dokładnie sprawę z usposobienia paryzkiego *mieszczanstwa*? W zatrwożonych listach ministrów bowiem widniała wyłącznie a wyraźnie chęć nastraszenia cesarza i kupienia pokoju za jakąkolwiek cenę, byle tylko pozbyć się niewygód oraz nieprzyjemności wojny! To złudzenie optyczne, popychające sprzymierzonych do owego szaleństwa, byłoby mogło wprawdzie ich omamić, gdyby już nie poprzednie ciężkie a gorzkie rozczarowania. Czyż garść rojalistów nie obie-

cywała im szumnie, że francuzi przyjmą ich z otwartymi ramionami, jako wybawców od ucisku korsykańskiego tyrana? Co ich spotkało zamiast owych obietnic? Kosy i widły rozjuszonych wieśniaków; ogniste dowody radości wśród mieszczan i chłopów na wieść o każdym zwycięstwie ich cesarza; nienawiść jaknajgłębsza dla nich, rzekomych wybawców. Ani jedno odstępstwo — zaznaczmy ku wiecznej czci narodu francuzkiego, — ani jedna zdrada nie splamiła sztandarów francuzkich przez cały czas owej wojny; co do usposobienia ludu paryzkiego łudzono się całkowicie, ludu, który również i w 1815 r. wśród podobnych okoliczności dosłownie potwierdził pogląd późniejszego pisarza: „*Napoleon fut jusqu'au dernier moment le roi du peuple de Paris.*“ Powinni byłiby więc sprzymierzeni wiedzieć doskonale, że francuzi wcale a wcale nie życzą strząsnąć z siebie jarzma swego „tyrana“, nieśmiertelnego chorążego ich chwały narodowej, który wprawdzie żądał od nich olbrzymich ofiar z krwi i pieniędzy, lecz za to darzył wielkością, potęgą i szczęściem.

Z zaślepieniem niepojętem pisarze niemieccy prawią właśnie o „zaślepieniu“ Napoleona, odwazającego się na otwarcie sprzymierzonym drogi do Paryża. Również i Clausewitz zbija naiwnie własny, powyżej przytoczony pogląd, pisząc o „demonstracyi w kierunku Lotaryngii, która nie

mogła przynieść żadnych owoców pomyślnych.“ A przecież o „demonstracyi“ można byłoby tylko w takim razie mówić, jeżeli Napoleon nie zastanawiałby się *zupełnie poważnie* nad możliwością poświęcenia na razie Paryża. Tymczasem w rzeczywistości, jak widzieliśmy, rachował się on z tą okolicznością. Że mniemał, jako uda się mu zwaćbić za sobą sprzymierzonych, nie można tego brać za złe; widzieliśmy bowiem, iż do samego wieczora 24-go istotnie ci ostatni chcieli pogonić za nim w kierunku Vitry. Ów zamiar zmieniło tedy wyłącznie przejęcie listów alarmujących z Paryża; wina przeto za całą katastrofę spada na tych tchórzliwych dostojników francuzkich, z królem Józefem na czele, przez którego słabość charakteru Napoleon poprzednio utracił Hiszpanię. Pokoju za każdą cenę, nawet za cenę hańby, pożąдали jaknajgoręcej wszyscy ci tchórze leniwi i zniewieściali, celem spokojnego wydawania procentów od kapitałów uzbieranych. Lud nie o tych obawach nie wiedział, przeciwnie—odczuwał, dzięki instynktowi przyrodzonemu, że klęska cesarza to ruina polityczna i materyalna Francyi. Celem jej odwrócenia nie wahał się nieść i nadal najcięższych ofiar. Przekleństwem było jednak Napoleona-cesarza, że do jego uszów dochodziły wyłącznie głosy dygnitarzy państwowych, głosy pasibrzuchów-kapitalistów, głosy kupnych pismaków, wykrzywających

gwoli interesów prywatnych prawdziwą opinię publiczną. Ten chór zagłuszał bicie serca prawdziwego Paryża.

Lecz Napoleon widział na własne oczy w departamentach wschodnich *niezawodne dowody* patriotycznego zapału ludu; rozumie się nawet samo przez się, że nigdy nie pośpieszyłby z powrotem do Paryża, gdyby był o dzień, dwa dni wcześniej z Vitry wprost pomaszerował do Metz. Spaliłby bowiem w takim razie za sobą wszystkie mosty i wiedziałby, iż w każdym razie nigdy nie zdążyłby na czas do Paryża. Również i niezadowoleni marszałkowie, głowy rodziny, musieliby wtedy pogodzić się z koniecznością. Wówczas, dzięki posiłkom z twierdz, rozporządzając 60,000 starego żołnierza, po wcieleniu nadto 20,000 rekrutów i urządzeniu pospolitego ruszenia, mógł, wyciąwszy wszystkie rezerwy sprzymierzonych i zabrawszy ich magazyny aż po sam Ren, zwrócić się na południo-wschód. Sam zniszczyłby pod Lyonem austriacką armię południową, przyłączył do własnej armii wyborne wojska Augereau'a, a wreszcie zjednoczywszy się z Soulttem, rzuciłby się na Wellingtona, którego wojska hiszpańskie były niekarne i tchórzliwe, oprowiantowanie liche, odwrót poprzez Pyreneje w najwyższym stopniu uciążliwy, tem uciążliwszy teraz, gdy cała ludność wiejska i miejska na południu, od Bordeaux począwszy,

rwała się do broni. Jak Lyon padł wyłącznie skutkiem tchórzliwości Augereau'a, mimo wysiłki bohaterkie mieszkańców, tak i Bordeaux dostało się w ręce nieprzyjaciół jedynie zdradą burmistrza tudzież garści rojalistów, co im lud odpłacić zamierzał z bronią w rękę. A gdy jeszcze Suchet na czele 20,000 weteranów w Katalonii ociągał się rozpocząć na prośby Souлта atak na tyły Wellingtona, to potem na stanowczy rozkaz cesarza *musiałby* wykonać ów ruch zaczepny, którego skutkiem bezwątpienia byłaby krwawa klęska Wellingtona w kwietniu.

Taką mogłaby być, jak się nam zdaje, *jedna* droga, prowadząca Napoleona do zupełnego zwycięstwa, i to droga najpewniejsza, najbardziej korzystna. Austryaków pod Lyonem bowiem można by rozbić w mgnieniu oka; strategiczne położenie Wellingtona kryło w zanadrzu mnóstwo niebezpieczeństw. Jakież atoli szalone na Europę wrażenie musiałaby wyrzucić owa nauczka, dana przez mistrza rozgłośnemu wodzowi angielskiemu, którego drobnej garści żołnierzy *angielskich* (skutkiem znanego systemu werbunkowego Anglii) już nie można by zastąpić świeżymi siłami, podczas gdy wojska hiszpańskie rozpierchłyby się na wszystkie strony, niby plewy!

Tyły Napoleona wówczas zasłaniałaby wrząca *Levée en masse*, porywająca za sobą całą ludność

od Pas-de-Calais aż do Yonne i Renu. Sprzymierzeni uciążliwemi rozporządzeniami i głuchą a nie do wybaczenia lekkomyślną zgodą na wybryki żołnierzy oburzyli na siebie całą ludność, której potem nie zdołali już ani uspokoić surowością, ani przejednać łagodnemi ustępstwami. Lud kipiał gniewem. Już z początkiem kwietnia zwycięzcy sprzymierzeni, po odśpiewywaniu, choćby codziennem, wesolego *Te Deum*, uczuliby się w Paryżu niezbyt bezpiecznymi; same nawet względy żywnościowe nie pozwoliłyby im pozostać tam zbyt długo.

Musieliby tedy cofać się ku Holandyi, albo też, wyruszywszy na północo-wschód, frontem ku południowi, narazić się na rozstrzygającą z Napoleonem bitwę. Pochód ku południowi był już wprost niemożliwym, boć Wellington do tego czasu poniosłby klęskę; odwrót ku Renowi przecięty. Napoleon zaś rozporządzałby już wówczas następującemi siłami: 60,000 żołnierza, przyprowadzonego z Lotaryngii, 20,000 Sucheta, 20,000 Soulta, 20,000 Augereau'a (odrachowaliśmy już wszystkie możliwie największe straty, garnizony, kolumny ruchome), 30,000 Marmonta i komendy uzupełniające, słowem 150,000 ludzi, czyli więcej, aniżeli sprzymierzeni. A gdyby nawet nie wszystkie korpusy przybyły na czas, lub też straty w bitwach z austryakami i Wellingtonem okazały się większemi, to i tak jeszcze dowodziłby 100,000 ludzi,

co przy pomocy pospolitego ruszenia wystarczyłoby na zapędzenie sprzymierzonych do Holandyi i zgniecenie ich do szczytu.

Lecz jeszcze i z innego planu mógł Napoleon korzystać. Należało południe zostawić Soultowi, a samemu odrazu z 60,000 ludzi dojść do Metz, odciąć sprzymierzonych tak od Holandyi, jak i od Renu, przywołać do siebie przedsiębiorczego generała Maison z 10,000 żołnierza, zmiażdżyć Bülowa pod Compiègne, a wreszcie zaskoczyć sprzymierzonych, wycofujących się z pod Paryża, podczas gdy równocześnie Marmont od strony Sekwany napierałby na ich tylne straże.

A wciąż jeszcze rozumowania powyższe wysnuwamy z przypuszczenia, że Paryż wpadł w ręce sprzymierzonych. Wypadek ów atoli wypłynął z niezwykle szczęśliwego dla tych ostatnich zbiegu okoliczności. Gdyby Marmont, Mortier, Pauthod, Compans, zdoławszy się połączyć, uszli aż pod Meaux, co przecież łatwo stać się mogło, wówczas ta silna armia zdołałaby przez dwa dni opóźnić napór wroga na Paryż, który wówczas lepiej potrafiłby się obwarować, ściągnął posiłki, zamiast 40,000 wystawił 60,000 obrońców i wybrał korzystniejsze dla dział stanowiska. Wówczas to nieprzyjaciel mógłby pójść do szturmego dopiero w dniu 1 kwietnia, Napoleon dopadłby na czas jego tyłów: poło-

zenie sprzymierzonych, wziętych we dwa ognie, stałoby się strasznie kłopotliwym.

Bądź-co-bądź tedy, z punktu logiki tudzież umiejętności wojskowych pochód sprzymierzonych na Paryż sprawia wrażenie szaleństwa. Nawet ich sposób zastąpienia się przeciw Napoleonowi był zgoła błędnym, ponieważ nie zastanili zupełnie lewej flanki. Jedyne ślepy traf zrzucił, iż Napoleon już 26-go nie odgadł całego manewru i, wpadłszy na rozciągnięte w pochodzie armie sprzymierzonych, nie rozerwał ich i nie rozpedził. Sami nawet sprzymierzeni po dwóch dniach spostrzegli swój błąd niepomiarowy i drżeli co godzina na wieść, iż Napoleon już się zbliża.

Napoleon znowu, przypuszczając, iż Schwarzenberg nie rzuci się na Paryż, okazał zbyt wiele skromności. Jako dobry psycholog bowiem, powinien był wiedzieć, iż taki Schwarzenberg na wszystko inne gotów jest się odważyć, aniżeli na stawienie czoła jemu, Napoleonowi! Pochód na Paryż, acz groźne w zanadru krył niebezpieczeństwa, zawsze był lepszym, aniżeli przebywanie w pobliżu geniusza-potwora, napawającego cały świat trwogą niewysłowioną! Każdy dzień pochodu na zachód, zwiększając odległość między Napoleonem a Schwarzenbergiem, zmniejszał obawy tego ostatniego. Ów wzgląd rozstrzygnął oczywista! Prawdziwe znamię niedołęgów, którzy wolą narażać

się na największe niebezpieczeństwa w przyszłości, byle tylko uniknąć mniej groźnych w chwili obecnej!

Napoleon w bilecie do Maryi-Ludwiki, przejętym przez sprzymierzonych, za powód swego pochodu do Lotaryngii podał zamiar „*odciągnięcia nieprzyjaciela od Paryża*”. Użył on tego frazesu, rzecz jasna, celem dodania otuchy żonie tudzież jej otoczeniu. Kto wie jednak, czy właśnie nie ten frazes skłonił sprzymierzonych do owego szaleństwa; sądzili bowiem, iż pochód Napoleona do Lotaryngii to czeza jedynie demonstracja. Szkoda niewypowiedziana dla Napoleona — co i on sam potem przyznał na Św. Helenie, — że istotnie nie wytrwał przy zamiarze pierwotnym. Sprawdził wówczas na sobie samym prawdziwość własnego orzeczenia, że wytrwałość konsekwentna to zaleta niesłychanie ważna, a kto, stojąc w pół drogi, cofa się, ten zawsze traci, bo marnuje czas oraz siły i zapóźno przybywa do celu.

Wodza tutaj — jak pisaliśmy wyżej — zepchnął na drugi plan monarcha. Zresztą musiał on teraz zważać i na swoich wodzów, których, potrzebując właśnie obecnie ich pomocy, nie mógł rozdrażniać do żywego. Zniechęceni, niedbale spełniliby powierzone im zadanie, skutkiem czego o połowę zmniejsziliby siły armii. Ustąpił im przeto w najważniejszej, niestety, godzinie swego życia.

Zarzucano też Napoleonowi, że mógł wcześniej ruszyć Paryżowi na odsiecz, to jest rankiem dnia 27-go, zaraz po przesłuchaniu jeńców. Zarzut to niedorzeczny. Żaden generał doświadczony nie oprze planu na takich tylko zeznaniach, lecz musi poczekać na raporty własnej jazdy. Również i droga, przez niego wybrana, Vitry-Sezanne, jest stosunkowo najkrótsza; inne drogi wręcz niebezpieczne lub niedogodne. Dzięki niej to właśnie w dniu 1 kwietnia *niespodziewanie* rozeszła się już alarmująca wieść: Cesarz na czele gwardyi stoi w Fontainebleau. Sam ten fakt dostatecznie świadczy, jak trafnie umiał Napoleon wybierać drogi i jak doskonałym był znawcą terenu.

Blücher po bitwie pod Laonem niemal cały tydzień spędził beczynnie i dopiero wtedy zerwał się z legowiska, gdy dowiedział się o opuszczeniu przez Groźnego Rheimsu. Dnia 18 marca zastępy Blüchera, podzielone na 3 kolumny, pociągnęły ku Aisne. Marmont kazał most pod Berry-au-Bac wysadzić w powietrze—i doszedłszy do Fismes, stanął za Vesle'ą. Również i Mortier, na życzenie kolegi, opuściwszy Rheims, zajął pozycję tamże, tuż obok niego. Rheims atoli przez cały dzień aż do wie-

czora broniła przeciwko całemu korpusowi Winzingerodego dywizya dragonów Roussela; był to świetny dowód męstwa i wytrwałości, za co główny generał komenderujący jazdy, a zarazem gubernator Rheimsu, Belliard, otrzymał od cesarza dla generała dywizyi Roussela stopień komandora legii honorowej. Nieliczna załoga Rheimsu, 1,500 żołnierza wzięła udział, oczywista, w ogólnym odwrocie. Tego samego dnia także generał Tettenborn zajął Chalons, podczas gdy armia szluzka zwróciła się ku Fismes. Bülow znowu rzucił się na Soissons; cesarz atoli obecnie tę fortecę kazał lepiej obwarować, uzbroidł 39 działami i zaopatrzył trzema tysiącami załogi, na której czele stanął znany z energii komendant. Rozpoczęto oblężenie bezowocne aż do samego końca wojny. Taki sam skutek dla sprzymierzonych przyniosło oblężenie Compiègne, którego dzielny komendant podczas jednej z wycieczek padł z honorem na polu walki.

Dnia 17 marca Berthier wysłał z Epernay list do Marmonta, polecając mu zasłaniać drogę do Paryża. Teraz znowu 20-go z Plancy nakazywał mu połączyć się z cesarzem drogą na Chalons. W dniu 21-go tedy, stosownie do polecenia, obaj marszałkowie zboczyli na Chateau-Thierry, ponieważ już i Epernay wpadło w ręce nieprzyjacielskie, przyczem załoga tamtejsza, 500 żołnierza, wyginęła niemal co do nogi. Nocą przeszli oni przez Marne

i wieczorem dnia 23-go stanęli w Bergères. Dnia 24-go byli w Vatry, na drodze z Arcis do Chalons. Tam Mortiera dogonił adjutant generała Pachtoda, który dnia 23-go z Nogent przybył do Sezanne i, połączywszy się z dywizją Amey'a, chciał na Etoges zbliżyć się do obu marszałków. Gdyby Marmont tutaj rozesłał był porządne podjazdy—już same niezliczone ognie biwakowe nieprzyjaciela wieczorem powinny były przestrzedz go o niebezpieczeństwie,—przekonałby się o połączeniu jazdy Winzingerodego i Schwarzenberga pod Sommesous i nocnym marszem na St. Dizier zdołałby uratować się, dzięki połączeniu z cesarzem. W dniu 24-ym Blücher znajdował się pod Chalons; dnia 25-go zboczył na drogę do Montmirail, celem utworzenia z Schwarzenbergiem *jednej*, wyciągniętej linii. Tego samego dnia obaj marszałkowie ponieśli podczas odwrotu na Sezanne straszną klęskę pod Fère Champenoise, gdzie wpadli właśnie między obie łączące się w owej chwili armie. Z trudem niesłychanym 29-go dobili się do Paryża, gdzie również cofnął się generał Compans z 1,600 żołnierzy komendy uzupełniającej i generał Ledru Dessarts z 3,400 gwardzistów narodowych, podczas gdy dywizye Alixa (2,500) i Souhama (3,800), liczące razem 6,300 ludzi, stały nad Yonne zupełnie bezpiecznie. Compans, połączywszy się z dywizją gwardyi Michela, rozporządzał 10,000 ludzi, na

czele których pod Claye nader dzielnie bronił i utrudniał przystęp do stolicy; ta przecież w dniu 30-go marca, po zaciekłym szturmie, wpadła w ręce sprzymierzonych. Wśród 40,000 obrońców (12,000 gwardyi narodowej niemal nie brało udziału w właściwej bitwie) korpus Marmonta liczył jeszcze 4,700 ludzi, korpus Mortiera jeszcze 6,500. Straciły więc one przeszło 5,000 ludzi aż do chwili przybycia na most Charenton.

Możność wymknięcia się tak przeważającym tłumom nieprzyjaciół zawdzięczali marszałkowie jedynie bohaterstwu nad wszelki wyraz wzniosłemu gwardyi narodowej Pachtoda i Amey'a, która między Sezanne i Banne dopiero po zaciętej walce uległa pięciokrotnej przewadze.

— Przypatrzcie się, co nas czeka: dzień chwały dla Francyi! — zawołał generał Pachtod, dzielny i zacięty żołnierz, do swych zastępów, odzianych w bluzy i okrągłe chłopskie kapelusze. Lecz, mimo ten ubiór nierycerski, walczyli owi rekruci z mężstwem nie mniejszem, aniżeli stara gwardya pod Waterloo, ku podziwowi własnych generałów i niekłamanemu zachwytowi wrogów.

Marmont tak wolno cofał się pod Sezanne, że niebawem znowu wpadł w sieci pruskie; Mortier, także narobiwszy mnóstwo głupstw, zboczył ku Provins,—skutkiem czego zmarnowano trzy dni czasu i uniemożliwiono sobie połączenie się pod Meaux

z Companssem. Razem z tym ostatnim na czele 20,000 żołnierza w pozycyi obronnej można było doskonale przez dwa dni, 27-go i 28-go marca, powstrzymywać nieprzyjaciela. Wskutek tego właśnie błędu nie mógł już i cesarz rzucić się na tylną straż Schwarzenberga, co niezawodnie uratowałoby Paryż. Ta zwłoka zgubiła cesarstwo i rozstrzygnęła o losach Europy.

Jeżeliby zaś Marmont pośpiesznemi marszami na Rheims i Chalons podążył ku Napoleonowi, wówczas Blücher, który go ścigał, oddaliłby się od Paryża, a o wspólnym szturmie sprzymierzonych na to miasto i mowy byćby nie mogło.

Siły marszałków historycy sprzymierzonych wciąż przedstawiają znacznie większemi, byle tylko w tem chlubniejszym świetle odmalować zasługi oraz męstwo własnego obozu. Twierdzą oni, że Mortier i Marmont prowadzili 25,000 żołnierza, gdy tymczasem mieli najwyżej 21,000, z czego jeszcze 3,000 odliczyć trzeba na załogę w Soissons. Utarczki, klęski, dezercya (2,000 uciekło z pod sztandarów) stopiły te zastępy do siły 11,200 ludzi i 50 dział w dniu 29-go marca. Należy atoli zaznaczyć, iż przez te dwa dni i marszałkowie i żołnierze sprawiali się nader marnie; kirasyerzy i dragoni uciekali przed nieregularną jazdą nieprzyjacielską. Zato druga dywizya starej gwardyi Christiani'ego i dywizya Riccarda, te same, które

ongi rozstrzygnęły o zwycięstwie pod Montmirail, stały jak mur. Zato znowu piechota liniowa uciekała, jakby na skrzydłach wiatru niesiona. Wyjątek stanowi brygada Jamina, do czworoboków której schronili się obaj marszałkowie. Lecz i sprzymierzeni ponieśli straty szalone, dzięki wybornym salwom karabinowym Pachtoda.

Katastrofa.

Jedenasta w nocy.

Ze zniszczonej karetki pocztowej tuż przy poczcie w Cour-de-France, dwie mile od Paryża, wysiada szybko niski mężczyzna, kurzem okryty, gorączką niecierpliwości trawiony. Podczas gdy na poczcie zmieniają konie i zaprzęgają nowe, śpieszy on wielkimi krokami drogą do Paryża. Jest nim dawny władca świata, cesarz francuzów.

Wtem słyhać odgłos pędzących jeźdźców. Gromada konnych staje przed pocztą.

— Stój! — rozlega się komenda, wydana głosem mocnym, nieco przychrypniętym, który tak często tysiącom rozkazywał armat. Dowódzca na przedzie i wszyscy za nim wzdrygnęli się, usłyszawszy ów głos, dobrze sobie znany. Belliard — on to był we własnej osobie — zeskakuje z konia

i zbliża się z szacunkiem. Cesarz prowadzi go ze sobą na przód drogą, idąc coraz to szybszemi krokami. Zarzuca go bezładnemi pytaniami. Dlaczego Belliard znajduje się tutaj? Aby wyszukać kwatery dla korpusu Mortiera. A więc kapitulacya? Teraz dowiaduje się o wszystkim i wpada w gniew sprawiedliwy, szukając upustu w oskarżeniach obelżywych. Wszyscy tedy potracili głowy? Oto jakie osiąga się wyniki, powierzając ważne stanowiska ludziom głupim i ospałym! Ten idyota Józef i ten nędzny minister wojny, biuralista rutynowany i nic więcej ponad to!

Napoleon gorzko zwłaszcza śmieje się z brata, miernoty, której na dobitkę się zdaje, że umie również dobrze dowodzić armią, jak on sam. Tak, tak! Oto czyny owych miernot, zazdrosnych i próżnych. Z chwilą przycichnięcia reklamy, a pory do działania, miernota okazuje się bezsilną. Umie ona tylko krytykować wielkie błędy wielkich czynów. Jeżeli zaś raz jedyny uda się jej zrobić krok bez błędu, lecz i bez znaczenia, bezskuteczny i wnet zapomniany, natychmiast zaczyna odgrywać rolę „mistrza,” przezywając geniusza niedołęgą, ponieważ ten ostatni wśród rozległej działalności, kuszącej się o wielkie cele, niekiedy się potyka i niekiedy, opadając z sił, popełnia błędy, oczywista od jego natury nieodłączne, a nawet konieczne!

Caulaincourt, oczywista, oraz inni oficerowie postępują teraz za cesarzem w pewnej odległości. Zwraca się on do nich:

— Do Paryża! Gdzie mnie niema, tam wszyscy robią same głupstwa! Niech powóz zajężdża jaknajprędzej!

Belliard atoli ośmiela się najuniżeniej tłumaczyć:

— Kapitulacya już podpisana; wojska zapewne musiały do tej pory wyjść z miasta; zapóźno nocą dostać się do Paryża.

Caulaincourt, oczywista, żywi taki sam pogląd.

Napoleon jednak nie ustępuje, lecz przeciwnie z coraz to żywszym zapalem rozwija plan powzięty. Cały Paryż chwyci za broń, gdy on się ukaże i poleci bić we wszystkie dzwony na trwogę.

Podczas tej rozmowy bez przerwy postępuje na przód i energicznie domaga się powozu. Lecz, rzecz dziwna, ten ostatni wciąż jeszcze się nie zjawia, choć Caulaincourt ustawicznie cesarza zapewnia, że już zaprzęgnięto; mimowoli a koniecznie nasuwa się podejrzenie, że powóz umyślnie nie podjechał, skutkiem tajemnego zlecenia Caulaincourta.

Już oddalono się takim marszem forsownym o 3 kilometry od poczty. Na lewym brzegu Sekwany ogniska biwakowe nieprzyjaciela niepewnie migocą się w ciemnościach nocnych. Nagle pod-

chwycono przytłumione, ciężkie, miarowe kroki zbliżającej się piechoty.

Halte-là, qui-vive?

Przednia straż korpusu Mortiera, generał Curial.

A więc już do tego przyszło! Lecz korpus Marmonta jeszcze znajduje się w mieście. Kapitulacya, być może, jeszcze niepodpisana, marszałkowi wolno przerwać układy. Rankiem Napoleon sam stanie w Paryżu i powoła pod broń gwardyę narodową. Flahaut pędzi, co koń wyskoczy, ku stolicy, do Marmonta; z poczty zaś, gdzie Napoleon powrócił zmęczony i smutny, wyruszył Caulaincourt do głównej kwatery sprzymierzonych, mając nieograniczone pełnomocnictwo do zawarcia pokoju. Cesarz, zamknąwszy się w swoim pokoju na poczcie, bada mapy i obmyśla nowy plan kampanii.

O świcie powraca Flahaut z listem Marmonta. Tak, tak, doskonałego wybrano sobie sojusznika! Usposobienie ludności maluje on w barwach najczarniejszych. Nikt nie chce bić się więcej. O godzinie piątej rano wycofa się jaknajprędzej z miasta.

Napoleona to wszystko zdemoralizowało. Rankiem 31-go pojechał on z powrotem do Fontainebleau, rozkazawszy obu marszałkom stanąć wraz z ich korpusami o 4 mile na południe od Paryża, poza rzeczką Essonne, która wpada do Sekwany między Melun i Paryżem pod Corbeil—Marmont z prawej strony Corbeil, Mortier z lewej. Za nimi

w drugiej linii powinna była ustawić się nadchodząca armia, prawe skrzydło pod Melun, lewe tuż przy rzece Essonne. Takie stanowisko posiadało wiele korzyści. Od czoła zasłaniała Essonne, której zgięte nieco dalej łożysko tworzyło równocześnie obronę wyborną dla skrzydła lewego. Prawe skrzydło zasłaniała Sekwana, tyły Sekwana i Yonne pod Montereau. W miasteczku Essonnes znajdowała się fabryka prochu, w Corbeil magazyn mąki.

Napoleon tedy postanowił stoczyć bitwę pod Paryżem. Daremnie powiernicy najbliżsi—Drouot, obecnie wódz naczelny całej gwardyi i *aide-major-general*, Belliard, wódz naczelny konnicy liniowej, najwyższy stopień po *major-general* i „marszałku,“ dalej generał-adjutant Flahaut i pierwszy oficer ordynansowy Gourgeaud — błagali go, by wreszcie jeszcze raz przerzucił się do Lotaryngii. Dnia 30-go Macdonald podczas pochodu wysłał list do Berthiera, w którym proponował stoczenie bitwy nad Sekwaną na dobrym terenie. „Jeżeli Opatrzność wydała na nas wyrok zguby, padajmy przynajmniej z honorem!“ Gdyby jednak cesarz nie przystał na ten plan, niech natychmiast zawraca do Lotaryngii.

Napoleon postanowił pozostać pod Paryżem, gdyż jego obecność będzie powstrzymywała intrygantów od wszelkich spisków.

Dnia 31-go nadeszły posiłki: 2,250 ludzi z komendy uzupełniającej Seine-et-Oise pod wodzą pułkownika Vertillaca; nazajutrz zaś przybyły: trzecia dywizya konnicy gwardyi Sebastiani'ego, korpus jazdy St. Germaine'a i gwardya przyboczna De-france'a. Po południu dnia 1-go udał się cesarz do księcia Raguzy, celem obejrzenia jego stanowisk. Ten przyjął go z ręką na temblaku, zraniony na przedmieściu Belleville, tak samo jak i dwaj jego generałowie dywizyj. Cesarz pochwalił zarówno marszałka, jak i jego korpus, za mężstwo, okazane podczas obrony stolicy, i przyrzekł sownie je wynagrodzić. Wtem pułkownik Fabvier, który uratował Marmonta pod Athis, zaciekły bonapartysta, wygadał nagle trzy nowiny: sprzymierzeni tryumfalnie weszli dzisiaj do Paryża, rojaliści rozdają wszędzie białe kokardy, monarchowie sprzymierzeni nie chcą już układać się z Napoleonem. Z goryczą odpowiedział ten ostatni:

— Ha, skoro tedy pokój niemożliwy, trzeba wojnę za każdą cenę prowadzić dalej.

Załogę w Fontainebleau tworzyły dwa bataliony weteranów, żandarmi i straż celna. Dnia 2-go kwietnia nakazał Napoleon paradę na dziedzińcu zamkowym; przyjęto go głośnemi i przeciągłemi okrzykami. Ten zapał wojsk oddziaływał na niego wybornie; zaczerpnął znowu otuchy i otrząsnął się z zniechęcenia. Gdy przeto teraz Caulain-

court powrócił z głównej kwatery sprzymierzonych i jako jedyny środek ratunku dynastyi polecał zrzczenie się korony na rzecz króla rzymskiego pod regencyą Maryi Ludwiki, wybuchnął cesarz gniewem dumnym, choć zrazu słucał z zimną krwią, i odrzucił wszelkie tłumaczenia dyplomaty. Teraz należało tylko bić się.

Wieczorem nadciągnęła stara gwardya Frianta i młoda gwardya Henriona, razem z artylerya rezerwową jeszcze przeszło '9,000 żołnierza. Rankiem o wpół do jedenastej 3-go na dziedzińcu zamkowym odbył się wielki przegląd.

Gdy żołnierze ujrzeli cesarza, zstępującego ze schodów wraz z licznym i bogatym orszakiem, powstał zapal niesłychany. Wśród ogłuszającego bicia w bębny grenadyerzy i strzelcy, prezentujący broń, wydawali na jego cześć okrzyki. Po długim i dokładnem obejrzeniu szeregów, podczas którego swoim zwyczajem łaskawie z żołnierzami rozmawiał, stanął Napoleon na środku placu. Prócz Ney'a i *major-general'a* Berthiera, był jeszcze obecnym i najstarszy rangą ze wszystkich marszałków, Moncey, w lata podeszły, który dnia 30-go dowodził gwardya narodową. Ci trzej, a zarazem *aide-major-general* Drouot, generalowie Belliard, Kellermann, Flahaut, Petit wraz z masą adjutantów oraz ordynansów stanęli grupami w tyle. Napoleon kazał wystąpić przed front wszystkim oficerom

i podoficerom brygady grenadyerów Cambronne'a oraz brygady strzelców Peleta, a następnie stanąć przed nim w półkole.

Po chwili zaczął głosem, drżącym od wzruszenia:

„Oficerowie i żołnierze mojej starej gwardyi!“

Krótkimi słowy przedstawił im wypadki paryzkie i oznajmił, iż niebawem rzuci się na stolicę.

— Liczę na was!

Tu urwał, sądząc, iż usłyszy głośnie przysięgę, jako zwyciężą lub umrą! Gdy przecież zaplanowało jedynie głuche, ponure milczenie, zdziwiony i zmieszany spytał:

— Czy się nie mylę?

Wówczas zabrzmiał dziki, wściekły wybuch zapалу, wściekły, groźny, nieustanny okrzyk:

— Niech żyje cesarz! Do Paryża! Do Paryża!

Przed chwilą poprostu uważano za niepotrzebne zapewniać go o tem. Oczy Napoleona zabłyśły i mówił dalej:

— Pokażemy im jeszcze, że naród francuzki jest panem u siebie w domu zupełnie tak samo, jak często bywał panem w cudzych domach! Pokażemy im, że jeszcze potrafimy bronić naszej niezawisłości i naszej kokardy. Podzielcie się tem z waszymi żołnierzami!

Były to słowa jędrne, słowa wielkie; okrzyki namiętne świadczyły o ich skutku. Oficerowie,

utworzywszy z każdej kompanii koło, powtórzyli przemowę cesarza. Wściekłe krzyki zemsty, grzmiące wiwaty! Zawsze jeszcze, jak ongi na moście pod Lodi, obecność dawnego generała Bonapartego wstrząsała żołnierzami do głębi. Przysięgali sobie wzajemnie paść pod ruinami Paryża, jak na sławnych wojowników przystało, poświęcić życie dla cesarza, dla wielkiego cesarza.

Szeregi się wyprostowały; sformowano kolumny batalionowe; stara gwardya jeszcze raz predefilowała przed swoim cesarzem. I gdy zarośnięci, wąsaci weterani bezprzestanku dawali folgę swoim wiernym sercom okrzykami: „*Vive l'Empereur! A Paris, a Paris!*“ a od tych okrzyków wojowniczych drżały mury dookoła, nagle zabrzmiała stara melodia—hymn zwycięstwa, niegdyś śpiewany pod Jemappes, hymn, który wielu z nich rozpalał jeszcze pod Marengo i Hohenlinden; jeszcze raz zabrzmiała marsylianka, na skrzydłach swych przynosząc odgłosy sławnej, tytańskiej przeszłości. Orły lśniły się zuchwale w promieniach słońca; sztandar trójbarwny igrał wesoło; a ciężki chód pretoryanów wraz z chrzęstem broni brzmiały niby echo spiżowe:

Allons enfans de la patrie!

Le jour de gloire est arrivé!

W taki to sposób wierna łódź wiozła cezara i jego nieszczęście. Zawsze niezwyknięty jeszcze

nie upadł, jeszcze jest panem i władcą w chwili obecnej. Dalej do Paryża! Nadszedł dzień zemsty.

Albo czy też nie zbliża się dzień Nemezis, przejmującej trwogą świętą i sprawiedliwej, Nemezis, karającej śmiertelnych i strącającej zuchwalców na dno przepaści w chwili, gdy doszli do szczytu zmiennego szczęścia? W nocy przysłał wierny Marmont, oczywista z oburzeniem szlachetnem, uchwałę senatu z 3-go kwietnia, ogłaszającą—nieprawdopodobne, a przecież prawdziwe—detronizację Napoleona!

Ci nikezemnicy, nędzni i tchórzliwi, pogardzani przez wszystkich, gotowi każdą zachciankę pana obwołać prawem, gotowi nawet zrobić więcej, aniżeli od nich żądano! Lecz wojsko i lud podraż ich szmatę papierową.

Rankiem 4-go kwietnia nadciągnęła przednia straż Macdonalda; cała armia zgromadziła się już razem; nazajutrz można było rozpocząć kroki zaczepne. Korpusom, które potraciły zbyt dużo dział, poddawano armaty z parku rezerwowego. Mortier prowadził zawsze jeszcze 6,000 żołnierza, Marmont 12,500,—obaj, oczywista, zasileni niedobitkami załogi paryzkiej. Prócz tych dwóch korpusów i komendy uzupełniającej Vertillaca, 2,200 ludzi (a więc razem przeszło 20,000), posiadał cesarz zawsze jeszcze 40,000 ludzi, wliczając słabe posiłki. Stał tedy na czele armii, wynoszącej przeszło

60,000 żołnierza. Ney dowodził już tylko jedną dywizyą (Lefol); pułk nadwiślański, wyjęty z pod jego komendy i połączony z innemi, pokrewnemi sobie oddziałami, utworzył oddzielny korpus pod własnym generałem, znanym z walk zaszczytnych w Hiszpanii. Dowództwo nad jazdą gwardyi objął po Sebastianim generał Ornano.

Dywizya Souhama już się połączyła z Marmontem, lecz Allixem, stojącym w Sens na czele 2,500 ludzi, jeszcze można było rozporządzać. W Blois stało 1,200 żołnierzy starej gwardyi, przeznaczonych na osłonę cesarzowej i króla rzymskiego. Pod Rouen obozował znaczny oddział wojska, z którym połączyły się załogi z Tours, Orleanu, Gien, Montargies, razem 4,700 karabinów. Miał tedy Napoleon jeszcze 8,400 ludzi rezerwy, którą należało przywołać. Zresztą lada dzień i komendy uzupełniające wyślą liczne posiłki.

Położenie mogło niebawem zmienić się na lepsze.

Lecz co to takiego?

W chwili, gdy oddział gwardyi, wśród szalonego zapału i okrzyków wierności, zaciągał wartę, z gromadki wyższych oficerów, o kilka kroków od cesarza, doleciał szorstki głos, nazwyczajony do rozkazywania.

— Tylko zrzeczenie się może nas wyratować!

Napoleon, udając, iż nie słyszał, odwrócił się i wszedł do swych pokojów. Lecz marszałkowie, wzajemnie dodając sobie odwagi, idą za nim. Ney staje na przedzie i chce *tambour battant* zająć pozycję, „wroga“ zmusić do zrzeczenia się korony. Oudinot, wiarus, pokryty ranami, stary papa Lefebvre i poprawny Macdonald wciskają się za nim do gabinetu cesarza. Ten, podnosząc głowę, rzuca Ney'owi surowe, pytające spojrzenie. Na chwilę waleczny wojak drży wobec tego oblicza majestatycznego i wobec tych oczów, poważnych a głębokich, drży i traci poprzednią bezczelność. Lecz najdzielniejszy z dzielnych nie może się ośmieszać; dał słowo, musi tedy spełnić przyrzeczenie. Zatem *en avant!* Zbliża się do cesarza i pyta, czy dostał jakie wiadomości z Paryża. Cesarz rozumie doskonale cel zapytania, lecz przeczy. Tak? To Ney *ma* wiadomości, a mianowicie bardzo złe wiadomości: Senat uchwalił pozbawić Napoleona tronu.

Ten ostatni wciąż jeszcze okazuje zimną krew. Senat postąpił sobie bezprawnie; w tej sprawie może rozstrzygać wyłącznie naród. Co się tyczy sprzymierzonych, to zniszczy on ich teraz pod murami Paryża. Szmer protestów rozlega się wokoło. Co, jeszcze walczyć? Położenie jest beznadziejne; wszystko stracone; jedno tylko zrzeczenie może uratować dynastję.

Napoleon wciąż jeszcze spokojny. Tłumaczy marszałkom, iż położenie wcale znowu tak źle się nie przedstawia. Pozostają mu nadto do rozporządzenia jeszcze trzy armie—w Holandyi, pod Lyonem i pod Tulużą, które można przywołać; komendy uzupełniające dostarczą również jeszcze wielu wojowników. Sprzymierzeni ustawiają się na południe od Paryża, wzdłuż szosy do Fontainebleau, mając Sekwanę i stolicę na tyłach. Najmniejsze powołanie zdoła wszystko zmienić i sprzymierzonych stracić w przepaść; wówczas Paryż jednomyślnie chwyci za broń.

Im przecież wymowniej cesarz nakłania owych „bohaterów,” tem bardziej lodowatem staje się ich milczenie. Nawet Berthier, Caulaincourt, Bassano i Bertrand, którzy z Napoleonem już przedtem weszli do komnaty, milczą i nie umieją znaleźć ani jednego słowa zachęty i zgody. Zakłopotani, spuszczaają oczy ku ziemi. Wówczas, straciwszy cierpliwość, oświadcza Napoleon krótko i wężłowato, że rzuci się na nieprzyjaciela nawet *ubrew* radom marszałków. Ney, rozwścieklony, krzyczy:

— Wojsko *nie* pójdzie!

Podniesionym głosem odpowiada monarcha:

— Armia będzie mi posłuszną.

— *Sire* — woła znowu Ney, — armia słucha swoich generałów!

Napoleon zastanawia się chwilę, czy nie powinien na takie groźby odpowiedzieć czynem, to jest zawołać straż i natychmiast nakazać uwięzić bezwstydných buntowników. Wie dobrze, że zawsze jeszcze wywiera na marszałków tyle uroku, iż niczego złego w takim wypadku nie potrzebowałby się obawiać. Jeżeli zjawi się między żołnierzami, on, ich dowódzca prawdziwy, i zawoła: „Marszałkowie są zdrajcy, ośmielają się mi grozić!“—to odpowie mu wściekły okrzyk zgrozy. Gdy znikną złote epolety, nie zawiodą wełniane niższych oficerów; jest jeszcze dosyć młodych pułkowników i generałów brygady, jak Labedoyère i Pelet, którzy wybornie mogą zastąpić generałów dywizyj. Lecz czyż to pożyteczne w przededniu bitwy zmieniać niemal wszystkich komendantów korpusów?—jeden tylko generał Gérard pozostałby mu wtedy z dawnych dowódców. Zresztą hańba dawnych towarzyszków broni spadłaby na niego samego.

W milczeniu zastanowiwszy się przez czas dłuższy nad tem wszystkim, kazał, ani słówkiem nie skarciwszy bezwstydnego buntu Ney'a, wyjść wszystkim z gabinetu, pozostawiając jedynie Caulaincourta. Podczas gdy marszałkowie, stropieni szorstkim rozkazem Napoleona i przerażeni własną śmiałością, zwolna wychodzą z pokoju, cesarz po krótkiej rozmowie z najwierniejszym sługą chwyta za pióro. Czuje zmęczenie śmiertelne nie-

mal. To odstępstwo towarzyszków broni zabolalo go do głębi. Ale niech się co chce stanie, byle tylko ostalo się jego dzieło, cesarstwo. Podpisuje zrzeczenie się korony na rzecz króla rzymskiego.

Kto ma je przedstawić jako pełnomocnik sprzymierzonym monarchom? Oczywiście, prócz Caulaincourta, nasamprzód Ney. Napoleon bowiem, wielka dusza, brzydził się zemstą drobnostkową. Potem Marmont, najdroższy z towarzyszków broni, jego adjutant w Egipcie, po śmierci Lannesa, Duroca i Junota jedyny, który przed laty dawnymi żył razem z generałem brygady Bonapartem. Ney, Davoust, Soult, nawet Masséna i Berthier, dopiero później znaleźli się na drodze człowieka opatrznosciowego. A więc Marmont!

Lecz zrobiono cesarzowi uwagę: Macdonald lepiej nadaje się do takiego poselstwa, jako przedstawiciel prawdziwych uczuć armii, jako marszałek, który nigdy nie był ulubieńcem i niezbyt często przebywał u boku cesarza. Uznając to za powód zupełnie trafny, cesarz mianował księcia Tarentu trzecim pełnomocnikiem! Lecz owa trójca, jadąc do Paryża poprzez główną kwaterę Marmonta, miała wstąpić do niego i zostawić mu do wyboru: albo wytrwać na czele korpusu, albo też pojechać razem z wysłańcami do stolicy. Tyle zaufania cesarz żywił do przyjaciela, tyle delikatności czulej dowiódł względem niego! Tak, teraz właśnie, przy

swoim upadku, chciał Napoleon staremu druhowi i towarzyszowi wśród burz mnóstwa oszczędzić wszelkiej przykrości i pozostawić zupełną wolność. Uważał, iż to jest poprostu jego obowiązek względem Marmonta.

Po odjeździe pełnomocników napisał cesarz do cesarzowej w Blois, aby pośredniczyła między nim a cesarzem Franciszkiem. Chwilami również przypuszczał, iż monarchowie sprzymierzeni odtrącają jego propozycję, a wówczas marszałkowie ze skruchością powrócą nazad do niego. Celem zapewnienia sobie generałów, zebrał ich naokoło siebie o godzinie 10-ej wieczorem i spytał się, czy przystaną na powrót Burbonów; gdy ci zaprzeczyli z oburzeniem niesłychanem, ułożono rodzaj adresu, który miał krążyć wśród armii. Zgromadzenie rozeszło się o północy wśród zgody najzupełniejszej. Tylko Marmonta brakowało, a wysłano przeciw Gourgeauda, aby go tutaj sprowadził? A jednak nie w tem niema dziwnego: Widocznie trzej pełnomocnicy zabrali go z sobą do Paryża; niezwykła rzecz jedynie, że nie przysłał, jak to miano mu w razie danym oznajmić, do Fontainebleau po pełnomocnictwo dla siebie na piśmie.

Nagle nadszedł z Corbeil list od generała Lucotte'a, komendanta dywizyi Arrighy'ego (w miejsce ранego księcia Padwy), datowany wieczorem dnia 4-go kwietnia. Tylko co marszałek Marmont

przez szefa swojego sztabu generalnego nakazał dowódcom, by oznajmili żołnierstwu zrzeczenie się cesarza! Lucotte przecież nie chciał wystawić się na podobne upokorzenie, oświadczył więc wojownikom: „Cesarz zgadza się na wszystkie ofiary, aby tylko Francyi zapewnić pokój. Będziecie mu więc posłuszni we wszystkim, *czego tylko od was żąda.*“

Na te słowa żołnierze odpowiedzieli jedynie hucznymi wiwatami. On atoli, Lucotte, nie wie, jak ma postępować i do kogo się zwrócić. „Sire, racz *ty* mi wskazać drogę. Co do mnie, zawsze pozostanę wiernym honorowi i przysiędze.“

Co znaczy to wszystko? Co takiego, u licha, robi Marmont? Wtem nagle zjawia się z powrotem Gourgeaud i pragnie osobiście złożyć raport. Istotnie, Marmont pojechał do Paryża, na czas nieobecności zamianowawszy Souhama głównodowodzącym. Ten atoli, niewiadomo dlaczego, zaparł się tych obowiązków.

Napoleon jednak nie zatrwożył się. Nieporozumienie, czyste nieporozumienie! A przecież między pierwszą i drugą w nocy budzą cesarza, śpiącego na łóżku polowem. Adjutant, pełniący służbę, melduje porucznika Combes'a z szóstego korpusu. Przybysz, niesłychanie wzburzony, pieniać się, oznajmia, że *nakazano przeprowadzić korpus do nieprzyjaciela!* Słyszac wieść tak niemożliwą,

zrywa się cesarz i wypytuje dokładniej oficera. Nie, nie może wierzyć; to tylko podejrzenie bezzasadne. Wtem atoli wpada nowy zwiastun: kapitan Magnien z generalnego sztabu. Ten potwierdza, że na rozkaz Souhama korpus wchodzi między szeregi nieprzyjacielskie; wróg, zda się, z góry uprzedzony, oddaje honory wojskowe. „Zdrada, zdrada!“ — wpada z tym okrzykiem garść oficerów-sprzymierzeńców: na czele swych jeźdźców oderwali się od korpusu Marmonta i powracają, by przestrzedz cesarza. Wśród żołnierzy oddawna przejawiało się niezadowolenie; proste serca przeczuwały coś niedobrego. Korpus poprowadzono do Wersalu; *marszałek jest zdrajcą.*

Z podziwu godną krwią zimną przysłuchiwał się cesarz tym wieściom i zadawał świadkom naocznym pytania, chodząc po pokoju ze skrzyżowanemi według zwyczajności na tyle rękoma. Bystro spostrzegł, porównawszy zeznania, że o prawdzie trudno wątpić. Wstrętny sztylet zwolna kręcił się i obracał w zranionem jego sercu; rana była nieuleczalną. Wiele boleści przecierpiał on przez lata, zwycięstwami wieńczone: śmierć swych najwierniejszych, śmierć tuż przed nim Muirona, Lannes'a, Bessières'a, Duroca, rozwód z Józefiną, szczęściem swoim i pociechą rodzinną, rozwód, od chwili którego i Fortuna także odwróciła się od niego. Lecz, że jego najrodzeńszy syn duchowy, dziecko jego sławy,

najstarszy towarzysz broni, ongi pierwszy apostoł jego geniuszu, teraz, w chwili najprzykrzejszej, zdradza go i wytrąca mu miecz z ręki — to już zadużo goryczy! To już Nemezis zbyt ostra!

W milczeniu, z osłupiałym wzrokiem, usiadł Napoleon na krześle. Cisza przeciągła, której nikt nie odważył się przerwać. Wreszcie wyszeptał cesarz głosem bezdzwięcznym:

— Niewdzięczny! *Będzie z pewnością jeszcze nieszczęśliwszym ode mnie!*

Zaduma przecież nie poradzić nie zdoła! Należało działać! Linia nad Essonne odslonięta; każdej chwili wróg mógł francuzów zaatakować w sam środek pozycyi; Marmont haniebnie wydał cesarza sprzymierzonym na łup. Belliard otrzymał rozkaz, aby natychmiast, zebrawszy, ile się da, konnicy, ruszyć na przód i zająć placówki. Berthier o 3-ej w nocy wysłał rozkaz do Mortiera, by obsadził opuszczone przez Marmonta stanowiska i wypełnił powstałą skutkiem tego szczyrbę.

W rozgoryczone serce cesarza nalał balsamu list, napisany przez generała, dowodzącego korpusem i pułkiem nadwiślańskim. Cesarz otrzymał nad ranem te słowa, tchnące męztwem bohater-skiem:

„Sire, marszałkowie cię zdradzają, my nigdy ciebie nie zdradzimy! Wszystko może się zmienić, z wyjątkiem naszej dla ciebie wierności. Tylko

pod naszą opieką będziesz zupełnie bezpiecznym. Bez rozkazu tedy opuszczam dotychczasowe stanowisko, celem zjawienia się u twego boku i osłonięcia cię hartownemi jak mur batalionami.“

Ów list na wieki powinien przyświecać w historii, jako dowód niezachwianej wierności. List ów także dodał Napoleonowi mocy podczas pisania ważnego dokumentu, nad którym zaraz rozpoczął pracować: wydał *ordre du jour* dla armii, gdzie napiętnował należycie i zmiążdżył moralnie zarówno zdradę Marmonta, jak i bezczelność nikiemną senatu. Koronę otrzymał cesarz od Boga i narodu, to też jedynie Bóg i naród mogą mu ją odebrać. On sam dźwiga ją tylko dlatego, że jest przekonany, jako nikt inny nie potrafiłby jej nosić należycie. A wreszcie z piersi zwyciężonego wydarło się straszne szyderstwo, po dzień dzisiejszy całkowicie słuszne: „Skoro dawniej zarzucano cesarzowi, że pogardza ludźmi, niech więc dzisiaj każdy mu przyzna, że pogardzał nie bez przyczyny.“

Dnia 5-go koło południa odbył cesarz przegląd siódmego korpusu Oudinota; weterani hiszpańscy przyjmowali go z takim samym zapałem, jak niegdyś w Schönbrunnie, Potsdamie i na Prado. W ich oczach był on *zawsze tym samym* Napoleonem!

Gdy atoli cesarz zapytał samego marszałka Oudinota, czy może liczyć na niezachwane posłu-

szeństwo jego korpusu, ten odpowiedział krótko i szorstko:

— Nie, Sire, Jego Cesarska Mość zrzekł się korony!

Komuż więc teraz wierzyć?

Jeszcze walczy ciągle we Włoszech niezachwianie wierny wice-król Eugeniusz, ostatni i najpiękniejszy posąg odepchniętej Józefiny. Czy powinien ojczym, który pisał ongi do niego: „Największą radością są dla mnie wiadomości o tobie,“ przywołać go do siebie na pomoc? Do wspólki z Bassano zastanawiał się nad tym krokiem. O bitwie pod Paryżem bez 12,000 ludzi, uprowadzonych przez Marmonta, i myśleć już nie było można. Wieczorem wszystkie oddziały armii otrzymały rozkaz cofnięcia się poza Loarę.

Wtem o godzinie 10-ej w nocy zjawili się z powrotem trzej komisarze: Wszystko przepadło; zdrada Marmonta nakłoniła monarchów sprzymierzonych do porzucenia projektu regencyi, na który poprzednio już już się godzono. Senat obwołał Ludwika XVIII królem. Cesarzowi ofiarowywano panowanie nad istną skorupą orzecha, wyspą Elbą. Takie niegodne propozycye przecież Napoleon wręcz odrzucił. Wojna teraz nic nie może przynieść gorszego, aniżeli pokój. Trzeźwo, spokojnie, z niesłychaną godnością wyluszczał marszałkom

dalsze zamiary i plany. Jeszcze można wszystko uratować.

Mówiąc, łudził się imperator nadzieją, że jego podkomendni wiedzą doskonale o losie, który ich czeka: Burbonowie — toć przecież ich zguba niezawodna. Nigdy przecież los nie zdrwił tak okrutnie z żadnej nadziei. Pogodzono się już bowiem w duchu z Restauracją. Caulaincourt, głęboko zasmucony, milczy, gdy tymczasem Ney brutalnie naciera na cesarza:

— Co on właściwie sobie myśli? Jedyne tylko o całkowitem zrzeczeniu się może być mowa.

Zmęczony przemawianiem do rozsądku ludziom, którzy już z góry o niczem nie chcieli słuchać, niezwykle mąż z właściwym sobie spokojem kazał się im oddalić. Doszło już do tego, że pełnomocnicy na własną rękę zawarli z Schwarzenbergiem zawieszenie broni, o którym obwieszczono w *ordre du jour* z 6-go kwietnia o godzinie 10-ej rano. Rozkazów, nakazujących odwrót, *nie* wykonano, jakkolwiek szef sztabu nie wydał polecenia odwołującego.

O godzinie 2-ej po południu tego samego dnia Friant, generał dywizyi starej gwardyi, oznajmił urzędownie dzielnemu brygadyerowi Peletowi, że zgodzono się *już nie wykonywać nadal ani jednego rozkazu cesarza*. Tak więc grzebano go żywcem. Jeszcze raz atoli cesarz zawołał do siebie marszał-

ków i odwołał się już nie do rozumu, lecz do ich serc, aby podjęli poza Loarą bój ostateczny na wspólną z Eugeniuszem, Soulttem, Suchetem, Augereau i Maisonem. Ta walka ostateczna, krwawa, zacięta, również i im mogła tylko korzyść przynieść: cóż bowiem potrafiliby im ofiarować Burbonowie?

Wszystko napróżno! Czując wstręt od dalszych wysiłków, marszałkowie monarchii porzucili monarchię, którą pomagali założyć; odbiegli mistrza, któremu zawdzięczali i sławę i godności, słowem wszystko. Na ich twarzach wprost malowała się nikczemna zazdrość, który też zdąży pierwszy płaszczyć się u nóg nowego władcy.

Stało się!

— Chcecie spoczynku? Będziecie go mieli
I silną ręką podpisał niezwykły bohater oraz
monarcha zrzeczenie się korony.

Radźcie sobie teraz, o ludzie, bez niego!

UWAGI.

W chwili, gdy Napoleon przygotowywał się w Fontainebleau do wyrzucenia nieprzyjaciela z Paryża, wiele było już straconem, ale jeszcze nie wszystko. Przeciwnie, najmniejsze nawet niepowodzenie mogło spowodować straszliwą klęskę

sprzymierzonych. Z tego względu lepiej nawet, iż zamiar Napoleona udania się samemu do Paryża i zmierzenia się tamże z wrogiem nie przyszedł do skutku.

Stanowisko nad Essonne przedstawiało bardzo wiele korzyści. Zresztą każdej chwili mógł cofać się poza Loarę. Takiego Napoleona nie ściga się. Zgoła co innego jest ścigać lwa, a inna rzecz zająca.

Wojna, toczona w kraju nieprzyjacielskim, posiada mnóstwo stron ujemnych. No, wprawdzie tylko wówczas, gdy poczucie narodowe pulsuje tak silnie, jak np. u francuzów, którzy jeszcze po Sedanie w 1870 r. świetne owego patryotyzmu składali dowody. Ofiarność patryotyczna przecież rodzi się jedynie wtedy, gdy lud i rząd stanowią całość niepodzielną, nie tak, jak to się działo w Prusach w 1806 r. Państwo, według trafnego zdania Montesquieu'a, ginie wskutek bitwy przegranej wyłącznie w takim wypadku, gdy klęskę zgotowały raczej stosunki wewnętrzne, nie zaś oręż wroga. Prawda historyczna zaś wykazuje, że w 1814 r. łączność narodu z Napoleonem była szalenie ścisłą. I właśnie z owej przyczyny zdrada Marmonta zasługuje na tem gorętsze potępienie.

Książę Raguzy był niewątpliwie człowiekiem wielkich zdolności wojskowych i znacznych zasług osobistych. Bądźmy sprawiedliwymi: Podczas obrony Paryża robił *więcej*, aniżeli tego wymagały jego

obowiązki, bo narażał życie, niby prosty żołnierz. Paryżanie mogli zupełnie słusznie tego marszałka w poszarpanym mundurze, w butach krwią zbryzganych, z rękoma i obliczem uczernionemi prochem, uważać za przedstawiciela francuzkiej *gloire*. Te kadzidła przecież, częściowo zasłużone, częściowo przesadzone, zawróciły głowę owego chwiejnego człowieka i zaślepiły go całkowicie. Czuł się powołanym do czegoś wyższego; sądził nawet, iż już nadeszła pora, kiedy zacznie odgrywać pierwszą, a nie drugą, jak dotychczas, rolę. Samolubstwo obłudne i szpetne zaczęło nadgryzać mu serce; nędznymi wykrętami sofistycznymi starał się zagłuszać głos sumienia i głos honoru.

Kto winien, iż grał on dotychczas rolę jedynie drugorzędną? Oczywiście, jego przyjaciel młodości, cesarz, który wprawdzie wiele okazywał mu dobroci, aleć zawsze obdarzył go mniejszą ilością tytułów oraz dochodów, aniżeli innych.

Był przecież ksiązę panujący z tytułem „Jego Wysokość:“ Berthier, ksiązę Neufchatelu i Wagramu; był ksiązę d'Eggmühl (Davoust), ksiązę Essling (Masséna) i ksiązę Moskwy (Ney). *Duc* Marmont atoli mógł się uspokoić: I czterej powyżsi „książęta,“ mimo wyższy stopień, dowiedli również zupełnego braku charakteru. Czyż zresztą nie powinien pocieszyć Marmonta los Soulta, który, jakkolwiek największe wśród wodzów Napoleona po-

siadał zdolności strategiczne, także piastował tylko godność *duca*. Lecz ten marszałek, ponieważ miał sposobność z całą swobodą poświęcenia się w Hiszpanii rzemiosłu wojennemu, niewiele dbał o takie drobnostki; jakkolwiek osobiście nie lubił Napoleona, spełniał obowiązki do ostatka i cieszył się do końca niezachwianem zaufaniem mistrza, który widział w nim żołnierza z powołania, z krwi i kości. Bitwę pod Tulużą, już pod sam koniec kampanii, wydał on Wellingtonowi nie dla zyskania tytułu książęcego, jeno celem przyniesienia mistrzowi w Fontainebleau jakiej takiej odsieczy — i to nie z poczucia osobistego przywiązania, lecz obowiązków, ciężących na nim jako na marszałku Cesarstwa i przedstawicielu *gloire* oręża francuzkiego.

Nie potrzeba tedy dodawać, iż Marmont takimi naiwnymi wymówkami, jak powyższe, a zamieszczonemi przez niego w pamiętnikach, jeszcze bardziej się znieślawia. Wobec mistrza dawnego, wobec przyjaciela młodości zaciągnął on daleko cięższe zobowiązania, aniżeli Soult, choć równocześnie daleko *mniej się zastużył*. Jakież to jego czyny zasługiwały na odznaczenie szczególne? Jedynie pod Marengo pokazał, co umie jako artylerzysta. Potem, dopiero w 1809 r. pod Wagram odegrał rolę niepoślednią, za co wraz z Macdonaldem i Oudinotem, generałami, rangą o wiele od siebie starszymi, otrzymał buławę marszałkowską, podczas gdy Lau-

ristona, który także niesłychanie się odznaczył, nagroda ta *minęła*. Czegóż jeszcze pożądał więcej? Mianowany księciem Raguzy i gubernatorem Illiryi, by mógł poprawić swój stan majątkowy, zamiast rządności rozrzucał pieniądze, hulał i trwonił, wyłudzał od obywateli wielkie sumy i kradł tam tak bezwstydnie, że Napoleon musiał napisać do niego: „Przestrzega go, że rachunki będą rewidowane.“

W 1812 r. na miejscu Massény mianowany wodzem naczelnym „armii portugalskiej,“ pod Salamanką wydał na rzeź owo wojsko wspaniałe, skutkiem nierozsądnych rozporządzeń, chcących uchodzić za genialne. Ciężko ranionemu i oskarżonemu oraz spotwarzonemu przez króla Józefa, Napoleon, który o tem nieszczęściu srogiem dowiedział się w przededniu bitwy pod Borodinem, nie przesłał ani jednego wyrzutu. Przeciwnie, okazał mu wiele troskliwości i obszedł się z nim jaknajłagodniej, nakazując jedynie wrócić do Paryża, celem prędszego przyjścia do zdrowia. Co więcej nawet, cesarz dzięki swemu *second-sight* tak precudownie bystro osądził odległe wypadki, mimo ich zawikłanie, że winy, zwalane przez brata na Marmonta, przypisał słusznie pierwszemu z nich, a *broniał* przyjaciela młodości. Natychmiast po wyzdrowieniu przyjęty jaknajłaskawiej, już w 1813 r. cieszył się Marmont niezwykłym zaufaniem mistrza jako najlepszy strategik wśród obecnych u boku

cesarza marszałków, co przecież niezwykle musiało schlebiać jego próżności. Podczas odwrotu ku Hanau cesarz powierzył mu nawet całe wojsko, a wreszcie pozostawił go z najliczniejszym korpusem jako tylną straż nad Renem. Wówczas to, pod Lipskiem, Napoleon, natchniony ową wieszczą intuicyą, jasnowidzeniem genialnem, odezwał się do niego w te słowa:

— Gdyby nieprzyjaciel stał na Montmartre, a ty, marszałku, sądziłbyś, że, porzucając mię, przysłużysz się ojczyźnie, działałbyś może jako dobry francuz, ale w każdym razie *nie jako człowiek honoru.*

Czyż ta przepowiednia nie przypominała się owemu Judaszowi na łożu śmierci, Judaszowi, który tak ciężko musiał potem pokutować za zbrodnię, popełnioną względem mistrza i względem siebie samego?

Czcigodny Napier w swej *History of the Peninsular War* określa go jako „*more shining than great* (więcej błyszczący, aniżeli wielki). Sprawiedliwość atoli nakazuje zaznaczyć, iż pod Möckern wybornie poprowadził bitwę, a i pod Lipskiem również, mimo rany, bardzo dzielnie dotrzymywał placu. Nad Therouanne także dowiódł wielkich zdolności i nie zawiódł dobrego mniemania, jakie żywił o nim kolega szkolny z Brienne. Brakowało mu przecież zaciętości Massény, który, acz złe za-

zwyczaj wydawał rozkazy, z pierwszym strzałem działowym okazywał niesłychaną energię. U Marmonta, przeciwnie, znaczny nawet talent niezawsze był równomiernym. W 1814 r. niedbalstwo jego nie mało przyczyniło się do upadku Napoleona.

Posiadał też spostrzegawczość niezwykłą. On pierwszy głośno otrąbił geniusz Bonapartego, który wówczas wcale jeszcze nie cieszył się rozgłosem; on pierwszy przeciągnął na stronę przyjaciela generała Desaix.

Lamartine w późniejszych przypiskach do swej „Ody do Bonapartego“ opowiada, że przypadkowo siedział tuż naprzeciwko Marmonta podczas obiadu w zaufanem kółku, gdy nagle wpadł gość spóźniony, pewien ambasador, i krzyknął:

— *Il est mort!*

Każdy natychmiast wiedział, kto jedynie może być owym „on,“ którego śmierć, niby trzęsienie ziemi, zachwiała kulą ziemską, albo sprawiła wrażenie gasnącego słońca.

Marmont zbladł jak trup, chwilę usiłował zapanować nad sobą, wnet atoli zerwał się i pobiegł do sąsiedniego pokoju, gdzie latał bez pamięci, mrużąc urywane wyrazy, jak gdyby rozmawiał z duchem, i przelewając łzy gorzkie. „Nie, to nie był zdrajca zwyczajny!“ — woła poeta z litością uroczą.

Zwyczajny, och, z pewnością wcale nie zwyczajny! Bezwątpienia mógł on płakać nad swo-

jem nazwiskiem, na wieki shańbionem, nad nędnym końcem działalności, u początku której los pozwolił mu wcześniej, aniżeli innym, poznać i uznać człowieka opatrnościowego. To, co miało stanowić jego sławę, utworzyło hańbę podwójną; zgładził nie tylko wodza naczelnego, lecz i mistrza, on, podwójny Judasz. Oto do jakiego upodlenia doprowadzają, mały talent zawiść próżna i mania wielkości, gdy znajdzie się on u boku geniusza!

Zraniony śmiertelnie lew zemścił się, co było już nie prawem jego, ale wprost obowiązkiem wobec narodu i wojska. W proklamacyi z 1815 r. napiętnował on Marmonta po wszystkie wieki; jeszcze na Świętej Helenie pisał z goryczą, że postępował z Marmontem jak z synem.

Lecz Nemezis nie pozwala bezkarnie z siebie szydzić. Gdy w 1830 r. Marmont wystąpił jako obrońca wiarołomnych Burbonów przeciw paryżanom, którzy nigdy nie przebaczyli mu jego zdrady (zamiast *trahison* mówiono *ragusade*), wówczas po wstąpieniu na tron Ludwika Filipa podwójna spotkała go kara. Za sprzeniewierzenie się konstytucyi w 1830 r. skazano go na dożywotnie wygnanie; sąd honorowy starych generałów napoleońskich skazał go znowu za zdradę w 1814 roku na utratę munduru. Ongi dumny marszałek, złamany, przybity, dogorywał, goryczy pełen; w Wenecyi, gdzie w zapomnieniu dokonał żywota, ulicznicy,

gdy tylko wyszedł na ulicę, wołali: „Patrzcie, oto idzie zdrajca Napoleona!“

.
Straty sprzymierzonych w owej wojnie niesłychanie wielkie. Niektóre ich korpusy potraciły 40—60% z swej liczby początkowej.

Korpus Giulaya, który wyruszył w pole z 15,000 ludzi, pod Paryżem miał już tylko 10,500 ludzi. Korpus następcy tronu wirtemberskiego, początkowo liczy 15,000 ludzi, potem wzmocniony posiłkami 10,500 ludzi, stracił przez dwa miesiące 11,500 ludzi i pod Paryżem miał zaledwie 14,000 żołnierza. Korpus Wredego, 50,000 ludzi, traci 10,000 ludzi; korpus Wittgensteina, początkowo 21,000 ludzi, pod koniec ma 12,800. Gwardye pruskie i sprzymierzonych, mimo że wcale nie stały w ogniu, tracą z 38,000 żołnierzy 12,000. Jednem słowem armia czeska na 180,000 żołnierza traci niemal połowę ludzi, bądź-to w bitwach, bądź-to skutkiem trudów pochodu i złego żywienia.

Armia szlązka niemal nie mniejsze ponosi straty. York i Sacken z 50,000 ludzi tracą także połowę; Kleist więcej anizeli jedną trzecią, Winzingerode z pewnością nie mniej, tembardziej, iż był rozbitym do szczętu.

Nic więc dziwnego, że 60,000 ludzi Napoleona nad Essonne śmiało mogły podjąć walkę nawet z połączonemi armiami sprzymierzonych, które

w dniu 4-go kwietnia liczyły po odtrąceniu koniecznych załóg, kolumn ruchomych, wypraw prowiantowych, placówek, co najwyżej 100,000 żołnierzy, zmęczonych, wygłodzonych i zniechęconych. Nadto trzeba pamiętać, iż może 4-go a najdalej 6-go otrzymałby Napoleon jeszcze 15—20,000 posiłków. Przez cały czas kampanii zgromadził on pod swoje sztandary (nie włączając Soulta i Sucheta) 130,000 ludzi, z których 30,000 miał pod koniec stycznia, nowe 40,000 pod koniec lutego, nowe 30,000 pod koniec marca i 30,000 posiłków od armii południowej. Z tych 130,000 atoli połowę zabrali kolejno Augereau i Maison. Cesarz wraz z Macdonaldem nigdy nie mieli razem więcej, aniżeli 60,000 żołnierza. W Troyes dostał 10,000 posiłków, pod koniec lutego nad Sekwaną 27,000; do Mortiera przybyło 6,000; później podczas drugiego ataku na Schwarzenberga 12,000, razem 55,000. Podczas obrony Paryża wystawiono nowego żołnierza 17,000, w tem 12,000 gwardyi narodowej. W 1814 roku tedy stało pod bronią 132,000 francuzów naprzeciwko Blüchera i Schwarzenberga; z tych 132,000 zginęła połowa; sam jednak marsz z Vitry do Paryża, jeden z najszybszych w dziejach wojen, kosztował 20,000 morderów, którzy dopiero zwolna zbierali się pod chorągwie. Naprawdę tedy stracił Napoleon tylko 40,000 żołnierza, co jest śmiesznie małą liczbą

w porównaniu ze stratami sprzymierzonych. Owa szczyrba w szeregach Napoleona okazałaby się jeszcze mniejszą, gdyby Macdonald, Oudinot i Marmont nie popełnili tylu głupstw od samego początku wojny. I tak przecież sprzymierzeni *stracili pięć razy tyle, co francuzi*. Zastępy ich topniały tak szybko w porównaniu z zastępami francuzów, że zrazu 6 francuzów przypadało na 24 sprzymierzonych, z początkiem marca już tylko na 14, a w końcu nawet na 10. Jest to świetny wynik działalności geniusza Napoleona.

Takiem arcydziełem sztuki wojennej nie może się pochlubić ani jeden wódz, rozgłośny w dziejach świata.

.

Austria, to Byzancyum różnojęzyczne czasów nowożytnych, była niemal zawsze najsilniejszą potęgą militarną. „Nie widziałeś, marszałku, austryaków pod Aspern, a więc nic nie widziałeś!“ — powiedział Napoleon do Murata. Ze zdziwieniem wyczytaliśmy u Talleyranda, że Austria wystawiła w 1814 r. 350,000 ludzi, podczas gdy Prusy zdołały pchnąć do boju 180,000, trzeci zaś sprzymierzeniec 280,000 żołnierza.

.

Z generałów napoleońskich wspomnijmy jeszcze o Grouchym. Jest to ten sam, którego Na-

napoleon w 1815 r. mianował marszałkiem, za co ten się odwdzięczając, tak szpetną odegrał rolę pod Waterloo. Choć żołnierz był to niezły. Już w 1812 roku dowodził korpusem jazdy. Żonaty z siostrą markiza Condorceta, wielkiego przyrodnika, który zginął pod gilotyną na podobieństwo Lavoisiera.

Generał Nansouty był równocześnie naczelnym koniuszym cesarskim. Boyer, dowódca brygady starej gwardyi, należał do zaufanego grona dostojników, wezwanych do uczestniczenia w zjeździe erfurckim. Znajdował się tam również i Berthier, jako książę panujący (wzorem Talleyranda, księcia Beneventu), ożeniony z bawarską księżniczką krwi. Podwładnych swoich tedy Napoleon zrównał urzędownie z najstarszemi rodami panującemi Rzeszy niemieckiej.

Następcy tronu wirtemberskiego, który z zamiłowaniem poprzednio uczestniczył w wesołym życiu szwagra swego, Hieronima Bonapartego, w Kassel, trzeba przyznać, iż był tęgim żołnierzem. Niepotrzebnie atoli sam sobie szkodził nadmierną surowością względem francuzkiej ludności cywilnej, pozwalając żołnierzom na tysiączne nadużycia, rabunek i gwałty. Francuzi znowu mścili się na jego korpusie, gdzie tylko mogli; za najmniejszym niepowodzeniem wirtemberczyków, chłopci strzelali do nich, zabijali, tłukli, czem tylko mogli. Do zadania mu straszliwej klęski pod Montereau, gdzie

mieszczanie uciekających wirtemberczyków wystrzelowali, jak wściekłe psy, niemało przyczyniła się zaciętość świeżozaciężnej gwardyi narodowej, pieszej i konnej, gdy dowiedziała się, z kim to walczyć należy. I ten sam generał Delort, który zawołał: „Trzeba być waryatem, aby nakazać mi atak na czele takich karlików!“—potem sam bił oklaski, widząc, jak ci rekruci miażdżyli wszystko, co im wlało pod rękę. Podobnie i pod Valjouan kirasyerzy francuzcy, którzy jeszcze nie umieli porządnie siedzieć na koniach, rozpędzili na cztery strony świata wyborną konnicę bawarską.

— Ileż to bohaterstwa tkwi w krwi francuzkiej! — zawołał Marmont, gdy świeżozaciężny rekrut, nieustraszenie a nieruchomo stojący wśród naokoło padających towarzyszków, na zapytanie, dlaczego nie strzela, dał mu naiwnie-wzniosłą odpowiedź:

— Nie nauczono mię nabijać.

Warto także przypomnieć, jak zachęcająco wpływała na żołnierza możność awansowania: każdy piechur w tornistrze nosił buławę marszałkowską. Za Burbonów, za *ancien regime*, raz jeden zaszedł wypadek podobny: Catinat, pismak z kancelaryi adwokackiej, został marszałkiem i parem Francyi.

.

W dniach 16-ym do 23-go lutego Napoleon samych jeńców przysłał do Paryża przeszło 12,000, nie licząc zdobytych armat, chorągwi, karabinów. Naodwrot znowu Paryż, główna komenda uzupełniająca obrony kraju, zdołał wysłać przez czas od 20-go stycznia do 11-go marca zaledwie 26,000 ludzi i 156 armat na wschodni plac boju. Świadczą o tem raporty dzienne generała Hullina, komendanta paryzkiego okręgu wojskowego.

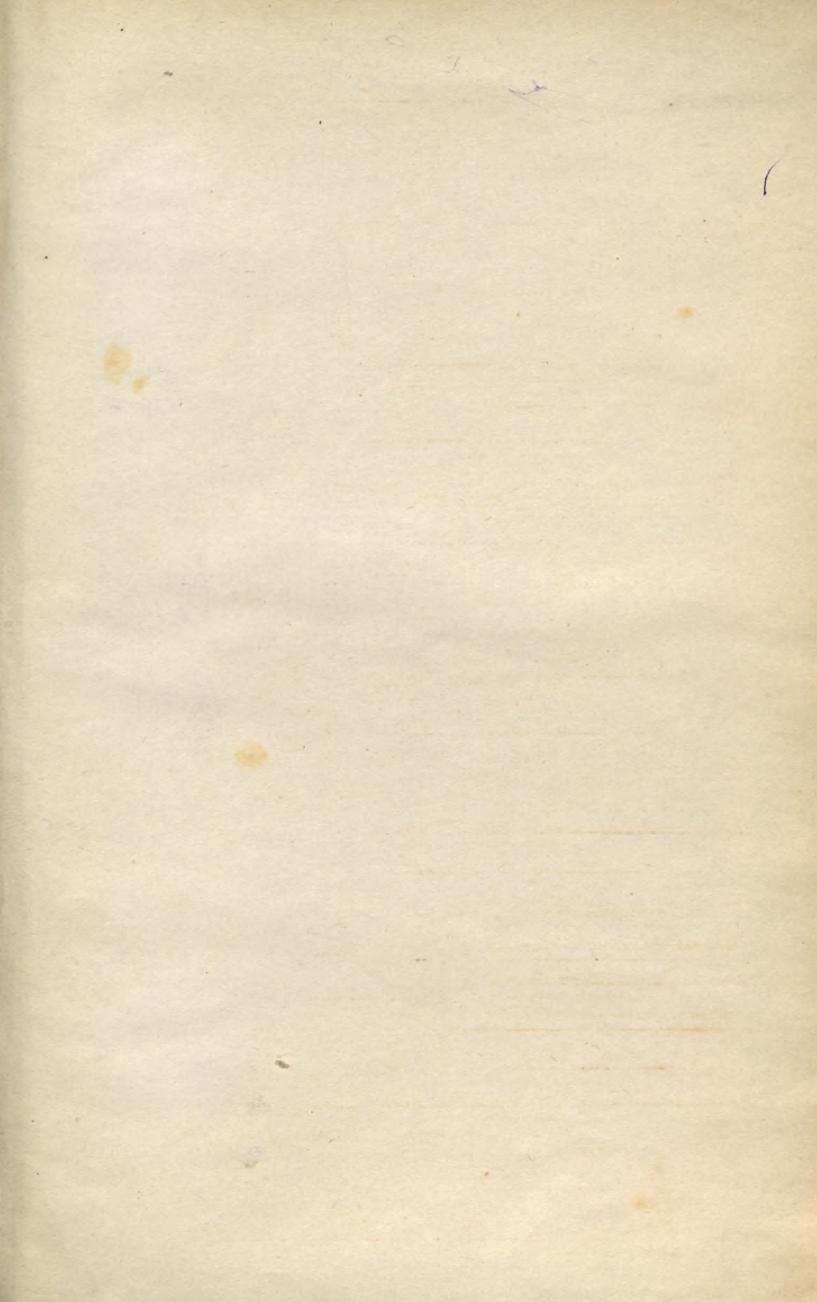
.

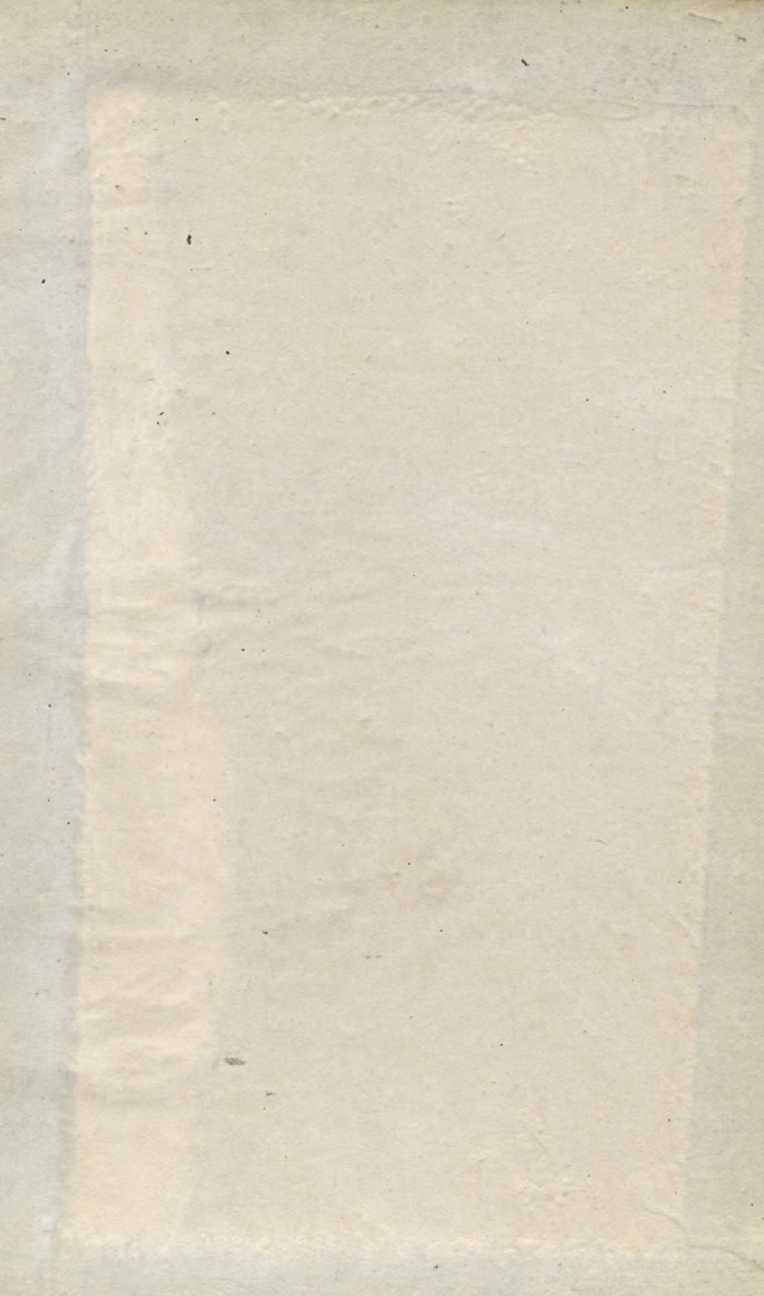
Dopiero podczas oblężenia mieszczenie paryzcy dowiedli, że dorosli sercem i odwagą ludności wieśniaczej.

.

Z Napoleonem zszedł do grobu ostatni geniusz dawnej szkoły strategicznej; nowa czeka jeszcze na swego mistrza.







Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

323975

1000072210

